

ROBERTO SAVIANO

CHŁOPCY Z PARANZY



Grupa młodych chłopców zdecydowana zawładnąć
kryminalnym podziemiem **NEAPOLU**



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

ROBERTO SAVIANO

CHŁOPCY Z PARANZY

Z języka włoskiego przełożyła
Alina Pawłowska-Zampino



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

LA PARANZA DEI BAMBINI
Copyright © 2016, Roberto Saviano
All rights reserved

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski
Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8110-511-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Spis treści

Część pierwsza. Paranza pochodzi z morza

Obgównianie

Nowy Maharadża

Złe myśli

Wesele

Chiński rewolwer

Baloniki

Napady i rozboje

Mała paranza

Lutownica

Książę

Część druga. Drapieżcy i ofiary

Sąd

Żywa tarcza

Wszystko w porządku

Melina

Niech mi matka umrze...

Capodimonte

Rytuał

Zoo

Głowa Turka

Szkolenie

Szampan

Część trzecia. Burza

My tu będziemy rządzić

Narkotyki

Teraz wszystkim pokażemy!

Walter White

Cysterna

Będę grzeczny

Bracia

Posłaniec

Morze Czerwone

Zmarłym skalanym winą i ich niewinności

Maharadża – Nicolas Fiorillo

Briatore – Fabio Capasso

Tukan – Massimo Rea

Ząbek – Giuseppe Izzo

Dragonbol – Luigi Striano

Lollipop – Vincenzo Esposito

Śnięta Ryba – Ciro Somma

Żetakpowiem – Vincenzo Esposito

Dron – Antonio Starita

Biszkopcik – Eduardo Cirillo

Zapałka – Agostino De Rosa

Tam, gdzie są dzieci, jest Złota Epoka.

NOVALIS

Część pierwsza

PARANZA POCHODZI Z MORZA

Słowo paranza pochodzi z morza.

Kto urodził się nad morzem, zna jego różne oblicza. Morze podporządkowuje, wylewa, uzależnia, usidla. Kto urodził się nad morzem, choćby spędził potem z dala od niego całe życie, pozostaje nim przesiąknięty. Kto urodził się nad morzem, wie, że istnieje morze ciężkiej pracy, morze powrotów i pożegnań, morze ścieków i morze, które izoluje od reszty świata. Morze – kloaka, droga ucieczki albo bariera nie do pokonania. Jest też morze nocą.

Noc to czas połowów. Atramentowe ciemności. Nie słychać modlitw, jedynie przekleństwa. I ciszę, zakłócaną tylko szumem silników.

Dwa kutry rybackie oddalają się od brzegu, obydwa są małe i zdezelowane, zamontowano na nich tyle reflektorów, że prawie topią się pod ich ciężarem. Rozdzielają się, jeden płynie na prawo, drugi na lewo, oślepiające światło, tak silne, że przebija się przez słoną wodę aż do samego dna, ma zwabić ryby. Widok morskiego dna wywołuje lęk. To tak, jakby zobaczyć miejsce, w którym wszystko się kończy. Nie ma nic więcej? Tylko tyle? Pod całym tym bezmiarem wody są tylko kamienie i piasek?

Paranza to łodzie, z których łowi się nocą ryby, wabiąc je silnym

sztucznym światłem. Elektrycznym słońcem. Światło obejmuje panowanie nad wodą, a ryby ufnie się do niego garną. Garną się do życia, kierowane instynktem, płyną do niego na wyścigi, z otwartymi pyszczkami. W tym samym czasie wokół nich rozwijają się sieci i w krótkim czasie otaczają ławicę, rysują jej obwód.

Wtedy światło zatrzymuje się i przez chwilę zdaje się, że ryby będą mogły go dosięgnąć, dotknąć otwartymi pyszczkami. Ale zaraz potem ściągane sieci spychają je jedna na drugą. Ryby gorączkowo biją płetwami, starając się wywalczyć sobie trochę miejsca. Robi się coraz ciasniej, jakby morze stopniowo zamieniało się w kałużę. Te, które próbują odpłynąć, odbijają się od przeszkody, czegoś, co nie jest miękkie jak piasek, ale nie jest też twarde jak skała. Wydaje się możliwe do pokonania, ale żadnej rybie się to nie udaje. Trzepoczą się, wywijają ogonami na prawo i lewo, w górę i w dół, najpierw silnie i energicznie, potem coraz słabiej, coraz słabiej.

Światło gaśnie. Stłoczone ryby unoszą się ku powierzchni wody – a może to dno podnosi się ku niebu? Nie, to rybacy wyciągają z wody sieć z uwięzioną w niej ławicą. Ryby duszą się powietrzem, otwierają i zamykają pyszczki, skrzela zapadają się jak przebite pęcherze. Wyścig do światła się skończył.

Obgównianie

– Co się na mnie gapisz?

– Wcale się nie gapię.

– Gapisz się.

– Coś ci się chyba przyśniło! Mylisz mnie z kimś. Nawet na ciebie nie spojrzałem.

Renatino stał uwięziony między czterema chłopakami. Namierzili go jakiś czas temu w ciżbie młodych ciał, ale kiedy to zauważył, był już przez nich otoczony.

Spojrzenie to teren prywatny, suwerenna ojczyzna o nienaruszalnych granicach. Patrzenie na kogoś to jak wejść do jego domu bez pozwolenia. Zatrzymanie spojrzenia na czyjejs twarzą jest równoznaczne z naruszeniem jego nietykalności. Kto nie spuszcza wzroku, manifestuje swoją władzę.

Stali na samym środku niewielkiego placu zamkniętego ze wszystkich stron wysokimi budynkami. Odchodziła od niego tylko jedna uliczka, działał tylko jeden bar, ale stała tam palma, która tworzyła egzotyczny klimat. Dzięki temu drzewu, wyrosłemu na kilku metrach kwadratowych gruntu, fasady otaczających go domów, ich okna i bramy wydawały się piękniejsze, niż były w rzeczywistości, jakby podmuch wiatru przywiał je prosto z placu Belliniego, z samego centrum miasta.

Żaden z chłopców nie skończył jeszcze szesnastu lat. Stali od siebie w odległości oddechu. Dzielila ich chwila od bezpośredniego starcia, lekko opuszczone głowy były gotowe, by uderzyć przeciwnika w nos. Przeszkodził temu Briatore; wszedł między nich, jego ciało przypominało mur graniczny.

– Jeszcze się odzywasz?! Zamknij się! I spuść, do cholery, te gały!

Renatino wstydził się uciec wzrokiem, ale gdyby mógł wyjść

obronną ręką z tej sytuacji, okazując uległość w inny sposób – opuszczeniem głowy czy nawet ukłęknięciem – zrobiliby to. Było ich kilku przeciw niemu jednemu. Kodeks honorowy nie obowiązuje, gdy trzeba komuś przyłożyć, żeby nauczyć go rozumu. W dialekcie neapolitańskim używa się w takiej sytuacji innego określenia niż zwykle „bicie”. Bije policja, ale matka, ojciec czy dziadek uczą rozumu. Bije nauczyciel w szkole, ale dziewczyna daje swojemu chłopcu nauczkę, gdy zbyt długo patrzy na inną.

Wtedy grzmoci się z całej siły. Można powiedzieć, że z całego serca – bo rozumu uczy się siłą tylko tych, do których ma się jakiś sentymentalny stosunek, których się zna, którzy należą do tego samego świata ze względu na miejsce zamieszkania, pochodzenie i kulturę, na wspólne znajomości. Tych, którzy są częścią własnego życia. Obcych, z którymi nie ma się nic wspólnego, po prostu się bije.

– Lajkujesz wszystkie zdjęcia Letizii, piszesz komentarze, gdzie ci się podoba, a potem, kiedy spotykamy się na placu, masz jeszcze czelność się na mnie gapić? – Nicolas wreszcie powiedział, o co mu chodzi. Kiedy wykrzykiwał swoje oskarżenia, Renatino miał wrażenie, że wbija w niego czarne szpile oczu i unieruchamia go nimi, jakby był owadem.

– Nawet na ciebie nie spojrzałem. Poza tym, jeżeli Letizia zamieszcza swoje zdjęcia na Facebooku, to znaczy, że każdy może jej dawać lajki i pisać komentarze.

– A więc twoim zdaniem nie powinienem ci przyłożyć?

– Odczep się, Nicolas.

Nicolas zaczął go poszturchiwać. Renatino potykał się o nogi podstawiane przez jego towarzyszy, odbijał się od ich ciał jak od bandy stołu bilardowego. Briatore pchnął go w stronę Dragonbola, ten złapał go jedną ręką i zaraz cisnął ku Tukanowi. Tukan udał, że zamierza uderzyć go głową, ale zatrzymał się i oddał Renatina Nicolasowi. Mieli co do niego inne plany.

– Eeej! Co wy robicie! Ooo!

Renatino zaskowyczał jak przerażony szczeniak. Powtarzał to swoje

zwierzęce i rozpaczliwe „ooo!” jak błagalną modlitwę. Ta pojedyncza, przedłużona samogłoska wydobywająca się z głębi gardła przypominała wołanie o pomoc, tym bardziej że występuje właśnie w tym słowie, którego Renatino nie mógł wymówić, bo kto prosi o pomoc, przyznaje, że jest tchórzem.

Nikt na placu nie zareagował. Dziewczęta się oddaliły, jakby odgadły, że zaraz zacznie się widowisko, którego nie mogły i nie chciały oglądać. Inni zostali, ale udawali, że wcale ich tam nie ma, choć uważnie obserwowali, co się dzieje. W razie czego będą gotowi przysiąc, że przez cały czas trzymali nosy w smartfonach i nic nie widzieli.

Nicolas obrzucił plac szybkim spojrzeniem, po czym popchnął gwałtownie Renatina, przewracając go na ziemię. Ten próbował się podnieść, ale noga Nicolasa przygniotła go do ziemi. Wszyscy czterej obstąpili go ciasno.

Zaczął Briatore. Starał się złapać leżącego chłopca za kostki. Renatino kilka razy zdołał uwolnić to jedną, to drugą nogę, jakby były śliskimi węgorzami, i próbował kopnąć w twarz pochylonego nad nim Nicolasa, ale pomimo desperackich wysiłków nie udało mu się to. Nicolas unieruchomił w końcu leżącego na ziemi chłopca, wiążąc mu nogi łańcuchem do roweru.

– Załatwione – powiedział, kiedy już zamknął kłódkę.

Tukan skuł ręce Renatina kajdankami. Były solidne, metalowe, ale powleczone czerwonym futerkiem. Znalazł je pewnie w jakimś sex-shopie. Jednocześnie kopał go po nerkach, żeby się uspokoił. Dragonbol trzymał głowę Renatina, jak to robią pielęgniarze, gdy po wypadku trzeba poszkodowanemu założyć kołnierz ortopedyczny.

Nicolas spuścił spodnie, odwrócił się plecami i kucnął nad twarzą Renatina. Szybkim gestem złapał skute kajdankami ręce chłopca, żeby je unieruchomić, i zaczął się na niego wypróżniać.

– Co powiesz, Dragonbol, taki gnojek jak ten tutaj zje moje gówno?

– Myślę, że tak.

– No to smacznego. Zaczyna wychodzić... Wychodzi...

Renatino wił się na ziemi i krzyczał, ale kiedy zobaczył, że brązowa masa zaraz może spaść mu na usta, zatrzymał się i starał się wszystko zamknąć: skleił wargi, zmarszczył nos, napiął mięśnie twarzy, jakby chciał, żeby zamieniła się w twardą maskę. Dragonbol trzymał głowę Renatina nieruchomo, zwolnił uchwyt dopiero wtedy, gdy pierwszy kawałek stolca spadł leżącemu chłopcu na twarz, i zrobił to tylko dlatego, że nie chciał się pobrudzić. Uwięziony chłopiec zaczął energicznie poruszać głową na prawo i lewo, jakby oszalał, starając się zrzucić z siebie kupę, która przykleiła się między jego nosem a górną wargą. W końcu mu się to udało i znowu zaczął wykrzykiwać to swoje rozpaczliwe „Ooo!”.

– Chłopaki, wychodzi druga porcja. Trzymajcie go!

– O kurde, Nicolas, nieźle sobie pojadłeś!

Dragonbol znowu unieruchomił głowę Renatina tym samym pielęgniarzkim, pozornie opiekuńczym gestem.

– Wy świnię! Ooo!! Ooo!! Skurwysyny!!

Renatino krzyczał bezradnie, ale przestał, gdy tylko zobaczył, że z odbytu Nicolasa znowu wychodzi kupa. Owłosiona czarna dziura zwężała się w pewnym momencie, powodując przerwanie węzowatego ekskrementu, który spadł w dwóch kawałkach.

– Uważaj, Nicolas! O mało mnie nie trafiłeś.

– Może i ty chcesz, Dragonbol, trochę tiramisu z gówna?

Teraz kupa spadła na oczy Renatina. Poczł, że ręce Dragonbola zwalniają uchwyt, zaczął więc znowu poruszać gwałtownie głową w prawo i lewo, aż dostał mdłości. Nicolas chwycił kawałek jego koszulki i dokładnie, bez pośpiechu oczyścił nią sobie siedzenie.

Zostawili go.

– Powiem ci coś, Renatino. Powinieneś podziękować mojej matce. A wiesz czemu? Bo mnie dobrze karmi. Gdyby gotowała jak twoja, miałbym sraczkę i gówno obryzgałoby cię jak z prysznicą.

Roześmiali się głośno, jeden głośniej od drugiego, do utraty tchu. Ośli ryk Lucignola, typowy dla młodych chłopców, którzy śmieją się w grupie, rechot prostacki i arogancki, śmiech trochę wymuszony, na

pokaz, żeby nie odstawać od innych, żeby przypodobać się szefowi.

Zdjęli Renatinowi łańcuch z nóg, uwolnili go od kajdanek.

– Możesz je sobie zatrzymać. To prezent.

Renatino usiadł, ściskając w rękach kajdanki obszyte sztucznym futerkiem. Świadkowie widowiska zaczęli opuszczać plac. Pokrzykując do siebie, wskakiwali na skutery i ruszali z miejsca od razu na pełnym gazie. Przypominali brzęczące chrząszcze, przyśpieszali bez powodu i zaraz hamowali gwałtownie, żeby na siebie nie powpadać. Zniknęli błyskawicznie. Najdłużej na Renatinie zatrzymał spojrzenie Nicolas, wbijając w niego oczy jak czarne szpile. Ruch powietrza zwichrzył jego jasne włosy, które jak już zdecydował, wcześniej czy później obetnie sobie na zero. Potem skuter, na którym jechał jako pasażer, się oddalił, chwilę później widać było już tylko ciemne sylwetki.

Nowy Maharadża

Forcella to historyczna materia i żywy organizm, pobrużdżony wąskimi zaułkami jak twarz wystawiona przez długie lata na działanie wiatru.

Forcella, czyli dwuzębne widły. Długa rozwidlona ulica o wiadomym początku, ale nieprzewidywalnym końcu. Ulica – symbol śmierci i zmartwychwstania. Wita ogromną podobizną św. Januarego, namalowaną na murze jednego z domów, z którego święty patrzy na przechodniów rozumnym spojrzeniem i przypomina im, że nigdy nie jest za późno, by podźwignąć się po upadku i wrócić do życia, że zniszczenie, podobnie jak lawa, może się zatrzymać.

Forcella to żywa historia wciąż nowych początków. Miasto nowe wyrosłe na starym. Miasto stare, choć dopiero co wyrosłe. W Forcelli kamienice są ze sobą sklezione, balkony współżyją, dosłownie, namiętnie, nawet jeżeli rozdziela je ulica. Nie łączą ich sznury do suszenia prania, ale rzadko milknące głosy utwierdzające się wzajemnie w pewności, że pod nimi jest nie asfalt, lecz rzeka, której brzegi łączą niewidzialne mosty.

Za każdym razem, gdy Nicolas przechodził w Forcelli przed Cippo, ogarniało go to samo uczucie radości. Przypominał sobie, jak dwa lata wcześniej – choć wydawało się, że od tamtego czasu minęły całe wieki – ukradli z kolegami w galerii handlowej Umberto I choinkę świąteczną ustrojoną w świecące bombki i postawili ją w tym właśnie miejscu. Wyglądała przepięknie, mimo że bombki już nie świeciły, bo nie były podłączone do prądu. Właśnie wtedy zwrócił na siebie uwagę Letizii, która na dzień przed Wigilią, wyszedłszy rano z domu i skręciwszy za róg ulicy, zobaczyła wierzchołek drzewa, całkiem jakby znalazła się w jednej z tych bajek, w których z włożonego

wieczorem do ziemi nasionka w ciągu nocy wyrasta drzewo i w pierwszych promieniach wschodzącego słońca sięga nieba. Tamtego dnia Letizia po raz pierwszy go pocałowała.

Po choinkę poszli w nocy, całą bandą. Wymknęli się z domu, gdy tylko rodzice zniknęli za drzwiami sypialni. Potem nieśli ją w dziesięciu, złani potem, na swoich jeszcze wątych chłopięcych ramionach, przeklinając półgłosem, żeby nie robić hałasu. Przywiązali drzewo do skuterów. Nicolas i Briatore z Żetakpowiem i Ząbkim jechali wolno przodem, inni trzymali pień nad ziemią. Padał ulewny deszcz, z trudem omijali kałuże i przepawali się przez strumienie wody wymiotowane przez studzienki. Wszyscy chłopcy od dawna jeździli na skuterach, choć niektórzy jeszcze teraz byli za młodzi, żeby mieć prawo jazdy. Jak mówili – urodzili się z tą umiejętnością i radzili sobie lepiej niż wielu starszych. Tej nocy jednak było im bardzo trudno transportować niewymiarowy ładunek po zalanych wodą ulicach. Musieli zatrzymać się kilka razy, żeby poprawić wiązania sznurów, ale w końcu dopięli swego. Postawili choinkę w samym centrum dzielnicy, między domami, między ludźmi. Tam, gdzie powinna stać. Po południu policja ją stamtąd zabrała, ale to już nie miało znaczenia. Akcja się udała.

Nicolas z uśmiechem minął Cippo i zaparkował pod domem Letizii. Chciał zabrać ją z sobą do lokalu. Ale Letizia zdążyła już zobaczyć wpisy na Facebooku, zdjęcia Renatina z kupą na twarzy, tweety kolegów informujące o jego upokorzeniu. Letizia знаła Renatina i wiedziała, że mu się podoba. Zawinił tylko tym, że po tym, jak przyjął go do grona znajomych, zamieścił lajki pod niektórymi jej zdjęciami. Nicolas uznał, że takich rzeczy nie puszcza się płazem.

Nie zadzwonił domofonem. Domofonu używają tylko obcy, listonosz, policja, ratownik z karetki pogotowia albo strażacy. Kiedy drzwi ma otworzyć dziewczyna, matka, ojciec, kolega albo zaprzyjaźniona sąsiadka, woła się z ulicy. Okna są zawsze otwarte, wszystko słyhać. A jeżeli nie słyhać, to znak, że stało się coś złego.

Nicolas zawołał z dołu na całe gardło:

– Letizia! Letizia!

Okno pokoju Letizii nie wychodziło na ulicę, tylko na małe, ciemne podwórko. Nicolas kierował głos ku oknu oświetlającemu podest z drzwiami do kilku mieszkań. Kto wchodził akurat po schodach i słyszał wołanie z ulicy, pukał do właściwych drzwi i nie czekając na reakcję, szedł dalej. To był sygnał: Wołają cię. Kiedy Letizia, otwarłszy drzwi, nie zastawała nikogo, wiedziała, że ktoś czeka na nią na ulicy. Ale tego dnia Nicolas wołał tak głośno, że usłyszała go nawet w swoim pokoju. Wychyliła się z okna na podeście i krzyknęła:

– Wynoś się! Nigdzie z tobą nie pójde.

– Schodź, pośpiesz się.

– Nie, nie zejde.

W Forcelli tak już jest. Wszyscy wiedzą, kto się z kim pokłócił. Nie może być inaczej. Wyrzuty, wyzwiska, pretensje dudnią między kamiennymi murami przyzwyczajonych do kłótni zakochanych wąskich zaułków.

– Co ci zrobił Renatino?

Nicolas nie krył zadowolenia z faktu, że wieści do niej dotarły.

– Już wiesz?

Właściwie to mu wystarczyło. Najważniejsze, że Letizia tak szybko dowiedziała się o incydencie. Wielkie czyny wojowników są błyskawicznie przekazywane z ust do ust i zostają po nich legendy. Mógł być pewny, że opowieści o jego postępku jeszcze długo będą odbijać się echem między murami z odrapanym tynkiem, balkonami, rynnami i wyżej, między antenami i kominami na dachach. Kiedy patrzył na opartą o parapet okna Letizję z wilgotnymi po kąpieli, jeszcze bardziej skręconymi niż zwykle włosami, usłyszał sygnał esemesa. Przyszła wiadomość od Agostina, enigmatyczna i pilna.

Na tym więc skończyła się wymiana zdań między dwojgiem zakochanych. Letizia zobaczyła tylko, jak Nicolas wskakuje na skuter i startuje na pełnym gazie. Współczesny Minotaur – pół człowiek, pół pojazd kołowy. Dla takich jak on nie ma w Neapolu zakazów wyprzedzania, jednokierunkowych ulic, szlabanów, stref dla pieszych.

Nicolas kierował się do Nowego Maharadży, lokalu w dzielnicy Posillipo, gdzie miał się spotkać z kolegami. Nowy Maharadża to imponujący lokal z dużym tarasem, skąd rozciąga się widok na Zatokę Neapolitańską. Już sam taras był gwarancją powodzenia, wynajmowano go na przyjęcia weselne, komunijne i inne uroczystości. Nicolasa od dziecka urzekła ta budowla, wyrastająca ze skały w dzielnicy Posillipo. Była w całości biała, łącznie z drzwiami, oknami, a nawet żaluzjami, i stała na nabrzeżnych głazach jak niezwyciężona forteca. Zdawała się patrzeć wyniośle na morze, podobna do greckiej świątyni dzięki białym kolumnom wynurzającym się z wody. Na nich opierał się taras, gdzie, jak zawsze sobie wyobrażał, spędzali czas tacy ludzie, do jakich chciał się upodobnić.

Nicolas przez całe życie przechodził obok tego budynku, widział zaparkowane przed nim drogie samochody, obserwował eleganckie kobiety i mężczyzn obnoszących się z zamożnością. Obiecywał sobie, że i on stanie się kiedyś jego bywalcem. Za wszelką cenę. Stało się to jego marzeniem, obsesją, którą zaraził najbliższych kolegów. Z tego powodu zaczęli go nazywać Maharadżą. Pragnął wejść do tego pięknego lokalu nie w uniformie kelnera i nie z czyjejś łaski, tak tylko, żeby móc zobaczyć, jak jest w środku. Nicolas i inni chłopcy chcieli być jego stałymi klientami, i to z tych najbardziej szanowanych. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim będzie go stać na spędzenie całego wieczoru w restauracji. Co musiałby zrobić, żeby stało się to możliwe? Ma oszczędzać przez dziesięć lat? Starać się wygrać jakiś konkurs albo czekać, aż uśmiechnie się do niego szczęście? Zarobki ojca, nauczyciela wuefu, i matki, która prowadzi małą pralnię, w tym nie pomogą. Jeżeli chce zrealizować marzenia, poruszając się tymi samymi ścieżkami co jego bliscy, zajmie mu to mnóstwo czasu. Nie, on musi wejść do Nowego Maharadży teraz. W wieku piętnastu lat.

Okazało się, że to wcale nie takie trudne. Tak samo jak podejmowanie decyzji, z których potem nie można się wycofać. Ten paradoks pojawia się niezależnie od wieku: decyzje odwracalne, które można jeszcze zmienić, podejmuje się po dłuższym namyśle, po

rozważeniu wszystkich „za” i „przeciw”. Wyborów nieodwracalnych natomiast dokonuje się w jednej chwili, kierując się najczęściej emocjami.

Nicolas prowadził takie samo życie jak jego rówieśnicy: popołudnia spędzał przed szkołą, zawsze ze skuterem w zasięgu ręki, robił sobie dziesiątki selfie, miał obsesję na punkcie butów sportowych, bez których prawdopodobnie nie czułby się w pełni człowiekiem.

A potem, w ciągu jednego dnia, wszystko się zmieniło.

Zaczął się kilka miesięcy wcześniej, jeszcze we wrześniu, kiedy Agostino rozmawiał z Copacabana, jednym z bossów rodziny Striano z Forcelli.

Nie przypadkiem Copacabana zagadnął właśnie Agostino. Byli spokrewnieni, ojciec chłopca był kuzynem Copacabany pierwszego stopnia. Zaraz po zakończeniu lekcji w szkole Agostino pobiegł do kolegów. Miał wypieki w kolorze podobnym do jego włosów. Z daleka wyglądał, jakby płonął od szyi w górę, i właśnie stąd wziął się jego przydomek – Zapałka. Zdyszany głosem zreferował kolegom całą rozmowę, słowo po słowie. Nigdy już nie mieli zapomnieć tej chwili.

– Ale czy czaicie, o kim mówię?!

Koledzy niewiele wiedzieli o jego rozmówcy, znali tylko ze słyszenia jego ksywę.

– Co-pa-ca-ba-na! – wyskandował Agostino. – To *capozona*! Rządzi na tym kawałku terenu klanu Striano! Powiedział, że potrzebuje do pomocy takich chłopaków jak my. I że dobrze zapłaci.

Żadnego z nich ta nowina zbyt nie rozpałała. Ani dla Nicolasa, ani dla jego kolegów kryminaliści nie byli idolami, jak dla chłopaków w ich wieku jeszcze kilkanaście lat wcześniej. Nie obchodziło ich, w jaki sposób ludzie zarabiają pieniądze. Ważne, żeby je mieć i to pokazywać, posiadać luksusowe samochody, piękne ubrania i zegarki, być obiektem pożądania kobiet i zazdrości mężczyzn.

Tylko Agostino znał historię Copacabany. Swój przydomek zyskał po tym, jak kupił hotel na południowoamerykańskim wybrzeżu. Brazylijska żona, brazylijskie dzieci, brazylijskie narkotyki.

Szczególną sławę przyniosły mu zdjęcia, które zamieszczał na Facebooku: Maradona, George Clooney, Lady Gaga, Drake – wszyscy podobno gościli w jego hotelu. Był najlepiej prosperującym członkiem klanu Striano, który ostatnio borykał się z poważnymi kłopotami. Przez ostatnie trzy lata, od aresztowania don Feliciano Striano nazywanego Szlachcicem, był jedynym bossem w Forcelli.

Z procesu przeciwko rodzinie Striano wyszedł prawie bez uszczerbku. Większość zarzutów przedstawionych członkom klanu dotyczyła czasów, gdy Copacabana mieszkał w Brazylii, udało mu się więc uniknąć oskarżenia o przynależenie do związku przestępczego o charakterze mafijnym, najcięższego dla takich jak on i jemu podobnych. Proces odbył się przed sądem pierwszej instancji. Prokurator z pewnością zamierzał złożyć apelację, tak więc Copacabana paliła się ziemia pod nogami. Zależało mu na przyciągnięciu nowych sił, młodych chłopców, którym mógłby powierzyć niektóre zadania, i pokazaniu komu trzeba, że wciąż się liczy w biznesie. Chłopcy, których miał do swojej dyspozycji, Kudłacze – jak sami siebie nazywali – byli sprawni, ale nieprzewidywalni. Tak to już jest, kiedy ktoś zajdzie zbyt wysoko albo przynajmniej tak mu się wydaje. White, szef paranzы Kudłaczy, trzymał ich w ryzach, tyle tylko, że sam za dużo wciągał. Kudłacze potrafili dobrze strzelać, ale Copacabana nie powierzyłby im punktu sprzedaży narkotyków. Na nowy początek przydałby się materiał łatwiejszy w sterowaniu. Skąd go wziąć? I ile to będzie kosztować? Ile pieniędzy musi mieć do dyspozycji? Gdyby Copacabana sprzedał choć część hotelu w Ameryce Południowej, mógłby wypłacać miesięczne pensje nawet pięćdziesięciu osobom, ale to były jego prywatne pieniądze. Interesy klanu nie mają nic wspólnego z prywatnym majątkiem członków. Żeby zainwestować w biznes, potrzebne są pieniądze klanu, a tych brakowało. Forcella znajdowała się teraz w centrum zainteresowania prokuratury, stacji telewizyjnych, a nawet polityków. Ciężkie czasy. Copacabana musiał wszystko odbudować praktycznie od nowa, w Forcelli nie było teraz nikogo, z kim mógłby prowadzić interesy.

Organizacja eksplodowała.

Zagadnął Agostina pod szkołą. Bez wstępów podstawił mu pod nos paczkę haszyszu i zapytał:

– Ile by ci zajęło rozprowadzenie takiej cegiełki?

Rozprowadzenie towaru to pierwszy krok do kariery diler, ale żeby w pełni zasłużyć sobie na to stanowisko, trzeba przebyć długą drogę. „Rozprowadza się” wśród kolegów, krewnych, wśród znajomych. Zarabia się przy tym mało, ale i niewiele ryzykuje.

Agostino rzucił na próbę:

– Może miesiąc?

– Miesiąc?! Pozbędziesz się tego w ciągu tygodnia!

Agostino właśnie wszedł w wiek, w którym można legalnie prowadzić skuter, co dla Copacabany było podstawą.

– Przyprowadź kolegów, którzy chcieliby trochę popracować. Kolegów z Forcelli, tych, z którymi widzę cię zawsze, gdy wystajecie pod lokalem w Posillipo. Wystarczy tego drapania się po jajach!

I tak się to wszystko zaczęło. Copacabana umawiał się z nimi w kamienicy na obrzeżach Forcelli, ale sam nigdy się tam nie pojawiał. Posyłał w zastępstwie swojego człowieka, który z racji podobieństwa do Alvara Vitali nosił przydomek Alvaro. Miał koło pięćdziesiątki, choć wyglądał starzej, był bardzo wygadany, ale bez wykształcenia, prawie analfabeta. Spędził więcej lat w więzieniu niż na wolności. Siedział we wczesnej młodości, w czasach bossa Cutolo i Nowej Rodziny, siedział w czasach faidy między kartelami dzielnic Sanità i Forcella i krwawych porachunków między klanami Mocerino i Striano. Dostawał pieniądze za przechowywanie broni i za stanie na czatach. Mieszkał z matką w jednopokojowym mieszkaniu z wyjściem prosto na ulicę, nigdy nie awansował w hierarchii klanu. Płacono mu grosze i od czasu do czasu posyłano do niego prostytutki pochodzące z Europy Wschodniej. Matka musiała wtedy wychodzić do sąsiadów. Copacabana miał do Alvara zaufanie i był zadowolony z jego pracy. Kazał mu się wozić swoim samochodem i przekazywać paczki z narkotykami kolegom Agostina.

Alvaro pokazał im miejsce, w którym przechowywali towar. Było to mieszkanie na ostatnim piętrze starej kamienicy, handlować mieli w bramie na dole. W Forcelli nie istniały, tak jak w Scampii, zapory ani inne przeszkody, żeby ułatwić dilerkę, nie było niczego w tym rodzaju. Copacabanie odpowiadał taki swobodny handel bez osłony. Zadanie chłopców było proste. Mieli być na miejscu przed pojawieniem się pierwszych klientów, żeby pod okiem Alvara podzielić towar nożem na działki różnej wielkości, po dziesięć, piętnaście, pięćdziesiąt. Potem pakowali porcje haszyszu w folię aluminiową, a trawkę do małych torebek. Klienci zgłaszali się po towar, wchodzili lub wjeżdżali na skuterach do bramy, płacili i znikali. Nie musieli się niczego obawiać, bo Forcella była chroniona przez czujki opłacane przez Copacabanę oraz przez jej zwykłych mieszkańców, którzy na widok policjantów i karabinierów, także w cywilu, natychmiast ostrzegali kogo trzeba.

Chłopcy zajmowali się tym po lekcjach, ale często w ogóle nie szli do szkoły. Pracowali na akord i te pięćdziesiąt czy sto euro na tydzień stanowiło dużą różnicę. Pieniądze wydawali od razu w sklepie Foot Locker. Zachowywali się w nim, jakby chcieli opróżnić go ze wszystkiego. Wchodzili zwartym szykiem, budząc obawę, że zamierzają zdemolować lokal, po czym zaraz za progiem każdy szedł w inną stronę. Ściągali z półek po dziesięć, piętnaście koszulek. Tukan zakładał jedną na drugą. *Just Do It*. Adidas. Nike. Napisy znikwały, zastępowane innymi. Przy którejś wizycie Nicolas wziął od razu trzy pary butów Air Jordan. Wysokie aż do łydki, białe, czarne, czerwone... Ważne, że był na nich Michael pakujący jedną ręką piłkę do kosza. Briatore też skoncentrował się na butach koszykarskich. Podobały mu się zielone z podeszwą fluo, ale jak tylko wziął je do ręki, Lollipop zapytał z niedowierzaniem:

– Zielone? Co ty, jesteś pedziem?

Briatore natychmiast je odłożył. Rzucił się na bluzy do baseballa: Yankees i Red Sox. Po pięć każdej drużyny.

Z czasem wszyscy chłopcy, którzy spotykali się pod Nowym

Maharadżą, zaczęli rozprowadzać narkotyki. Najdłużej opierał się Ząbek, wytrzymał dwa miesiące, ale potem i on zaczął sprzedawać towar na budowie, gdzie pracował. Lollipop rozprowadzał trawkę na siłowni. Briatore też pracował dla Copacabany, ale on zawsze robił wszystko, co robił Nicolas.

Rynek nie był tak duży jak w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Najpierw przejęło go prawie w całości Secondigliano, potem klienci oddalili się od Neapolu, do Melito. Ale teraz wracali do najstarszej części miasta.

Alvaro płacił chłopcom raz w tygodniu. Kto rozprowadził więcej towaru, dostawał więcej pieniędzy. Udawało im się zawsze zarobić ekstra na jakimś małym oszustwie, kroili sztabki na mniejsze porcje albo naciągali co bogatszych frajerów. Ale nigdy w Forcelli. Tutaj ceny były stałe, a porcje zawsze ważyły tyle samo. Nicolas rzadko miał normalne dyżury w bramie, zwykle rozprowadzał towar na imprezach albo wśród uczniów ze szkoły, w której pracował ojciec. Pierwsze duże pieniądze zarobił podczas strajku okupacyjnego w swojej szkole, w liceum plastycznym. Zaczął od rozdawania narkotyków wszystkim chętnym, w klasach bez nauczycieli, w szatni sali gimnastycznej, na korytarzach, na schodach, w ubikacjach. Wszędzie. Potem każdego dnia strajku podnosił ceny. Problem w tym, że przy okazji musiał też uczestniczyć w dyskusjach politycznych. Wdał się nawet kiedyś w bójkę, bo podczas jednego z zebrań powiedział:

– Dla mnie Mussolini był człowiekiem poważnym i godnym szacunku, wszyscy, którzy budzą w ludziach respekt, to poważni ludzie. Podoba mi się też Che Guevara.

– Nie masz prawa nawet wypowiadać jego imienia. – Chłopak z długimi włosami, w rozpiętej koszuli, wystąpił spośród innych. Szczepili się z sobą, trochę potarmosili, ale Nicolasa właściwie nie obchodził ten lalusz z ulicy dei Mille, nawet nie chodzili do tej samej szkoły. Co też ten maminsynek mógł wiedzieć o respekcie? Jeżeli jesteś z ulicy dei Mille, respekt masz gwarantowany od urodzenia. Jeżeli

jesteś z Forcelli, musisz go sobie wywalczyć. Chłopak z długimi włosami mówił o kategoriach moralnych, ale dla Nicolasa to niewiele znaczyło, zresztą o Mussolinim tak naprawdę wiedział niewiele, znał go ze zdjęć i kilku filmów dokumentalnych. Uderzył więc lalusia czołem w nos, tak tylko, żeby mu uświadomić, że kategorie moralne nigdy nie miały racji bytu. Dobry, zły, uczciwy, nieuczciwy... Wszyscy byli i są tacy sami. Nicolas zamieścił ich na swojej tablicy na Facebooku, wszystkich razem: Mussoliniego, kiedy przemawia z okna, króla Galów klęczącego przed Juliuszem Cezarem, Muhammada Alego ubliżającego na ringu znokautowanemu przeciwnikowi. Silni i słabi – oto jedyne rozróżnienie. Nicolas wiedział, do których chce należeć.

W szkole, w tym swoim prywatnym punkcie dilerskim, poznał Śniętą Rybę. Był wśród chłopaków, z którymi palił skręty, i od razu go zaintrygował.

– Widziałem cię przed Nowym Maharadżą!

– Tak? A co tam robiłeś? – zapytał Nicolas.

– Też tam bywam – odparł i zaraz zaproponował: – Posłuchaj tylko tej muzy.

W ten sposób Nicolas, który dotąd słuchał tylko włoskiego popu, zanurzył się w amerykański hip-hop, ten najtwardszy, rozwścieczony, w którym z zalewu niezrozumiałych, wypluwanych ze złością słów wybija się powtarzane co chwilę *fuck*, jakby służyło podkreśleniu rytmu.

Nicolasowi spodobał się ten chłopak. Był arogancki, ale jemu okazywał respekt. Dlatego po zakończeniu strajku dał mu trochę towaru do rozprowadzenia w szkole i choć Śnięta Ryba nie mieszkał w Forcelli, zaproponował mu pracę w bramie.

Wcześniej czy później musieli wpaść. To było nie do uniknięcia. Do obławy doszło krótko przed Bożym Narodzeniem. Dyżur pełnił wtedy Agostino, Nicolas dochodził właśnie do bramy, żeby go zmienić, i niczego nie zauważył. Chłopak postawiony na czatach też nie zareagował dość szybko. Policjanci odwrócili ich uwagę, udając, że

kontrolują przejeżdżający samochód, i spadli na nich z nienacką, tak że nie zdążyli pozbyć się towaru.

Ojca Nicolasa wezwano na komisariat. Kiedy wszedł, stanął przed synem i patrzył na niego w milczeniu pustym wzrokiem, który dopiero po chwili zaczął zabarwiać się gniewem. Nicolas długo trzymał oczy spuszczone, a kiedy wreszcie zdecydował się je podnieść, nie było w nich nawet cienia pokory. Ojciec uderzył go dwa razy w twarz, silnie, z prawej i lewej strony, ruchem wytrenowanego tenisisty. Nicolas nie powiedział ani słowa, oczy wypełniły mu się łzami. Z bólu, a nie ze wstydu czy przykrości.

Dopiero w tej chwili do komisariatu wpadła jak burza matka chłopca. Wypełniła sobą całe wejście, trzymając się obiema rękami futryny. Wyglądało to tak, jakby miała na swoich barkach cały komisariat. Mąż usunął się na bok, zostawiając żonie wolną scenę. Matka to wykorzystała. Zbliżyła się do Nicolasa powoli, ruchem dzikiej bestii. Kiedy znalazła się już przy nim, wydawało się, że chce go przytulić, zamiast tego jednak wysyczała mu do ucha:

– Jaki wstyd! Wstyd! – I zaraz zaczęła pytać: – Z kim ty się zadajesz? No z kim?

Mąż słyszał, co powiedziała, ale zdawał się nie rozumieć. Nicolas cofnął się gwałtownym ruchem, wtedy ojciec rzucił się do niego i przycisnął do ściany:

– Ty łachudro! Jesteś dilerem?! Jak to możliwe?!

– Jaki diler?! Żaden diler! – zareagowała matka, odciągając ojca. – Jeden wielki wstyd!

– A ty myślałaś, że skąd się wzięło w mojej szafie pół magazynu Foot Lockera? – nie wytrzymał Nicolas. – Z napiwków na stacji benzynowej w sobotę i niedzielę?

– Kretyn! Teraz wezmą cię do więzienia – powiedziała matka.

– Jakiego więzienia?! – zaprotestował chłopak, za co natychmiast dostał od niej w twarz. Nie tak mocno jak od ojca, ale równie precyzyjnie i z głośniejszym plaśnięciem.

– Zamknij się! Na razie posiedzisz w domu. Będziesz wychodzić

tylko pod kontrolą – zapowiedziała matka i zaraz zwróciła się do męża: – Nie chcę słyszeć o żadnych dilerach! Ani teraz, ani nigdy więcej. Załatwiamy, co tu jest do załatwienia, i idziemy do domu.

– Niech to wszystko szlag trafi – burknął ojciec. – Teraz będę musiał na dodatek jeszcze płacić adwokatom!

Nicolas szedł do domu między rodzicami jak w obstawie karabinierów. Ojciec patrzył prosto przed siebie, myślał o młodszym synu, Christianie, który razem z Letizią czekał na nich w domu. Niech się dobrze przyjrzą temu gagatkowi, niech widzą, jak to się kończy. Matka natomiast miała spuszczone oczy, trzymała się blisko syna.

Na widok starszego brata w drzwiach mieszkania Christian natychmiast wyłączył telewizor i podbiegł do niego w trzech susach, żeby się z nim przywitać tak, jak to widział w filmach: podając mu najpierw rękę, potem uderzając ramieniem o ramię, a na koniec barkiem o bark. Jak dwaj bracia. Ale ojciec spiorunował go wzrokiem, unosząc przy tym wysoko brodę. Nicolas bardzo się starał powstrzymać od śmiechu na widok reakcji tego smarkacza, dla którego był prawdziwym idolem. Pomyślał, że wieczorem przed snem będzie musiał zaspokoić jego ciekawość i opowiedzieć mu o wszystkim. A kiedy już skończy, późną nocą zwichrzy mu krótko obcięte włosy, tak jak to robił każdego wieczoru na dobranoc.

Letizia też miała ochotę podbiec do Nicolasa, objąć go i zapytać, jak to się stało. Wiedziała, że Nicolas rozprowadza narkotyki. Łańcuszek, który podarował jej na urodziny, na pewno sporo kosztował. Ale nie myślała, że sytuacja jest aż tak poważna. Chociaż właściwie nic wielkiego się nie stało.

Następnego dnia spędziła całe popołudnie na smarowaniu warg i policzków swojego chłopca niveą. Mówiła, że dzięki temu opuchlizna szybko zniknie. Takie czułości i objawy troski zaczęły ich coraz bardziej do siebie zbliżać. Nicolas miał na nią straszną ochotę, najchętniej schrupałby ją w całości. Mówił jej czasem: „Czuję się jak wampir ze *Zmierzchu!*”. Ale dziewictwo Letizii było poważną sprawą. Ograniczali się więc do pocałunków i przytulaniek, i do słuchania

godzinami muzyki przez wspólne słuchawki.

Wszystkich chłopców odesłano z komisariatu do domu; mieli odpowiadać za swoje przewinienia z wolnej stopy, także Agostino, który najwięcej ryzykował, bo został złapany na gorącym uczynku. Przez następne dni starali się odtworzyć w pamięci, co do siebie pisali w esemesach i o czym czatowali, ponieważ policja skonfiskowała im telefony. Rozwiązanie problemu okazało się proste: winę wziął na siebie Alvaro. Copacabana postarał się, żeby na niego doniesiono, karabinierzy znaleźli w jego mieszkaniu cały towar. Alvaro zgodził się zeznać, że to on polecił chłopcom rozprościć narkotyki. Kiedy Copacabana oznajmił mu, że będzie musiał posiedzieć trochę w więzieniu, jęknął tylko: „O nie! Znowu?” i już nic więcej na ten temat nie powiedział. Copacabana obiecał, że dostanie za to co miesiąc tysiąc euro. A zanim zamkną go w Poggioreale, ma gwarantowaną noc z dziewczyną z Rumunii. Alvaro zapytał, czy nie mógłby się z nią ożenić, na co Copacabana odparł:

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Tymczasem chłopcy zaopatrzyli się w nowe smartfony – sprzęt niedrogi, bo kradziony – żeby jak najszybciej móc się z sobą kontaktować. Uzgodnili, że nie będą komentować na czacie tego, co się wydarzyło. Wszystkim chodziło po głowie to, co Żetakpowiem ubrał w słowa:

– Wcześniej czy później i tak trafimy do Nisidy. Może byłoby lepiej, gdybyśmy trafili tam już teraz.

Każdy z nich przynajmniej raz w życiu wyobrażał sobie, że wiozą go w karetce policyjnej do więzienia dla nieletnich na wyspie Nisida, że przejeżdża po moście łączącym ją z lądem. I jak wraca stamtąd po roku. Zmieniony. Gotowy. Dorosły.

Niektórzy uważali, że to nieuniknione, a nawet potrzebne, że dobrze byłoby dać się złapać na jakimś lżejszym przestępstwie. Po wyjściu będą mieli przed sobą jeszcze dużo czasu. Ale zgodnie z umową wszyscy trzymali język za zębami i w rozmowach na czacie nikt nie znalazłby dowodów na ich udział w przestępstwie. W ten

sposób Nicolas i Agostino zasłużyli sobie na zaproszenie przez Copacabanę do Nowego Maharadży. Ale Nicolas chciał czegoś więcej – chciał osobiście poznać capozonę. Agostino znalazł w sobie dość odwagi, żeby go o to poprosić.

– Jasne! Chętnie poznam moje dzieciaki – odpowiedział. I tak Nicolas i Agostino weszli do Nowego Maharadży w towarzystwie Copacabany.

Nicolas widział go po raz pierwszy w życiu. Wyobrażał go sobie jako mężczyznę w zaawansowanym wieku, tymczasem *capozona* klanu Striano dopiero co przekroczył czterdziestkę. Gdy jechali samochodem do lokalu, Copacabana mówił, że jest bardzo zadowolony z ich pracy. Traktował ich jak swoich prywatnych kurierów, ale zwracał się do nich uprzejmie i z szacunkiem. Zresztą Nicolas i Agostino i tak nie koncentrowali się na formach, byli bardzo podekscytowani tym, co czekało ich tego wieczoru.

– Jak tam jest? Jak jest w środku? – dopytywali się.

– Jak w każdym lokalu – odpowiedział Copacabana, ale oni dokładnie wiedzieli, jak wygląda wnętrze Nowego Maharadży. Nieraz oglądali na YouTube imprezy, które się tam odbywały. Pytali raczej o to, jak człowiek się czuje, kiedy jest w środku, kiedy siedzi w zarezerwowanym saloniku, kiedy znajduje się w świetle Nowego Maharadży. Chcieli wiedzieć, jak to jest, kiedy należy się do tego świata.

Copacabana wprowadził ich do środka bocznym wejściem i poszedł z nimi do małego saloniku, zarezerwowanego tylko dla niego. Chłopcy starannie przygotowali się do tego wieczoru, pochwalili się zaproszeniem wszystkim, rodzicom i kolegom, zadbali o wygląd, jakby mieli zostać przedstawieni na królewskim dworze. W jakimś sensie tak właśnie było. Spotykał się tutaj cały Neapol, który się liczył. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, wystrój lokalu nie był kiczowaty. Dekoratorom udało się znaleźć elegancką równowagę między miejscową tradycją, z charakterystycznymi kafelkami w pastelowych barwach, a żartobliwą interpretacją Dalekiego Wschodu. Swą nazwę lokal zawdzięczał powieszonemu w centralnym

miejscu ogromnemu portretowi hinduskiego maharadży. Obraz został przywieziony z Indii, namalował go pewien Anglik, który później osiedlił się na stałe w Neapolu. Wąsy, wykrój oczu, broda, jedwabny strój, miękka sofa, tarcza z kamieniami szlachetnymi i półksiężyc skierowany na północ. Patrząc na ten imponujący malunek, Nicolas poczuł się, jakby jego życie zaczęło się dopiero w tej chwili.

Przez cały wieczór chłopcy obserwowali gości lokalu, co jakiś czas dobiegał do nich dźwięk odkorkowywanych butelek szampana. Przychodzili tu wszyscy. Było to miejsce, gdzie przedsiębiorcy, sportowcy, notariusze, adwokaci, sędziowie mogli mieć pewność, że zawsze znajdą stolik, przy którym będą mogli porozmawiać, oraz kryształowe kieliszki, by uczcić szampanem załatwione interesy. Miejsce bardzo dalekie od tanich pizzerii i restauracji polecanych przez znajomych, gdzie chodzi się z rodziną i zamawia pizzę albo tradycyjne małże z pieprzem. W Nowym Maharadży można było spotkać każdego, bez potrzeby tłumaczenia się ze swojej obecności w tym miejscu, tak samo jak kiedy spotyka się kogoś na ulicy. Poza tym w Nowym Maharadży można było w naturalny sposób zawierać nowe znajomości.

Copacabana nie przestawał mówić, a w głowie Nicolasa oglądane właśnie sceny z szykownie ubranymi gośćmi przy stolikach i z wyszukanymi potrawami walczyły o pierwszeństwo z wyobrazeniami wywołanymi egzotycznym słowem „Lazarat”.

Od jakiegoś czasu prawdziwym hitem na rynku stały się konopie z Albanii. Copacabana prowadził dwa interesy: legalny w Rio de Janeiro i nielegalny w Tiranie.

– Musisz mnie tam kiedyś ze sobą zabrać – powiedział Agostino, wyciągając rękę po kolejny kieliszek wina.

– Chłopaki, to największa plantacja konopi na świecie! Zielsko rośnie wszędzie. – Copacabana mówił o Lazaracie, gdzie produkuje się setki ton narkotyków rocznie. Chwalił się, że dokonuje tam imponujących zakupów, ale nie powiedział, w jaki sposób szmugluje towar z Albanii do Włoch. Drogi morskie i powietrzne nie były

bezpieczne, wysyłał go więc drogą naziemną przez Czarnogórę, Chorwację i Słowenię, granicę pokonywał we Friuli. Copacabana opowiadał w bardzo chaotyczny sposób. Agostino szybko się znudził i co jakiś czas tracił wątek. Za to Nicolas chłonał każde słowo, mógłby słuchać Copacabany bez końca.

Każdy transport z Albanii dawał ogromne zarobki, gdy pieniądze zaczęły płynąć jak wezbrana rzeka, trudno było to ukryć. Kilka tygodni po spotkaniu w Nowym Maharadży złapano jednego z przemytników pracujących dla Copacabany, pisały o tym wszystkie gazety. Antymafia wszczęła dochodzenie i wydała nakaz aresztowania Copacabany, któremu nie pozostało nic innego, jak zacząć się ukrywać. Zniknął, być może wyjechał do Albanii albo udało mu się przedostać do Brazylii. W każdym razie nie widziano go przez kilka miesięcy. Na narkotykowym rynku Forcelli wkrótce zabrakło towaru.

Agostino próbował coś zorganizować, ale bez Copacabany, od którego nie było żadnych wiadomości, i bez odsiadującego wyrok w więzieniu Alvara okazało się to niemożliwe.

– Ale chłopaki z paranzы White’a ciągle pracują! Dam sobie głowę uciąć, że mają dostęp do towaru – mówił Lollipop.

Nicolas i jego chłopcy nie wiedzieli, skąd brać towar, jak nim handlować, jak zorganizować dyżury. Klany podzieliły między siebie punkty sprzedaży narkotyków, jakby została nakreślona nowa mapa miasta ze zmienionymi nazwami, z których każda oznaczała nowy podbój.

– I co teraz zrobimy? – zapytał Nicolas. Siedzieli w przestronnym barze z automatami do gry, gdzie przyjmowano też zakłady bukmacherskie. Teren neutralny, wstęp wolny dla wszystkich. Dla tych, którzy siedzieli z oczami utkwionymi w ekran i przeklinali zbyt wolne konie, dla tych, którzy przepuszczali miesięczne pobory przy slotach, i dla tych, którzy stali przy kontuarze nad filiżanką kawy. A także dla Nicolasa i jego kolegów. Bywali tu też często Kudłacze z White'em, po którym prawie zawsze było widać, że jest naćpany kokainą. Nie wystarczało mu już wciąganie proszku przez nos, coraz

częściej wstrzykiwał go sobie do żył. Bawił się teraz piłkarzykami, grał sam przeciwko dwóm chłopcom ze swojej paranzji, Dzikusowi i Kukuryku. Skakał między grillami, jakby ugryzła go tarantula. Cały czas coś mówił, ale jednocześnie uważał na to, co się wokół niego dzieje. Na pytanie Nicolasa: „I co teraz zrobimy?” zareagował błyskawicznie:

– Chcecie pracować, chłopaki? – zapytał, nie przestając kręcić piłkarzykami. – Mogę was wysłać na zastępstwa. Będziecie obsługiwać punkty, w których potrzebują ludzi.

Choć niechętnie, ale się zgodzili. Nie mieli wyboru. Po zniknięciu Copacabany rynek Forcelli był dla nich zamknięty.

Zacząli pracować dla wszystkich, którzy mieli jakieś dziury do zaklejenia, na przykład z powodu aresztowania pushera pochodzącego z Maroka, choroby dilerów czy niesolidności jakiegoś niedawno zwerbowanego chłopaka. Pracowali dla rodziny Mocerino z dzielnicy Sanità i dla klanu Pesacane z Cavone. Od czasu do czasu jeździli aż do Torre Annunziata, żeby wspomóc chłopców z klanu Vitiello. Przemieszczali się po całym mieście. Raz handlowali na placu Belliniego, innym razem na dworcu kolejowym. Wzywano ich w ostatniej chwili. Mafijne szumowiny całego Neapolu i okolic miały numery ich telefonów.

Po jakimś czasie Nicolas zmęczył się tą sytuacją. Rzadziej rozprawiał towar, więcej przebywał w domu. Wszyscy choć trochę od nich starsi zarabiali kupę szmalu, mimo że byli niewiele warci – ludzie, którzy dawali się łatwo złapać, siedzieli w Poggioreale, wychodzili i zaraz znów tam wracali. White załatwił im kiepską robotę.

Tymczasem jednak koło fortuny zaczęło się obracać.

Pojawił się Copacabana i miał im coś ważnego do powiedzenia. O tym właśnie informował esemes Agostina, który Nicolas przeczytał, gdy pod domem Letizii starał się ją przekonać, że upokorzenie Renatina było dowodem jego miłości.

– Copacabana wrócił do Neapolu! – oznajmił Agostino, gdy tylko Nicolas zatrzymał skuter przy skuterze Briatorego. Stali z włączonymi silnikami na ostatnim zakręcie przed Nowym Maharadzą. Było stąd widać lokal, który choć zamknięty, i tak robił imponujące wrażenie.

– Kretyn z niego. Przecież zaraz go załatwią! – stwierdził Briatore.

– Nie ma obaw. Copacabana przyjechał, bo ma coś bardzo ważnego do załatwienia.

– A co? Ma dla nas towar do rozprowadzenia? – zapytał Briatore i uśmiechnął się przy tym. Po raz pierwszy od dawna.

– Chciałbyś... Nie. Przyjechał, żeby zorganizować ślub Kiciusia. Żeni się z Violą Striano.

– Naprawdę? Mówisz serio? – zapytał Nicolas.

– Tak! – potwierdził Agostino i żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, dodał: – Niech mi matka umrze, jeżeli tak nie jest!

– To co, teraz ci z San Giovanni będą u nas rządzić?

– To nie ma nic do rzeczy – odparł Agostino. – Tak czy inaczej, Copacabana jest tutaj i chce się z nami spotkać.

– Gdzie?

– Przecież ci mówię, że tutaj – odpowiedział Agostino, wskazując ręką na Nowego Maharadzę. – Zaraz przyjdą też inni.

Nadszedł moment, w którym ich życie miało się zmienić. Nicolas zawsze wiedział, że wcześniej czy później dostaną swoją szansę. I oto ona. Teraz trzeba tylko odpowiedzieć na wyzwanie. Muszą być silni z silnymi. Tak naprawdę nie miał pojęcia, co może ich czekać, ale wyobraźnia podsuwała mu różne atrakcyjne wizje.

Złe myśli

Copacabana siedział w samochodzie dostawczym załadowanym akcesoriami do sprzątanania. Wszedł, gdy tylko się dowiedział, że chłopcy przyjechali. Przywitał ich klepieniem w policzek, jakby byli małymi dziećmi, ale nie zaprotestowali. Ten mężczyzna mógł sprawić, że na powrót wejdą triumfalnie na rynek, chociaż wyglądał teraz marnie, był blady i chudy, miał długie włosy, zaniedbany zarost i przekrwione oczy. Dało się po nim zauważyć, że ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości to nie wczasy.

– Są moje dzieciaki! Musicie mi teraz pomóc. Zaraz zrobimy tu przedstawienie.

Copacabana przywitał się wylewnie z Oscarem, człowiekiem, który zarządzał Nowym Maharadżą. Lokal kupił jego dziadek przed pięćdziesięcioma laty. Oscar był tłuściochem, lubował się w szytych na miarę koszulach z wyhaftowanym monogramem, ale zamawiał je zawsze w rozmiarze mniejszym, niż potrzebował, tak że guziki ledwo się dopinały na jego wydatnym brzuchu. Oddał uścisk sztywno, trzymając Copacabanę na lekki dystans, jakby nie chciał, żeby ktoś niepożądany zobaczył go w tej sytuacji.

– Przyszedłem do ciebie, bracie, z zaszczepną propozycją.

– O co chodzi?

– Diego Faella i Viola Striano chcą urządzić wesele u ciebie... tutaj...

– Copacabana dołączył do tych słów szeroki gest ręki, którym objął cały lokal, jakby był jego własnością.

Słyszając te dwa nazwiska, Oscar poczerwieniał na twarzy.

– Copacabana, bardzo cię lubię i szanuję, ale...

– Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

– Wiesz, że ja ze wszystkimi dobrze żyję, ale jestem tylko udziałowcem w spółce, która zarządza tym lokalem... Wolimy

trzymać się z daleka od...

– Od?

– Od problematycznych sytuacji.

– Ale pieniądze od problematycznych sytuacji chętnie bierzecie!

– Pieniądze bierzemy od wszystkich. Ale takie wesele... – Nie dokończył zdania. Nie było potrzeby.

– Rezygnujesz z takiego interesu? – zapytał Copacabana. – Po takim weselu nie opędzilibyście się od zamówień.

– Tak, ale potem założono by u nas podsłuch.

– Jaki znowu podsłuch! Poza tym nie musiałbyś angażować swoich kelnerów, mamy chłopaków, którzy się tym zajmą.

Agostino, Nicolas, Śnięta Ryba, Briatore, Lollipop, Ząbek i inni nie spodziewali się, że przyjdzie im kelnerować. Nigdy tego nie robili, nie mieli pojęcia, na czym polega ta praca. Ale jeżeli Copacabana tak zdecydował, tak musi być.

– Oscar, ty może nie zrozumiałeś, co to za impreza. Dadzą ci za nią od razu, od ręki dwieście tysięcy... Za zorganizowanie pięknego przyjęcia weselnego.

– Przykro mi, Copacabana, ale wolę zrezygnować z tych pieniędzy. Naprawdę, dla nas...

Copacabana wykonał gest, jakby chciał odgarnąć sprzed siebie powietrze grzbietem dłoni. Nic się nie da zrobić.

– Koniec rozmowy.

Był bardzo obrażony. Wyszedł z pomieszczenia, a za nim chłopcy, jak głodne szczeniaki za suką.

Nicolas i inni byli pewni, że tylko udaje. Że zaraz wróci do Oscara jeszcze bardziej rozwścieczony niż teraz, z oczami czerwonymi ze złości, i obije go po gębie albo wyciągnie schowany gdzieś pistolet i jednym strzałem zmiażdży mu kolano. Nic z tych rzeczy. Copacabana wsiadł z powrotem do samochodu dostawczego i przez okienko powiedział:

– Wezwiemy was. Urządzimy to wesele w Sorrento. Potrzebujemy swoich ludzi, żadnych kelnerów przysyłanych z zewnątrz przez

agencję. Tamtych posyła policja finansowa.

Copacabana pojechał do Sorrento i zamówił przyjęcie weselne dla potomków dwóch najmożniejszych rodzin. Nicolas napisał do Letizii: „Szykuje się ekstraluksusowe wesele na wybrzeżu, ale nasze, kotku, będzie piękniejsze!!!”. Letizia, ciągle jeszcze na niego zła z powodu incydentu z Renatinem, odpisała mu po godzinie: „A kto ci powiedział, że za ciebie wyjdę?”.

Co do tego Nicolas nie miał najmniejszych wątpliwości. Już teraz wyobrażał sobie, jak będzie wyglądać ich wesele, wspaniałe i niepowtarzalne; dodawał do swych wyobrażeń wciąż nowe detale, które opisywał Letizii w pełnych obietnic esemesach. Połączyła ich wielka miłość, a teraz musi postarać się o resztę. Zacznie od tego, że wejdzie kuchennymi drzwiami do tego świata, nad którym wprawdzie zaczynało zmierzchać, ale wciąż jeszcze się liczył.

Feliciano Striano siedział w więzieniu, jego brat też siedział w więzieniu. Córka Feliciano zdecydowała się wyjść za mąż za Diega Faellę, nazywanego Kiciusiem. Rodzina Faella z San Giovanni a Teduccio zarabiała ogromne pieniądze na haraczach, przetargach, dystrybucji produktów spożywczych. Pole ich działania było ogromne. Czerpali zyski nawet ze sklepów bezcłowych na lotniskach w krajach Europy Wschodniej. Diego Faella zarządzał rodzinnymi interesami bardzo rygorystycznie. Wszyscy musieli płacić, nawet kioskarze i domokrażcy, każdy dokładał się do kasy klanu. Wysokość haraczu była uzależniona od zarobków, dlatego Diego uważał się za osobę wielkoduszną. A nawet łagodną. Córce Feliciano Striano udało się przeżyć wiele lat z dala od Neapolu. Zdobyła dyplom uniwersytecki, studiowała modę. Tak naprawdę nie nazywała się Viola. Kazała tak do siebie mówić, bo nie cierpiała swego odziedziczonego po babci prawdziwego imienia – Addolorata, a jego znośniejszą wersją, Dolores, posługiwał się już cały zastęp kuzynek. Tak więc sama wybrała sobie imię. Kiedy była jeszcze małą dziewczynką, oznajmiła matce, że od tej chwili ma ją nazywać Viola. Przeniosła się

z powrotem do Neapolu, gdy matka zdecydowała się na separację z mężem. Don Feliciano chciał się ożenić z inną kobietą, ale matka Violi nie zgodziła się na rozwód – co Bóg złączył... – i Viola wróciła, żeby ją wesprzeć w tej sytuacji. Nie wyprowadziły się z rodzinnego domu w Forcelli, to don Feliciano zamieszkał poza nim, ale niedaleko. Rodzina jest święta. Viola była o tym przekonana jeszcze bardziej niż inni. Rodzina to twoje DNA, masz je w sobie, nie możesz sobie przecież usunąć krwi z żył, prawda? Z tym się urodziłeś, z tym umrzesz. Później jednak don Feliciano podjął współpracę z wymiarem sprawiedliwości i wtedy Viola odcięła się od swego ojca. Addolorata Striano znalazła się na liście osób z prawem do ochrony. Karabinierzy przyjechali po nią pod dom opancerzonym samochodem, żeby zawieźć ją gdzieś daleko od Forcelli i zapewnić jej bezpieczeństwo. I wtedy rozpoczęło się przedstawienie. Viola wrzeszczała z balkonu, przeklinała, pluła i wyzywała karabinierów z eskorty: „Wynoście się, skurwysyny! Sprzedawczyki! Mój ojciec umarł! Nie, nie umarł – nigdy go nie było! Nigdy nie był moim ojcem. Wynocha stąd!”. Viola odrzuciła policyjną ochronę, nie zgodziła się na współpracę i wyrzekła się ojca oraz innych „skruszonych” krewnych. Przez długi czas siedziała zamknięta w domu. Szkicowała projekty sukienek, torebek i biżuterii, podczas gdy na jej balkonie lądowały najróżniejsze oznaki potępienia: torebki z psimi kupami, martwe ptaki, wnętrzości gołębi. Później przyszedł czas na butelki samozapalające, od których zajmowały się ogniem firanki, obraźliwe napisy na murach i odymiony domofon. Nikt nie wierzył w jej słowa, ale Viola wytrzymała. Aż do dnia, kiedy w jej życiu pojawił się Kiciuś. Propozycja małżeństwa, którą jej złożył, uwolniła ją natychmiast od wszystkich zarzutów i podejrzeń, które uwięziły dziewczynę w domu. Jednocześnie Diego Faella, łącząc się z niesplamioną częścią rodziny Striano, zawładnął Forcellą.

Mówiło się, że Kiciuś długo o nią zabiegał. Viola miała kształtne ciało, jasnoniebieskie oczy ojca i duży nos. Przez długi czas wahała się, czy go sobie poprawić, ale w końcu zdecydowała, że nic nie będzie

zmieniać, bo to ją wyróżnia. Viola należała do kobiet, które zawsze doskonale wiedzą, co się wokół nich dzieje, ale udają, że tak nie jest. Jej małżeństwo z Diegiem oznaczało połączenie dwóch najpotężniejszych rodzin. Wyglądało na zaaranżowany związek, jeden z tych, jakie zdarzają się między możnymi rodami. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo ich rodziny należały do arystokracji kamorry i wiele ich zachowań nie odbiegało od zwyczajów osób zajmujących z racji swego urodzenia sporo miejsca w plotkarskich czasopismach. Viola być może w jakiejś mierze poświęcała się dla dobra rodziny, ale Kicius wyglądał na prawdziwie zakochanego. Wielu twierdziło, że w zdobyciu Violi pomogło mu przekonanie firmy kontrolowanej przez klan Faella, która produkowała luksusowe torby, żeby zatrudniła ją jako projektantkę. Ale to tylko plotki. Dla Violi to małżeństwo było na pewno triumfem miłości. Jeżeli potrafiła sama wybrać sobie imię, na pewno umiała też sama zdecydować, jak będzie wyglądała jej przyszłość.

Zgodnie z zapowiedzią Copacabany kilka dni później dostali wezwanie. Nicolas zaraz powiedział o tym matce:

– Będę pracował jako kelner na weselu. Naprawdę!

Matka spojrzała mu badawczo w twarz, na wpół zasłoniętą jasną grzywą miękkich włosów. Szukała w słowach i w twarzy syna tego, co wiedziała i czego nie wiedziała, tego, co mogło być prawdą i co nią nie było. Drzwi do pokoju Nicolasa były otwarte i matka sięgnęła tym samym badawczym spojrzeniem do środka, żeby znaleźć jakiś znak na ścianach, na porzuconym na podłodze starym plecaku, na koszulkach leżących na łóżku. Starła się dopasować informację przekazaną przez syna, że będzie pracować jako kelner, do barier, jakie budował między sobą a rodzicami od chwili, kiedy przyszli po niego na komisariat. Wiedziała, że jeżeli tamtego dnia nie zawieziono go prosto na Nisidę, nie stało się tak dlatego, że był niewinny. Docierały do niej różne pogłoski o wybrykach Nicolasa, a co nie docierało, mogła sobie łatwo wyobrazić. Nie była jak mąż, który

w synu widział przyszłość, dobrą przyszłość, i myślał, że jest tylko trochę niesforny. Oczy matki były w stanie wwiercić się głęboko pod powierzchnię pozorów. Ale teraz zamknęła podejrzenia w najciemniejszym zakamarku serca i przytuliła syna do siebie. „Brawo, Nicolas!” On nie pohamował w żaden sposób jej entuzjazmu i pozwolił, żeby położyła mu głowę na ramieniu. Matka rozluźniła się, jak jej się to już od dawna nie zdarzało. Zamknęła oczy i wciągnęła zapach swojego dziecka, o którym już myślała, że straciła je na zawsze, a które teraz wróciło razem z tą wiadomością pochodzącą ze świata normalności. Tak niewiele wystarczyło, żeby uwierzyła, że można zacząć na nowo życie z czystym kontem. Nicolas oddał jej uścisk, jak to się zwykle robi, połączywszy ręce na jej plecach, ale niezbyt silnie. Oby tylko nie zaczęła płakać, pomyślał, biorąc jej czułość za słabość.

Odstąpili od siebie, ale matka nie pozwoliła, żeby Nicolas zamknął się na powrót w swoim pokoju. Obserwowali się nawzajem w milczeniu, w oczekiwaniu na następny ruch drugiej strony. Dla Nicolasa to przytulenie nie było niczym innym jak gestem matki zadowolonej ze spolegliwości swego dziecka.

Ona czuła, że dostała od niego ochłap, że przez jakiś niewytłumaczalny kaprys chciał ją wynagrodzić okruchem normalności. Ale jaka to normalność! Przecież w jego głowie wciąż buzują te same myśli, myśli, które ją przerażają. Wie o tym. Myśli niedobre, szkaradne. Można by próbować usprawiedliwić je u kogoś, kto chce się zemścić za wyrządzone mu zło, ale przecież jemu nikt nigdy nie zrobił nic złego! Mężowi nie mogła się zwierzyć ze swoich rozterek. Nie, jemu na pewno nie.

Nicolas odgadywał z twarzy matki, co się w niej działo, ten chaos i mieszaninę uczuć, potrzebę dotarcia do prawdy i wahanie między pewnością a podejrzeniem.

– Mamo, czy pomyślałabyś kiedyś, że twój syn będzie kelnerem? – Wykonał gest, jakby na przedramieniu niósł parę talerzy. Udało mu się ją rozśmieszyć. To dobrze, w końcu na to zasługiwała.

– Jak to się stało, że urodził mi się taki blondynek? – Twarz jej jaśniała, zepchnęła gdzieś głęboko wewnętrzny pomruk strachu. – Że urodziłam takiego przystojniaka?

– Urodziłaś przystojnego kelnera, mamó – powiedział i odwrócił się od niej. Kiedy wchodził do swego pokoju, nie opuszczało go wrażenie, że matka ciągle jeszcze patrzy na niego tym samym badawczym wzrokiem. I miał rację.

Filomena czy, jak ją wszyscy nazywali, Mena, matka Nicolasa, otworzyła małą pralnię przy via Toledo, niedaleko placu Dantego, między bazyliką Ducha Świętego a ulicą Forno Vecchio. Wcześniej też działała tam pralnia, prowadziła ją para staruszków, którzy odstąpili jej to miejsce za niewielki czynsz. Mena powiesiła nowy niebieski szyld z napisem BLUE SKY, a pod nim na zachętę: CZYSTE JAK BŁĘKITNE NIEBO. Najpierw zatrudniła u siebie dwie Rumunki, a potem małżeństwo Peruwiańczyków. On był niziutki i nigdy nic nie mówił, ale doskonale prasował, ona była pulchna i zawsze uśmiechnięta. O mężu i jego milczeniu mówiła tylko: *Escucha mucho*. W młodości Mena uczyła się trochę krawiectwa, umiała szyć ręcznie i na maszynie, więc w ofercie firmy Blue Sky były też drobne przeróbki i reperacje. O takiej pracy zwykło się mówić, że to zajęcie dla Hindusów, ale przecież nie można zostawić całego rynku pracy w rękach samych tylko Hindusów, Chińczyków i Lankijczyków. Pomieszczenie, w którym prowadziła swój punkt usługowy, było małą dziuplą, zapełnioną do granic możliwości sprzętem i półkami z poukładanymi porządnie ubraniami i bielizną. Miało dwoje drzwi. Tylne, wychodzące na ciemne podwórko między domami, były zawsze otwarte, latem i zimą z tego samego powodu: żeby móc w środku oddychać. Czasem Mena stała przed wejściem, opierając się rękami na krągłych biodrach albo odgarniając nimi z twarzy kruczoczarne włosy, zawsze nie dość starannie uczesane, i patrzyła na przechodzących ludzi.

– Pani kochana, marynarka męża jest jak nowa! – Zaczynała

rozpoznawać wśród przechodniów swoich klientów, a klienci też ją rozpoznawali. Patrzcie tylko, ilu samotnych mężczyzn, myślała sobie. Także tutaj, w Neapolu, tak samo jak na północy kraju, przynoszą ubrania, żeby im je wyprać, wyprasować, obszyć. Przychodzą, mało mówią, zostawiają swoje rzeczy, potem je odbierają i znikają. Mena obserwowała ten świat, którego nie znała i dla którego sama była obca. Nie pochodziła z Forcelli, ale poprzedni właściciele pralni dobrze ją wprowadzili i ręczyli za nią. Bo nie ma zajęcia, które można wykonywać w tym miejscu bez wprowadzenia przez kogoś, kto do tego miejsca przynależy. Za Menę ręczono. Nie wiedziała, jak długo będzie mogła prowadzić interes, ale na razie czuła się szczęśliwa, że przynosi do domu trochę zarobionych przez siebie pieniędzy. Nauczyciel wuefu nie jest w stanie sam utrzymać rodziny, poza tym jej mąż nie zdawał sobie sprawy z trudności, nie widział, że chłopcy wciąż potrzebują czegoś nowego, po prostu tego nie widział. Musiała wspierać tego mężczyznę, którego wciąż bardzo kochała. Kiedy w zakładzie stała nad deską do prasowania z parującym żelazkiem w rękę, zatrzymywała czasem wzrok na zdjęciach synów, które powiesiła na ścianie między kalendarzem a korkową tablicą z przypiętymi do niej dziesiątkami pokwitowań. Trzyletni Christian i Nicolas jako ośmiolatek, i jeszcze jedno zrobione niedawno zdjęcie Nicolasa z tą jego jasną czupryną. Kto by pomyślał, że urodzi jasnowłose dziecko! Ale wystarczyło go zobaczyć przy ojcu, żeby zrozumieć, skąd się wziął. Pochmurniała, gdy myślała o jego urodzie, pochmurniała, bo trochę się domyślała, trochę docierało do niej z różnych stron, trochę się dowiadywała... Jasne, że nie w szkole, bo kto by się czegoś dowiedział w szkole! Od Letizii też nie. Prędzej już może przez tych jego kolegów – nicponiów, z którymi spędzał tak dużo czasu. Nicolas trzymał ich z daleka od domu, ale nie na tyle, żeby Mena nie mogła wyrobić sobie zdania na ich temat, i nie było to bynajmniej zdanie pozytywne.

Nicolas czarował ludzi ładną buzią i jasną czupryną, ale wcześniej czy później ktoś o nim powie: „Ten ładny chłopak z paskudnym

charakterem i złymi intencjami”. Tak, ze złymi intencjami i złymi kolegami. Skąd się biorą u tych dzieci mroczne myśli, które – jak już kimś zawładną – tak trudno wykorzenić? Przychodziło jej do głowy przysłowie, że kto bawi się z osłem, może się spodziewać, że wcześniej czy później go kopnie. Ale kto w tym wypadku był osłem? Wiedziała, że Nicolas wdał się z tym przysłowiowym osłem w niebezpieczną zabawę. Może nie trzeba wiele, żeby go od niego odciągnąć? Osioł też się boi. Podczas gdy składała starannie jedwabną sukienkę leżącą na stole, zastanawiała się, czy przypadkiem to nie ona sprawiła, że chłopca opanowały te mroczne myśli. Przygładziła nieujarzmione gęste włosy i spojrzała na Escucha Mucho, który prasował właśnie białą koszulę.

– Uwważaj! To koszula pana Fusaro. – Nie było potrzeby, żeby zwracać Peruwiańczykowi uwagę, zrobiła to tak tylko, z przyzwyczajenia.

Przyszło jej na myśl wspomnienie pewnego letniego popołudnia sprzed wielu lat. Obudziły się w niej wtedy złe przeczucia, które teraz powiązała z mrocznymi myślami syna, z osłem i dniem na komisariacie. Byli wtedy, wszyscy czworo, nad samym morzem, blisko parku Pignatelli, ona popychała wózek z malutkim Christianem. Panował upał, słońce wbijało się między liście palm i krzewów przy chodniku, jakby chciało zlikwidować pozostałe jeszcze resztki cienia. Nicolas biegł przed nimi, mąż trzymał się blisko niego. Nagle zapadła zatrważająca cisza, jakby jakieś ostrze przecięło rzeczywistość, a zaraz potem nastąpiła sekwencja dźwięków. Ktoś wszedł do pobliskiego lokalu, może to była restauracja. Usłyszeli strzał, potem drugi. Przechodnie na ulicy zastygli na moment i zaraz kilku zniknęło z widoku. Dobiegający z drogi przy morzu hałas samochodów też zdawał się cichszy. Usłyszeli dźwięk przewracanych stołów i tłuczonego szkła. Mena zostawiła wózek mężowi i chwyciła Nicolasa za kołnierz. Trudno jej go było utrzymać. Nikt nie ruszył się z miejsca, tak jak w tej dziecięcej zabawie, w której ten, kogo dotknie czarodziej, musi stać nieruchomo jak posąg. Potem z lokalu wyszedł chudy

mężczyzna w rozluźnionym krawacie, z ciemnymi okularami na czole. Rozejrzał się dokoła, zatrzymał wzrok na uliczce, która kilka metrów dalej zakręcała pod kątem prostym. Nie wahał się ani przez chwilę, pokonał szybko te kilka metrów, skręcił w prawo i zobaczył zaparkowany samochód. Położył się na ziemi i drobnymi, ale szybkimi ruchami wśliznął pod auto. Na słońce wyszedł mężczyzna z pistoletem w ręce, zrobił kilka kroków i znieruchomiał tak samo jak wszyscy dokoła. Zaraz jednak zauważył na chodniku po drugiej stronie ulicy człowieka, który na niego patrzył, i dał mu znak ręką. Nieznacznym gestem, który tym bardziej podkreślił bezruch otoczenia, wskazał samochód za zakrętem. Mężczyzna z pistoletem nie stracił spokoju, nie szukał chudego człowieka pod autem, gładził bez pośpiechu lufę broni, po czym przykucnął bez wysiłku, opuścił pistolet do poziomu ulicy, kierując go równolegle do asfaltowej powierzchni. Policzką dotykał drzwi samochodu jak lekarz, który osłuchuje pacjenta. Wtedy strzelił, dwa, trzy razy. I jeszcze, zmieniając za każdym razem kierunek lufy. Mena czuła, że Nicolas starał się jej wyrwać. Udało mu się to, gdy zabójca zniknął. Pobiegł do zaparkowanego samochodu.

– To krew! Krew! – mówił głośno, wskazując na czerwoną strużkę płynącą po ulicy, przyklęknął i patrzył na to, czego inni nie widzieli. Mena podbiegła, żeby go stamtąd odciągnąć, szarpnęła go za bluzkę w paseczki.

– To nie jest żadna krew – powiedział ojciec – to dżem.

Nicolas go nie słuchał, chciał zobaczyć trupa. Mena pociągnęła chłopca za sobą; zdawała sobie sprawę, że jej rodzina zajmuje sam środek sceny morderstwa. Ulica opadała tu lekko, dlatego krew spływała teraz kilkoma strużkami. Szarpiąc i popychając Nicolasa, udało jej się w końcu odciągnąć go od samochodu, nie zdołała jednak wyszarpać z syna tego nieulekłego zaciekawienia, zafascynowania niezwykłą sytuacją, zainteresowania nową zabawą.

Co jakiś czas Mena myślała potem o tamtym popołudniu i o swoim dziecku, kiedy było w tym samym wieku jak na zdjęciu wiszącym

w pralni. Czuła się wtedy tak, jakby żołądek ścisnęła jej kleszcze.

Ale co ja źle zrobiłam? Wzburzona wróciła do żelazka. Pomyślała, że to żelazko, cała ta jej praca, to jej wieczne pranie, prasowanie, składanie, doprowadzanie do porządku ma coś wspólnego z jej doświadczeniem matki. Nicolas niczego się nie bał. Ta myśl budziła w niej przerażenie, ale wiedziała, że tak jest. Na jego ładnej, młodziutkiej twarzy, czystej jak niebo na szyldzie pralni, nie widać ani cienia złych myśli. Trzymał je dobrze ukryte i promieniował jasną urodą. Przez jakiś czas myślała, że może byłoby dobrze zabierać go z sobą po szkole do pralni. Do jakiej pralni! Śmiać jej się teraz chciało z tego pomysłu. Nicolas, który staje na miejscu Peruwiańczyka i starannie składa nieskazitelnie białe rękawy koszuli? Na pewno było mu dobrze tam, gdzie jest. Ale gdzie on jest? Nie może pozwolić, żeby zimny dreszcz, który zaczyna czuć na skórze, ogarnął całe jej ciało, wyszła więc przed sklep i skupiła się na myśli, że jest piękna i wszyscy na nią patrzą.

Wesele

W dzień poprzedzający przyjęcie weselne wszyscy chłopcy mieli się stawić na przyspieszony kurs obsługi kelnerskiej. Copacabana zaprosił doświadczonego *maître d'hôtel*, który obsługiwał dziesiątki podobnych przyjęć. Podobno był na wyspie Asinara, kiedy ożenił się Cutolo, który odsiadywał tam wyrok, i to on kroił jego tort. To tylko plotki, ale *maître d'hôtel* był bez wątpienia człowiekiem godnym zaufania. Kiedy Nicolas i reszta przyjechali do restauracji na swoich ryczących skuterach, czekał już na nich przed wejściem dla personelu. Mógł mieć pięćdziesiąt, a może i siedemdziesiąt lat, z wystającymi kośćmi i żółtą skórą wyglądał jak żywy trup. Miał na sobie ubranie od Dolce & Gabbana: czarne spodnie i marynarkę, wąski krawat, wyczyszczone na błysk buty, nieskazitelnie białą koszulę. Wszystko leżało na nim jak ulał, nie można powiedzieć, ale pierwszym uczuciem, jakie opanowywało człowieka na jego widok, był żal, że marnują się na nim takie ładne rzeczy.

Chłopcy zsiadli ze skuterów, ale dalej robili to samo co na siodełkach: klęli, przekrzykiwali się i wyzywali. Copacabana powiedział im, że będzie na nich czekać ktoś, kto wszystkiego ich nauczy, pokaże, jak mają się poruszać, jakich talerzy używać, co mówić, jak się zachować. Krótko mówiąc – ktoś, kto będzie dowodzić tą bandą kelnerów z Bożej łaski. Brakowało wśród nich tylko Biskopcika, który wyglądał za młodo, żeby móc udawać kelnera, oraz Dragonbola, który jako kuzyn młodej pani miał siedzieć przy stole wśród zaproszonych gości.

Mężczyzna w ubraniu od Dolce & Gabbana odchrząknął, wydając przy tym osobliwie ostry dźwięk, na który wszyscy obrócili się w jego kierunku, później wskazał kościstym palcem na drzwi dla personelu i zniknął w środku. Dostał wcześniej listę z ich nazwiskami, miał też

dla nich uniformy. Tukan chciał coś powiedzieć, ale Nicolas pacnął go silnie w kark i chłopak posłusznie przestąpił próg. Inni chłopcy bez słowa podążyli za nim gęsiego. Znaleźli się w kuchni.

Narzeczeni życzyli sobie, żeby na przyjęciu weselnym wszystko było eleganckie. Nawet kelnerzy mieli nosić komplety od Dolce & Gabbana, ulubionych stylistów Violi.

Maître d'hôtel wydawał polecenia piskliwym głosem, który nie pomagał w ściślejszym określeniu jego wieku. Wręczył chłopcom uniformy jeszcze w pokrowcach i kazał im się przebrać w magazynie. Kiedy wrócili, ustawił ich w jednym rzędzie pod ścianą wyłożoną stalowymi płytami i wyjął listę.

– *Ciro Somma*.

Z szeregu wyszedł Śnięta Ryba. Spodnie z uniformu zapiął tak samo, jak to robił z raperskimi spodniami *oversize*, które nosił na co dzień, to znaczy nisko na biodrach, żeby było widać gumkę z majtek z napisem Gucci. Pomagało mu to także w ukryciu kilku kilogramów nadwagi, których nie umiał się pozbyć. Ale *maître d'hôtel* ruchem kościstego palca od razu dał mu do zrozumienia, że musi je podciągnąć, żeby nie wyglądały jak pumpy.

– *Vincenzo Esposito*.

Lollipop i Żetakpowiem odpowiedzieli równocześnie:

– Obecni! – Podnosząc przy tym ręce. W szkole podstawowej chodzili do jednej klasy i co rano odgrywali tę scenę.

– Ten z gębą jak ser szwajcarski – uściślił *maître*. Żetakpowiem zaczerwienił się, co sprawiło, że trądzik na jego policzkach stał się jeszcze bardziej widoczny. – Nadajesz się, tylko musisz się prosto trzymać. I będziesz tylko sprzątać brudne naczynia, żeby goście nie patrzyli ci na twarz.

Chłopcy nie nawykli do takiego traktowania, ale Nicolas kilka razy im powtarzał, że wszystko ma przebiegać spokojnie. Za wszelką cenę. Tak więc trzeba było puścić mimo uszu obraźliwe słowa tego faceta.

Lollipop uśmiechał się, dumny ze swojej bródki, która zaczęła mu już rosnąć, jakby był dorosłym mężczyzną, choć miał dopiero

czternaście lat. Zostawił sobie na twarzy cienką linię zarostu; biegła od baczków ku brodzie, a potem wzdłuż dolnej wargi i dalej, symetrycznie, kończyła się przy drugim uchu. Koszula opinała mu ramiona, a to dzięki godzinom spędzonym na siłowni, za to spodnie kryły chude nogi, którymi nie zajmował się z takim oddaniem jak górną częścią ciała, łącznie z brwiami w kształcie skrzydeł jaskółki.

– Ty, długaju – powiedział *maître*, wskazując na Briatorego – zajmiesz się tortem. Ma siedem warstw, potrzebuję kogoś wysokiego, żeby sięgnął do samej góry. – Briatore nie umiał zawiązać prosto krawata, ale za to miał porządnie uczesane i pociągnięte żelazem włosy.

– Agostino De Rosa.

Z wyglądem Zapałki był problem. Utlenił sobie włosy i wyglądał idiotycznie w nowej fryzurze. Kiedy Nicolas go zobaczył, strasznie się zezłościł. Poza tym koszula Zapałki nie zakrywała tatuażu, który miał na piersi, jaskrawoczerwonego słońca z promieniami sięgającymi aż do grdyki. *Maître* złapał za kołnierzyk i go podciągnął, ale niewiele to dało, promienie dalej wychodziły spod koszuli. Gdyby to zależało od niego, od razu posłałby do domu tego smarkacza, który miał czelność pokazać się w tym miejscu z takim wyglądem, i nadałby mu przyspieszenia kopniakami w tyłek, ale Copacabana powiedział, żeby przymknął oko na drobiazgi, więc przeszedł do ostatnich nazwisk na liście. Wywołał wszystkie naraz. Chciał jak najszybciej sprawdzić, jak chłopcy będą poruszać się wśród kryształów i porcelany.

– Nicolas Fiorillo, Giuseppe Izzo, Antonio Starita, Massimo Rea.

Przed szereg wystąpił pluton przebierańców. *Maître* podszedł do najniższych: do Ząbka i Drona, na których komplety od Dolce & Gabbana wyglądały jak piżamy, bo musieli zawinąć rękawy i nogawki, żeby nie wlec ich za sobą. Dał im po dwa talerze, mieli je nieść każdy w jednej ręce. Tukanowi powierzył srebrną tacę. Dużo go kosztowało, żeby powstrzymać się od komentarza na temat wyglądu chłopaka, ale nie było czasu do stracenia, postawił więc tylko na tacy kilka kieliszków do szampana, które dzwoniły, stykając się z sobą. Nicolasowi przyglądał się najdłużej i uznał, że szerokie barki,

harmonijna figura i silne nogi predestynują go do trudniejszych zadań. Kazał mu rozłożyć ramiona i położył na każdym z nich dwa talerze, jeden na dłoni, drugi między przegubem a łokciem. Potem polecił wszystkim czterem chłopcom obejść wyspę stojącą pośrodku kuchni. Ząbek i Dron wykonali polecenie prawie biegiem, za co zostali obsztorcowani przez *maître'a*. Ruchy muszą być płynne, nie pracują przecież w McDonalddie. Tukan nieźle sobie poradził, na samym końcu jeden z kieliszków na tacy oparł się o sąsiedni, ale żaden się nie przewrócił. Nicolas szedł niepewnie, jakby kroczył po linie, na szczęście jednak nie spowodował żadnych szkód. *Maître* podrapał się po brodzie, po czym powiedział z ciężkim westchnieniem:

– Jeszcze raz.

Nicolas położył talerze na wyspie i podszedł do *maître'a*, który uniósł się na palcach, żeby mieć oczy na tym samym poziomie co chłopiec.

– Może starczy na dzisiaj, dziadku?

Maître nie zareagował od razu, podniósł się tylko jeszcze wyżej na palcach. Po chwili opuścił pięty na ziemię i powiedział:

– Jesteście gotowi.

Copacabana wiedział, że uczestnicząc w tym weselu, podczas gdy ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości, wystawia się na duże ryzyko. Wiadomość o jego powrocie do Neapolu rozejdzie się w błyskawicznym tempie, chociaż na tego rodzaju przyjęciach wymaga się od gości, by zostawili telefony komórkowe przy wejściu. Do pilnych rozmów służy specjalne pomieszczenie, *phone room*.

Nicolas założył uniform i ćwiczył podawanie potraw, ale przerwał, żeby podejść do Copacabany, który kierował przygotowaniem do przyjęcia. Był teraz czysty i porządnie ubrany. Przyczesał włosy, może je nawet ufarbował. Miał przytomniejsze spojrzenie, ale jego oczy dalej były przekrwione.

– Copacabana, czy to nie jest dla ciebie niebezpieczne... pokazywać się tak publicznie? Tu jest tylu różnych ludzi.

– Byłoby jeszcze gorzej, gdybym się nie pokazał, gdybym się ukrywał. Wiesz dlaczego?

– Bo i tak wszyscy wiedzą, że uciekłeś.

– Nie, Nicò, nie o to chodzi. Kiedy urządzasz wesele i widzisz wolne krzesło, co wtedy robisz?

– Siedzam kogoś na nim.

– Właśnie! Brawo! Gdyby moje krzesło na tym weselu pozostało puste, ci z San Giovanni a Teduccio posadziliby na nim któregoś ze swoich ludzi. No to powiedz teraz, czy lepiej się pokazać, czy ukrywać i pozwolić, żeby zastąpili cię kimś innym?

– Rozumiem, pokazujesz się, żeby dać znać tym z klanu Faella: jestem na miejscu, to mój teren.

– Brawo. Szybko się uczysz. Będę z żoną i dziećmi. Wszyscy muszą nas zobaczyć.

– Niech mi matka umrze, jeżeli to nie jest niebezpieczne.

– Tu wszędzie są moi ludzie... Ale cieszy mnie, że się martwisz o wujka Copacabanę. To znaczy, że dobrze ci płacę.

Wkrótce miały się rozpocząć pamiętne gody w Sorrento. Nicolas już wiedział, czego od nich oczekiwano. Mieli być aktorami, grać na jasno oświetlonej scenie tak samo jak wszyscy inni. Przy okazji będą mogli poobserwować ten świat. Musieli skoczyć na głęboką wodę. Szybko, jeden za drugim, gęsiego. Było w tym coś magicznego, panowała atmosfera oczekiwania, podekscytowania. Na twarzy Nicolasa i jego kolegów malowało się jej odbicie.

Przyjęcie weselne miało być wystawne, prawdziwie królewskie. Copacabana chwalił się, że nie zapomniął o żadnym szczególe. Mówił, że impreza nie ma być super, nie ma być nawet ekstra. Ma być bardziej niż superekstra. Ma na niej panować obfitość, bo obfitość jest bliźniaczą siostrą doskonałości.

Gołębie? Będą tuziny gołębi. Wzbiją się w powietrze za każdym razem, gdy kelnerzy wniosą na salę nową potrawę. Muzyka? Zaangażowano najlepszych piosenkarzy neapolitańskich, wieczorem

będzie tańczyć dwudziestoosobowy zespół samby. Dekoracje? Lokal zostanie obficie udekorowany. Copacabana co chwila mówił, że coś ma być obfite albo bardzo obfite. Posągi, lampiony, kandelabry, donice z zielonymi roślinami, obrazy. Kwiaty wszędzie, także w łazienkach. I wszystkie w odcieniach fioletu, na cześć panny młodej. Będą przypominać o jej imieniu. Balony opadające z sufitu po każdym locie gołębi. Zatrzęsienie ciast, lodów i tortów. Pięć pierwszych dań i pięć drugich. Wyżerka na całego. I do tego jeszcze dwunastometrowy gobelin, przytargany nie wiadomo skąd, z fragmentem *Alegorii dobrych rządów*, pokrywający całą ścianę. Copacabana kazał go powiesić za plecami nowożeńców, jako zapowiedź ich pomyślnej przyszłości.

Wszystko było pod kontrolą. Nicolas obsługiwał gości przy mnóstwie stołów rozmieszczonych na sali. Przy jednym z nich siedzieli White, Misiu Ted, Kukuryku i inni chłopcy z parazy na usługach Copacabany, którzy obsadzili wiele punktów sprzedaży narkotyków i przygotowywali się do handlowania także na stadionie. Byli prawie zawsze na haju, choć mieli niewiele więcej lat niż Nicolas i jego koledzy. Stół nieopodal zajęła rodzina Dragonbola, który jako kuzyn panny młodej siedział beczynnym przed eleganckim nakryciem i z uśmiechem wyższości śledził wzrokiem uwijających się przy weselnych gościach kolegów. W krzywo zapiętej marynarce, z rozluźnionym krawatem i nosem boksera nie pasował do wykwintnych dekoracji. Zabawiał się wybrzydzeniem na przyniesione potrawy i odsyłaniem ich do kuchni, z komentarzami znawcy sztuki kulinarnej.

Na weselu był także Alvaro, który dostał z tej okazji przepustkę z więzienia. Był trzeciorzędnym gościem, nie miał zarezerwowanego miejsca przy stole. Został na zewnątrz i grał ze znajomymi w karty na masce samochodu. Nicolas nosił mu jedzenie. Alvaro w podziękowaniu mówił tylko: „Brawo, brawo!”.

Uroczystość weselna przebiegała według tradycyjnego rytmu: wolno – szybko – jeszcze szybciej – bardzo wolno. Melasa, która skleja

towarzystwo.

– Widziałeś tę gorącą laskę? – szepnął Briatore do ucha Nicolasowi wychodzącemu z kuchni z talerzami.

– Normalnie chodzący seks – wyszeptał Dron Nicolasowi do drugiego ucha. Maharadża wydłużył krok i wszedł na salę, bo gdyby został chwilę dłużej, penne z łososiem i kawiozem spadłyby na podłogę.

Do końca przyjęcia było jeszcze daleko. Czekano na występy ostatniego piosenkarza, który miał śpiewać przed brazylijskim baletem. Kilku gości, stojąc na krzesłach, skandowało tytuł jego najbardziej znanej piosenki. Zza kurtyny, obowiązkowo fioletowej, zamiast piosenkarza wybiegł Alvaro z powiewającą z jednej strony głowy „pożyczką” włosów. Rzucił się do stołu, przy którym siedział Copacabana.

– Gliny! Uciekaj! – I zniknął tam, skąd wybiegł, potrafiwszy wcześniej jednego ze stojących na krzesłach gości, który spadł na podłogę. Nikt nie docenił efektu komicznego tego incydentu. Około dwudziestu policjantów w cywilu wpadło jednocześnie przez czworo drzwi wejściowych, żeby nikt nie mógł uciec. Coś nie zadziałało w systemie ostrzegania, być może któraś z kamer umknęła uwadze Copacabany albo karabinierzy dostali cynk od swoich informatorów i przemieścili się po dachach, omijając czujki. Alvaro pewnie ich zauważył, kiedy tasował karty. Karabinierzy przechodzili między stolami, a po chwili idealnej ciszy, jaka zapadła po ich wtargnięciu, goście coraz głośniejsze zaczęli szeptać między sobą. Copacabana prześliznął się do małej sceny. Spiorunował wzrokiem perkusistę, który bez słowa oddał mu swoje miejsce. Usiadł z pałeczkami w rękach i obserwował karabinierów, aresztujących parę z rodziny Faella. Szarpanina, krzyki, groźby. Wiecznie powielany scenariusz, który zawsze miał taki sam finał – kajdanki. Para miała z sobą małe dziecko, powierzyli je żonie Copacabany, bez jednego słowa wkładając jej niemowlę w ramiona. Jeszcze tylko całus na czole dziecka i – do zobaczenia. Kiciuś, który aż do tej chwili siedział z założonymi

ramionami, nagle wstał i powiedział:

– Brawa dla inspektora! Psuje moje wesele, bo chce się dostać na pierwsze strony gazet.

Wszyscy zaczęli klaskać, także aresztowani, połączeni kajdankami z funkcjonariuszami, wykonywali ruchy, które miały świadczyć o ich aprobachie dla tych słów. Karabinierzy działali na pewniaka, nie żądali nawet dokumentów od pary aresztowanych. Oprócz nich zabrali z sobą jeszcze kilka osób, które na okazję przyjęcia weselnego przerwały areszt domowy. Tymczasem w Copacabanie obudziła się nadzieja, że nie przyszli po niego. Były tu o wiele grubsze ryby. Odłożył pałeczki i odetchnął głębiej.

– Sarnataro Pasquale! Czyżbyś zaczął grać na perkusji?

Dowódca karabinierów szedł między gośćmi w kierunku sceny. Nie musiał dawać wskazówek podwładnym.

Kiedy Copacabana leżał już na podłodze, przyciśnięty kolanem jednego z funkcjonariuszy, zwrócił się do Diega Faelli:

– Kiciuś, nic się nie martw. Na chrzest twojego dziecka będę z powrotem.

Chłopcy przyglądali się tej scenie zdrętwiali ze strachu. Tace i talerze dzwoniły im w rękach.

– Widziałeś? Mówiłem, że to głupota, żeby się tutaj pokazywać – powiedział Nicolas do Agostina.

Obława obławą, ale impreza musi trwać dalej. Chciała tego przede wszystkim panna młoda, to miał być jej dzień i nie pozwoliła, żeby aresztowania go zepsuły. Tak więc Nicolas i inni wrócili do pracy, jakby nic się nie stało. Na scenę wyszedł ostatni piosenkarz, po nim brazylijskie tancerki. Ale o północy było już po imprezie. Goście nie mieli nastroju do zabawy. Poza tym nowożeńcy musieli wstać wcześniej rano, żeby zdążyć na samolot do Brazylii. Copacabana pomyślał także o ich podróży poślubnej, mieli mieszkać w jego hotelu.

Młodzi kelnerzy poszli do kuchni, żeby się przebrać. Nie mogli się doczekać, żeby zdjąć z siebie uniformy i wziąć wypłatę. Zapracowali

sobie na nią. Nicolas był rozczarowany wesełną imprezą. I owszem, zobaczyli tu przepych, zobaczyli ostentację, zobaczyli ludzi, którzy mają władzę. Ogromną władzę. Ale spodziewał się czegoś więcej, myślał, że wśród gości będą krążyć tace z kokainą, a zamiast tego zobaczył, jak podawali sobie z rąk do rąk worki z juty, kupione pewnie na wyprzedazy, w których zbierano datki na rodziny kamorystów odsiadujących wyroki w więzieniach. Dzwoniło w nich i szeleściło, Nicolas słyszał to wyraźnie, kiedy przechodził obok, i miał wtedy ochotę złapać za jeden z nich i uciec ze zdobyczą. Oni tego wieczoru nie zarobili ani centa, nie dostawali napiwków i w końcu nie dostali też wypłaty. Wyszli z restauracji jedynie z wypchaną rybą-kulą z kolcami, pamiątką, którą nowożeńcy obdarowali gości. Nikt nie potrafił odgadnąć sensu tego upominku. Nicolas chciał zanieść rybę do domu, na dowód, że wieczór naprawdę spędził w pracy. Ojciec, w odróżnieniu od matki, nie uwierzył w jego kelnerowanie.

Właściwie było jeszcze wcześniej, więc Nicolas, Ząbek i Briatore weszli do baru z automatami do gry. Ten lokal był zawsze otwarty, nawet w Boże Narodzenie. W środku siedzieli już wszyscy Kudłacze: White, Carlito's Way, Kukuryku, Misiu Ted i Dziki. Był też Alvaro, który zniknął w momencie obławy. Chciał się pożegnać z chłopcami przed powrotem do więzienia.

– Alvaro, przyszedłeś, żeby nam zapłacić? – zapytał Nicolas.

Copacabana wrócił do Poggioreale, co skomplikowało sytuację, ale Nicolas nie zamierzał rezygnować z zarobionych pieniędzy. Obiecano im sto euro na głowę za dwanaście godzin pracy. Gdyby w tym samym czasie rozprawdzali narkotyki, zarobiliby dziesięć razy więcej.

– I po co uczciwie pracować? Tylko kretyni pracują – stwierdził White. Stał schylony nad stołem z piłkarzykami. Był jeszcze pod wpływem narkotyków.

– To prawda – przyznał mu rację Ząbek.

– Kto pracuje, jest kretynem.

– A niby co? Czy my nie pracujemy od rana do wieczora? – wtrącił się Briatore.

– Masz rację, jesteśmy zawsze w ruchu, na ulicy. Ale to nie jest prawdziwa praca – powiedział Nicolas. – Pracują kretyni i niewolnicy. Poza tym my w trzy godziny zarabiamy tyle, co mój ojciec w ciągu miesiąca.

– Niekoniecznie... – zaproponował White.

– Ale tak będzie – zapewnił go Nicolas. Mówił to bardziej do siebie niż do kolegów. I rzeczywiście, nie brali jego słów na poważnie, tym bardziej że skupili się na czym innym. Patrzyli na White'a, który wyrównywał kreski kokainy na brzegu stołu do gry w piłkarzyki.

– Chcecie po niuchu, chłopaki? – zapytał.

Nicolas i jego koledzy patrzyli jak zaczarowani na biały proszek. Widzieli go oczywiście nie po raz pierwszy, ale po raz pierwszy mieli go w zasięgu ręki. Wystarczyło zrobić jeden krok, opuścić głowę i wciągnąć mocno przez nos.

– Dzięki, brachu – powiedział Briatore. Wiedział, co trzeba zrobić, tak jak inni. Stanęli w kolejce i jeden za drugim wzięli udział w bankiecie.

– Chodź, Alvaro, wciągnij sobie – zaproponował White.

– O nie! Nie chcę tego świństwa. Zresztą muszę wracać do więzienia.

– Dobrze, zawieziemy cię. Jest późno.

Na zewnątrz stał zaparkowany czarny SUV White'a. Wyglądał, jakby dopiero co wyjechał z salonu samochodowego. Nicolas, Ząbek i Briatore też zostali zaproszeni na przejażdżkę. Zgodzili się z radością. Jeden niuch koki sprawił, że zmęczenie minęło bez śladu. Czuli się świetnie, gotowi na wszystko.

White obejmował ramieniem plecy Alvara.

– Podoba ci się ten samochód? – zapytał, na co Alvaro odpowiedział:

– Tak, jasne! – Zajął miejsce z przodu, chłopcy usiedli z tyłu.

SUV zdawał się płynąć ulicą. White prowadził bezbłędnie, mimo że był naćpany. A może właśnie dlatego. Droga do Poggioreale prowadziła wśród światełek, które przypominały Nicolasowi gwiazdy po wielkim wybuchu – widział je kiedyś w książce z fizyki. A zaraz potem to się stało.

Samochód gwałtownie zahamował i skręcił w ostatniej chwili w nieutwardzoną drogę. Chwilę później jeszcze jedno ostre hamowanie i SUV stanął. Trzej chłopcy na tylnych siedzeniach musieli złapać się rękami za oparcia przednich foteli, żeby uniknąć uderzenia. Kiedy siła bezwładu odrzuciła ich do tyłu, zobaczyli w przeblysku światła pistolet w ręce White'a, widzieli, jak ta ręka wyciąga się w kierunku Alvara, a palec wskazujący naciska dwa razy spust. Bum, bum. Głowa Alvara jak eksplodujący balon, kawałek czaszki na szybie bocznego okna, kawałek na desce rozdzielczej i ciało, które sflaczało w jednej chwili, jakby uleciała z niego dusza.

– Dlaczego?! – zapytał Nicolas. W jego głosie bardziej niż zaskoczenie i protest dało się usłyszeć czystą ciekawość. Ząbek i Briatore siedzieli jeszcze nieruchomo, z rękami przyciśniętymi do uszu, i wpatrywali się szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami w miękką miazgę rozbryzganą na kierownicy, a Nicolas już reagował. W odróżnieniu od Alvara miał mózg na swoim miejscu, i to mózg, który znakomicie funkcjonował. Chciał poznać powód egzekucji Alvara, chciał wiedzieć, czym ten zasłużył sobie na śmierć i dlaczego White zabrał ich z sobą na tę akcję – czy to miała być dla nich próba, nagroda czy też może ostrzeżenie?

– Copacabana mi powiedział, żebym to zrobił.

Teraz światła wokół nich nabrały fioletowego odcienia, takiego jak kolor, który królował na weselu. Do pomocy w pozbyciu się ciała swojego pasażera White powinien zabrać chłopców ze swojej paranzы, a zabrał ich. Dlaczego? Bo byli jeszcze dziećmi? Bo byli nienotowani? Bo byli nikim?

– Kiedy ci to powiedział?

– Powiedział tak: „Pozdrów ode mnie Pierina, tego, który najlepiej dzisiaj zaśpiewał”. Powiedział mi to, kiedy go zaarrestowali.

– Ale kiedy ci to powiedział? – Nicolas powtórzył pytanie, bo z odpowiedzi White'a dotarł do niego tylko dźwięk, nie zrozumiał jej sensu.

– Kiedy go zaarrestowali, przecież ci mówię. Pomóż mi, sprzątniemy

to paskudztwo.

Krew, która trysnęła do góry, kapiała teraz z sufitu samochodu na puste siedzenie. Ząbek i Briatore nie opuścili rąk nawet wtedy, gdy SUV ruszył w powrotną drogę. White prowadził pewnie, tak samo jak przedtem. Chłopcy nie słuchali jego chaotycznego gadania, że Alvaro powinien mieć porządny pogrzeb, że nie mogą go wyrzucić na wysypisko śmieci i że trzeba się zorganizować na nowo bez Copacabany. Muszą wszystko przemyśleć, na nowo uregulować. White nie przestawał mówić. Gadał i gadał, nie przerywał nawet wtedy, gdy hamował przed znakiem STOP, ciało Alvara w bagażniku uderzało o blachę i ten odgłos przez chwilę zagłuszał jego słowa.

W barze rozstali się bez pożegnania, każdy wsiadł na swój skuter i pojechał do swojego domu. Nicolas utrzymywał prędkość, przy której nie musiał się koncentrować na prowadzeniu. Zajmował środek ulicy, jedną rękę trzymał na kierownicy, w drugiej miał skręta, którym poczęstował go White, zanim i on zniknął w ciemności. Co teraz będzie? Dalej będą rozprowadzać narkotyki? Dla kogo? Poczul zapach morza i przez chwilę miał ochotę zostawić wszystko, pojechać na plażę i popływać. Zaraz jednak mrugające pomarańczowe światło sygnalizacji przywróciło go do rzeczywistości. Dodał gazu i przejechał przez puste skrzyżowanie. Alvaro się nie liczył. Źle skończył, ale jego los i tak był już przesądzony. Ale Copacabanę też złapali jak jakiegoś gamonia, nawet nie próbował walczyć, schował się za perkusją. To żałosne. Tyle gadania: Albania, Brazylia, góry pieniędzy, śluby jak z bajki, a potem kończy jak kompletny safandula, jak pierwszy lepszy doliniarz. Nie, on tak nie skończy. Lepiej umrzeć, walcząc. Trzymać się zasady, którą Śnięta Ryba wytatuował sobie na przedramieniu: *Get Rich or Die Tryin'*.

Nicolas znów dodał gazu i spaliny pokryły zapach morza. Zaciągnął się głęboko i zdecydował, że musi mieć pistolet.

Chiński rewolwer

Śnięta Ryba od razu zaproponował, że odwiedzi Copacabanę w więzieniu. Mieli do niego wiele pytań, potrzebowali wiele odpowiedzi. Co się teraz z nimi stanie? Kto zajmie wolny tron w Forcelli? Nicolas czuł się tak samo jak w dzieciństwie, kiedy skakał do morza ze skał na Lido Mappatella. Wiedział, że kiedy już będzie w powietrzu, strach minie, ale przed skokiem nie potrafił opanować drżenia nóg. Dokładnie tak samo nogi drżały mu teraz, ale bardziej z ekscytacji niż ze strachu. Miał właśnie wykonać skok na głęboką wodę życia, o którym zawsze marzył, ale najpierw chciał poznać dyrektywy Copacabany.

Kiedy Śnięta Ryba wrócił z więzienia, chłopcy czekali na niego w tym samym co zawsze barze z automatami do gry. Nicolas szybko przerwał koledze opowiadającemu o wrażeniach z sali widzeń z drewnianym stołem i niską szybą, która tylko częściowo oddzielała więźnia od odwiedzających.

– Czułem nawet oddech Copacabany. Śmierdział jak ścieki, mówię wam, chłopaki.

– Dobrze, dobrze. Ale co ci powiedział?

– Już ci mówiłem, Maharadża. Mamy być cierpliwi. Jesteśmy dla niego jak własne dzieci. Mamy się o nic nie martwić.

– A potem? Co ci jeszcze powiedział? – dopytywał Nicolas. Chodził nerwowo po prawie pustym barze. Przy jednym ze slotów drzemał tylko jakiś starszy mężczyzna, barman nie stał za kontuarem, zniknął w kuchni.

Śnięta Ryba obrócił czapkę daszkiem do tyłu, jakby myślał, że to daszek przeszkadza Nicolasowi zrozumieć jego słowa.

– Maharadża, czego ty jeszcze ode mnie chcesz? Niech mi matka umrze, jeśli powiedział coś więcej. Siedział i na mnie patrzył. A potem

tylko: „O nic się nie martwcie”. I jeszcze mówił, że zapłaci za pogrzeb Alvara, bo to był porządny facet. Na koniec wstał i powiedział, że klucze do Forcelli są w naszych rękach. Czy coś w tym stylu.

Nicolas zatrzymał się pośrodku baru. Nogi przestały mu drżeć.

Nicolas i Tukan spotkali się tylko we dwóch na pogrzebie Alvara. Oprócz nich uczestniczyła w nim pewna starsza kobieta, jak się okazało – matka Alvara, i inna, w minispódniczce, z ciałem dwudziestolatki i twarzą, na której pozostawili ślady wszyscy jej klienci. Była to jedna z rumuńskich prostytutek posyłanych do Alvara przez Copacabanę, która widocznie żywiła do niego ciepłe uczucia, jeżeli stała teraz z chusteczką w ręce przy jego trumnie.

– Giovanni Battista, Giovanni Battista! – zawodziła matka, wsparta o tę drugą kobietę, która wprawdzie była kurwą, ale przynajmniej miała jakieś ludzkie uczucia dla jej nieszczęsnego syna.

– Giovanni Battista? – zdziwił się Tukan – Miał tak ważne imiona? I taką głównianą śmierć...

– Bo White to gnojek – powiedział Nicolas i przez chwilę próbował połączyć obraz rozbryzganego mózgu Alvara i kobiety o masywnych nogach przy jego trumnie. Zabolał go marny koniec Alvara, choć właściwie nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że ten biedak zawsze traktował ich poważnie, a dla Nicolasa miało to znaczenie. Nie wysiedzieli do końca ceremonii, wyszli z kościoła z myślami już bardzo dalekimi od tego miejsca.

– Ile masz forsy przy sobie? – zapytał Nicolas.

– Mało. Ale w domu mam trzysta euro.

– Bardzo dobrze. Ja dzisiaj wziąłem z sobą czterysta. Idziemy kupić pistolet.

– A gdzie niby go kupimy?

Zatrzymali się na stopniach kościoła, bo to była ważna sprawa i należało ją załatwić, patrząc sobie w oczy. Nicolas nie miał jeszcze konkretnego planu, wiedział tylko tyle, ile wygrzebał w internecie. Potrzebował pistoletu, który w razie potrzeby mógłby wyciągnąć

z kieszeni.

– Słyszałem, że Chińczycy sprzedają stare spluwy.

– Przecież Kudłacze mają znajomości. Nie możemy poszukać czegoś odpowiedniego przez nich?

– Nie, nie możemy. Oni należą do Systemu. Zaraz powiadomiliby Copacabanę w więzieniu. W jednej chwili dowiedziałby się o wszystkim i nie dałby nam pozwolenia, powiedziałby, że nasz czas jeszcze nie nadszedł. A Chińczycy nie mieszają się do Systemu.

– A kto powiedział ludziom White’a, że nadszedł ich czas? Sami go sobie wzięli. I my też tak musimy zrobić. Kto nam zabroni?

Nicolas pomyślał, że tak głupie pytanie mógł zadać tylko ktoś, kto nic nie rozumie i nigdy nie zdoła sobie nikogo podporządkować. Są tylko dwa rodzaje czasu, w takim sensie, w jakim myślał o nim Nicolas, nie ma nic pośrodku. Przychodziła mu często na myśl pewna od dawna krążąca po Forcelli historia, jedna z tych, które balansują na granicy prawdy, ale których nikt nie podaje w wątpliwość i które z biegiem lat wzbogacają szczegóły podkreślające puentę. Była to historia pewnego chłopaka, znanego z tego, że miał bardzo duże stopy. Podeszło kiedyś do niego dwóch innych, pytając o godzinę.

– Wpół do piątej – odpowiedział chłopak.

– Która godzina? – ponowili pytanie, a on powtórzył swoją odpowiedź.

– Czy to godzina, żebyś się zaczął rządzić? – zapytali i zastrzelili go na środku ulicy. Ta historia nie miała większego sensu, ale Nicolas wyciągnął z niej lekcję. Dla tych, którzy chcą mieć władzę, jest czas, kiedy muszą działać, reagować natychmiast, żeby pokazać, kto rządzi. I jest też czas w zastoju, nie mniej ważny, nawet jeżeli spędza się go za kratkami, kiedy można sprawić, że władza rośnie. On sam musi zdecydować, na jakim etapie się znajduje. Stwierdził, że to jeszcze nie jego czas. Nie może na razie egzekwować władzy, musi ją sobie najpierw zbudować.

Nicolas nie odpowiedział ani słowem na pytanie Tukana i wskoczył na skuter. Tukan wyczuł, że chlapnął coś głupiego, nic już nie

powiedział i usiadł na siodełku za nim. Pojechali do jego domu po pieniądze, a potem prosto do miejscowego Chinatown, wyrosłego w dzielnicy Gianturco.

Trudno właściwie nazwać dzielnicą tę część Neapolu, w której przeważają w większości opuszczone zabudowania przemysłowe, zamknięte na głucho puste magazyny z zardzewiałymi żaluzjami i składy chińskich towarów – jedyne kolorowe akcenty w tym szarym otoczeniu. Gianturco, wyraz, który w języku włoskim brzmi podobnie jak *granturco*, czyli „kukurydza”, i kojarzy się nie tylko z Orientem, ale i z żółcią i zielenią pól uprawnych, w rzeczywistości jest nazwiskiem ministra nowo zjednoczonych Włoch, Emmanuele Gianturca, który uważał, że prawa obywatelskie są gwarancją sprawiedliwości. Ten jurysta i mąż stanu został patronem zdegradowanej, przesyconej chemicznym smrodem przestrzeni miejskiej. Kiedyś była to świetnie prosperująca dzielnica przemysłowa, ale Nicolas widział ją zawsze w takim stanie, w jakim znajdowała się obecnie. Bywał tu często w dzieciństwie, gdy grał w piłkę nożną w drużynie przy parafii Matki Zbawiciela. Zaczął w wieku sześciu lat razem z Briatorem, jeden grał w ataku, drugi stał w bramce. Aż do pamiętnych rozgrywek drużyn młodzików działających przy kościołach, w których sędzia w ewidentny sposób faworyzował drużynę ich adwersarzy z parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa. Grali w niej synowie czterech radnych miejskich. W jednym z meczów Briatore zdołał obronić karny strzelony przez chłopca z drużyny przeciwnej, ale sędzia tego nie uznał, bo stwierdził, że Nicolas opuścił linię przed gwizdkiem. To była prawda, ale kto to widział, żeby tak się czepiać w meczu między parafiami! Sędzia mógł przymknąć oko, przecież grały dzieci, to była tylko zabawa. Krótco potem sytuacja się powtórzyła: Briatore obronił rzut karny, ale Nicolas wbiegł przed gwizdkiem w pole karne i sędzia ponownie kazał powtórzyć strzał. Przy trzecim karnym wszystkie oczy były zwrócone na Nicolasa, który tym razem w ogóle się nie ruszył, ale piłka wylądowała w bramce.

Giacomo Capasso, ojciec Briatorego, z zawodu geodeta, wszedł na

boisko zwyczajnym u niego wolnym krokiem, z tą samą co zawsze niewzruszoną twarzą. Spokojnie włożył rękę do kieszeni, wyjął nóż sprężynowy i przeciął piłkę. Potem, nie okazując najmniejszego zdenerwowania, oszczędnym ruchem zamknął ostrze noża i schował go z powrotem do kieszeni. Gdy podniósł wzrok, miał przed sobą czerwoną ze złości twarz sędziego, który kłął na czym świat stoi. Chociaż Capasso był niski, widać było, że dominuje nad arbitrem. Powiedział sędziemu: „Bydlak z ciebie”. Nic więcej. Rozpruta piłka na murawie była sygnałem dla rodziców młodych piłkarzy i dla innych kibiców do inwazji na boisko. Wszyscy krzyczeli, kilkoro dzieci się popłakało.

Geodeta wziął syna oraz Nicolasa za ręce i wyprowadził ich z boiska. Nicolas czuł się bezpieczny, gdy jego rękę ścisnęła dłoń, która jeszcze przed chwilą trzymała nóż. Czuł się ważny, bo prowadził go tak stanowczy człowiek.

Ojciec Nicolasa natomiast bardzo się zdenerwował. Oburzyła go scena, do jakiej doszło przy dzieciach na parafialnym boisku, ale nie stać go było na to, żeby skrytykować ojca Briatorego. Przejął od niego syna na skraju boiska i tyle. Po powrocie do domu powiedział tylko do żony:

– On już nie będzie grał w piłkę.

Nicolas poszedł spać bez kolacji. Nie dlatego, jak myśleli rodzice, że żał mu było opuścić drużynę, ale dlatego, że wstydził się za ojca, który nie potrafił zdobyć u ludzi szacunku, który był nikim.

Na tym skończyła się kariera piłkarska Nicolasa i Briatorego. Nigdy już nie przyszła im ochota, żeby potrenować. Tylko od czasu do czasu kopali piłkę na ulicy, tak sobie, dla zabawy.

Nicolas i Tukan zaparkowali skuter przed chińskim magazynem pękającym w szwach od zebranego w nim towaru. Zdawało się, że ściany za chwilę zawała się pod naporem półek sięgających sufitu i zapchanych najróżniejszymi przedmiotami. W tym ogromnym sklepie można było kupić dosłownie wszystko: lampy, narzędzia do

majsterkowania, przybory do pisania, ubrania, zabawki, petardy, wyblakłe na słońcu paczki z herbatą i z ciastkami, pieluszki, ekspresy do kawy, odkurzacze, ramki do obrazków, a nawet kilka skuterów na części. Nie dałoby się znaleźć jakiegoś racjonalnego kryterium doboru i ustawienia wszystkich tych przedmiotów. Jedyłą regułą mogła być oszczędność miejsca.

– *Sti cinise c’ann cumbinat, tutta Napule s’ann pigliat, poco ci manca e pure ‘o persone l’amm a pavà.* – Nucąc piosenkę Pina d’Amato o Chińczykach, którzy zalali Neapol, Tukan nacisnął dzwonek, który oznajmił przybycie nowych klientów.

– To wszystko prawda – Nicolas zgodził się ze słowami piosenki. – Niedługo naprawdę będziemy musieli płacić czynsz Chińczykom, żeby móc tu mieszkać.

Szli korytarzem między półkami z towarem, gdzie trzech chłopców starało się powtykać jeszcze jakieś przedmioty, przy czym jeden z nich wspinał się z ryzą papieru w ręce po chwiejącej się drabinie.

– Kto ci powiedział, że w tym magazynie sprzedają broń?

– Dowiedziałem się na czacie w internecie.

– Tak po prostu?

– Tak. Dowiedziałem się, że tu można kupić wszystko. Mamy pytać o Hana.

– Myślę, że zarabiają więcej niż my – powiedział Tukan.

– Jasne. Ludzie kupują więcej żarówek niż trawki.

– Ja, gdybym mógł, to kupowałbym tylko trawkę. Po co mi żarówki?

– Bo masz zadatki na ćpuna – zaśmiał się Nicolas i objął ramieniem plecy kolegi. Potem zwrócił się do jednego ze sprzedawców:

– Szukamy Hana.

– Czego chcecie? – zapytał sprzedawca, posługując się czystym dialektem neapolitańskim. Chłopcy wpatrywali się przez dłuższą chwilę w Chińczyka i nie zauważyli, że ruch w magazynie zamarł. Nawet chłopak stojący na szczycie drabiny znieruchomiał i patrzył na nich teraz z góry, z ryzą papieru w ręce.

– Czego chcecie? – powtórzył Chińczyk. Nicolas miał właśnie

powtórzyć, że szukają Hana, gdy siedząca za kasą przy wejściu tęga Chinka w średnim wieku zaczęła krzyczeć:

– Wynocha stąd! Już, wynoście się!

Nawet nie podniosła się z fotela, na którym siedziała pewnie przez cały dzień i inkasowała pieniądze. Ze swojego miejsca Nicolas i Tukan widzieli tylko górną połowę grubaski z nastroszonymi włosami i w kwiecistej bluzce, która gwałtownymi gestami dawała im do zrozumienia, że natychmiast powinni wrócić tam, skąd przyszedli.

– Ale proszę pani, co się stało? – Nicolas próbował poznać przyczyny jej dziwnej reakcji, kobieta nie przestawała jednak krzyczeć „Wynocha!”, a pracownicy magazynu, którzy dotąd byli rozproszeni między półkami, otoczyli ich ciasnym kręgiem.

– Cholerni Chińczycy! – wściekał się Tukan, ciągnąc za sobą Nicolasa do wyjścia. – Mówiłem ci, że to idiotyzm, żeby dowiadywać się o takie rzeczy na czacie.

– Skurwysyny. Niech mi matka umrze, jeżeli nie wypieprzymy ich, jak tylko zaczniemy tu rządzić. Wypieprzymy wszystkich! Tych Chińczyków jest więcej niż mrówek – odgrażał się Nicolas i dla podkreślenia swoich słów walnął ręką w figurkę kota, która stała na udającej antyk komódce przy samym wyjściu. Kot pofrunął aż do jednej z kas i uderzył w czytnik cen, ale rozzłoszczona kobieta tylko wykrzykiwała dalej to samo ze swojego kantorka.

Kiedy wsiadali na skuter, Tukan wciąż powtarzał, że od razu wydało mu się to dziwne. Ruszyli w kierunku ulicy Galilea Ferrarisa, chcąc znaleźć się jak najszybciej z dala od Chinatown. Nie załatwili sprawy.

Ujechali kilkadziesiąt metrów, kiedy zauważyli, że ktoś śledzi ich na motocyklu. Przyśpieszyli, ale kierowca motocykla też wcisnął gaz. Zaczęli pędzić z największą prędkością, żeby szybko dotrzeć do ulicy prowadzącej do placu Garibaldiego i tam zgubić się wśród innych pojazdów. Jechali zygzakiem między samochodami i autokarami, między vespami i pieszymi. Tukan co chwila się odwracał, kontrolując odległość od śledzącego ich motocykla i starając się odgadnąć intencje kierowcy. Był to Chińczyk w nieokreślonym wieku; nie poznawał jego

twarży, ale nie zauważył na niej złości. W pewnym momencie motocyklista zatrąbił i ruchem ręki polecił im zatrzymać się na poboczu. Wjechali w ulicę Arnaldo Lucciego i stanęli kilka metrów przed wjazdem w rejon centralnego dworca kolejowego, gdzie znajdowała się granica między chińską dzielnicą a neapolitańską kasbą. Motocyklista zatrzymał przy nich swój pojazd. Chłopcy patrzyli na delikatne ręce Chińczyka, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy sięgnąć po nóż albo po coś gorszego. Tymczasem Chińczyk wyciągnął do nich jedną z nich i się przedstawił:

- Jestem Han.
- Aaa! To ty? A czemu twoja mamuśka wyrzuciła nas ze sklepu?
- To nie jest moja matka.
- Może i nie, ale jesteś do niej bardzo podobny.
- Czego szukacie? – zapytał Han, unosząc lekko brodę.
- Dobrze wiesz, czego szukamy.
- No to jedźcie za mną.
- Dokąd nas chcesz zaprowadzić?
- Do mojego garażu.
- W porządku.

Obaj skinęli głowami i podążyli posłusznie za nim. Musieli zawrócić, a w Neapolu zmiana kierunku może oznaczać zakorkowanie się w ruchu ulicznym na kilka godzin. Ale Chińczyk ani myślał okrążyć placu, chłopcy zaś wykorzystali wolną przestrzeń przeznaczoną dla pieszych między dwiema betonowymi ścianami i wyjechali pod hotelem Terminus. Stamtąd włączyli się ponownie do ruchu na arterii Galilea Ferrarisa, a potem skręcili w lewo do Gianturco.

Po kilku następnych skrętach Nicolas i Tukan zorientowali się, że są na ulicy Brin. Kolory i miejskie hałasy zostały za nimi. Szaro i cicho, po prawej i lewej stronie na opuszczonych magazynach i wejściach do nieczynnych warsztatów wisiały ogłoszenia zachęcające do wynajęcia wolnych pomieszczeń. Han zatrzymał się przed jedną z bram. Dał im znać ruchem głowy, żeby weszli za nim do środka, dla pewności razem ze skuterem. Znaleźli się na wewnętrznym podwórku,

z którego wchodziło się do kilku magazynów. Kilka było nieczynnych, inne wypełniały skrzynie i kartony. Poszli za Hanem do garażu służącego za skład towarów, podobnego do wszystkich innych, tyle tylko, że panował w nim idealny porządek. Były tam przede wszystkim zabawki, bardziej i mniej udane podróbki znanych marek. Rzędy kolorowych półek ze wszystkim, czego dzieci mogą zapragnąć. Jeszcze kilka lat wcześniej chłopcy poczuliby się tam jak w raj.

– I w ten sposób odkryliśmy, że skrzaty Świętego Mikołaja są Chińczykami.

Han się roześmiał. Dla nich niczym nie różnił się od innych pracowników sklepu, który odwiedzili wcześniej. Może stał między nimi, kiedy otoczyli ich przy kasie. Być może razem z innymi śmiał się z tych dwóch dzieciaków, które go szukały.

– Ile możecie wydać?

Mieli więcej, ale zaczęli od niskiej sumy:

– Dwieście euro.

– Za dwieście euro nie warto było wsiadać na motocykl. Nie mam nic w takiej cenie.

– W takim razie chyba sobie pójdziemy. – Tukan udał, że zamierza wyjść z garażu.

– Ale jeżeli możecie wysupłać coś więcej, pokażę wam, co mógłbym wam zaproponować.

Przesunął kilka pudełek z plastikowymi karabinkami, lalkami i wiaderkami do piasku i wyciągnął dwa pistolety.

– To rewolwer firmy Francotte.

– O matko! Strasznie ciężki!

To był bardzo stary rewolwer, kaliber osiem milimetrów. Mogła się w nim podobać tylko drewniana kolba ze śladami długiego używania, gładka jak kamień oszlifowany przez wodę. Wszystko inne – lufa, cyngiel, magazynek – było szare, bez śladu połysku, za to z plamami, po których na pierwszy rzut oka było widać, że nie usunie ich nawet najstaranniejsze czyszczenie. Francotte wyglądał jak broń zakopana w czasie wojny albo co gorsza – jak rewolwery ze starych westernów,

które zacinają się przy co drugim strzale. Ale dla Nicolasa nie miało to znaczenia. Poglądził kolbę, potem zacisnął palce na lufie, podczas gdy Han i Tukan dalej dyskutowali.

– Rewolwer działa dobrze. Przywieźli mi go z Belgii. To belgijska broń. Mogę ci go dać za tysiąc euro – zaproponował Han.

– Wygląda jak kolt – zauważył Tukan.

– To krewniak kolta.

– Czy to w ogóle strzela?

– Strzela, ale ma tylko trzy naboje.

– Chcę spróbować. Jak nie, to nie kupię. I musisz obniżyć cenę do sześciuset euro.

– Jeżeli go opchnę jakiemuś kolekcjonerowi, dostanę pięć tysięcy. Bez dwóch zdań – powiedział Han.

Tukan postanowił uciec się do pogroźki:

– Tak, ale od kolekcjonera nie możesz się spodziewać, że jeżeli mu go nie sprzedasz, podpali ci magazyn albo doniesie na ciebie i skończysz w kiciu.

Han z niezachwianym spokojem zwrócił się do Nicolasa:

– Przeprowadziłeś z sobą wściekłego psa? Musi tak ujadać?

Tukan zareagował jeszcze groźniej:

– Gadaj tak dalej, a zobaczysz, czy tylko ujadamy. Co ty myślisz, że nie jesteśmy w Systemie?

– Nic mi nie zrobisz, bo cię przymkną!

– Kogo przymkną? Mnie?

Po każdym zdaniu odległość między Tukanem a Chińczykiem się zmniejszała, aż w końcu Nicolas przerwał tę rozmowę krótkim:

– Zamknij się, Tukan.

– Wiecie, co wam powiem? Wkurzyliście mnie. Wynoście się. Jak nie, to wypróbuję ten rewolwer na was – powiedział Han. Teraz on był górą, ale Nicolas nie zamierzał posuwać się ani kroku dalej. Zdecydował się postawić swoje warunki:

– Spokojnie, spokojnie. Moglibyśmy kupić tę spluwę, ale musimy mieć pewność, że strzela.

– Masz, spróbuj. – Chińczyk włożył chłopcu broń do ręki. Nicolas nie umiał nawet wyjąć magazynka, żeby go naładować. Próbował kilka razy, ale bezskutecznie.

– Co to za cholerstwo? Jak to działa? – powiedział i podał broń Hanowi, nie ukrywając zawodu.

Han wziął do ręki rewolwer i od razu wystrzelił. Bez przygotowania, bez celowania. Nicolas i Tukan aż podskoczyli w reakcji na niespodziewany wystrzał. Zawstydzili się tego niekontrolowanego odruchu.

Pocisk urwał głowę lalce siedzącej na jednej z najwyższych półek, ale jej różowy korpus pozostał w niezmienionej pozycji. Han miał nadzieję, że nie zażądatają, żeby powtórzył strzał.

– Ale po co nam taka stara spluwa? – zapytał Tukan.

– Na razie nie mam nic innego. Jak chcecie, to bierzcie, jak nie, to nie.

– Bierzemy – zdecydował Nicolas – ale sam najlepiej wiesz, że to szmelc, więc dasz nam tę spluwę za pięćset euro.

Nicolas zabrał rewolwer do domu. Włożył go sobie za gumkę majtek. Miał wrażenie, że skierowana w dół lufa go parzy. Przeszedł swobodnym krokiem przez korytarz wyłożony jasnymi płytkami. Ojciec czekał na niego w jadalni.

– Zjemy kolację sami. Matka wróci później.

– Wporzo.

– Co to za „wporzo”? Jak ty mówisz?

– Mówię, jak mówię.

– Kiedy piszesz, lepiej ci to wychodzi.

Ubrany w kraciastą koszulę ojciec siedział u szczytu stołu. Patrzył na ruchy chłopca, nie poznawał własnego dziecka. Jadalnia była niewielka i skromnie, ale gustownie urządzona. Za szkłem kredensu były szklanki i kieliszki na specjalne okazje, na stole obrus z deseniem w rybki i pamiątka z podróży do Umbrii – zwykle pełna owoców misa z ceramiki z Deruty, na podłodze spłowiałe kilimy. Wszystko razem

tworzyło miłą atmosferę. Może tylko przesadzili trochę z lampami, ale był to efekt kompromisu między tradycją (żyrandol z wisiorkami) a nowoczesnością (lampa stojąca). Mena chciała, żeby jej mieszkanie było jasne, mężowi aż tak bardzo na tym nie zależało. Książki stały na półkach w korytarzu i w saloniku.

– Zawołaj brata i przyjdźcie do stołu.

Nicolas nie ruszył się z miejsca, zawołał tylko głośno:

– Christian!

W ojcu zawrzała gniew, ale Nicolas w ogóle się tym nie przejął. Zawołał brata jeszcze raz, trochę ciszej. Christian przyszedł od razu, w krótkich spodenkach i białej koszulce, z szerokim uśmiechem, który rozświetlał mu twarz, i usiadł do stołu, szurając głośno krzesłem po podłodze.

– Christian, nie szuraj, wiesz, że mama tego nie lubi. Podnieś krzesło.

Chłopczyk podniósł krzesło, kiedy już na nim siedział. Trzymał oczy utkwione w brata, który wciąż stał w tym samym miejscu, nieruchomy jak kamienna figura.

– Siadaj, panie Wporzo – powiedział ojciec, podnosząc pokrywkę z garnka. – Zrobiłem makaron ze szpinakiem.

– Makaron ze szpinakiem? A co, jesteśmy na Nisidzie?

– Skąd ty wiesz, co jedzą na Nisidzie?

– Wiem.

– On wie – potwierdził brat.

– Ty masz być cicho – powiedział do niego ojciec, podając mu napełniony talerz, i odezwał się do starszego syna: – Proszę, siadaj do stołu.

Nicolas usiadł przed talerzem z makaronem, z rewolwerem kupionym od Chińczyka przytrzymywanym gumką majtek.

– Co dzisiaj robiłeś? – zapytał ojciec.

– Nic – odparł Nicolas.

– Z kim byłeś?

– Z nikim.

Ojciec zatrzymał widelec z makaronem w pół drogi do ust.

– Co znaczy to „nic”? I kto to jest ten „nikt”? – Zadając te pytania, ojciec spojrzał na Christiana, jakby szukał w nim współnika. W tej samej chwili przypomniał sobie, że zostawił mięso na ogniu, wstał więc od stołu i zniknął w kuchni. Stamtąd dalej mówił do synów, chociaż chyba bardziej do siebie:

– Z nikim, słyszeliście go? Był „z nikim” i robił „nic”. A ja na to „nic” tyram od rana do wieczora! – To ostatnie zdanie powtórzył w jadalni, niosąc talerz z usmażonymi befsztykami. – Dzisiaj cały dzień tyrałem na to „nic”.

Nicolas wzruszył ramionami i rysował coś widelcem na stole.

– Teraz jedz – powiedział ojciec, bo zobaczył, że młodszy syn już ma pusty talerz, a starszy nawet nie tknął jeszcze makaronu.

– No to co robiłeś? Byłeś w szkole? I co, nikogo tam z tobą nie było? Pytali cię z historii? – zadawał pytanie za pytaniem, ale chłopak siedział z wymalowaną na twarzy grzeczną obojętnością, jak ludzie, którzy nie rozumieją języka, jakim inni się do nich zwracają.

– Jedz już – nalegał ojciec, na co wtrącił się młodszy syn:

– Nicò jest już duży!

– Duży? Jaki: duży! Masz być cicho! – uciszył Christiana ojciec. – A ty masz jeść! – zwrócił się do Nicolasa. – Zrozumiałeś? Przychodzisz do domu, siadasz do stołu i jesz jak normalny człowiek!

– Ale jeśli teraz zjem, to potem będzie mi się chciało spać i nie będę mógł się uczyć.

To spostrzeżenie Nicolasa złagodziło irytację ojca, spokojniejszym już głosem zapytał:

– Zamierzasz się potem uczyć?

Nicolas znał słabe punkty ojca. W szkole niektórzy nauczyciele mieli o nim wysokie mniemanie. Jego wypracowania, zwłaszcza na interesujące go tematy, nie miały sobie równych. De Marino, nauczyciel przedmiotów humanistycznych, powiedział to ojcu już na pierwszej wywiadówce:

– Pański syn ma talent. Jest świetnym obserwatorem i potrafi

w sposób oryginalny opisać to, co widzi. Jak by to ująć... Słyszysz odgłosy świata i znajduje odpowiedni język, by o nich opowiedzieć.

Ojciec Nicolasa przechowywał te słowa w sercu jak największy skarb i powtarzał je sobie za każdym razem, gdy zachowanie syna złościło go albo przygnębiało. Kiedy widział go nad książką, był zawsze gotowy puścić w niepamięć wszystko, co złe.

– Nie, nie będę się uczyć. Po co mam się uczyć? – Nicolas rozejrzył się wokół siebie, jakby po raz enty chciał się upewnić o nędzy tych czterech ścian, w których mieszka jego rodzina, nie mówiąc już o zdjęciu ojca w stroju gimnastycznym, z drużyną chłopców, którzy dziesięć lat wcześniej wygrali jakiś durny turniej siatkówki. Siatkówka? A co to takiego? Kogo to obchodzi? Powinien napisać artykuł o idiotyzmie tych wszystkich turniejów dla ogłupianych dzieciaków, opisać pryszczatych zawodników i ich frajerskich rodziców. Przypomniawszy sobie o rewolwerze i dotknął go pod spodniami.

– Dlaczego się tam dotykasz? – Na czole ojca pokazała się zmarszczka, która była tam zawsze, gdy wchodził w rolę głowy rodziny. – Jedź wreszcie. Masz jeść!

– Nie jestem głodny – powiedział chłopak i zatrzymał na ojcu spokojne, obojętne spojrzenie, które nie pozostawiało żadnej nadziei; było gorsze niż arogancka odzywka. Było jego odpowiedzią na pytanie, które dało się odczytać w oczach ojca: „Co mogę zrobić?”. Nicolas miał mu tylko jedno do powiedzenia: „Jesteś nikim, belferku”.

– Musisz się uczyć. Jesteś zdolny. Kiedy przyjdzie na to czas, wyślemy cię do jakiejś dobrej szkoły, do Anglii albo do Stanów. Słyszałem, że wielu tak robi. Po powrocie przyjmują ich tutaj z otwartymi ramionami. Weźmiemy pożyczkę, chętnie zapłacimy za jakąś dobrą szkołę dla ciebie...

Ojciec wcześniej odsunął talerz, ale teraz, żeby nie pokazać po sobie wzruszenia, sięgał widelcem po makaron i wkładał go sobie do ust. Nicolas, słysząc to „zapłacimy za jakąś dobrą szkołę”, miał ochotę parsknąć śmiechem, ale tego nie zrobił. Nie z szacunku dla ojca, ale

dlatego, że zaczął robić rachunki, z których mu wyszło, że gdyby tylko chciał, to za tę „dobrą szkołę” mógłby sobie sam zapłacić. A może w niedalekiej przyszłości mógłby ją sobie kupić, tak jak to robią prawdziwi bossowie – od ręki, bez zastanowienia. Nie rozdrabniałby się na jakieś samochody, telewizory, motocykle. Podniósł głowę, miał teraz w polu widzenia także braciszka nad talerzem z makaronem, co nareszcie wywołało uśmiech na jego twarzy.

– Tato, ja muszę przede wszystkim skończyć szkołę. Tę tutaj, moją szkołę – powiedział. – Nawet jeżeli nie jest nic warta.

– Nicò, przestań już z tymi „nic” i „nikt”. Jesteśmy przy tobie... – Ojciec dążył do pojednania, chciał wrócić na teren, na którym czuł się sobą.

Kolacja dobiegła końca. Ojciec odniósł wszystko do kuchni, posprzątał ze stołu. Ale nie zamierzał pozostać sam na scenie rodzinnego teatrzyku, chciał wrócić jeszcze do rozmowy ze starszym synem.

Christian zjadł wszystko w milczeniu, z oczami utkwionymi w to, co miał na talerzu. Nie mógł się doczekać, żeby zostać sam na sam z bratem. Nicolas mrugnął do niego kilka razy, uśmiechając się przy tym jak ktoś, kto dostąpił nieosiągalnego dla innych wtajemniczenia; widać było, że ma mu coś do powiedzenia. Ojciec zauważył ten uśmiech i nie umiał opanować irytacji.

– Co ty sobie myślisz, że kim ty jesteś, Nicolas? Mamy z tobą same kłopoty, przynosisz nam wstyd, straciłeś rok w szkole. I pozwalasz sobie na taką arogancję?! Bęcwał z ciebie. Pan Bóg dał ci zdolności, a ty je marnujesz jak prawdziwy dupek! – Ojciec wykorzystał nieobecność żony, żeby się wyładować.

– Znam już te gadki.

– Naucz się ich na pamięć, to może nie będziesz tak bezczelny.

– Dobra, dobra – odpowiedział Nicolas nonszalancko, choć obawiał się, że ojciec zaczął coś podejrzewać. To prawda, że w maskowaniu się i udawaniu nie miał sobie równych, ale w jego życiu właśnie nastąpił poważny zwrot i Nicolas przyniósł jego ślady do domu. Takie

przeżycie jest jak sznur, który obwiązuje i zaciska się z każdym ruchem coraz bardziej, zostawiając na skórze widzialne dla wszystkich ślady. Nicolasa obwiązał sznur, którego drugi koniec był jeszcze zasupłany w chińskim garażu w dzielnicy Gianturco, tam, gdzie kupił swój pierwszy pistolet.

Najłatwiej się udaje, że nic się nie stało, na scenie domowego teatru. A Nicolas właśnie taką rolę miał teraz do odegrania.

Kiedy ojciec zdecydował się skończyć na ten raz z pouczeniami, Nicolas uciekł do swojego pokoju. Zaraz dołączył do niego młodszy brat.

– Założę się, że wywinąłeś jakiś numer – powiedział Christian i widać było, jak bardzo chce się dowiedzieć, na czym ten numer polegał. Nicolas trzymał go w napięciu jeszcze przez jakiś czas, bawiąc się komórką aż do chwili, gdy drzwi ich pokoju otworzyły się i do środka zajrzała matka, która właśnie wróciła do domu. Chłopcy natychmiast wskoczyli do łóżek, jakby umierali ze zmęczenia, przy wyłączonym telewizorze i z zaspanymi minami. Jedyłą ich odpowiedzią na jej nieśmiałą propozycję rozmowy przed snem były słowa „Dobranoc, mamó” oraz szerokie ziewanie. Po zadaniu kilku pytań, kwitowanych z ich strony niezmiennym milczeniem, zrozumiała, że na rozmowę tego wieczoru nie ma szans.

Kiedy drzwi zamknęły się za matką, Christian wskoczył na łóżko starszego brata.

– Opowiadaj!

– No to zobacz – rzekł Nicolas i wyjął ze spodni stary belgijski rewolwer.

– Piękny! – zachwycił się mały i chciał mu go wyrwać z rąk.

– Uważaj! To strzela!

Podawali go sobie, ważyli w rękach, gładzili kolbę i lufę.

– Otwórz go – poprosił Christian.

Nicolas odblokował bębenek rewolweru i pozwolił bratu, żeby nim pokręcił. Wyglądał jak mały chłopczyk, który bawi się w kowboja.

- Co z nim zrobisz?
 - Przyda mi się.
 - Do czego?
 - Do zaspokajania zachcianek.
 - Zabierzesz mnie z sobą, kiedy będziesz je zaspokajać?
 - Zobaczymy. Pamiętaj, żeby nikomu o tym nawet nie pisać.
 - Jasne! Przecież wiem. – Potem przytulił się do niego, jak to robił za każdym razem, gdy go o coś prosił. – Dasz mi go dzisiaj na noc? Proszę! Włożę go sobie pod poduszkę.
 - Nie, dzisiaj nie – odparł Nicolas, odebrawszy małemu rewolwer. – Dzisiaj ja będę go trzymał pod poduszką.
 - Ale jutro ja!
 - Dobrze, jutro ty.
- Dwaj chłopcy, którzy bawią się w wojnę.

Baloniki

Nicolas nie przestawał myśleć o tym, jak udobruchać Letizię. Na razie nie udało mu się nic zrobić, bo Letizia go ignorowała, nie odpowiadała ani na jego telefony, ani na wołania pod oknem. Nigdy dotąd się tak nie zachowywała. Zawsze miękła, gdy ją przeproszał, prawil jej komplementy i przysięgał, że ją kocha. Żeby chociaż nakrzyczała na niego, jak to zrobiła z początku i jak to robiła zawsze, gdy się kłócili. Ale nie – nawet tego mu odmawiała. A dla niego dni bez Letizii były niepełne. Źle się czuł bez wiadomości od niej na WhatsAppie, brakowało mu jej ładnej buzi, potrzebował jej czułości i pieśczoć. W końcu na nie zasłuęiwał.

Najwyższy czas, żeby jakoś rozwiązać ten problem. Postanowił zacząć od wizyty u Cecilio, najlepszej przyjaciółki Letizii. Spotkał ją pod domem.

– Zostaw mnie w spokoju! – Taka była jej pierwsza reakcja. – To wasze prywatne sprawy, nie mieszaj mnie do tego.

– Przestań, Cecilio. Musisz mi wyświadczyć jedną małą przysługę.

– Nic nie będę robić.

– Mam tylko jedną prośbę. – Zmusił ją, żeby go wysłuchała, bo zastawił jej przejście do bramy domu.

– Daj mi znać, kiedy Letizia przyjedzie do ciebie i zostawi skuter zaparkowany pod domem. Bo muszę coś z nim zrobić, a ona trzyma go zawsze w garażu i nie mam do niego dostępu.

Nicolas mógł bez trudu włamać się do garażu rodziców Letizii, ale uznał, że w tej sytuacji nie było to najlepsze wyjście.

– Nie, nie ma mowy. Daj mi spokój, Nicò – rzekła Cecilia i skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Proś mnie, o co chcesz, dam ci wszystko, tylko zrób to dla mnie.

– Nie. Letizia naprawdę... To znaczy... To, co zrobiłeś z Renatinem,

było obrzydliwe, ohydne.

– Ale co to ma do rzeczy? Kiedy chłopak kocha dziewczynę, kiedy kocha ją naprawdę, nikt nie ma prawa się do niej zbliżyć.

– Zgoda, niech ci będzie. Ale nie można reagować w ten sposób! – powiedziała Cecilia.

– Zrób, o co cię proszę. I powiedz, co byś za to chciała.

Cecilia zdawała się niewzruszona, ale w rzeczywistości rozważała tylko, jakiej ceny zażądać.

– Dwa bilety na koncert.

– Załatwione.

– Nie chcesz nawet wiedzieć, na jaki koncert?

– Jakikolwiek by to był koncert, bilety są twoje. Mam znajomości wśród koników.

– No dobra, to chcę iść na koncert Benji & Fede.

– Kto to jest Benji i Fede?

– Co ty! Nie znasz grupy Benji & Fede?

– Nic mnie nie obchodzi. Bilety masz jak w banku. No to kiedy wyświadczysz mi tę przysługę?

– Letizia będzie u mnie jutro wieczorem.

– W porządku. Poślij mi esemes, napisz cokolwiek, będę wiedział, o co chodzi.

Mnóstwo czasu spędził na poszukiwaniu baloników, najdroższych baloników w Neapolu. W tej sprawie czatował ze wszystkimi znajomymi.

Maharadża

Chłopaki, potrzebne mi baloniki. Ale nie takie, jakie można kupić wszędzie. Mają być piękne, a na każdym ma być napis: I love you.

Ząbek

A gdzie mamy ich szukać?

Maharadża

Nie wiem. Ale musicie mi pomóc.

Następnego dnia dojechali aż do Caivano, bo według informacji znalezionej przez Drona w internecie miał tam być sklep z artykułami dekoracyjnymi wykorzystywanymi na eleganckich przyjęciach, na imprezach muzycznych, a nawet przy kręceniu filmów. Nicolas wydał na baloniki dwieście euro, kupił też przenośną butlę z helem.

Kiedy dostał wiadomość od Cecylii, stali już wszyscy pod jej domem: on, Śnięta Ryba, Ząbek i Briatore, napełniali helem baloniki i każdy z nich przywiązywał czerwoną wstążką do skutera Letizii. Po jakimś czasie trudno było znaleźć na nim wolne miejsce, a pojazd opierał się na ziemi jedynie na podpórce, bo koła znajdowały się nad ziemią.

Nicolas wysłał esemes do Cecylii: Niech zejdzie. Potem schowali się za furgonetką obsługującą przeprowadzki, zaparkowaną po drugiej stronie ulicy.

– Letì, muszę na chwilę zejść – powiedziała Cecilia, wstając z fotela i wiążąc gumką włosy sięgające aż do pupy.

– Dlaczego?

– Muszę zejść. Mam coś do załatwienia.

– Tak nagle? Nic mi nie mówiłaś. Odpuść sobie, zostańmy w domu.

Letizia siedziała na łóżku przyjaciółki, oczy miała w pół zamknięte, bez życia. Kołysała tylko nogami, to jedną, to drugą, i wyglądało na to, że jest to jedyny wysiłek, na jaki ją stać w tym momencie.

Zachowywała się tak od wielu dni i Cecilia miała już tego serdecznie dość. Choć zazdrościła Letizii jej romantycznej miłości, miała nadzieję, że stosunki między nią a Nicolasem szybko się poprawią.

– Naprawdę muszę na chwilę zejść. To bardzo pilne. A może pójdziesz ze mną? Przejdziemy się na spacer. Dobrze ci to zrobi.

Minęło kilka minut, zanim ją przekonała. Gdy tylko znalazły się na ulicy, Letizia zobaczyła obłoczek baloników i zrozumiała, o co chodzi. Nicolas pojawił się przed nią nagle jak diabełek z pudełka i osiągnął swój cel – Letizia wreszcie się do niego odezwała.

– Jesteś draniem! – powiedziała, ale nawet nie próbowała ukryć uśmiechu.

Nicolas podszedł do dziewczyny.

– Kochanie, wsiądźmy na skuter i polećmy do nieba.

– Nie wiem, Nicò... – zaczęła niepewnie Letizia. – Zachowałeś się obrzydliwie.

– To prawda, kotku, źle się zachowuję, jestem niepoprawny. Ale to z twojego powodu.

– Tak, z mojego powodu! Ładna wymówka. Brutal z ciebie, i tyle!

– Niech ci będzie, drań ze mnie i brutal. Możesz mnie nazywać, jak chcesz. Ale jeśli zrobiłem coś nie tak, to dlatego, że kiedy myślę o tobie, mam w sobie ogień. Im silniej się pali, tym czuję w sobie większą moc. Nic na to nie poradzę. Kiedy ktoś na ciebie patrzy, to jest dla mnie tak, jakby chciał mi ciebie zabrać, i muszę reagować. To silniejsze ode mnie.

– To nienormalne! Nie możesz być takim zazdrośnikiem. – Słowami jeszcze się opierała, ale jednocześnie głaskała go po policzku.

– Spróbuję się zmienić. Przysięgam! Cokolwiek robię, myślę tylko o tym, że chcę być zawsze z tobą. Będę najlepszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałaś, obiecuję. Naprawdę najlepszym.

Złapał ją za rękę, przyciągnął je do ust i pocałował.

– Ci najlepsi tak się nie zachowują – odparła z jeszcze nadąsaną miną, próbując uwolnić dłonie z jego uścisku. Nicolas położył je sobie na sercu, a potem opuścił powoli.

– Jeżeli źle się zachowałem, to dlatego, żeby cię chronić.

Letizia wiedziała doskonale, że patrzy na nią nie tylko Nicolas, ale i Śnięta Ryba, Ząbek, Briatore, Cecilia oraz kilkanaście innych osób, które znajdowały się właśnie w pobliżu, poniechała więc dalszego oporu i objęła go wśród aplauzu wszystkich widzów tej sceny.

– Nareszcie się pogodzili! – wykrzyknął Śnięta Ryba, a Ząbek wdmuchał w siebie hel z balonika i zaczął piszczeć cienkim głosem. Inni zaraz poszli za jego przykładem. Te zabawne głosy jakoś lepiej do nich pasowały niż barytony, którymi zwykle starali się mówić.

Później Nicolas rozgarnął baloniki i usiadł na siodełku skutera, posadził sobie Letizię na kolanach, zwolnił podpórkę i powiedział:

– A teraz pofruniemy!

– Nie potrzebuję baloników, żeby pofrunąć – odparła Letizia i przytuliła się silniej do swojego chłopaka. – Ty mi wystarczysz.

Na to Nicolas wyjął nóż i zaczął odcinać wstążki baloników. Żółte, różowe, czerwone, niebieskie – jeden po drugim leciały w niebo, a Letizia śledziła wzrokiem kolorowe plamy, oczarowana tym widokiem, nareszcie radosna.

– Proszę pana, niech pan poczeka! Niech nam pan je da! – kilkoro sześcio-, siedmioletnich dzieci przybiegło do Nicolasa. Nigdy jeszcze nie widziały tak pięknych baloników.

Nicolasowi bardzo pochlebiło, że zwróciły się do niego per pan.

– Jasne, dzieciaki! – I zaczął zawiązywać odcięte baloniki na rękach dzieci. Widział, że Letizia patrzy na niego z zachwytem, jeszcze szerzej uśmiechał się więc do maluchów i wzrokiem szukał innych, które nie dostały od niego prezentu.

Napady i rozboje

Nicolas pojawił się przy wejściu do Nowego Maharadży, gdzie stał już Agostino.

– Nic z tego, Nicò. Nie chcą nas wpuścić.

Stojący przy nim Ząbek przytaknął mu z ponurą miną. Przez chwilę poczuł się, jakby dotknął nieba, a teraz kopniakami posłano go z powrotem na ziemię. Natomiast Lollipop, który z wilgotnymi jeszcze włosami właśnie wyszedł z siłowni, był po prostu wściekły.

– Niemożliwe! Co za skurwiele!

– Powiedzieli, że jak nie ma Copacabany, nie są pewni, czy zapłacimy. Poza tym jego prywatny salonik dali już komuś innemu.

– Szybko to załatwili! Ledwie wsadzili Copacabanę do ciupy, a ci go już stąd wypieprzyli. – Nicolas był oburzony. Rozglądał się dokoła, jakby szukał jakichś bocznych drzwi, jakiejś szczeliny, przez którą mogliby jednak wejść do środka.

Agostino podszedł do niego blisko.

– Co robimy, Maharadża? Traktują nas jak gówniarzy. Innych angażują normalnie do roboty, a nami łatają dziury. Biorą nas tylko na zastępstwa.

Przyszedł czas, żeby coś zdecydować. I powinien to zrobić Nicolas, bo to on był szefem.

– Zrobimy napad – powiedział krótko. To nie była propozycja, tylko stwierdzenie, które wypowiedział takim tonem, jakim podaje się do wiadomości ostateczne decyzje. Lollipop otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Napad? – zapytał Agostino.

– Tak, napad.

– A z czym? – Nieoczekiwana propozycja Nicolasa obudziła Ząbka z ponurego odrętwienia.

– Mam broń – oznajmił Nicolas i pokazał kolegom belgijski rewolwer.

Na jego widok Agostino wybuchnął śmiechem:

– Co to za pukawka?

– O Matko Święta! Co to jest, western? Bawisz się w kowboja? – zawtórował mu Ząbek.

– Taką broń mamy i z taką możemy iść do roboty. Bierzemy kaski integralne i idziemy.

Nicolas stał przed chłopakami z rękami głęboko w kieszeniach. Czekał. Wystawił ich na próbę. Który z nich się wycofa?

– Masz kask integralny? Bo ja na przykład nie mam – powiedział Agostino, choć to nie była prawda. Miał kask, i to nowy, ale potrzebował czasu, żeby się zastanowić i żeby sprawdzić, czy Nicolas mówi poważnie.

– Ja mam – powiedział Ząbek.

– Ja też – dołączył się Lollipop.

– A ty, Zapałka, możesz sobie zawiązać na twarzy chustkę matki – zaśmiał się Nicolas.

– Przydałby się kij baseballowy. Moglibyśmy napaść na sklep – zaproponował Ząbek.

– I tak pójdziemy? Bez żadnego planu? Bez rozpoznania? – zapytał Agostino. Wyglądało na to, że wszyscy przystali na propozycję Nicolasa.

– Rozpoznanie? A co to jest, *Point Break*? Podjeżdżamy, wchodzimy do środka najwyżej na pięć minut, bierzemy utarg i wychodzimy. Niedługo zamykają sklepy. Potem się przeniesiemy, możemy obrobić jakiś kiosk przy stacji.

Nicolas kazał im przyjechać pod jego dom godzinę później. Wszyscy muszą mieć kaski, on weźmie kij baseballowy. Kilka lat wcześniej zainteresował się baseballiem i zaczął kolekcjonować czapki. Próbował kiedyś oglądać mecz w internecie, ale szybko się znudził. Nie znał zasad gry, ale fascynował go ten amerykański świat. Kiedyś podczas wizyty w sklepie sportowym zauważył, że jeden z kijów do baseballa

nie miał etykiety z ceną, zabrał go więc i bez przeszkód przeszedł przez kasę. Nigdy go nie użył, ale lubił na niego patrzeć. Pomimo swej prostoty robił wrażenie, był agresywny, zły, kojarzył mu się z Alem Capone z filmu *Nietykalni*.

Zdecydował od razu, komu go powierzy. Kiedy podał go Agostinowi, ten nawet nie mrugnął, bo się tego spodziewał; wiedział, że zarobił sobie na to wyróżnienie swoimi wątpliwościami. Wsiadł na skuter Lollipopa, który na tę okazję wytrzasnął skądś kask firmy Shark. Nicolas wiozł na swoim skuterze Ząbka, obaj mieli na głowach kaski, których oryginalne kolory już dawno zniknęły, a jedyną ich ozdobą były teraz zadrapania i wgniecenia.

Pomknęli w kierunku sklepu samoobsługowego. Wybrali stary Crai, daleko od Forcelli. Gdyby coś się nie udało, nie będą przynajmniej spaleni na własnym terenie. Sklep właśnie zamykano i dlatego stał przed nim samochód ochrony.

– Co za gnojki! – powiedział ze złością Nicolas. Tarł kciukiem rękojeść rewolweru, zauważył, że to go uspokaja.

– Nie przewidział tego. To błąd, którego już nigdy nie powtórzy.

– Mówiłem ci, kretynie, że najpierw trzeba zrobić rozpoznanie. Jedziemy prosto do jakiegoś kiosku albo małego sklepiku. – Agostino od razu wykorzystał okazję, żeby się odegrać. Klepnął w plecy Lollipopa, który na ten sygnał nacisnął gaz i podniósł rękę na znak, że ich poprowadzi. Celem był sklepik, jakich we Włoszech są setki tysięcy, z szybami oblepionymi zdrapkami i losami loteryjnymi oraz kartkami w formacie A4, na których można przeczytać, że właśnie w tym sklepiku tydzień wcześniej ktoś wygrał dwadzieścia tysięcy euro, a rok wcześniej dwa razy tyle. Jak gdyby to oznaczało, że szczęście wybrało sobie to miejsce, by regularnie nawiedzać tych, którzy na nie liczą. Przed sklepem nie było ani jednego ze zwykłych klientów takich punktów, chodnik był pusty. Idealna sytuacja. Zaparkowali skutery w kierunku drogi ucieczki, na którą instynktownie wybrali zatłoczone skrzyżowanie pod wiaduktem. Będą mogli uciec, wymijając zygzakiem inne skutery i posługując się

stłoczonymi na ulicy samochodami jak tarczą.

Nicolas nawet nie czekał, aż inni chłopcy zsiądą ze skuterów. Wszedł od razu do sklepiku z wyciągniętą do przodu ręką, w której trzymał belgijski rewolwer.

– Wkładaj pieniądze do środka!

Właściciel sklepiku, niski mężczyzna w przybrudzonym podkoszulku, układał paczki papierosów na półce za ladą. Stał plecami do wejścia i usłyszał tylko głos zagłuszony kaskiem; nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział Nicolas, ale wystarczył mu jego ton, żeby odwrócić się z rękami podniesionymi do góry. Był w wieku, w którym powinien już dawno wypoczywać na emeryturze, i takie sceny widział pewnie niejeden raz. Nicolas wychylił się za ladę i wycelował rewolwer w jego skroń.

– Szybciej! Wkładaj tu pieniądze! Wkładaj pieniądze! – krzyknął Nicolas i rzucił mu plastikową torbę, z której wyjął w domu recepty lekarskie, przechowywane w niej przez matkę.

– Spokojnie – powiedział sprzedawca. – Spokojnie, wszystko jest w porządku. – Wiedział, że musi wypośredkować między uległością a stanowczością. Jeżeli będzie zbyt uległy, napastnicy uznają, że coś knuje, że ich nabiera, ale z drugiej strony, jeżeli pomyślą, że zamierza stawiać opór, mogą sprawić, że będzie to ostatni dzień jego życia. Tak czy owak, rezultat będzie ten sam: kula w łeb.

Nicolas wychylił się jeszcze dalej za ladę, aż dotknął lufą czoła sprzedawcy, który tymczasem opuścił ręce i złapał za worek. W tej chwili do sklepu wszedł Agostino z kijem baseballowym, odchylnym oburącz za głowę dla zyskania większej siły uderzenia.

– Komu mam przywalić?

Za nim wszedł Ząbek. Przyniósł z sobą szkolny plecak i teraz zsuwał do niego z lady gumy do żucia, cukierki, długopisy, słowem wszystko, co na niej leżało. Tymczasem Nicolas nie spuszczał wzroku ze sklepikarza, podczas gdy ten napełniał worek dziesięcio- i dwudziestoeurowymi banknotami.

– Chłopaki, pośpieszcie się! – krzyknął z chodnika Lollipop. Był

najmniejszy z całej czwórki, zostawili go więc na czatach. Nicolas wykonał rewolwerem gest, który miał popędzić starszego mężczyznę. Ten wyjął resztę pieniędzy z kasy i podniósł ponownie ręce nad głowę.

– Nie zapomnij o zdrapkach – powiedział Nicolas.

Właściciel trafiki opuścił ręce, ale tym razem nie po to, żeby wykonać polecenie chłopca. Wskazał na pełną torbę, jakby chciał powiedzieć, że wzięli już dosyć.

– Dawaj te zdrapki, dupku! Szybko, dawaj wszystkie zdrapki! – krzyczał Nicolas. Agostino i Ząbek patrzyli na niego bez słowa. Usłyszawszy ostrzeżenie Lollipopa, zbliżyli się do wyjścia i nie rozumieli teraz, dlaczego Nicolas ryzykuje i traci czas na zdrapki. Im też foliowa torba pełna pieniędzy wydawała się wystarczającym łupem. Ale dla Nicolasa to było za mało. Zachowanie właściciela sklepiku odebrał jako zniewagę, tak więc wyrwawszy mu worek z ręki, uderzył go kolbą rewolweru i starszy mężczyzna osunął się na podłogę. Potem odwrócił się do kolegów i zakomenderował:

– Wynosimy się.

– Szajbus z ciebie, Nicò – powiedział Agostino za jego plecami, gdy mknęli na skuterze między pojazdami.

– Teraz obrobimy jakiś bar – usłyszał tylko w odpowiedzi.

Bar niewiele różnił się od sklepiku, w którym byli wcześniej, z tym że brudne szyby miał oblepione żółkłymi ze starości reklamami rogalików. Nie różnił się też niczym od innych barów kawowych, można się było domyślić, że odwiedzają go zwykle stali bywalcy. Już zamykano, żaluzje opuszczono do połowy. Także tym razem Nicolas wszedł jako pierwszy. Worek z łupem ze sklepiku włożył pod siodełko skutera, teraz wyciągnął inny z pustego kosza na śmieci. Pracownicy baru stawiali właśnie krzesła na stolikach i nie zauważyli, że do środka weszli dwaj chłopcy w kaskach. Nicolasowi towarzyszył Ząbek, który wziął od Agostina kij baseballowy.

– Dawajcie wszystkie pieniądze, jakie macie. Wszystkie! Wkładajcie je do środka. – Nicolas rzucił pracownikom baru worek na śmieci. Tym razem nie wyjął rewolweru, bo krążąca w jego żyłach stężona

adrenalina oraz obraz właściciela sklepiku leżącego na podłodze upewniały go w przeświadczeniu, że i bez tego wszystko musi się udać. Ale młodszy z pracowników, chłopak z twarzą naznaczoną trądzikiem, który mógł mieć najwyżej dwa lata więcej niż Nicolas, kopnął lekceważąco foliowy worek, przesuwając go pod jeden ze stolików. Nicolas sięgnął ręką za plecy – sami się proszą o parę kulek – ale Ząbka aż palił w rękach kij baseballowy. Zaczął od filiżanek do kawy, ustawionych w równy rząd, przygotowanych dla porannych klientów. Potłukł je wszystkie jednym uderzeniem, odpryski doleciały aż do Nicolasa, który instynktownie zakrył twarz ręką, chociaż chronił ją kask. Następnie Ząbek zaczął wyżywać się na butelkach z alkoholem. Bursztynowy płyn z rozbitej butelki Jägermeistra opryskał twarz młodego pracownika baru, tego, który wkopał worek pod stolik.

– Teraz rozwalę kasę, ale jak pragnę zdrowia, następna będzie czyjaś głowa – zagroził Ząbek. Kierował kij baseballowy kolejno w stronę każdego pracownika baru, jakby wahał się, czyją czaszkę roztrzaskać w pierwszej kolejności. Nicolas pomyślał, że potem musi poważnie porozmawiać z Ząbkim. Ale nie teraz, to nie była odpowiednia chwila. Żeby nadać większej wagi wszystkim tym groźbom, wyjął rewolwer.

Chłopak z trądzikiem rzucił się na kolana i wyciągnął worek na śmieci spod stolika, jego kolega podszedł szybko do kasy i ją odblokował. Bar odwiedziło pewnie tego dnia wielu klientów, bo w kasie Nicolas zauważył sporo banknotów pięćdziesięcioeurowych. Tymczasem Agostino, zaniepokojony hałasami, wszedł do baru i teraz wkładał do plecaka butelki z whisky i wódką, które uniknęły kontaktu z kijem Ząbka.

– Chłopaki, jesteście tu już półtorej minuty. Znowu tak długo! – Krzyk Lollipopa przywołał chłopców w barze do porządku, w ciągu kilku sekund byli na zewnątrz. Wskoczyli na skutery i wmieszali się w ruch uliczny. Każdy z nich analizował to, co się wydarzyło. Jak łatwo i szybko to wszystko poszło! Udany skok! Tylko Nicolas myślał

o czymś innym. Podczas gdy prawą ręką poruszał kierownicą, żeby wyminąć fiata punto, który nie wiadomo czemu przyhamował, lewą pisał esemes do Letizii: „Dobranoc, moja słodka Panterko”.

Kiedy Nicolas obudził się rano i pod powiekami miał jeszcze sceny z poprzedniego dnia, sięgnął od razu po komórkę, żeby sprawdzić pocztę. Tak jak się spodziewał, Letizia odpowiedziała na jego wiadomość, ozdabiając esemes rządkiem serduszek.

Do szkoły dotarł na dziesiątą. Stwierdził, że i tak jest spóźniony, więc pół godziny wcześniej czy później nie sprawi różnicy, i poszedł do toalety, żeby wypalić skręta. O ile dobrze pamiętał, na trzeciej godzinie mieli lekcję z profesorem De Marino. To jedyny nauczyciel, którego jakoś znosił albo raczej – który nie był mu obojętny. Nie żeby obchodziło go to, o czym mówił, ale cenił go za upór i wytrwałość. De Marino nie zgadzał się na to, żeby uczniowie go ignorowali, żeby siedzieli na lekcjach nieobecni duchem, i starał się na różne sposoby dotrzeć do każdego z nich. Nicolas szanował go za to, chociaż był przekonany, że i tak nikogo nie uda mu się uratować. Zabrzmiał dzwonek na przerwę. Zaraz potem usłyszał hałas otwieranych drzwi i setek nóg na korytarzu. Wiedział, że do toalety, w której się schronił, za chwilę wtargną dziesiątki chłopców, wrzucił więc niedopałek do muszli i poszedł do klasy. Krótco potem wszedł profesor De Marino. Miał zwyczaj patrzeć swoim uczniom w oczy, w odróżnieniu od innych nauczycieli, którzy traktowali pracę w szkole, jakby to była fabryka. Odbębniali swoje godziny i wracali do domu.

De Marino siedział na katedrze i czekał, aż wszyscy zajmą miejsca w ławkach, uderzał przy tym w kolano zwiniętym w rulon podręcznikiem, jakby to była rzecz małej wartości. Nicolas patrzył na niego, nie przejmując się tym, że nauczyciel też nie spuszcza z niego wzroku.

- Fiorillo, lepiej, żebym cię dzisiaj nie przepytywał, prawda?
- Tak, profesorze. Strasznie boli mnie głowa.
- A wiesz w ogóle, o czym się teraz uczymy?

– Jasne!

– Mhm... Nie poproszę, żebyś mi to udowodnił. W zamian za to zadam ci pewne ciekawe pytanie. Ale uważaj, bo na ciekawe pytania trzeba ciekawie odpowiedzieć, podczas gdy pytania banalne da się skwitować banałem. Zgadzasz się ze mną?

– Niech będzie – odparł Nicolas, wzruszając ramionami.

– Spośród wszystkich tematów, jakie poruszamy na moich lekcjach, który zainteresował cię najbardziej?

Nicolas naprawdę wiedział, o czym De Marino mówił na swoich lekcjach.

– Podoba mi się Machiavelli.

– Dlaczego?

– Bo można się od niego nauczyć, jak rządzić.

Mała paranza

Teraz, gdy po aresztowaniu Copacabany rynek narkotykowy zastygł, Nicolas musiał znaleźć nowy sposób na zarabianie pieniędzy. Pilnie obserwował, co się dzieje w okolicy, żeby się zorientować, gdzie najlepiej zacząć. Don Feliciano po podjęciu współpracy z policją wszystko wyśpiewał. Wiadomo było, że Copacabana zrobi co się da, żeby na nowo rozkręcić interesy; zawsze mówił, że trzeba obracać pieniędzmi, nie tracić czasu. Po ślubie Violi Striano z Kiciusiem wybór zastępcy Copacabany, wybór nowego *capozony*, należał do zięcia don Feliciano. Powinien ustalić to z Copacabaną, ale tego nie robił.

Do Copacabany w więzieniu nie przychodzili posłańcy, bossowie nabrali wody w usta, milczały także ich żony. Co to oznaczało? Nie chciał zajmować się wymuszeniami. Trzeba wybrać: haracze lub punkty sprzedaży narkotyków. Powód jest prosty: albo sklepikarze nie płacą i sami kontrolują rynek, albo płacą i wtedy nie chcą mieć w pobliżu innej działalności. Tak to sobie wykoncypował.

Po tak sprawnie przeprowadzonych napadach rabunkowych Nicolas, Agostino i Briatore, uzbrojeni w starą belgijską spluwę, postanowili spróbować wymuszeń.

– Uda nam się! – powiedział pełen entuzjazmu Briatore. – Nicolas, niech mi matka umrze, jeżeli nam się nie uda. Musi się udać!

Zebrali się w barze z automatami do gry, siedzieli przy wideopokerze i stawiali drobniaki z napadu, a jednocześnie snuli plany. Ząbek i Biskopczik na razie woleli tylko słuchać.

– Wszyscy uliczni sprzedawcy, którzy krążą po Rettifilo, muszą nam płacić – ciągnął dalej Briatore. – Wsadzimy każdemu z tych cholernych Arabów i czarnuchów spluwę do gęby i zobaczymy, czy nie dadzą nam dziesięciu albo nawet piętnastu euro na dzień.

– I co z tymi pieniędzmi zrobimy? – zapytał Agostino.

– Na stadionie też na pewno stoi wielu, którzy opłacali się Copacabanie – zauważył Nicolas.

– Myślę, że Copacabana nie brał od sprzedawców na stadionie.

– No to możemy obrobić parkingowych po meczu.

– Chłopaki, jeżeli nie uzbieramy kasy, jeżeli nie będziemy pracować razem, zawsze będziemy komuś podlegać, będą nami łątać dziury. Wbijcie sobie to dobrze do głowy.

– A mnie to na razie pasuje. Później się zobaczy – powiedział Agostino, wkładając dwa euro do wideopokera. Potem, nacisnąwszy guzik automatu, dodał: – Tak powiedział Copacabana.

– To znaczy, co dokładnie powiedział? Rozmawiałeś z nim? – ocknął się Nicolas.

– Nie, nie rozmawiałem, ale jego żona, ta Brazylijka, powiedziała, że dopóki Copacabana nie umówi się z Kiciusiem, wszystko będzie stało w miejscu. Możemy pracować dla siebie, wtedy nie może mieć pretensji. Wie, że musimy z czegoś żyć.

– A to dopiero! Kiciuś! – zaśmiał się Ząbek. – Będzie się pytać Kiciusia? Przecież Kiciuś nie miał z tym nigdy nic wspólnego! Copacabana sam powinien decydować! Gdyby rządził don Feliciano, toby do tego nie doszło! Jak to możliwe w Neapolu, że nie wiadomo, kto rządzi? – Uderzył ze złością pięścią w automat, który w kilka minut, w czasie tej krótkiej wymiany zdań, zjadł mu trzydzieści euro, i usiadł z boku na plastikowym krześle.

– Ten twój gówniany don Feliciano zostawił nas samych – stwierdził Nicolas. – Lepiej w ogóle go nie wspominać.

– Nie zawsze był takim gnojkiem – wtrącił Ząbek.

– Dobra, dajmy spokój – powiedział Agostino, który oparł się łokciami o stół i zwijał skręta. Bez słowa puścił go w obieg. Zapach marihuany godził ich natychmiast ze światem, wprowadził w dobry humor. Ząbek wydmuchiwał dym przez dziurę powstałą przez złamane jedynki. Zawsze tak palił, czasem udawało mu się nawet poderwać jakąś dziewczynę na tę sztuczkę.

Kiedy przyszła kolej na Biskopcika, wciągnął dym głęboko w płuca

i podając skręta Agostinowi, odważył się powiedzieć:

– Moim zdaniem Maharadża ma rację. Musimy pracować razem. Nie może tak być, żeby każdy sobie coś dłubał na własny rachunek.

Agostino obawiał się, że jeżeli zaczną działać w grupie, będą musieli wybrać, z kim i przeciw komu się sprzymierzyć. Jeżeli zaś będą wykonywać drobne robótki, każdy dla siebie, najwyżej rozdrażnią kogoś, kogo będą mogli przeprosić, podzieliwszy się z nim zarobkiem, albo, w najgorszym wypadku, dostaną niegroźny wycisk. Poza tym, jeżeli utworzą zorganizowaną grupę, będą musieli wybrać spośród siebie szefa i Agostino doskonale wiedział, że tym szefem nie będzie on. Wiedział też, że w tym wypadku musiałyby się skonsultować z Copacabaną, kuzynem ojca, i wtedy automatycznie stałyby się albo zdrajcą, albo wiernym podwładnym, a żadne z tych rozwiązań go nie pociągało.

Chcąc być może przekonać innych do słuszności swoich słów, Biskopczik wyciągnął z kieszeni spory zwitek banknotów pomiętych jak papierki po cukierkach.

– Jak ty trzymasz forszę? – zapytał Ząbek z okrągłymi ze zdumienia oczami, na co Biskopczik odpowiedział spokojnie:

– Cwaniaki nie noszą pieniędzy w portfelu. Pamiętasz Lefty’ego?

– Nieźle, Biskopcziku! Ale ci powiedział! – zaśmiał się Nicolas i pacnął Ząbka w kark.

– Ale Lefty trzymał pieniądze porządnie spięte klamrą, a nie tak jak ty.

– A kto pamięta, jak Lefty nazywał dolary?

– *Fazools* – odpowiedział Agostino, gasząc niedopałek skręta pod blatem stolika.

– Dokładnie – potwierdził Nicolas i zapytał: – No to jak zarobiłeś tę fasolę, Biskopcziku?

– Z moimi kolegami, Orestem i Rinucciem.

– A kto to jest, do cholery? – Nicolas się zaniepokoił, bo każde nieznanie imię mogło należeć do potencjalnego konkurenta.

– Oreste! – powtórzył mały głośniej, jak do niedosłyszającego dziadka.

– Kto? Oreste Teletubiś?

– Tak!

– Przecież on ma najwyżej osiem lat! To znaczy ty, Teletubiś i...?

– I Rinuccio.

– Rinuccio, brat Carlito's Waya z parazy Kudłaczy? Rinuccio Szczylek?

– Właśnie on – potwierdził Biskopcik, wzdychając przy tym, jakby chciał powiedzieć: „Nareszcie pokapował!”.

– No i jak zarobiliście te pieniądze? – Nicolas wpatrywał się w niego tymi swoimi palącymi czarnymi oczami, którymi zdawał się przewiercać chłopca na wylot. Nie mógł uwierzyć, że ci smarkacze potrafili zarobić taką forszę. Ale faktem jest, że Biskopcik trzymał w ręce zwitek banknotów, skądś musiał je wziąć.

– Pewnie wydali wojnę innym dzieciakom – zaśmiał się Ząbek.

– Chodzimy na dmuchańce.

Biskopcik powiedział to z poważną i dumną miną, trzymając uniesioną brodę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Na dmuchańce? Co to takiego?

– Do skakania. Na placach zabaw i w galeriach handlowych.

– I co tam robicie?

– Chcesz zobaczyć? To chodź z nami. Dzisiaj idziemy na plac Cavour.

Nicolas skinął głową bez uśmiechu. Tylko on potraktował malucha poważnie.

– Pojadę z tobą.

Briatore usiadł za Nicolasem na skuterze, podczas gdy inni krzyczeli za nimi z ulicy:

– Potem nam powiecie, jak obrabowali ten bank. I co miał przy tym Szczylek do roboty!

Biskopcik wskoczył na rower i słysząc śmiechy starszych chłopaków, odwrócił się i pokazał im język.

Pedałował aż do placu Cavour. Zatrzymał się tylko przy Fontannie z Kaczkami, gdzie na rzeźbie Trytona zostało jeszcze trochę błękitnej farby z czasów, gdy drużyna Napoli zdobyła po raz pierwszy

mistrzostwo ligi. Jego ojciec miał wtedy mniej więcej tyle lat, co on teraz. Opowiadał mu często, że po tamtym zwycięstwie całe miasto świętowało przez kilka dni i nocy i że widział na własne oczy, jak pomalowano niebieską farbą Trytona z brązu. Biskopczik cieszył się, że ślady tamtego świętowania pozostały aż do jego czasów. Za każdym razem, gdy przejeżdżał przez plac Cavour, opanowywały go smutek i tęsknota za ojcem, ale czuł się w tym miejscu bliżej niego niż na cmentarzu, dokąd zanosili z matką w niedzielę kwiaty na jego grób.

Staął na pedałach roweru, żeby rozejrzeć się dokoła z większej wysokości, niż pozwalało na to jego sto trzydzieści pięć centymetrów wzrostu. Kręcił głową na wszystkie strony jak drozd, kiedy szuka partnerki. Zobaczył, że Nicolas i Briatore stoją przy wejściu na plac zabaw, zobaczył też Szczyłka i Teletubisia. Byli młodszy od niego o dwa lata, a może tylko o rok, ale już teraz było po nich widać, że znają życie. Rozmawiali między sobą o seksie, o broni... Żadnemu z dorosłych z ich otoczenia nie przyszło nigdy do głowy, że są takie tematy i zachowania, przed którymi należy chronić dzieci. W Neapolu dzieci nie przechodzą kolejnych etapów rozwoju, od urodzenia znajdują się w samym środku rzeczywistości, nie odkrywają jej stopniowo.

Szczyłek i Teletubiś nie byli sami. Każdy z nich wiózł na swoim rowerze dwoje dzieci, za nimi biegła gromadka innych. To byli niewątpliwie Romowie. Nicolas i Briatore zsiadli ze skutera, stanęli z założonymi na piersiach ramionami i z rozbawieniem obserwowali scenę, jaka rozgrywała się na ich oczach. Nowo przybyli rozbiegli się po placu zabaw i zaczęli rozpychać się wśród dzieci, które były na nim wcześniej, straszili je, przewracali na ziemię, ściągali maluchy z huśtawek, doprowadzając je do płaczu. Mamy i opiekunki podniosły krzyk: „Po coście tu przyszli? Idźcie sobie! Czego chcecie?”. Biegały do swoich podopiecznych, uspokajały je i czyściły z piasku. W przeciągu kilku minut na placu zabaw zapanowały chaos i płacz. Wtedy Biskopczik, przybierając minę grzecznego chłopczyka, która w ogóle do niego nie pasowała, zaoferował pomoc w przywracaniu porządku:

– Proszę pani, ja ich stąd zaraz przegonię. – I zaczął krzyczeć na małych Romów: – Wynocha! Wy gówniarze, parszywe Cygany, wynocha stąd!

Zaczęli ich z Teletubisem spychać do wyjścia z placu zabaw. Niektóre romskie dzieci rzeczywiście się oddaliły, inne kręciły się w pobliżu. Wtedy Biskopczik zaproponował kobietom pilnującym dzieci na placu zabaw:

– Jeżeli nam dacie po pięć euro, wygonimy ich stąd, już tu nie przyjdą. – To był haracz za spokój na huśtawkach, kobiety zrozumiały to od razu. I rzeczywiście, niektóre dały im pięć, inne trzy euro, ile mogły. Chłopcy pozbierali pieniądze, pożegnali się grzecznie i na plac zabaw wróciła ta sama atmosfera co przed ich przybyciem.

Biskopczik pojechał prosto do Nicolasa i Briatorego, żeby przedstawić im swoich kolegów, Teletubisia i Szczyłka. Ten ostatni powiedział do Nicolasa:

– Ja cię znam. Widziałem cię z moim bratem.

– Pozdrów go ode mnie. Jak się ma Carlito's Way?

– Jest cały czas naćpany.

– To dobrze, to znaczy, że cały czas jest szczęśliwy.

– Ale on jest lepszy od brata – powiedział Biskopczik, wskazując na Szczyłka. – Razem robimy niezłą zadymę.

– To znaczy co? – zapytał Briatore. Po tym, co zobaczyli, nic nie mogło ich już zaskoczyć.

– Zwykle robimy tak: kiedy już Cyganie sobie idą, on przybiega i kradnie jakieś dwie albo trzy torebki. Przedtem patrzy, co babcie zostawiają na ławkach. I ucieka. A ja go gonię i odbieram mu te torebki. Babcie się cieszą i w podziękowaniu dają mi dziesięć euro, czasem dwadzieścia. Babcie są zawsze przy forsie.

Nicolas pochylił się, żeby popatrzeć im prosto w oczy. Położył jedną rękę na ramieniu Biskopczika, drugą na ramieniu Szczyłka i ściskając ich lekko, zapytał:

– A ile płacicie tym małym Cyganom?

– Płacimy? Nic nie płacimy! Dajemy im po krokiecie albo po

kawałku smażonej pizzy. Dzisiaj pracowali za darmo, bo dałem im rower mojej siostry, która i tak na nim nie jeździ.

Nicolas pomyślał, że te dzikie szczeniaki wymyśliły sobie sposób, żeby przy współpracy romskich dzieci zarobić pieniądze na haraczach. On też powinien znaleźć kogoś, z kim opłacałoby im się współpracować, bez tego trudno będzie stworzyć paranzę. Ale do kogo się zwrócić? Don Feliciano Striano sypie, Copacabana na razie się nie złamał, ale siedzi w Poggioreale, a Kiciuś to obcy, który chce zagarnąć serce Neapolu.

Lutownica

Siedzieli wszyscy, jak zawsze, w barze z automatami do gry, kiedy w pewnej chwili Tukan podstawił im pod oczy smartfon:

– Patrzcie, chłopaki, na ten tweet.

Nikt nawet nie podniósł spojrzenia, tylko Lollipop zareagował na słowa Tukana:

– To pewnie ci kretyni od *fantacalcio*.

– Żadne *fantacalcio*. Chodzi o Nowego Maharadzę. Okradli lokal. Wyczyścili go ze wszystkiego. Tu jest artykuł.

Na to Nicolas zareagował od razu:

– Poślij mi do niego link.

Potem skakał rozgorączkowany oczami po tekście i palcem przesuwiał zdjęcia na ekranie komórki. Złodzieje przyszli w nocy, wzięli wszystko, co mogli zabrać. Wszystko. Sztućce, komputery, świeczniki, krzesła. Załadowali do ciężarówki. Tamtego dnia restauracja była nieczynna, alarmy wyłączone.

– O kurde! Chciałbym naprawdę wiedzieć, kto to zrobił – powiedział Nicolas. – I chciałbym zobaczyć teraz, jaką minę ma ten skurwysyn Oscar.

Od razu zadzwonił do Oscara, ale ten nie odpowiedział. Wysłał do niego esemes: „Dzwoniłem do ciebie. Jestem Nicolas. Odpowiedz”. Bez reakcji. Wysłał więc jeszcze jeden esemes: „Jestem Nicolas. Odpowiedz. To bardzo pilne”. I znowu nic. Zadzwonił zatem do Żetakpowiem:

– Słyszałeś, co się stało w Nowym Maharadży?

– Nie. A co się stało?

– Okradli ich ze wszystkiego.

– Co ty gadasz?

– Wszystko zabrali, nic nie zostawili. Musimy się dowiedzieć, kto to

zrobił.

– A niby po co? Bawisz się, że tak powiem, w detektywa?

– Jeśli wyczaimy, kto ich okradł, nie będą nam mogli odmówić prywatnego saloniku.

– Jeżeli rzeczywiście okradli ich ze wszystkiego, to może zamkną interes.

– To niemożliwe. Lokalu z tarasem z takim widokiem, i to w Posillipo, na pewno nie zamkną. Przyjdź do mnie do domu.

Żetakpowiem zjawił się po godzinie.

– Co robiłeś tak długo? – przywitał go Nicolas. Przez tę godzinę najróżniejsze myśli przychodziły mu do głowy. Łącznie z pokusą, żeby pomachać koledze przed nosem belgijskim francotte'em i sprawdzić, ile czasu będzie potrzebował, żeby narobić w gacie ze strachu. Ale przeszła mu złość na Żetakpowiem, kiedy ten oznajmił:

– Rozmawiałem z ojcem.

Jego ojciec parał się przez wiele lat paserstwem, teraz, po odsiadce w więzieniu, pracował jako kelner w restauracji w Borgo Marinari.

– Powiedział mi, że mamy iść... – Zrobił efektowną przerwę, rozsiadając się wygodnie na łóżku.

– Dokąd?

– No, że tak powiem... mamy iść do Cyganów.

– Do Cyganów?

– Właśnie, do Cyganów.

– A po co?

– Ojciec powiedział, że albo zrobili to Cyganie, albo ktoś chce wyciągnąć pieniądze z ubezpieczenia, czyli że sami się okradli.

– Nie chce mi się w to wierzyć, przecież mają kupę forsy.

Żetakpowiem założył splecione ręce za głowę i zamknął oczy. Kiedy je znowu otworzył, zobaczył lufę wymierzonego w siebie rewolweru, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Brak swobody w mówieniu, z powodu której podpierał się co chwila wtrętami słownymi i której zawdzięczał przydomek, rekompensował zimną krwią, jaką zachowywał w najgroźniejszych sytuacjach.

– Widzę, że postarałeś się o broń.

– Zgadza się – odparł Nicolas i włożył rewolwer za pasek spodni, na plecach. – Idziemy złożyć wizytę Cyganom.

Wyruszyli skuterem Nicolasa, minęli Gianturco i skierowali się do obozu Romów za miastem. To prawdziwe slumsy. Zanim się je zobaczy, można wyczuć nosem zapach rzadko pranych ubrań, rozpalonej słońcem blachy falistej i brudnych dzieci bawiących się w błocie i kurzu. Przywitały ich kobiety stojące przed przyczepami kempingowymi, wokół nich zgraja dzieciaków biegała za sflaczałą piłką, strasznie przy tym hałasując. Kiedy tylko Nicolas zsiadł ze skutera, od razu zaczął buńczucznie wykrzykiwać:

– Z kim tu można pogadać? Kto tu rządzi? Macie tu jakiegoś szefa? – Spośród wszystkich możliwych strategii postępowania wybrał model agresywnego psa, który atakuje jako pierwszy.

– Czego chcesz? Z kim chcesz mówić? – Na jego pytania zareagowała otyła kobieta, podniosła się przy tym z plastikowego krzesła i zrobiła kilka kroków w jego kierunku.

– Z waszym szefem, mężem... Z kimś, kto tu rządzi, kto organizuje większe kradzieże, kto chodzi czyścić wille i mieszkania. Chcę wiedzieć, kto okradł Nowego Maharadżę!

– Wynoś się stąd! – krzyknął mały chłopczyk, który pojawił się przy nim zniemacka i popchnął go teraz z całej siły. W odpowiedzi Nicolas kopnął go kolanem w brzuch i malec upadł na ziemię przed szeregiem kobiet, które złapały w ręce obfite spódnice i zaczęły groźnie się zbliżać do Nicolasa. Tymczasem najmłodsza z nich, z popielatymi włosami związanymi chustką, zwróciła się do Żetakpowiem:

– Po coście tu przyszli? Czego chcecie? – W jej głosie nie dało się usłyszeć ani cienia strachu, tylko zdziwienie i złość.

Tymczasem inne kobiety zaczęły szarpać Nicolasa, każda ciągnęła go w swoją stronę, za koszulkę, włosy, spodnie. Można by pomyśleć, że nie atakowały go, tylko się o niego spierały. Starał się za wszelką cenę utrzymać równowagę, choć co chwilę któraś z kobiet szarpała go w inną stronę. Gdyby Nicolas nie wyciągnął rewolweru i nie

wymierzył go w tę chmarę kobiet, ten szaleńczy taniec mógłby trwać jeszcze długo. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Czyjś biceps złapał go od tyłu i zaczął miażdżyć mu szyję. Nicolas nie mógł oddychać, miał wrażenie, że grdyka przemieściła mu się do ust. Dostrzegł, że Żetakpowiem wskakuje na skuter i odjeżdża, ale zobaczył to jakby za mgłą.

Romowie tego nie zauważyli, a może po prostu się tym nie przejęli. Mieli już jednego, tego ważniejszego. Pociągnęli Nicolasa do jednego z baraków i przywiązali go do drewnianego krzesła z metalowymi nogami, które wyglądało na ukradzione z jakiejś szkoły albo przychodni zdrowia. Potem zaczęli go bić, nie przestając pytać, po co do nich przyjechał.

– Zatłuczemy cię na śmierć. Chciałeś strzelać do naszych dzieci?

Nicolas był sparaliżowany strachem. Nie mógł sobie tego wybaczyć, bo kogo jak kogo, ale Cyganów nie wolno mu się bać. Powtarzał w kółko:

– Ukradliście! Ukradliście! – Zdawał się kompletnie otumaniony. A im bardziej uparcie to powtarzał, tym silniejsze dostawał ciosy.

Tymczasem Żetakpowiem próbował dodzwonić się do jedynej osoby, która mogła pomóc Nicolasowi – do ich kolegi, który miał „błękitną krew”, do Dragonbola. Należał do rodziny Striano, a Romowie nie mogli mieszkać w tym obozie bez pozwolenia klanów. Niestety, Dragonbol nie odbierał telefonu. Po trzech próbach Żetakpowiem pomknął do Forcelli.

Znalazł go w barze z automatami do gry. Żetakpowiem nie przywitał się z nikim, tylko od razu podszedł do pochylonego nad stołem bilardowym Dragonbola.

– Musisz iść ze mną! Szybko!

– Co się dzieje? – zapytał Dragonbol, ale odgadł, że to coś ważnego, i odstawił kij do bilarda.

– Cyganie złapali Nicolasa!

– Co ty mówisz! Porwali go Cyganie? – zaśmiał się.

– Naprawdę go złapali. Pośpiesz się! Wsiadaj na skuter.

Dragonbol już o nic więcej nie pytał. Odszedł od gry i usiadł za kolegą na siodełku skutera. Po drodze Żetakpowiem opowiedział mu, jak znaleźli się w cygańskim obozie.

– Mówisz poważnie? Zrobił coś tak głupiego?

– Powiedział, że lokal okradli Cyganie, ale ja... że tak powiem, nie wiem, kto to mógł zrobić.

Tymczasem do baraku, gdzie siedział związany Nicolas, wszedł mężczyzna, który był pewnie przywódcą całej wspólnoty. Zachowywał się, jakby wszystko dokoła należało do niego. Miał na sobie dres Adidasa, nowy, jakby dopiero kupiony. Był na niego parę rozmiarów za duży, więc Rom zawinął rękawy, ale nogawki marszczyły się przy ziemi. Gryzł nerwowo wykałaczkę, widać było, że to najście go niepokoi. Słabo mówił po włosku, pewnie niedawno przyjechał.

– Kto ty jesteś?

– Jestem Nicolas, z ulicy Tribunali.

– Do kogo należysz?

– Do siebie.

– Należysz do siebie? Powiedzieli mi, że chciałeś strzelać do dzieci. Ty już stąd żywy nie wyjdiesz, wiesz o tym?

– Nie możecie mnie zabić.

– Niby dlaczego? Bo się przestraszymy, że przyjdzie twoja matka zabrać to, co po tobie zostanie?

Mężczyzna unikał wzroku Nicolasa, chodził przed nim tam i z powrotem ze wzrokiem wbitym w nowiutkie adidasy.

– Żywy stąd nie wyjdiesz – powtórzył.

– Nieprawda. Wyjdę żywy. I dzięki temu wy też zachowacie życie – powiedział Nicolas i spojrzał po wszystkich obecnych, żeby włączyć ich do tej wymiany zdań, po czym ponownie zatrzymał wzrok na mężczyźnie w dresie. – Wygracie życie, bo kiedy zostanę bossem, nie wrócę tu, żeby zabić ciebie i wszystkich twoich ludzi, kolejno jednego po drugim. Nie możecie zrobić mi krzywdy, bo wszyscy zginiecie.

Uderzenie w twarz było tak silne, że na chwilę stracił wzrok.

Dopiero kiedy gwałtownie zamrugał kilka razy, znowu zobaczył przed sobą mężczyznę w nowiutkich adidasach.

– Ach, więc będziesz bossem...

Jeszcze jedno uderzenie, tym razem mniej zdecydowane. Policzek Nicolasa był już bardzo czerwony, żyłki mu popękały, ale krew nie pokazała się jeszcze na skórze, tylko trochę na zębach, ze zranionych warg. Romowie bardzo się chcieli dowiedzieć, kto go posłał. Głosy dzieci na zewnątrz stały się głośniejsze, ktoś z zewnątrz zajrzał do baraku.

– Wrócił jego kolega.

Zaraz potem rozległo się wołanie Żetakpowiem:

– Nicolas! Nicolas, gdzie jesteś?

– Patrzcie tylko, przyszła twoja przyjaciółeczka – zażartował sobie boss Cyganów i uderzył Nicolasa jeszcze raz. Tymczasem Żetakpowiem i Dragonbol stali przed barakiem, otoczeni przez chmarę kobiet i dzieci. Kto wchodzi na teren cygańskiego obozu, może być pewny, że poczuje się, jakby nastąpił na mrowisko – dziesiątki jego mieszkańców w okamgnieniu obleżą go ze wszystkich stron jak mrówki, które wspinają się na stopę i dalej, wzdłuż łydki, żeby bronić miejsca, w którym żyją.

– Jestem Luigi Striano – zawołał Dragon. – Znacie mojego ojca.

W baraku zapadła cisza, kółko, które coraz bardziej zacieśniało się wokół nowo przybyłych, zatrzymało się.

– Moim ojcem jest Nunzio Striano, Wicekról, brat Feliciano Striano, Szlachcica. Luigi Striano, Suveren, to mój dziadek. Dostałem imię po nim.

Przy słowie „Wicekról” przywódca Romów zastygł na chwilę, po czym zawiązał równo rękawy dresu, jakby chciał porządniej wyglądać, i wyszedł z baraku. Ludzie, którzy otoczyli Dragonbola i Żetakpowiem, rozstępowali się przed nim na boki jak kłosa zboża przed idącym polem człowiekiem.

– Jesteś synem Wicekróla?

– Tak, to mój ojciec.

– Ja jestem Mojo. – Boss Romów wyciągnął rękę do Dragonbola. – Co tu robią te chłopaki? Po co przyszły? Wicekról nic mi nie powiedział. Co się dzieje?

– Muszę pogadać z Nicolasem.

Dragonbol zobaczył Nicolasa z bezczelnym uśmiechem na twarzy. Sytuacja się zmieniła. Stwierdził, że może sobie pozwolić na mały rewanż. Zebrał w ustach ślinę wymieszaną z krwią i splunął na nieskazitelnie czysty dres Cygana. Plwocina trafiła precyzyjnie w czarną koniczynkę logo. Mojo wyskoczył naprzód, ale Dragonbol go przytrzymał. Przypomniał mu, skąd się tu wziął i dokąd on, Dragonbol, może go w każdej chwili odesłać.

– Rozwiążcie go. I to szybko – rozkazał.

Mojo skinął głową na znak zgody i chwilę później Nicolas był wolny. Dragonbol chętnie zapytałby go, po co przyszedł do obozu, ale w ten sposób Mojo od razu by się zorientował, że Wicekról nic nie wie o interwencji syna, musiał więc dalej odgrywać przedstawienie:

– Powiedz mu, Nicolas, po co tu przyszłście.

– Bo okradli Nowego Maharadzę.

– Nikogo nie okradliśmy!

– Właśnie że tak! I teraz macie wszystko oddać.

Mojo położył mu rękę na karku i powtórzył dobitnie:

– Nie okradliśmy.

– Spokojnie, spokojnie – wmieszał się Żetakpowiem. Nicolas patrzył na Mojo z wężonymi oczami.

– Ktoś wyniósł wszystko z Nowego Maharadży w Posillipo. Wywieźli rzeczy furgonem. Tylko wy mogliście to zrobić.

– Myśmy tego nie zrobili.

– A mój ojciec myśli, że to wy. Wszystkie rodziny w Systemie myślą, że to wy – zablefował Dragonbol.

Mojo podniósł ręce w geście poddania i powiedział:

– Chodźcie za mną, zobaczcie sami, zobaczcie nasze furgony.

Mieli trzy białe fiaty fiorino bez żadnych napisów, identyczne i dobrze utrzymane. Nierzucające się w oczy. Gotowe do akcji. Mojo

otworzył drzwi samochodów, jednocześnie wierzchem dłoni starał się oczyścić dres z plwociny.

– Zobaczcie, co tam jest! – W półmroku dało się rozróżnić kartony z pralkami, telewizorami i lodówkami, były nawet meble kuchenne. I jeszcze: kosiarki, piły elektryczne, sekatory, nożyce do żywopłotów, wykaszarki – nowiutkie narzędzia ogrodnicze, jakby furgony stały zaparkowane przy parku. Wszystkie te rzeczy na pewno nie miały nic wspólnego z Nowym Maharadzą.

– Jasne, przecież nie jesteś idiotą – stwierdził Nicolas. – Fanty z Nowego Maharadży od razu wysłaliście dalej.

– To nie my. Gdybyśmy to my zrobili ten skok, teraz podałbym ci cenę. Za darmo bym ci tych rzeczy nie dał.

– Mój ojciec kazałby ci oddać wszystko gratis.

– Nawet twój ojciec musi dobrze żyć z Mojem.

Mojo uznał, że to, co im pokazał, wystarczy, żeby uwierzyli, że zachowuje się jak należy. Teraz chciał dać im do zrozumienia, że on też coś znaczy.

– Ty... Jak cię zwa... Mopie Vileda, mój ojciec może tu przyjść w każdej chwili, puścić z dymem ten wasz obóz i zabrać wszystko, co zechce, zrozumiałeś?

– Czemu Wicekról chce nas spalić? – Mojo wyglądał na przestraszonego i to się chłopcom bardzo spodobało.

– Nie, mówię tylko, że gdybyście poszli kraść bez pozwolenia... Czasem wam się to zdarza.

– Mojo nie pyta o pozwolenie. Mojo kradnie i jeżeli rodziny z Systemu czegoś potrzebują, mogą tu przyjść i sobie zabrać.

Chłopcy zrozumieli, że Mojo trzyma się reguł. Prowadził interesy w innej sferze. Białe furgony były pełne łupów z marketów z peryferii miasta. Romowie z jego obozu nie okradali mieszkań, zarabiali głównie na broni i na pożarach, podpalali wysypiska śmieci. Pilnowanie całego tego interesu było niełatwe, zorganizowanie skoku na restaurację wydawało się ponad ich siły.

– No dobrze, powiem ojcu, że nie okradliście Nowego Maharadży.

Bo przecież mojego ojca nigdy byście nie okłamali, prawda?

– Nie. Mojo nie kłamie. – Mojo skinął na jednego ze swoich ludzi i ten podał mu rewolwer Nicolasa. Mojo rzucił go chłopcu, postarawszy się, żeby wpadł do błota przed kołem jego skutera.

– A teraz się wynoście.

– Coś ty się tak uparł? Dlaczego musisz wiedzieć, kto okradł Nowego Maharadzę? – zapytał Dragonbol. Zatrzymali się w kebabowni, przeżyta przygoda dodała im apetytu. Nicolas poprosił obsługę o lód i przyłożył go sobie zaraz do wargi. Miał nadzieję, że Letizia nic nie zauważy.

– To jedyny sposób, żebyśmy mieli już na zawsze zarezerwowany salonik w Nowym Maharadży, wyłącznie do naszego użytku – odparł Nicolas. Przeżuwał jedzenie mniej obolałą stroną ust; nie było to łatwe, ale nie chciał zrezygnować z kebabu.

– Mówiłem przedtem, że mój ojciec, że tak powiem... On twierdzi, że mogli okraść się sami, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia – powiedział Żetakpowiem.

– Jeżeli tak, to nic nie możemy zrobić – odparł Dragonbol. Kupił sobie hot doga, z którego tłuszcz aż kapał. Przejadły mu się arabskie potrawy, poza tym matka twierdziła, że są przyrządzane z zepsutego mięsa.

– Tak naprawdę to mam w dupie, kto ich obrobił. Co my z tego możemy mieć? Prywatny salonik w Maharadży? I to wszystko? A po co nam on?

– Jak to po co? Mielibyśmy salonik do naszego wyłącznego użytku na zawsze, nie tylko na jeden wieczór – odpowiedział Nicolas. – To znaczy, że moglibyśmy tam siedzieć do woli, poznawać ludzi. I dać się poznać.

– I po to tylko mamy zrobić taką przysługę Oscarowi? Odnieść mu skradzione rzeczy? Są pewnie warte nie mniej niż milion euro, a ty chcesz mu zrobić taki prezent? Okradli go z wszystkiego, widziałeś w gazetach? Zabrali nawet drzwi z klamkami i ramy okienne...

– Jesteś chyba głupi, Dragonbol, nic nie czaisz. Jeżeli będziemy mieli zarezerwowany dla siebie salonik w Maharadży, nikogo nie będziemy się musieli prosić, żeby wejść do środka, i to nie jako kelnerzy. Cały Neapol będzie wiedział, że jesteśmy stałymi bywalcami, cały! Radni miejscy, piłkarze, piosenkarze i wszyscy najważniejsi bossowie Systemu. I my wśród nich. Teraz rozumiesz?

– Wcale nie chcę codziennie tam siedzieć.

– Nie codziennie, tylko kiedy będziesz miał ochotę.

– No dobra, rozumiem, ale myślę, że to się nie opłaci.

– Zawsze opłaci się przebywać wśród tych, którzy mają władzę. Mam dość życia z ludźmi, którzy nic nie znaczą. Chcę być przy tych, co rządzą.

Następne dni były puste. Nikt już nie wspominał o Cyganach, ale ta historia wisiała w powietrzu, było wiadomo, że wcześniej czy później znowu wypłynie na powierzchnię. I rzeczywiście tak się stało, a przyczynił się do tego sam Wicekról.

Matka Dragonbola wysłała syna do Aquili na widzenie z ojcem, który siedział tam w więzieniu. Już od ponad roku rozmawiał z nimi przez grubą szybę i mikrofon. Nunzio Striano, zwany Wicekrólem, był objęty reżimem z artykułu 41 bis.

Więzienie, którego rygor ustanawia artykuł 41 bis, jest jak sarkofag. Wszystko w nim znajduje się pod kontrolą, nieustannie obserwowane i monitorowane. Kamery filmują więźniów rano, po południu i w nocy. Więzień nie może sam wybrać programu telewizyjnego, książki czy artykułu w gazecie. Wszystko jest najpierw sprawdzane, filtrowane. A przynajmniej tak powinno być. Widzenia z rodziną są dozwolone tylko raz w miesiącu i odbywają się przez szybę kuloodporną. Pod szybą jest beton. I nad szybą też jest beton. Po obu jej stronach – mikrofon, do którego można mówić. Nic więcej.

Dragonbol odbył podróż w ciszy, zakłócaną tylko esemesami od Nicolasa, który chciał wiedzieć, czy jest już na miejscu, czy rozmawiał z ojcem, czy poruszyli temat kradzieży i czy może to mieć jakiś wpływ

na sytuację ich grupy. Czuł, że znaleźli się w punkcie zwrotnym, ale nie wiedział, co jest za nim.

Kiedy Dragonbol zobaczył ojca, wiedział od razu, że ten jest na niego zły.

– Gigino, jak się masz? – W głosie ojca usłyszał jednak nie tylko gniew, ale i czułość. Wicekról przytknął otwartą dłoń do grubej szyby. Dragonbol przykrył ją ze swojej strony, ale nie poczuł ciepła ciała ojca.

– Dobrze, tato – odpowiedział.

– Co to ma wszystko znaczyć: podobno jeździsz do Rumunii, nie pytasz o pozwolenie ani matki, ani ojca, o wszystkim sam decydujesz?

– Nie, tato, to nie tak. Nie jeżdżę tak sobie do Rumunii.

Chociaż nigdy nie przeszedł żadnego szkolenia w tej dziedzinie, doskonale wiedział, jak porozumiewać się kodem czytelnym tylko dla nielicznych, a kiedy nie rozumiał, co jego rozmówca miał na myśli, potrafił znaleźć sposób, żeby dopytać o szczegóły. Zbliżył usta do mikrofonu, chciał mieć pewność, że ojciec zrozumie wszystkie jego słowa.

– Nie wybrałem się tam tak sobie, dla mojego widzimisie, ale z powodu Nicolasa. To Nicolas chciał tam pojechać za wszelką cenę, mówi, że to nowe doświadczenie.

– I ty sobie ni z tego, ni z owego jedziesz do Rumunii, zostawiasz matkę samą, a mnie nawet nie pytasz o pozwolenie? – Wicekról miał takie spojrzenie, jakby chciał nim rozbić kuloodporną szybę i stłuc syna na kwaśne jabłko.

– Nicolas poprosił, żebym pojechał z nim do Rumunii, kiedy byliśmy w Posillipo, w takim jednym całkiem pustym lokalu. Nie było w nim ani jednego klienta. Nicolas powiedział, że wszyscy jeżdżą do Rumunii, bo można się tam lepiej zabawić. I dlatego lokale tutaj są puste. Poprosił, żebym pojechał z nim, bo sam się boi. Mówił, że mogą go złapać.

W tym miejscu zrobił dłuższą przerwę i wtedy ojciec od razu wszedł mu w słowo:

– To, że lokal jest pusty, nie ma nic wspólnego z Rumunią, nic a nic.

A w ogóle co cię to obchodzi, czy lokale są puste? Co cię obchodzi, że Nicolas jeździ do Rumunii? To nie twoja sprawa.

Dragonbol najchętniej odpowiedziałby mu, że rzeczywiście nic go to nie obchodzi. To sprawa Nicolasa. Ale Nicolas trzyma go przy sobie, choć płynie w nim ta sama krew co w żyłach „skruszonego” zdrajcy. Poza tym rozumiał jego motywacje, rozumiał, że dla kogoś, kto ubiega się o pozycję bossa, zdobycie poważania to fundamentalny etap. On sam, pomimo swej „błękitnej krwi”, czuł się szeregowcem i zabiegi Nicolasa nakierowane na zapewnienie sobie stałego dostępu do restauracji wydawały mu się stratą czasu. Szukał w głowie słów, którymi mógłby to przekazać ojcu, ale wtedy właśnie Wicekról zdecydował, że na tym skończy rozmowę z synem.

– Powiedz twojemu koledze, że nie zna się na turystyce. To nieprawda, że klienci nie odwiedzają lokali, bo wolą jeździć do Rumunii. Opuścili je, bo nie czują się w nich dobrze. Za bardzo podrożalo.

– Nie czują się dobrze? Podrożalo? – zapytał Dragonbol, ale Wicekról, zamiast odpowiedzieć, uderzył knykциями w szybę, jakby chciał go uderzyć. Dragonbol dużo dałby za to, żeby dostać klapsa od ojca. Tymczasem nie zdążył się nawet z nim pożegnać, zobaczył już tylko jego plecy.

– Więc Wicekról siedzi w sarkofagu? – zapytał Żetakpowiem, gdy tylko Dragonbol wrócił z Aquili.

– Tak.

– I nikt nie może się z nim widzieć?

– Tylko rodzina, raz w miesiącu.

– A, że tak powiem, wyjście na spacer?

– Ma tylko piętnaście minut na dzień. Chodzi z trzema innymi więźniami.

– Mogą z sobą rozmawiać?

– Mogą, ale się boją, bo wszędzie jest podsłuch. Z ojca zrobiła się chodząca krzyżówka. W ogóle nie można zrozumieć, co chce

powiedzieć – odparł Dragonbol i zreferował słowa ojca.

– Klienci nie czują się dobrze? Podrożać? – powtórzył Nicolas. Żetakpowiem też powtórzył na głos słowa Wicekróla, jakby chciał je sobie dobrze zapamiętać.

Żetakpowiem miał poczucie winy. To jego ojciec dał im mylne wskazówki i teraz do niego należało rozwiązanie tego problemu. Po powrocie do domu zaproponował ojcu, że zawiezie go skuterem do Borgo Marinari i kiedy pędzili po ulicy Caracciolo, powiedział:

– Przez ciebie, tato, zrobiłem z siebie głupka.

– Jak to? – krzyknął ojciec, żeby chłopiec usłyszał go w rozgardiaszu ruchu ulicznego.

– To nie byli Cyganie. Wicekról tak powiedział.

– Aaa! Wciągnęliście w to nawet Wicekróla! A co on może wiedzieć? Przecież siedzi.

– Powiedział Dragonbolowi, że Romowie nie mają z tym nic wspólnego, a potem powiedział jeszcze coś takiego: „To nie ma związku z turystyką”.

– Z turystyką?

– No... że tak powiem... Wicekról powiedział, że klienci przestali chodzić do naszych lokali nie dlatego, że jeżdżą do Rumunii, ale dlatego, że nie czują się w nich dobrze i że podrożać. Dragonbol nie wie, o co chodzi. Przecież Nowy Maharadża nigdy nie płacił haraczu.

Ojciec wybuchnął śmiechem, tak że skuter o mało nie stracił równowagi.

– Tato, przecież... że tak powiem, to nie ma nic do rzeczy!

– A właśnie że ma. Nie wiecie, że Nowy Maharadża musi płacić za ochronę prywatnej policji?

– Prywatnej policji?

– Tak. Pewnie ochroniarze zażądali podwyżki, a oni odmówili i teraz nie mają ochrony.

Żetakpowiem przyśpieszył i wyprzedził dwa samochody, jeden za drugim, potem przeciął drogę małej furgonetce, która w ostatniej chwili zdążyła zahamować, i wjechał w wąską uliczkę. Zostawił ojca

przed wejściem do restauracji, gdzie ten pracował, i odjechał na pełnym gazie. Po kilku metrach zahamował gwałtownie, wytwarzając przy tym chmurę spalin wymieszanych ze smrodem palonej gumy, która owiała parę turystów siedzących przy stoliku. Obrócił się do ojca i powiedział:

– Dzięki. Teraz muszę jechać. – I znowu dodał gazu.

Żetakpowiem w esemesie zreferował Nicolasowi słowa ojca. Ten od razu przedyskutował to z Dragonbolem. Nie mieli wątpliwości, teraz informacja Wicekróla była dla nich zrozumiała. Należało porozmawiać z Oscarem, ale ten nie odbierał telefonu. Nicolas poszedł więc pod jego dom. Była północ. Oscar mieszkał w odległości kilkunastu kroków od Nowego Maharadży, bo jak mówił, tam koncentrowało się całe jego życie. Przez szpary zamkniętych okiennic na drugim piętrze przedostawało się światło. Nicolas przylgnął do domofonu, zdecydowany, że nie odejdzie, dopóki mu nie otworzą. Ale nikt nie odpowiadał. Nie usłyszał nawet: „Wynoś się!”. Ułożył więc dłonie w trąbkę, przytknął je do ust i zaczął krzyczeć:

– To nie byli Cyganie ani Copacabana! Zrobiła to agencja ochrony! Agencja Puma!

Okiennice otwarły się gwałtownie, w oknie pojawiła się kobieta w szlafroku. Krzyknęła, żeby był cicho, i zniknęła. Nicolas dał jej dziesięć sekund – raz, dwa, trzy... – potem zamierzał znowu zacząć krzyczeć. Doliczył do dziewięciu, gdy brama brzęknęła na znak, że ktoś zwolnił zamek.

Oscar siedział w fotelu z otępiałym wyrazem twarzy. Miał na sobie piżamę, przed nim na dywanie leżała butelka po szampanie, pewnie przyniesiona z restauracji. Nicolas starał się go skłonić do rozumowania, ale ten go nie słuchał, nie przestawał mamrotać, że to Copacabana opróżnił jego lokal w zemście za to, że nie chciał w nim urządzić przyjęcia weselnego.

– To nie on. Copacabana nie miał w tym żadnego interesu. – Nicolas mówił do Oscara powoli, spokojnie, jak mówi się do dzieci. – Woli żyć z wszystkimi w zgodzie. Gdyby chciał, to jego ludzie spaliliby ci twój

lokal, nie tylko okradli.

Nicolas dostrzegł na stoliku przy telewizorze jeszcze jedną butelkę szampana, takiego samego jak ten, który pan domu pił wcześniej. Szampan był ciepły, pewnie stał tam od dawna, ale Nicolas i tak otworzył butelkę i napełnił kieliszek, który Oscar trzymał ciągle w ręce. Wtedy dopiero powiedział to, co już dawno sobie ułożył:

– Jeżeli znajdę ci wszystkie rzeczy z restauracji, w zamian wypełnisz trzy moje żądania: zarezerwujesz dla nas salonik do wyłącznej dyspozycji, dasz nam pięćdziesiąt procent zniżki na konsumpcję wszystkiego w twojej restauracji, dla mnie oraz moich przyjaciół, i pošlesz agencję Puma do diabła. Ja cię będę ochraniał.

– Ty? – Przez chwilę wydawało się, że Oscar wraca do siebie, wypił jednym haustem zawartość kieliszka i spróbował wstać, ale zaraz znowu opadł na fotel. Rzucił kieliszkiem w Nicolasa, tylko że źle wycelował i trafił w wiszący na ścianie czterdziestocalowy telewizor.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z kamorrą. Nigdy nikomu nie płaciłem haraczu, a teraz miałbym płacić takim smarkaczom?! Bądź tak miły i wyjdź stąd natychmiast.

Pojawiła się żona Oscara, ubrana i uczesana, jakby czekała na gości. Zaczęła krzyczeć, że to dom porządnych ludzi i że zaraz zadzwoni po karabinierów. Pieprzy, pomyślał Nicolas, ale wiedział, że nie ma sensu dłużej naciskać. Oscar już teraz nic innego nie powie. Udało mu się wreszcie podnieść z fotela i kontemplował teraz pęknięcia na telewizorze, jęcząc coś pod nosem.

Nicolas nie potrzebował wiele, żeby się dowiedzieć, czym jest Puma. Wyglądało na to, że wszyscy to wiedzieli. Ta agencja ochrony powstała jeszcze w latach dziewięćdziesiątych za pieniądze Nowej Rodziny. Od kiedy zmarł jej założyciel, przyjaciel Lorenza Nuvoletty, jednego z najbardziej wpływowych bossów kamorry w latach dziewięćdziesiątych, agencję prowadził jego syn, który notabene zapewnił sobie ochronę Copacabany.

– White, widziałeś, w jakim gównie znalazł się Nowy Maharadża? –

Nicolas skierował to pytanie do bossa Kudłaczy, który odpoczywał właśnie po partyjce bilarda. Trzymał w ręce filiżankę z opium, co potwierdzało jego famę znawcy narkotyków, na jakie tylko niektórzy mogą sobie pozwolić. Nie chciał się odurzać tym samym co wszyscy.

– Tak, rzeczywiście, siedzą w gównie.

– Wiesz, co mówią? Że zrobił to Copacabana.

– Bzdura – odparł White, wykrzywiając przy tym usta. Wstrząsnął nim dreszcz, przez który omal nie wylała się zawartość filiżanki. Wypił trochę płynu i dreszcz minął. – Gdyby Copacabana miał w tym interes, podłożyłby bombę w restauracji. Ale nas Posillipo nie obchodzi... Powiem więcej: lubiliśmy chodzić do Nowego Maharadży. A ty czemu jesteś taki ciekawy? Może ktoś cię posłał, żebyś się czegoś dowiedział? Powiedz, bo trzeba będzie dać o tym znać Kiciusiowi.

– Nikt mnie nie posłał. Wkurza mnie, że nas oskarżają, podczas gdy my nie mamy z tym nic wspólnego... – powiedział Nicolas. Zaczęło mu się podobać blefowanie i manipulowanie ludźmi.

– Patrzcie go, jaki obrońca niewinnych! – zaśmiał się Kukuryku. Zajął miejsce White'a przy stole bilardowym i mówił teraz do Nicolasa odwrócony do niego plecami, przygotowując się do uderzenia. – My? Jacy my? Ty nie jesteś z nami, a my nie jesteśmy z tobą.

– Chcę powiedzieć, że my, ludzie z Forcelli, nie mamy z tym nic wspólnego.

– Jasne, że nie. To sprawka Cyganów – powiedział lekceważąco White. Teraz i on blefował, bo o tak dobrze zorganizowany skok mogli oskarżyć jego paranzę.

– To nie Cyganie, mogę się założyć – odrzekł Nicolas.

White zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i łyknął ze dwa razy z filiżanki. Wyjął z kieszeni iPhone'a i przez dłuższą chwilę pisał coś, czego Nicolas mógł się tylko domyślać, patrząc na jego futerał z rysunkiem pirackiej flagi. Być może tym razem przeszarżował i White pisze do swoich ludzi, a może czatuje ze swoją dziewczyną i śmieje się w duchu z tego gówniarza, który stoi przed nim grzecznie i czeka, aż skończy. Kiedy White skończył pisać, znów wbił wzrok

w Nicolasa, ale tym razem patrzył mu prosto w oczy i przestał dopiero, gdy sygnał iPhone'a dał mu znać, że przyszła odpowiedź na jego esemes. Od kogo? Od kogoś z jego bandy? Ale po co miałyby ich wzywać, jeżeli Kukuryku i inni stojący za plecami Nicolasa byli gotowi wkroczyć do akcji na najmniejszy znak szefa. Od dziewczyny? Ale czy on w ogóle miał dziewczynę? White przeczytał szybko wiadomość, odstawił filiżankę i powiedział:

– Zrobimy tak... Ty chcesz mieć swoje miejsce w Nowym Maharadży. Dobrze.

– Nie, pocze...

– Zamknij się. Ty weźmiesz od nich, co tam chcesz, a ja dam ochronę Nowemu Maharadży. Ty najwyżej możesz dostać od nas pensję.

Nicolas uznał, że w tej sytuacji nie może powiedzieć nic innego jak tylko:

– Nie chcę od nikogo dostawać pensji.

Przy stole bilardowym zamarł wszelki ruch. To był zły znak. White wstał gwałtownie z krzesła i złapał za kij, który podał mu Kukuryku. Nicolas wiedział, że teraz nie może okazać słabości. Powtórzył więc tylko:

– Nie chcę od nikogo dostawać pensji.

– To ci dopiero skurwiel... – powiedział White. – No dobra, wystarczy tego.

Nicolas napiął mięśnie brzucha, przygotowując się na uderzenie kijem bilardowym w żołądek. Na pewno zaboli, ale przy odrobinie szczęścia nie upadnie na podłogę bez tchu i zostanie mu kilka sekund, żeby wymierzyć komuś cios, może nawet White'owi. Widział się już, jak leży pod gradem ciosów i kopniaków, starając się ochronić głowę i genitalia. Ale nieoczekiwanie White rzucił kij na podłogę i usiadł z powrotem na krześle. Znowu przeszył go dreszcz, który uspokoił tym razem, mocno zaciskając szczęki.

Potem zaczął opowiadać. W dniu kradzieży w Posillipo miało dyżur dwóch ochroniarzy, którzy kupowali kokainę w jednym z prowadzonych przez Kudłaczy punktów. Potwierdził to Pinuccio

Dzikus, który zaopatrywał ten właśnie punkt, dodając przy tym, że ci dwaj Rambo w śmiesznych musztardowych koszulkach byli jego stałymi klientami.

Tak więc także White od razu postarał się dowiedzieć, co wydarzyło się w Nowym Maharadży. Tyle tylko, że w odróżnieniu od Nicolasa nikomu o tym nie powiedział.

Przez dwa dni Nicolas nie wychodził ze swego pokoju i nie odzywał się do brata. Na telefony Letizii odpowiadał krótkimi esemesami: „Przepraszam, kotku, ale źle się czuję. Wkrótce zadzwonię”.

Jadł tylko to, co matka zostawiała mu pod drzwiami. Mena pukała do drzwi, starała się czegoś dowiedzieć, ale syn zbywał ją tak samo jak Letizję: mówił, że źle się czuje, ale to nic poważnego, szybko minie, nie musi się martwić, przede wszystkim zaś ma nie pukać do drzwi, bo od hałasu pęka mu głowa. Matka wreszcie się poddała, pomyślała, że Nicolas pewnie znowu coś przeszkrobał, i mogła mieć tylko nadzieję, że to nic poważnego. Dziwiła się, że tak bardzo przeszkadza mu pukanie do drzwi, a znosi bez problemu tę muzykę z piekła rodem, której słucha przez cały czas.

We got guns, we got guns. Motherfuckers better, better, better run.

Nicolas w kilka sekund znalazł tę piosenkę na YouTube. Oznaczył ją od razu jako ulubioną i nastawił zapętlone odtwarzanie. White nucił wyłącznie ten kawałek, czasami wykonywał go dźwięcznym barytonem, o który nikt by nie podejrzewał opiumisty, albo wręcz przeciwnie – szeptał go prosto do ucha tego, kto przypadkiem się przy nim znalazł. Podśpiewywał ją także, kiedy spotkał się z Nicolasem pod domem Pinuccia Dzikusa. Umówił się z nim, żeby zamknąć sprawę Nowego Maharadży. Był z nim Kukuryku, a cztery piętra wyżej, w jednopokojowym mieszkanku, niemalowanym chyba od lat siedemdziesiątych, czekał Pinuccio. Zwabił do siebie dwóch ochroniarzy, którym obiecał, że ma dla nich nowy towar – boliwijski, najlepszy na świecie, przez znawców nazywany *mariposa*. Zapowiedzieli Nicolasowi, że będą w trzech czekać zamknięci

w ubikacji, a na sygnał Pinuccia, na słowa „Ten towar jest lepszy niż kobitka, lepszy niż rżnięcie”, ma wyskoczyć ze sznurem zawiązanym jak stryczek, który dostał od White’a w windzie, zarzucić go na szyję jednemu z ochroniarzy i zacisnąć na tyle silnie, żeby zaczęło mu się ciemnieć w oczach. Potem, kiedy White zacznie zadawać pytania złapanym w pułapkę mężczyznom, powinien poluzować sznur.

I tak też się stało. Tyle tylko, że ochroniarze nie chcieli się przyznać do udziału w opróżnieniu Nowego Maharadży. Nie dość tego – grozili im, powiedzieli, że byli funkcjonariuszami policji finansowej i że nie ujdzie im to na sucho. Wtedy White stracił cierpliwość, wściekł się, ale nie przestawał nucić tego samego kawałka piosenki: *We got guns, we got guns. Motherfuckers better, better, better run.*

Oznajmił, że musi wyjść na pięć minut, bo potrzebuje czegoś ze sklepu z narzędziami na rogu ulicy. Wrócił rzeczywiście po pięciu minutach, dokładnie tak, jak zapowiedział. Kupił kolbę lutowniczą i olej silnikowy. Nicolas i Kukuryku ciągle jeszcze trzymali sznury, którymi byli związani ochroniarze, i wyglądali, jakby wyprowadzali dwa buldogi na spacer po parku. Kiedy White polecił, żeby jednego z nich związali solidniej, opuścili mu spodnie, włożyli do ust knebel ze zwiniętego ręcznika, zrobili to bez słowa. White otworzył pojemnik z olejem, wlał trochę do odbytu związanego ochroniarza i wsunął do niego lutownicę.

We got guns, we got guns. Motherfuckers better, better, better run.

White usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i przez chwilę zastanawiał się, czy wciągnąć kreskę mariposy.

Kiedy później Nicolas leżał na łóżku w swoim pokoju, czuł jeszcze zapach spalonego mięsa. Poparzonego odbytu. Ekskrementy, krew i smażony kurczak. Drugi ochroniarz, widząc, co spotkało kolegę, zmiękł, przyznał się do wszystkiego. Tak, to oni, do pomocy wynajęli Albańczyków. Chcieli wykorzystać fakt, że Copacabana siedzi w więzieniu, i podnieść stawki za ochronę wszystkich lokali, którym ją zapewniali. Te, których właściciele nie zgodzili się na podwyżkę, okradali z całego wyposażenia. Należał do nich Nowy Maharadża.

We got guns, we got guns. Motherfuckers better, better, better run.

White stwierdził autorytatywnie: „Kiedy prawda nie może wyjść przez usta, na pewno wyjdzie przez dupę”, po czym polecił ochroniarzowi zaprowadzić się do magazynu, gdzie ukryli skradzione przedmioty. Kolegę z poparzoną odbytą zostawili, żeby trochę ochłonął.

Nicolas bardzo pragnął mieć prywatny salonik. Właściwie nie tyle pragnął, ile uważał, że mu się należy. Sfilmował wszystko smartfonem: krzesła, kandelabry, komputery, dywany, a także ogromny obraz z wizerunkiem maharadży i kasę pancerną, którą złodzieje wydlubali ze ściany za pomocą kilofa. Następnie posłał film Oscarowi, który – jak sobie Nicolas wyobrażał – obejrzał go, siedząc wciąż jeszcze w tym samym fotelu, w którym go zostawił. Oscar ustąpił i zgodził się na wszystkie warunki. Miał się zgłosić do karabinierów i powiedzieć, że dostał anonimowy telefon. Ukradzione mienie znajduje się tam i tam. To robota agencji Puma, bo nie zapłacił haraczu. Zostanie uznany za bohatera, który nie ugiął się przed szantażem i miał odwagę donieść o nim na policję. Będzie płacił za ochronę White’owi tysiąc euro od imprezy i tysiąc za każdy weekend. W sumie mogło się to dla niego skończyć gorzej.

A Nicolas? Nicolas nie chciał procentu od haraczu narzuconego Oscarowi przez White’a. Lepiej nic nie dostać, niż być u kogoś na garnuszku. Ale zyskał prawo swobodnego wstępu, dla siebie i przyjaciół, do Nowego Maharadży. Poczul się, jakby Nowy Maharadża należał do niego.

Kiedy wreszcie zdecydował się opuścić pokój, zrobił to przede wszystkim po to, żeby opowiedzieć o wszystkim Christianowi. Wyszli z domu, tak żeby jedynymi świadkami jego opowieści były odrapane mury domów w sąsiedztwie. Chciał zostać wzorem dla brata, chciał nauczyć go wszystkiego, czego musiał nauczyć się sam.

– Coś takiego! To teraz mamy wolny wstęp do Nowego Maharadży! – ucieszył się Christian, kiedy wysłuchał opowieści Nicolasa.

– Tak. Kiedy tylko zechcemy.

– Nicolas, nie mogę w to uwierzyć! Dasz mi dzisiaj w nocy trzymać rewolwer pod poduszką?

– Dobrze – zgodził się starszy brat i pogładził go po krótko obciętych gęstych włosach.

Księżę

W liceum plastycznym było laboratorium multimedialne, gdzie odbywały się zajęcia fakultatywne poświęcone technikom audiowizualnym. Uczniowie chętnie w nich uczestniczyli, najbardziej interesowała ich produkcja filmów muzycznych. Działał w nim też zespół muzyczny, który występował publicznie także poza szkołą i miał kilka własnych utworów gotowych do nagrania. Muzycy wynajmowali salę prób przy ulicy Tassa, tam też mogli zarejestrować swoje utwory. Pendrive z dwiema piosenkami zanieśli instruktorowi laboratorium audiowizualnego. Nazywał się Ettore Jannacone, ale uczniowie nadali mu przydomek Sokole Oko. Właściwie nie miał odpowiedniego wykształcenia w tej dziedzinie, ale uczył się w rzymskim Centrum Kinematografii i – co najważniejsze – pracował jako technik na planie tasiemcowej telenoweli *Miejsce pod słońcem*. Uczniom liceum przekazywał głównie wiadomości teoretyczne i z rzadka tylko pozwalał im dotykać swojego prywatnego sprzętu. Przez lata bezskutecznie usiłował przekonać dyrektora szkoły, żeby doinwestował laboratorium.

– Jesteśmy w Neapolu – mówił – tutaj wszyscy są twórczy.

Profesorowi De Marino przyszedł do głowy pomysł na zainteresowanie uczniów literaturą przy wykorzystaniu laboratorium. Postanowił nagrać ich, gdy będą czytać fragmenty sławnych dzieł. Jannacone zarezerwował dla nich laboratorium w godzinach rannych, przygotował oprawę i ustalił kolejność nagrań. Miało w nich uczestniczyć piętnastu uczniów, każdy miał przeczytać dziesięciominutowy fragment prozy.

– Ty, Fiorillo, co wybierzesz? – De Marino zwrócił się z tym pytaniem do Nicolasa znienacka, podczas gdy chłopak wkładał do kieszeni telefon i szykował się do wyjścia z klasy.

- Co mam wybrać?
- Co przeczytasz przed kamerą?

Nicolas podszedł do ławki koleżanki i wziął do ręki antologię tekstów literackich, nad którymi pracowali na lekcjach. Otworzył książkę, przesunął wzrokiem po spisie treści i wskazał palcem na jedną z pozycji.

- Siedemnasty rozdział *Księcia Machiavellego*.
- Brawo, Fiorillo. Przeczytaj go uważnie w domu i przed kamerą wszystkim o nim opowiedz.

Wszyscy inni uczniowie mieli tylko odczytać fragmenty wybranych utworów, ale z Nicolasem profesor postanowił zaryzykować. Był ciekawy, jak zareaguje na jego propozycję. Nie potrafił rozgryźć tego chłopaka. Pokazywał się i znikał. Dziewczęta z klasy posyłały mu słodkie spojrzenia, chłopcy go unikali. A może raczej to on ich unikał? Co siedziało w tym chłopaku?

Nicolas spojrzał na książkę, następnie na jej właścicielkę, która właśnie nawijała sobie kosmyk włosów na palec, i na nauczyciela.

- Nie ma problemu. Nie boję się. Mogę to zrobić.

De Marino patrzył na niego, gdy odchodził z książką pod pachą w kierunku grupy uczniów, którzy otoczyli Ettore Jannaconego na środku szkolnego podwórka.

- Panie profesorze, moglibyśmy kiedyś nakręcić nasz odcinek *Miejsca pod słońcem!*

Jeden z chłopców udał, że ściąga spodnie:

- Nakręcmy lepiej *Tylek pod słońcem*. – Inni zareagowali na to śmiechem.

Nicolas usiadł w odosobnieniu, ale jego pochylona nad książką jasna głowa przyciągała wzrok. Po jakimś czasie wstał i powiedział, że jest gotowy. Sokole Oko skierował obiektyw na jego twarz i po raz pierwszy tego dnia odniósł wrażenie, że ma przed sobą rasowego aktora. Nie podzielił się z nikim tym spostrzeżeniem, ale staranniej niż przy innych uczniach wykadrował ujęcie. Nicolas stał przed kamerą bez ruchu, nie żartował z kolegami i, co najważniejsze, nie

trzymał przed sobą książki. Jannacone nie zastanawiał się, dlaczego akurat ten chłopiec ma mówić z głowy, dla niego było ważne, że jest skupiony i że nie będzie musiał co chwila zwracać mu uwagi, żeby trzymał książkę nisko, poza kadrem. Kiedy uznał, że wszystko jest gotowe do nagrywania, powiedział:

– Możesz zaczynać.

De Marino obejrzał nagranie jeszcze tego samego dnia. Zamknął się sam w laboratorium audiowizualnym i włączył aparaturę. Na ekranie pojawiła się twarz Nicolasa patrzącego prosto w obiektyw kamery. Dominowały w niej oczy. Nauczyciel pomyślał, że chłopak też mógłby nosić przydomek Sokole Oko. Widać było, że jest doskonałym obserwatorem, że nic nie umknie jego uwadze. Tak jak powiedział – przyjął wyzwanie i spokojnie, bez zdenerwowania opowiadał o tym, co przeczytał w wybranym przez siebie siedemnastym rozdziale *Księcia*.

– Kto ma być księciem, nie przejmuje się, że lud się go boi, i mówi o tym otwarcie. Kto ma być księciem, ma gdzieś, czy ludzie go kochają, bo wie, że będą go kochać tylko dopóty, dopóki wszystko dobrze się układa, ale kiedy coś pójdzie nie tak, zaraz się od niego odwrócą. Lepiej jest być uważanym za władcę okrutnego niż łagodnego... – W tym miejscu swojej wypowiedzi Nicolas zatrzymał się na chwilę, zdawał się szukać oczami aprobaty u słuchaczy. A może nie; może tylko na moment zgubił wątek, zapomniał, co chciał powiedzieć. Pogładził sobie powoli brodę palcem. De Marino miał ochotę zatrzymać film i jeszcze raz zobaczyć ten gest, żeby sprawdzić, czy bliżej mu braku pewności, czy arogancji, ale Nicolas zaraz podjął na nowo: – Należy się wystrzegać pielęgnowania litości.

Gdzie ten chłopak usłyszał wyrażenie „pielęgnowanie litości”?

– Miłość to więź, która łatwo się przerywa, strach nigdy nie znika. – Na te słowa Nicolas położył szczególny nacisk. Po nich zrobił znowu przerwę i obrócił się profilem do kamery. Z tej perspektywy jego twarz nabierała łagodniejszych rysów, można było zapomnieć

o goszczących na niej zwykle arogancji i bucie, z profilu Nicolas wyglądał po prostu jak nastoletni chłopiec.

– Jeżeli Książę ma wojsko, wojsko to musi przypominać wszystkim, że jest on człowiekiem okrutnym. Nie da się utrzymać wojska w karności, jeżeli wódz jest zbyt łagodny. Wielkie zwycięstwa pochodzą ze strachu, książę potrafi go w ludziach wzbudzić i potrafi go rozsiać. Księcia tworzy jego wizerunek, wszyscy go rozpoznają, jego sława rozchodzi się daleko.

Przy słowie „daleko” po raz pierwszy spuścił wzrok i pozostał tak, jakby chciał dać znać, że skończył.

– Jak wyszło, panie profesorze? Dobrze? Damy to na YouTube’a? – Głos Nicolasa zaskoczył nauczyciela. Chłopak został dłużej, chciał zobaczyć nagranie.

– Wystraszyłeś mnie, Fiorillo.

– Nauczyłem się od Machiavellego, że strach bywa pomocny. Zwłaszcza w polityce.

– Spokojnie, Fiorillo. Nie przesadzaj.

Nicolas stał w głębi laboratorium, opierał się ramieniem o mur. Wyciągnął z kieszeni jeansów kilka krzywo złożonych kartek.

– Profesorze, Machiavelli Machiavellim, ale to jest Fiorillo. Chce pan przeczytać?

De Marino nie wstał z konsoli, wyciągnął tylko rękę po kartki.

– To twoja rozprawka?

– Niech będzie rozprawka.

Nicolas podał nauczycielowi kartki i obrócił się na pięcie. Pożegnał go uniesieniem ręki, idąc do drzwi.

De Marino podszedł do ekranu, cofnął o kilka sekund nagranie i jeszcze raz zobaczył Nicolasa, gdy ten mówi: „Księcia tworzy jego wizerunek, wszyscy go rozpoznają, jego sława rozchodzi się daleko”. Uśmiechnął się, wyłączył odtwarzacz i zaczął czytać rozprawkę Nicolasa Fiorillo.

Część druga

DRAPIEŹCY I OFIARY

Na świecie żyją tylko dwa gatunki ludzi: drapieżcy i ofiary. Mówiąc prościej: ci, którzy starają się wszystkich wydymać, i ci, którzy pozwalają się wydymać! Tak było zawsze i wszędzie.

Drapieżcy z każdej sytuacji potrafią wynieść dla siebie korzyść. Nie zaprotestują, gdy inni zapłacą za kolację w restauracji, dają się podwieźć za darmo, przyciągną do siebie kobietę związaną z kimś innym, wygrają konkurs. Ofiarom w każdych warunkach przypadnie to, co najgorsze.

Nie zawsze można od razu poznać po ofiarach, że należą do tego właśnie gatunku ludzi. Często udają, że są drapieżcami. Ta zasada działa też w drugą stronę, to znaczy – wielu z tych, o których powiedzielibyśmy, że są ofiarami, to w rzeczywistości brutalni drapieżcy. Przybierają maskę ofiary po to, by skuteczniej, bo z zaskoczenia, osiągać swoje cele. Jedną z często używanych strategii drapieżców polega na udawaniu przegranych, na płaczu i skargach.

Przynależność do jednego lub drugiego gatunku nie zależy od płci. Czy urodzisz się na tym świecie mężczyzną, czy kobietą, masz takie same szanse, by stać się zarówno drapieżcą, jak i ofiarą. Kto twierdzi, że mają z tym podziałem coś wspólnego klasy społeczne, mówi bzdury. Ofiara

może się urodzić w każdych warunkach, zarówno w pięknej willi, jak i w ubogiej chałupie, w każdym z tych miejsc z pewnością znajdzie się ktoś, kto zabierze jej to, co dla niej cenne, napotka przeszkody, z powodu których nie osiągnie tego, czego pragnie, nie zbierze w sobie dość sił, by zrealizować swoje plany. Zostaną dla niej okruchy. Drapieżca może dorastać w garnizonie lub w pasterskim szałasie, na peryferiach lub w metropolii – wszędzie dojrzeją w nim zuchwałość i spryt, wszędzie znajdzie odpowiednie środki i spotka pomyślnie wiatry, by zdobyć to, na czym mu zależy. Drapieżca osiąga to, czego pragnie, ofiara pozwala, by inni zabrali jej to sprzed nosa, gubi się po drodze.

Nawet jeżeli ofiara ma nieporównanie większą władzę niż drapieżca, bo na przykład odziedziczyła fabryki i akcje, to i tak pozostanie ofiarą, bo jej zyskiem z całego tego kapitału będą tylko obrzynki, na których uzyskanie zezwolą prawo i przypadek.

Drapieżca poradzi sobie z przeciwnościami losu i z ograniczeniami narzuconymi przez prawo. Potrafi niekorzystne dla siebie przepisy prawa ominąć, zmienić, a nawet wyciągnąć z nich zyski.

Niektórzy ludzie od samego urodzenia są przeznaczeni do tego, by władać, inni zaś do tego, by nimi władano – tak pisał stary Arystoteles. On też rozumiał, że człowiek rodzi się drapieżcą lub ofiarą. Drapieżcy potrafią wykorzystać ofiary, te zaś pozwalają się wykorzystać.

Zastanów się nad sobą. Zastanów się nad sobą głęboko – jeżeli nie odczuwasz przy tym wstydu, to znaczy, że nie robisz tego dość szczerze.

A potem odpowiedz sobie na pytanie, czy jesteś drapieżcą, czy ofiarą.

Sąd

Jeden z ludzi Kiciusia trafił za kratki. Oskarżono go o zamordowanie syna don Vittoria Grimaldiego, Gabrielego, ale niczego mu nie udowodniono. Tak czy inaczej, jedno jest pewne: don Vittorio, nazywany Archaniołem, widział, jak umiera jego syn.

W Czarnogórze, dokąd ojciec i syn zdecydowali się przenieść interesy i gdzie razem je prowadzili, zawsze wszystko działo się bardzo szybko. Don Vittorio widział całą scenę z okna swej willi. Nieopodal niej kręciło się zawsze zanurzone w strumieniu stare, zardzewiałe koło młyńskie, jedyna pozostałość po młynie wodnym. Archanioł widział dokładnie tego mężczyznę, widział nawet jego oczy, widział ręce, które popchnęły Gabrielego na metalowe łopaty o brzegach wyostrzonych przez bystry nurt. Don Vittorio pobiegł tam natychmiast, próbował zatrzymać koło, ale mu się to nie udało. Zanim pomogli mu ludzie zatrudnieni w jego domu, patrzył, jak ciało syna, nabite na jedną z metalowych łopat, unosi się i wpada do wody za każdym obrotem koła. Dużo czasu minęło, nim udało im się je zdjąć.

Pomimo to don Vittorio podczas procesu nie obciążył killera nasłanego przez Kiciusia. Nie przedstawił dowodów, nie podał żadnej obciążającej go informacji. Gabriele Grimaldiego zabił Tygrysek, prawa ręka Diega Faelli zwanego Kiciusiem, któremu zależało na przejęciu rynku w Czarnogórze, a jeszcze bardziej – na zawładnięciu San Giovanni a Teduccio, by mieć stamtąd otwarty dostęp do Neapolu. Podczas procesu prokurator zapytał don Vittoria, czy go poznaje, ale otrzymał odpowiedź przeczącą. Prokurator nalegał, żeby dobrze się zastanowił, zależało mu na zamknięciu procesu.

– Na pewno? Nie poznaje pan Francesca Onorato, pseudonim Tygrysek?

Don Vittorio pozostał przy swojej odpowiedzi:

– Nigdy w życiu nie widziałem go na oczy. Nie znam tego człowieka.

Don Vittorio wiedział, że ten człowiek ma na rękach krew jego syna i wielu jego ludzi. Ale nie pomógł w jego skazaniu. Podziękowanie Diega Faelli było skromne. W zetknięciu z instytucjami państwowymi kamorysta pozostaje kamorystą. Milczenie Archaniola zostało uznane za normalne zachowanie „człowieka honoru”. Jako rekompensatę dostał od Kiciusia życie albo raczej szansę na przeżycie. Kicius zatrzymał faidę przeciw klanowi Grimaldich, jego bossowi pozwolił prowadzić dalej interesy, na bardzo jednak ograniczonym terenie. Praktycznie zamknął go w rezerwacie w dzielnicy Ponticelli. Wszystkie zainteresowania swojej rodziny – handel heroiną i kokainą, budownictwo, odpady, supermarkety – don Vittorio musiał teraz skoncentrować na kilku kilometrach kwadratowych. Tygrysek został uniewinniony, a Archaniol dostał areszt domowy.

Adwokaci uznali wynik procesu za ogromny sukces. Obściskali się po jego ogłoszeniu, kilka osób w pierwszych rzędach klaskało. Nicolas, Śnięta Ryba, Dragon, Briatore, Tukan i Agostino byli na wszystkich rozprawach. Można powiedzieć, że wyrosli przy tym procesie. Kiedy weszli do sali rozpraw po raz pierwszy, mieli na twarzach ledwo widoczne ślady zarostu, przy ogłoszeniu wyroku paru z nich mogłoby nosić brody jak wojownicy Państwa Islamskiego. Żeby wejść, pokazali te same fałszywe dowody osobiste co dwa lata wcześniej, gdy postępowanie sądowe dopiero się rozpoczynało. Bezpośrednio mogły je śledzić tylko osoby pełnoletnie. Ale załatwienie fałszywych dokumentów nie sprawiło im najmniejszej trudności. Miasto wyspecjalizowało się w produkcji dowodów osobistych dla dżihadystów, czym wobec tego było sporządzenie dokumentów tożsamości dla kilku chłopaczków, które chciały wejść na sądową salę rozpraw? Zajął się tym Briatore. Zrobił wszystkim zdjęcia i znalazł fałszerza. Wystarczyło sto euro na głowę, żeby w jednej chwili mogli mieć o trzy lub cztery lata więcej. Żetakpowiem i Biskopcik zostali wyłączeni z tej akcji, czemu bardzo się sprzeciwiali, ale w końcu musieli się poddać, bo z ich dziecinnymi buziami nie nabraliby

nikogo.

Kiedy po raz pierwszy znaleźli się pod trzema przeszklonymi wieżami sądu okręgowego, zaskoczyło ich, że poczuli coś w rodzaju fascynacji, jakby znaleźli się w jakimś amerykańskim serialu. A byli przecież przed siedzibą sądu karnego, tego samego, który kamoryści systematycznie podpalali, gdy jeszcze go budowano. Kamoryści tacy jak ten, którego teraz mieli zobaczyć z bliska. Imponujące wrażenie, jakie wywarły na nich wysokie, przeszklone wieże, zniknęło, kiedy tylko znaleźli się w środku. Tam wszystko wydawało się marnej jakości: wykładziny, plastikowe sprzęty i głosy dudniące w zbyt dużych przestrzeniach. Wchodząc po schodach, ścigali się, hałasując przy tym i szarpiąc się za koszulki. Potem, już w sali rozpraw, Nicolas musiał się pilnować, żeby nie wybuchnąć śmiechem na widok napisu głoszącego powszechną równość wobec prawa. Przecież wiedział, jak to wygląda w rzeczywistości. Świat dzieli się na ofiary i drapieżców i to jest jedyne prawo, które nim rządzi. Za każdym razem, kiedy wchodził na salę rozpraw, na jego ustach pojawiał się ironiczny uśmiezek.

Spędzili tam wiele godzin, siedząc tak spokojnie jak nigdzie indziej w całym ich krótkim życiu. W szkole, w domu, w lokalach, w których się spotykali, nie potrafili zmusić się do bezruchu. Nogi zdawały się nieść ich same, ciała domagały się wciąż nowych bodźców. Ale toczący się proces sam w sobie dostarczał im wszystkich możliwych atrakcji, był samym życiem, które działo się na ich oczach i odkrywało przed nimi swoje tajemnice. Nic, tylko się uczyć. Każde słowo, każdy gest, każde spojrzenie były dla nich lekcją. Śledzili z największą uwagą to, co działo się przed ich oczami. Wyglądali jak grzeczne dzieci na niedzielnej mszy, ręce ze splecionymi palcami trzymali na kolanach, oczy mieli szeroko otwarte, gotowe zwrócić się na tego, kto mówił coś ważnego. Żadnego machania nogami, żadnych nerwowych ruchów, nie chciało im się nawet palić.

Sala rozpraw była podzielona na dwie równe części. Jedną zajmowali aktorzy, drugą widzowie. Dzielila ich wysoka na dwa metry

krata. Głosy dobiegały do widzów lekko zniekształcone przez echo, ale sens wypowiedzi był zawsze zrozumiały. Chłopcy zajmowali za każdym razem mniej więcej te same miejsca w przedostatnim rzędzie przy ścianie. Nie były najlepsze, w teatrze należałyby do najtańszych, ale mogli z nich zobaczyć wszystko: spokojne spojrzenie don Vittoria pod siwą czupryną, która w tym oświetleniu odbijała światło jak lustro, szerokie plecy oskarżonego – niskiego mężczyzny o żółtych jak u tygrysa oczach, których samo spojrzenie wzbudzało strach, twarze adwokatów i widzów z pierwszego rzędu. Z początku czuli się jak w teatrze chińskich cieni, widzieli tylko ciemne sylwetki aktorów tego spektaklu, ale z czasem – czy to dlatego, że zmieniało się światło, czy też dlatego, że skoncentrowana uwaga wpływała na wyostrenie wzroku – zaczęli dostrzegać szczegóły oglądanych obrazów. Blisko nich, w odległości zaledwie kilku rzędów, siedzieli młodzi ludzie, „żołnierze” różnych grup. Ich przynależność można było rozpoznać po tatuażach widocznych nad kołnierzykami albo po wzorkach wygolonych w krótko obciętych włosach.

W pierwszym rzędzie, o dwa kroki od kraty, siedzieli chłopcy z parazy Kudłaczy. Nie mieli problemu ze zbyt młodym wiekiem, więc przychodzili na rozprawy zawsze dużą grupą. W odróżnieniu od Nicolasa i jego kolegów Kudłacze nie robili wrażenia, że chłoną każde słowo i w napięciu przeczekują chwile ciszy. Zdarzało się, że przechodzili wzdłuż rzędu krzeseł i stawali przy kracie, a nawet opierali na niej ręce, nie zważając na protesty widzów siedzących za nimi. Jedynie White nigdy nie wstawał z miejsca, może z obawy, że swoimi ruchami pijanego kowboja zwróci uwagę karabinierów. Na rozprawy przychodzili też Brodaci z dzielnicy Sanità. Siadali tam, gdzie znajdowali wolne miejsca. Ciągłe gadali między sobą i gładzili się po długich brodach à la Bin Laden, co jakiś czas wychodzili na papierosa. Między członkami różnych gangów nie wyczuwało się napięcia, nie było też widać, żeby się wzajemnie obserwowali. Wszyscy z równym zainteresowaniem przyglądali się temu, co działo się na scenie za kratą.

– Chłopaki – zaczął Maharadża cichym głosem, nieznacznie tylko obracając głowę do kolegów, tak żeby ani na chwilę nie stracić z oczu głównych aktorów procesu – jeżeli będziemy mieli choć w części takie jaja jak don Vittorio, nie zatrzyma nas nawet Bóg Wszechmogący.

– Ale don Vittorio ochrania tych, którzy zamordowali jego syna – szepnął Ząbek.

– Tym bardziej – odparł Maharadża. – Niech mi matka umrze, jeżeli to nie jest facet z jajami. Woli pozostać wierny zasadom, niż pomóc sądowi w skazaniu mordercy własnego dziecka.

– Ja takiej wierności nie uznaję. Na jego miejscu albobym zabił tego skurwysyna, albo, gdyby wcześniej wsadzili mnie za kratki, zakablowałbym go tak, że zgniłby w więzieniu – powiedział Śnięta Ryba.

– Tak się zachowują szuje i zdrajcy – powiedział Maharadża. – Łatwo jest zachować wierność, gdy jednocześnie chronisz swoje pieniądze, swoje interesy i swoją krew. Ale kiedy masz możliwość kablować na wrogów, ale tego nie robisz, to znaczy, że jesteś *number one*, jesteś *the best*. Przeskoczyłeś wszystkich i wszyscy powinni kłaniać ci się w pas, bo pokazałeś, że umiesz bronić Systemu. Nawet kiedy mordują ci dziecko. Kapujesz, Rybko?

– Ten facet ma przed sobą skurwysyna, który uśmiercił mu syna, i trzyma język za zębami?! – Śnięta Ryba nie dał się przekonać, za to Ząbek stanął po stronie Nicolasa:

– Gdybyś ty tam siedział, już dawno byś wszystko wyśpiewał. Normalnie jak kapuś.

– Nie, debil, najpierw rozprułym bebechy temu typowi.

– Patrzcie go! Kuba Rozpruwacz! – zaśmiał się Tukan.

Rozmawiali z sobą, jakby grali w Texas Hold'em, nie patrząc sobie w oczy. Rzucali zdania przed siebie jak karty na zielony stół do pokera, pokazując, co mają w głowie. Po jakimś czasie jeden z nich – jak to właśnie zrobił Tukan – czyścił stół i znowu byli gotowi do nowego rozdania.

Nikt z nich nie mógł jednak wiedzieć, co tak naprawdę miał w głowie Nicolas. Rzeczywiście don Vittorio mu zaimponował, ale to Kiciuś, ożeniwszy się z Violą, córką don Feliciano, związał się z Forcellą. Krew z krwi. Z krwi zhańbionej, ale królewskiej. A krew w Forcelli jest dziedziczna, zgodnie z zasadą własności. Don Feliciano powtarzał zawsze: „Forcella musi pozostać w rękach ludzi, którzy tu się urodzili i tu mieszkają”.

Copacabana, wierny poddany rodziny Striano, objął kontrolę nad Forcellą po aresztowaniu bossa. Właśnie to aresztowanie przed trzema laty dało początek procesowi, który doprowadził do takiej sytuacji.

Cała dzielnica została wtedy otoczona przez siły policyjne. Już od dawna deptali mu po piętach, sami byli zaskoczeni, że don Feliciano wrócił do Neapolu i chodził sobie spokojnie po ulicy, ubrany w zwykły dres, daleki od normalnej dla niego elegancji. Ukrywał się przed organami ścigania jak wszyscy kamoryści, we własnej dzielnicy, tylko że nie – jak inni – zamknięty w bunkrze, ziemiance czy innej kryjówce, ale wśród sąsiadów. Karabinierzy wyszli niespodziewanie z bocznej uliczki i jeden z nich zawołał:

– Feliciano Striano, ręce do góry!

Zatrzymał się. To beznamienne polecenie uspokoiło go: to było aresztowanie, a nie zamach. Spojrzeniem zatrzymał swego ochroniarza, który najpierw chciał strzelać, a zaraz potem rzucił się biegiem do ucieczki. Don Feliciano nie stawiał oporu, ale gdy karabinierzy zapinali mu stalowe kajdanki na przegubach rąk, nieoczekiwanie otoczyła ich chmara dzieci i kobiet. Feliciano uśmiechał się i mówił: „Nie martwcie się!”, żeby uspokoić ludzi, którzy wychylali się z okien, wychodzili z otwartych drzwi i lamentowali: „Co się to dzieje! O Matko Boska!”. Dzieci czepiały się nóg karabinierów i gryzły ich w uda, matki wołały: „Zostawcie go! Zostawcie!”. W krótkim czasie ulica zapełniła się tłumem. Kamienice były jak odwrócone butelki, z których na okoliczne uliczki wylewali się ludzie.

Don Feliciano uśmiechał się, bo był prawdziwym królem Neapolu.

Gdyby był bossem z Casal di Principe, Secondigliano, Palermo czy Reggio Calabria, karabinierzy wyciągnęliby go z jakiejś jaskini, podziemnego labiryntu czy piwnicy, ale on, prawdziwy król Neapolu, został zaarrestowany na ulicy, na oczach wszystkich. Przykro mu było tylko z jednego powodu – że nie ubrał się elegancko. Widocznie karabinierzy, których opłacał, zdradzili go albo nie wiedzieli o aresztowaniu. Wystarczyłoby mu pół godziny. Nie żeby spróbować uciec, ale żeby wybrać któreś z ubrań od Eddy’ego Monettiego, odpowiednią koszulę i krawat od Eugene Marinello. Do tej pory za każdym razem, gdy go aresztowano, wyglądał sztywno. Zawsze starał się pokazywać ludziom w eleganckim stroju, bo jak często powtarzał: „Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś do mnie strzeli albo kiedy niespodziewanie mnie zaarrestują. Nie mogę się znaleźć w takiej sytuacji ubrany byle jak, wszyscy byliby rozczarowani, mówiliby: »A więc tak wygląda don Feliciano?«. I może nawet by się ze mnie śmiali”. I to go właśnie teraz spotkało – zaarrestowano go ubranego w luźny dres. Ludzie pewnie powiedzą: „To jest ten sławny don Feliciano? W dresie?”. Właściwie na tym polegało jego jedyne zmartwienie. Resztę już znał, a czego nie znał, potrafił sobie wyobrazić. Ciżba tłoczyła się wokół samochodów policyjnych, głośno protestując. Włączone syreny nie robiły na nikim wrażenia. Ani broń, którą mieli karabinierzy. Nawet gdyby chcieli, nie mogliby z niej strzelać.

„W domach dokoła nas jest więcej karabinów niż widelców”. Takie zdanie skierował przed akcją dowódca do swoich podkomendnych, żeby skłonić ich do zachowania spokoju. Siły były nierówne, przewaga leżała po stronie Forcelli. Pojawili się dziennikarze z kamerami, nad dzielnicą krążyły dwa helikoptery. Ludzie na ulicy czekali na znak, najmniejszy znak, żeby skupić na sobie uwagę karabinierów, w żadnym stopniu nieprzygotowanych do stawienia czoła insurekcji. Akcję aresztowania bossa rozpoczęli w nocy, gdy ulice były puste i panował na nich idealny spokój. Skąd więc wzięło się tu tyle dzieci? Czy wszyscy ci ludzie wyskoczyli prosto z łóżek?

Patrzyli teraz na don Feliciano z uwielbieniem i troską, jak się patrzy na ukochanego ojca, którego ktoś chce bez powodu zabrać z domu. Spośród mieszkańców Forcelli wyszedł Copacabana. Don Feliciano uśmiechnął się do niego i pocałował go w usta. Pocałunek z zamkniętymi ustami, symbol absolutnej wierności. Pieczęć. Gwarancja milczenia.

– Wystarczy tego bajzlu – powiedział don Feliciano, a Copacabana przekazał jego słowa najbliższym stojącym ludziom. Efekt był podobny do tego, gdy kiedy pierwsza z długiego rzędu kostek domina, upadając na drugą, powoduje, że przewracają się wszystkie. W przeciągu kilku minut ludzie się rozeszli i przestali krzyżeć. Wielu skierowało się do domu don Feliciano, żeby w tych trudnych chwilach dotrzymać towarzystwa jego żonie i córce. Chcieli im złożyć coś w rodzaju kondolencji.

Wszystko to wydarzyło się z woli Szlachcica. Był to ostatni przejaw siły klanu zdziękowanego w wojnie z klanem Mocerino z dzielnicy Sanità. Te dwie rodziny przez pewien czas zamierzały się sprzymierzyć, ale skończyło się na wzajemnym mordowaniu. Decyzja o pozostaniu we własnym domu była zwycięskim posunięciem. Don Feliciano chciał pokazać ludziom klanu i całej dzielnicy, że nikt nie zdołał zmusić go do zniknięcia. Zresztą zniknięcie byłoby jednoznaczne ze śmiercią, bo wrogowie i tak by go wytropili i stałby się łatwym celem.

Tak czy inaczej, długie panowanie w królestwie odziedziczonym po ojcu, Luigim Striano zwanym Suwerenem, musiało się kiedyś skończyć, dobrze o tym wiedział. I wolał, żeby w dniach, które mu jeszcze zostały, myślaro o rodzinie Striano jako o ludziach wolnych i nieulekłych, którzy w Forcelli są u siebie. To zawsze ma znaczenie.

Później symbol pocałunku danego Copacabanie został pogwałcony przez samego Szlachcica. W ciągu niewielu miesięcy doszło do prawdziwej apokalipsy. Wydarzyły się rzeczy niewyobrażalne. Don Feliciano zdecydował się sypać. Na skutek jego współpracy

z wymiarem sprawiedliwości runęło więcej gmachów niż przy trzęsieniu ziemi. To nie metafora, dokładnie tak było. Doprowadził do kompletnej modyfikacji mapy Systemu. Z powodu aresztowań albo na skutek objęcia krewnych don Feliciano programem ochrony i przemieszczenia ich w inne rejony kraju opustoszały całe kamienice. To, co się działo, było bardziej przerażające niż faida. Każda kobieta i każdy mężczyzna z klanu Striano nosili na sobie piętno, każdy wstydził się jak ktoś świadomy, że wszyscy dokoła wiedzą, iż zdradza go własna żona czy mąż. Czuli, że ludzie obserwują ich ukradkiem, że się z nich śmieją. Dotąd czuli na sobie zawsze nieruchome spojrzenie niebieskich oczu don Feliciano, oczu, które budziły lęk, ale jednocześnie dawały poczucie bezpieczeństwa. Don Feliciano postanowił je teraz zamknąć.

Była noc, tak samo jak przy aresztowaniu Szlachcica, gdy Forcella dowiedziała się o jego współpracy z organami ścigania. W policyjnej akcji wzięły udział helikoptery, z Forcelli odjechał pancerny autobus pełen aresztantów. Don Feliciano podał nazwiska killerów, szantażystów, dilerów. Doniósł na członków swojej rodziny, ci ze swej strony też zaczęli sypać. Donosili jeden na drugiego, podawali informacje o łapówkach, przetargach, kontaktach bankowych. O radnych, wiceministrach, dyrektorach banków i przemysłowcach. Don Feliciano nie przestawał mówić, a cała Forcella zadawała sobie jedno pytanie: Dlaczego?

Ta nieodmienna część mowy była przez długie miesiące skrótem pytania: Dlaczego Szlachcic podjął współpracę z wymiarem sprawiedliwości? Nie trzeba było wypowiadać całego zdania, wystarczył jeden wyraz: dlaczego? – i wszyscy rozumieli, o co chodzi. Przy stole nakrytym do niedzielnego obiadu, w barze, na stadionie. „Dlaczego?” znaczyło zawsze: Dlaczego don Feliciano zdecydował się sypać? Wymyślano najróżniejsze odpowiedzi, ale ta prawdziwa była bardzo prosta, wręcz banalna: don Feliciano zdecydował się współpracować z organami ścigania, bo wolał, żeby Forcella umarła, niż żeby stała się własnością kogoś innego. Nie miał dość odwagi, żeby

założyć sobie stryczek na szyję, więc postanowił założyć stryczek wszystkim innym. Udawał, że żałuje tego, co zrobił, ale czy można tak łatwo zdjąć z siebie winę za śmierć setek ludzi? Bzdura. Nie żałował niczego. Sypał, żeby móc dalej zabijać. Najpierw robił to za pomocą broni, teraz za pomocą słów.

Ojciec Dragonbola, Nunzio Striano zwany Wicekrólem, dostał bardzo wysoki wyrok. Don Feliciano oskarżył go o wszelkie możliwe przestępstwa i zbrodnie, ale Wicekról nie powiedział ani słowa. Jego bracia podjęli współpracę z wymiarem sprawiedliwości, a on nie. Odsiadywał karę. Swoim milczeniem chronił także syna. Nie chciał, żeby Luigi skończył jak córka don Feliciano, która zanim wyszła za mąż za Kiciusia, miała wokół samych wrogów i wszyscy nazywali ją zdrajczynią.

Nikt na sali sądowej nie był tak naiwny, by na ławie oskarżonych, za plecami Tygryśka, nie widzieć cienia Kiciusia; zdawało się, że siedzi tam we własnej osobie. Tymczasem don Vittorio upierał się przy milczeniu w reakcji na uporczywe pytania prokuratora.

– Wiele osób współpracujących z wymiarem sprawiedliwości dało nam do zrozumienia, że pański syn był uważany za wroga przez rodzinę Faella, która nie tylko rezyduje w tej samej dzielnicy co pańska rodzina, ale która przez jakiś czas była z wami sprzymierzona. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie uważa pan, że klan Faella mógł pragnąć śmierci pańskiego syna?

– Mój syn był bardzo spokojnym człowiekiem i zachowywał się miło i serdecznie w stosunku do wszystkich, nie wierzę, żeby ktokolwiek mógł pragnąć jego śmierci. To niemożliwe. Możecie zapytać ludzi, zwłaszcza tych, którzy mieszkają w Ponticelli i wiedzą, że Gabriele nosił ją w swoim sercu, kochał dzieci i wszystkich mieszkańców naszej dzielnicy, którzy zresztą uczestniczyli w ogromnej liczbie w jego pogrzebie.

Odpowiadał poprawną włoszczyzną, bardzo się pilnował, żeby nie przejść na dialekt neapolitański, bo mógłby się wtedy wydać mniej

szacowny i dobroduszny.

Nie wyglądało na to, żeby fizyczna bliskość Tygryska wpływała na jego samopoczucie, nawet kiedy zdarzało im się skrzyżować spojrzenia. Tymczasem Tygrysek nie potrafił chwilami powstrzymać grymasu niechęci.

– Znałem Gabriele Grimaldiego, ale tylko z widzenia. Wiem, że rzadko bywał w Ponticelli, ja z kolei nie szlajam się po ulicach Conocalu. – Tygrysek niby mówił o sobie, ale jego słowa odnosiły się do Kiciusia. Starał się podkreślić odmienne pochodzenie, inne zainteresowania, wychowanie w dzielnicy willowej, ograniczone kontakty z życiem ulicy. Miał przekazać tymi słowami następującą informację: Kiciuś nie jest zwykłym dilerem, nie żyje ze sprzedaży narkotyków, zajmuje się inwestycjami budowlanymi, obrotem towarami i polityką. Trzyma się z dala od ulicy. Don Vittorio nie mógł zrobić nic innego, jak tylko spokojnie słuchać tych deklaracji.

Nicolas przejrzał tę strategię. Rozumiał, że w jej tle pozostaje niezmiennie kwestia pochodzenia i przynależności, kwestia krwi czystej i skażonej. Ale dla niego te stare jak historia ludzkości pojęcia nie miały żadnego znaczenia. Kto decyduje o tym, że coś jest albo nie jest czyste? Czystość... Krew skażona, bo zmieszana z krwią obcą... Nicolas wyrósł wśród tych teorii, wyrosł wśród nich wszyscy jego koledzy, ale zamierzał pokazać, że oparty na nich system jest przestarzały. I że trzeba go zmienić. Wróg twojego wroga jest twoim sojusznikiem, niezależnie od więzów krwi i relacji. Jeżeli po to, żeby osiągnąć swoje cele, będzie musiał kochać tych, których nauczono go nienawidzić, zrobi to bez wahania. Więzy krwi ma gdzieś. Kamorra 2.0.

Żywa tarcza

Ludzie don Vittoria Grimaldiego byli skazani na odczytywanie wciąż tych samych nazw ulic na osiedlu Conocal, bo nie mogli się ruszyć poza ściśle określony obszar w dzielnicy Ponticelli. Przekroczenie jego granic mogło się dla nich skończyć śmiercią z ręki któregoś z ludzi Kiciusia. Można powiedzieć, że klan Faella trzymał ich na muszce. Siedzieli więc w środku. Nie ruszali się poza wyznaczony kilkoma ulicami prostokąt z uszczkniętym prawym górnym kątem. Kiedy czytali w gazetach artykuły o ich kawałku świata, wkurzali się, bo dziennikarze wymądrzali się na temat zaniedbanej tkanki urbanistycznej, zbyt jednolitej architektury, braku perspektyw. Ale nie ulega wątpliwości, że ich bloki przypominały domki dla królików – identyczne w kształcie i postawione blisko siebie, zgodnie z regułami obłudnie poprawnej urbanistyki, która zakłada stworzenie pełnowartościowej przestrzeni życiowej, a w rzeczywistości zamyka ludzi na ograniczonym obszarze. Jak w celi. Ludzie don Vittoria nie chcieli skończyć jak ci ze Scampii, nie chcieli, żeby ich miejsce na ziemi stało się symbolem. Nie byli ślepi, widzieli, że wszystko wokół nich wygląda jak z trzeciej, a nawet czwartej ręki. Firany wyblakłe od słońca, nadpalone śmieci po kątach, mury zapisane groźbami i przekleństwami. Ale tak czy inaczej, to była ich dzielnica i ich cały świat, tak więc lepiej go polubić, nawet gdy trzeba zaprzeczać ewidentnym faktom. Kwestia przynależności – do klatki schodowej, do ulicy, osiedla, które jest jedyną dostępną przestrzenią. Jeden bar, dwa sklepiki spożywcze, niegdysiejsza pasmanteria, w której teraz można kupić wszystko, obwoźni handlarze sprzedający papier toaletowy i środki czystości, niezbędni, bo brakuje sklepu z takim towarem dostatecznie blisko, by ludzie starsi albo całkiem młodzi – którym jednak nie wolno wyściubić nosa poza wyznaczony teren – mogli do

niego dotrzeć. Tak wyglądało życie klanu Grimaldich. Na swoim terenie mogli dalej prowadzić handel. Klienci, którzy z początku przyjeżdżali na osiedle Conocal, mieli nadzieję zaopatrzyć się tanio w trawkę, kokainę i kulki cracku, ale don Vittorio nie chciał za bardzo obniżać cen. Byłby to zły znak, znak końca. Tak więc klienci do nich nie przyjeżdżali, a oni nie mogli jeździć do klientów.

Ale nie wszyscy podporządkowali się tym ograniczeniom. Ptaszek potrafił wyjątkowo szybko przemieszczać się na skuterze, można właściwie powiedzieć, że potrafił nim latać. Był szybszy niż kule z pistoletów gotowych strzelać do nieposłusznych, szybszy niż refleks czujek postawionych na straży. Szybko potrafił też załatwiać interesy z klientami. Ptaszek nie bał się więc wyjeżdżać poza granice wyznaczone dla klanu Grimaldich, poza Conocal. Lecz pomimo swej odwagi i sprawności, pomimo inspiracji niezwykłymi X-Menami, których tatuował sobie na całym ciele, i tak był skazany na śmierć za młodu. Copacabana ze swej celi w Poggioreale nie dopuszczał, by ktokolwiek, a zwłaszcza ktoś z klanu Grimaldich, rozprawiał na jego terenie. Pozwoliłby na to innym rodzinom, oczywiście za odpowiednio wysoki procent od zysku, ale nie Grimaldim, bo byli wrogami Forcelli i sprowadzali narkotyki ze Wschodu.

Copacabana zamierzał przejąć kontakty Grimaldich na Wschodzie i już prawie mu się to udało. Trzy neapolitańskie ulice były dla niego odpowiednikiem stolicy Czarnogóry, kawałka Bałkanów i plantacji w Albanii. Ptaszek domyślał się, że gra toczy się o wysoką stawkę, ale nie przejmował się tym i dalej fruwał swoim skuterem. Prowadził go zawsze w pozycji aerodynamicznej, pochylony, twarzą prawie dotykał licznika, nawet kiedy nie było takiej potrzeby, choć jeździł poskładaną z części starą vespą ojca.

Kto widział Ptaszka na skuterze, mógł odnieść wrażenie, że jego tors wyrasta bezpośrednio z siodełka, tym bardziej że chude nogi chłopca prawie zupełnie zakrywał kadłub maszyny. Łokcie trzymał zawsze skierowane na zewnątrz, uszkodził nimi niejedno lustro samochodowe. Ptasi był także jego nos, haczykowaty i ostro

zakończony jak u krogulca.

Chłopcy White'a: Carlito's Way, Kukuryku i Dzikus, puścili się za nim kiedyś w pogoń, gdy tylko zobaczyli z daleka jego łokcie wystawione na boki jak ekierki. Ptaszek dostrzegł ich kątem oka, dodał gazu i schronił się w ruchu ulicznym jak w gęstym mateczniku. „Następnym razem cię załatwimy!” – krzyczeli za nim, ale Ptaszka już nie było. Chociaż nawet gdyby ich usłyszał, nie zrobiłoby to na nim większego wrażenia. I tak zamierzał wracać w te same miejsca. Kiedy przeprowadzał się przez Forcellę, czasem ich prowokował, przejeżdżając specjalnie przed barem, w którym najczęściej przesiadywali.

– Z ptakami jest tak, że im są głodniejsze, tym mniej się boją, kiedy próbujesz je wystraszyć i tupiesz albo klaszczesz w rękę. Spróbuj odgonić klaskaniem te powietrzne szczury, kiedy krążą w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Nie odlecą, nawet kiedy wystrzelisz w powietrze. A dlaczego? Bo są głodne i nie boją się, że je zabijesz. I tak muszą umrzeć. Albo z głodu, albo od kuli. Nie strzelamy do gołębi i dlatego gołębie na nas srają. Dokładnie tak samo jest z rodziną Grimaldich. – Tak Copacabana skomentował zachowanie Ptaszka, kiedy opowiedziano mu o nim w więzieniu.

Ptaszek wciągał do interesów młodych chłopców, najmował ich na godzinę czy dwie. Czasem pracowali dla niego także starzy kamoryści, którzy ledwo wiązali koniec z końcem. Jak na przykład Alfredo zwany Remikiem, który w swoim czasie wyprawił na tamten świat wielu ludzi i był nawet *capozoną*. Kiedy jeszcze zyski liczyło się w lirach, zarabiał sto milionów na tydzień. Ale pieniądze szybko się rozeszły, w dużej części na adwokatów, i teraz radził sobie, jak mógł. Okradał narkomanów, stał na czatach... Znajdował się na najniższym szczeblu mafijnej drabiny. W Systemie wcześniej zaczyna się karierę, ale kto przeżyje, najczęściej wcześniej ją też kończy.

Tak więc Ptaszek całkiem nieźle sobie radził. Nie można było dłużej tego tolerować. Kudłacze wyruszyli z misją zlikwidowania nowotworu, który już zaczynał się rozrastać. White zdecydował zająć się tym osobiście. Ptaszek odważył się ulokować na placu Calenda,

siedział jak zwykle na swojej vespie i opierał się plecami o jakieś rusztowania. Zanim cokolwiek zauważył, usłyszał, jak od metalowych rurek odbijają się pociski. Pochodziły z pistoletu White'a, który trzymał go w wyciągniętej prosto przed siebie ręce, tak jak to widział w filmach gangsta rap. Bum. Bum. Bum. Trzy strzały na chybił trafił, bo ostatnio White pakował w siebie coraz większe dawki morfiny, tej samej, która tak dobrze sprzedawała się w punktach należących do Copacabany. Część zysków należała także do niego, kupił za nie ostatnio mieszkanie dla Koali, swojej siostry. Problem w tym, że morfina nie idzie w parze z precyzją, tak więc Ptaszek także tym razem miał duże szanse na przeżycie.

Gdyby Nicolas nie przejeżdżał przypadkiem w tej samej chwili przez plac Calenda... Gdyby wcześniej nie dopadł go głód i nie przemierzał z Ząbkem na skuterze ulicy Annunziata, zastanawiając się, gdzie go zaspokoić... Gdyby nie rozpoznał metalicznego odgłosu pocisków odbijających się od rusztowania... Gdyby zamiast jechać dalej w kierunku placu Forcella, nie skręcił tak gwałtownie, że musiał postawić nogę na ziemi, bo w przeciwnym wypadku skuter zwałiby się na ziemię... Gdyby nie zrobił tego wszystkiego, nie byłby świadkiem tej sceny i nie przyszłaby mu do głowy myśl, którą bezzwłocznie wprowadził w czyn, podczas gdy przerażony Ząbek żegnał się znakiem krzyża.

Żywa tarcza ludzka. Nicolas stanął jak tarcza między Ptaszkim a White'em, który znowu wyciągnął rękę z pistoletem i przymknął oko, żeby tym razem nie spudłować. Nicolas stanął między nimi i White się zatrzymał. Ptaszek też znieruchomiał. Ząbek szarpał kolegę za koszulkę i krzyczał:

– Maharadża, co ty, kurwa, robisz?

Nicolas obrócił się do White'a, który stał wciąż jeszcze z wycelowanym pistoletem i przymkniętym okiem, jakby czekał tylko na moment, kiedy Nicolas się odsunie, żeby znów zacząć strzelać, chociaż Ptaszek już odjeżdżał.

– White, jeżeli dalej będziemy siać trupy, nie uwolnimy się od glin

i blokady drogowe zakorkują nas na amen. Nie szalej. Jeszcze przy okazji ukatrupisz jakiegoś staruszka, kobietę albo dziecko. Ptaszek odleciał, ale go złapiemy. Zostaw to mnie. – Powiedział to wszystko na jednym oddechu. White opuścił pistolet, ale nic nie odrzekł. Nicolas pomyślał, że są dwie możliwości: albo znowu podniesie rękę z pistoletem i wtedy nastąpi koniec przygody, albo...

White rozciągnął usta w uśmiechu, pokazał żółte od papierosów, wyszczerbione zęby, potem włożył pistolet za pasek spodni i odjechał. Nicolas odetchnął z ulgą tak głęboko, że poczuł to także Ząbek, oparty o jego plecy.

Ptaszek zniknął, ale wiadomo było, że znów wyfrunie, nie może siedzieć w zamknięciu w nieskończoność.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Briatore. – Przecież Ptaszek jest przeciwko Kiciusiowi i przeciwko Copacabanie, a więc jest przeciwko nam.

Siedzieli w barze z automatami do gry. Kudłaczy nie było. Nicolas pomyślał, że pewnie poszli odwiedzić Copacabanę w więzieniu, żeby mu wszystko zreferować. No i bardzo dobrze.

– My nie jesteśmy z Kiciusiem ani z Copacabaną. Jesteśmy sami dla siebie – powiedział Nicolas.

– Ja ciągle jeszcze nie wiem, co to znaczy „my”. Ja jestem z tymi, którzy mi dają pieniądze – odparł Ząbek.

– No dobrze – zgodził się Maharadża – ale jeżeli pieniądze, które dostaniesz ty, ja i inni, włożymy do wspólnej kasy? Jeżeli te pieniądze zrobią z nas grupę? Nie chciałbyś tego?

– Ale my już jesteśmy grupą!

– Tak, jesteśmy grupą żalonych dupków.

– Ty masz po prostu obsesję, chcesz na siłę zrobić z nas paranzę – stwierdził Ząbek.

Nicolas ostentacyjnie złapał się za jądra na znak, że o marzeniach nie należy za dużo mówić. On sam, żeby nie zapeszyć, starał się jak najrzadziej wypowiadać słowo paranza.

– Ptaszkiem zajmę się sam – zapowiedział. – Jeżeli go gdzieś zauważycie, zostawcie go w spokoju.

Już ponad godzinę rozmawiali o tym, co zrobił. Koledzy nazywali go świrem, stwierdzili, że w tamtym momencie musiał chyba zniknąć. A co by było, gdyby White rozpoczął strzelaninę na cały plac? Gdyby naprawdę, jak zresztą Nicolas sam powiedział, trafili jakiegoś dzieciaka albo dziadka? To było prawdziwe wariactwo. Maharadża słuchał ich bez słowa.

To, co Briatore i inni chłopcy nazwali wariactwem, podpowiedział mu instynkt. Maharadża miał instynkt wodza, pewnie się już taki urodził. Tak samo, jak kiedy ktoś potrafi celnie kopać piłkę, choć nigdy nie był na boisku, albo umie od najmłodszych lat robić rachunki, choć nikt go tego nie nauczył. Nicolas czuł się przywódcą i lubił, kiedy inni uznawali go za przywódcę.

Ptaszek był nikiem, ale mógł stać się ich bramą do Conocalu. Gdyby udało im się wejść do Conocalu, mogliby dotrzeć do don Vittoria, a potem... Nicolas znowu złapał się za jądra.

– Ale teraz – zaczął Briatore – kiedy pomogłeś mu ujść z życiem, nie będzie już taki głupi, żeby pokazywać się w okolicy.

– Nieprawda. Zobaczysz, że jak tylko się uspokoi, wyjdzie z nory – powiedział Nicolas.

– Przecież tutaj go zastrzelą.

– To możliwe, ale wcale nie takie łatwe. Ptaszek będzie przenosić się z miejsca na miejsce. Sanità, Forcella, Rettifilo, dworzec główny, San Domenico. A jak tylko zauważy, że coś mu grozi, zniknie.

– Myślicie, że ma sprzęt? – zapytał Ząbek.

– Wątpię. A nawet jeżeli ma, to taki jak my, to znaczy jakąś starą pukawkę i nóż.

W następnych dniach Nicolas lustrował teren. Był stale w ruchu, objeżdżał wszystkie ulice, uparł się, żeby znaleźć Ptaszka. Także Letizia zauważyła, że ma czymś zajęte myśli, ale działa się tak bardzo często, więc się tym nie przejmowała. W końcu Ptaszek się pokazał.

Zaczął od odległych miejsc, nie ustawiał się na razie na terenie kontrolowanym przez ludzi Copacabany. Teraz sprzedawał narkotyki także Afrykańczykom i dzieciom, i to za tak niskie ceny, że przy najbliższej okazji zlikwidują go może ludzie z jego własnej rodziny. Stał na moście Magdaleny, czasem na dworcu kolejowym. I tam znalazł go Nicolas, ściślej – na placu Garibaldiiego. Deszcz lał jak z cebra, widoczność była słaba, ale Nicolas nie miał wątpliwości, że to on. Ptaszek nigdy nie zdejmował czarnej bluzy z wizerunkiem Tupaca Shakura, nawet kiedy panowały trzydziestostopniowe upały. Miał naciągnięty na głowę kaptur i rozmawiał z kimś, kogo Nicolas nigdy przedtem nie widział. Maharadża wyłączył silnik skutera, ale nie zsiadł, zbliżał się do Ptaszka cicho, odpychając się od ziemi nogami. Nie miał żadnego planu, chciał go złapać z zaskoczenia, a potem coś zaimprovizować, ale niespodziewany, ogłuszający piorun zaalarmował wszystkich, także Ptaszka, który podniósł głowę i zobaczył Nicolasa ociekającego wodą, w przyklejonych do nóg mokrych dżinsach.

Wskoczył na vespę opartą o balustradę i ruszył na pełnym gazie. Jechał bardzo szybko, brał zakręty, dotykając prawie kolanem ulicy, lawirował między pojazdami w ruchu, który z powodu ulewy był jeszcze bardziej chaotyczny niż zwykle. Wjechał na corso Umberto, gdzie samochody stały unieruchomione ciasno jeden za drugim, porozumiewając się klaksonami, wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach i odrzucały wodę z szyb na prawo i lewo. Nicolas pomyślał, że to prawdziwy deszcz tropikalny, taki sam jak podczas bitwy o Helmowy Jar, a on jest jak Uruk-hai, chroniony swoją kurtką jak zbroją. Przechodnie na chodnikach stali przyklejeni do murów domów w nadziei, że balkony osłonią ich choć trochę od deszczu. Ptaszek wjeżdżał w kałuże, rozbryzgując daleko wodę, wsuwał się skuterem w każdą szczelinę między autami, ścigał co jakiś czas dłonią wodę z twarzy i jeszcze bardziej przyśpieszał. Nicolas robił wszystko, żeby nie stracić go z oczu. Krzyczał za nim:

– Nic ci nie zrobię! Chcę ci coś powiedzieć!

Ale Ptaszek nie zwalniał, teraz trzymał łokcie jeszcze szerzej, uderzał nimi o boczne lusterka mijanych samochodów. Zresztą w tym hałasie i zamieszaniu jak na wojnie i tak nie mógłby go usłyszeć. Pogoń trwała jeszcze dość długo. Ptaszek zmieniał gwałtownie kierunek jazdy, wciskał się w wąskie uliczki jednokierunkowe, brał zakręty, nie zwalniając ani przez chwilę. Prowadził vespę, jakby jechał po polu minowym, tyle tylko, że zamiast omijać miny, specjalnie na nie wjeżdżał.

W zaułku, którego Nicolas nie rozpoznał, bo jechał już teraz za Ptaszkim na ślepo i koncentrował się tylko na tylnych światłach uciekiniera, Ptaszek wpadł do kałuży głębokiej na jakieś pięćdziesiąt centymetrów, koła zniknęły pod wodą i Nicolas był pewny, że już nie ruszy. Tymczasem Ptaszek dodał gazu i vespa wyskoczyła do przodu, wznosząc wodotrysk śmierdzącej wody. Nicolas jechał nierówno, hamował, gdy czuł, że tylna opona traci przyczepność, nie raz zdarzyło mu się obić zderzaki jadących przed nim samochodów. Klął na poszkodowanych kierowców, gdy żądali, żeby się zatrzymał i pokazał prawo jazdy. Starał się omijać kratery, które tworzyły się w ulicach miasta za każdym razem, gdy padał deszcz. Stracił niemal czucie w rękach, które prawie zespoliły się w jedno z kierownicą skutera. Najważniejsze, żeby nie zdejmować nogi z gazu i nie stracić z oczu vespy, która zdawała się znajdować w naturalnych dla siebie warunkach. Wjeżdżał czasem na chodniki, całkiem opustoszałe, bo tropikalny deszcz padał jeszcze intensywniej, a nawet zamieniał się chwilami w grad. Kawałki lodu wpadały do kaptura bluzy Ptaszka, ale nie było widać, żeby mu to jakoś szczególnie przeszkadzało. Nie zwalniał, a Nicolas, przeklinając na czym świat stoi, starał się siedzieć mu na ogonie. Jeżeli teraz ucieknie, to kiedy, do cholery, uda mu się go złapać?

Grad przestał padać, jakby tam u góry ktoś nagle zakorkował mu ujście, ale ulice były białe, zasypane kuleczkami lodu. Vespa zostawiała wśród nich głęboki ślad, Nicolas starał się jechać tym samym torem, żeby nie wywrócić się razem ze skuterem. Po jakimś

czasie warunki jazdy znowu się zmieniły, bo deszcz ustał i na ulice wyszli ludzie. Ptaszek nie zwalniał i kiedy tylko mógł, rozpryskiwał brudną maź kurzu ulicznego zmieszanego z deszczówką. Wtedy Nicolas musiał lawirować między pochłapanymi przechodniami, którzy nie mogąc wyładować złości na tym, kto ich pochłapał, przeklinali tego, który go gonił.

Nadużywany hamulec i tłumik dawały od czasu do czasu niepokojące sygnały. Smród palonej gumy dotarł do Nicolasa, kiedy nareszcie rozstąpiły się chmury, on nie zareagował, bo uparł się, że tę pogoń musi zakończyć sukcesem. Ptaszek też był pewnie zmęczony, bo nie zauważył, że Nicolas zniknął z jego lusterek wstecznych. Dociskał właśnie pedał gazu przed uniwersytetem, kiedy uświadomił sobie, że Nicolas pojechał inną drogą. Maharadża przeciął mu drogę, przemierzwszy zaułek Sant'Aniello a Caponapoli. W tym momencie diler z Conocalu bardzo żałował, że nie jest uzbrojony, bo musiał się poddać. Zaczął nabierać nadziei, że i tym razem uda mu się ująć z życiem, kiedy Nicolas przez dłuższą chwilę nie puszczał kierownicy jego vespy. Gdyby chciał go zabić, już by to zrobił.

Maharadża nawet nie próbował maskować swoich intencji. Prosto z mostu powiedział Ptaszkowi, o co mu chodzi:

– Słuchaj, muszę dostać się do don Vittoria. Muszę pogadać z Archaniołem.

Ptaszek poczuł się nieswojo, gdy usłyszał imię bossa tak po prostu, na ulicy. Poczerwieniał na twarzy. Z powodu upokorzenia, nie ze złości.

– Muszę pogadać z Archaniołem – powtórzył Nicolas. Wokół nich zagraniczni turyści z parasolami i w kurtkach przeciwdeszczowych starali się dotrzeć suchą stopą do Muzeum Archeologicznego i nie zwracali uwagi na dwóch chłopców, którzy rozmawiali na ulicy.

– Musisz mu jasno powiedzieć, że po pierwsze, jeżeli jeszcze żyjesz, to zawdzięczasz to mnie, i po drugie, że przy Kiciusiu już długo nie pociągniecie, podgryza was ze wszystkich stron. Wasi ludzie nic nie robią, całymi dniami siedzą przy konsolach PlayStation, nie macie

roboty.

– Ale ja nigdy nie spotykam don Vittoria.

– Dobra, ale to ty zanosisz kwiaty na grób jego syna. Jeżeli cię wybrał, to znaczy, że cię zna.

– Ale nigdy go nie spotykam – powtarzał Ptaszek – nie mam do niego dojścia. Jestem zawsze na ulicy.

– To zrób tak, żeby go spotkać. Mógłbym cię teraz w tym miejscu bez problemu załatwić na cacy, wystarczy jeden esemes i zaraz ktoś przyjedzie, żeby cię ukatrupić. Jeszcze żyjesz, bo ci na to pozwalam.

– Co miałbym mu powiedzieć? – zapytał Ptaszek. Rumieniec zniknął mu już z twarzy, ale wciąż trzymał spuszczone oczy. Był upokorzony.

– O to się nie martw. Wystarczy, jak powiesz, że jeden chłopak z Systemu, z Forcelli, chce z nim pogadać. Nic więcej.

– Jemu to nie wystarczy.

– Postaraj się, żeby mu wystarczyło. Ptaszek, posłuchaj teraz dobrze: jeżeli nie wyświadczysz mi tej przysługi, gdziekolwiek będziesz, znajdę cię i wykończę. A jeżeli mi to załatwisz, będziesz mógł u nas handlować. White'owi dasz połowę tego, co zarobisz. Mnie nic nie musisz dawać. Wybieraj sam. Albo zrobisz, o co cię proszę, i wtedy będziesz sobie dalej żyć, a do tego się przy nas wyżywisz, albo nie, i wtedy będziesz przymierał głodem, bo nie damy ci handlować, a potem i tak czeka cię paskudny koniec. Daj mi znać, kiedy zdecydujesz.

Ptaszek wykręcił vespę i odjechał na pełnym gazie, bez słowa pożegnania. Nie powiedział ani „tak”, ani „nie”, nie dał Nicolasowi numeru telefonu. Wrócił do blokowiska w dzielnicy Ponticelli, w którym zostali zamknięci on i ludzie z jego klanu. Więzienna cela bez sufitu. Guantanamo – jak nazywali go niektórzy. A więzień numer jeden siedział w nim zupełnie bezpiecznie, bo dojścia do niego pilnował Bocian – prywatny kucharz, sekretarz i dama do towarzystwa don Vittoria, zwanego Archaniołem.

Wszystko w porządku

Wszyscy wiedzieli, gdzie przebywa Archanioł, ale dostać się do niego było niezmiernie trudno. Chętnych przesiewał Bocian. On też przygotowywał codziennie dla don Vittoria makaron z sosem pomidorowym, ulubione danie bossa, i donosił mu o najnowszych wydarzeniach i pogłoskach. Przydomek wymyślił dla Bociana sam don Vittorio jakieś dwadzieścia lat wcześniej, kiedy kucharz był nastolatkiem i stracił kontrolę nad swoim ciałem, wyrosłym zbyt szybko i wyłącznie na wysokość. Zawadzał głową o żyrandole, obijał się o wiszące szafki, przypominał bociana zamkniętego w klatce. Wygląda jak jakieś zwierzę, jak ptak, z tym swoim pozawymiarowym ciałem, pomyślał wtedy don Vittorio.

Bocian odcedzał właśnie makaron dla don Vittoria, kiedy dostał esemes od Ptaszka: „Muszę z tobą jak najszybciej pogadać, to pilne!!!!!!!”. To już piąty tego ranka, do każdego ten upierdliwy chłopak dodawał nowy wykrzyknik. Bocian się nie zdekoncentrował, napełnił makaronem głęboki talerz i polał go sosem z duszonych pomidorów, ale nie wymieszał wszystkiego razem. Zaniósł pachnącą apetycznie potrawę bossowi, który podziękował zmarszczeniem ust. To był znak, że Bocian może sobie iść. Dopiero teraz odpowiedział na esemes Ptaszka. Zgodził się spotkać z nim pod domem; zrobi mu ten zaszczyt – dosłownie tak napisał – jeżeli Ptaszek obieca, że potem przestanie zawracać mu głowę.

Ptaszek przyjechał punktualnie i zachował się na tyle roztropnie, że nie zahamował z piskiem opon pod samymi oknami Archanioła. To by wystarczyło, żeby zirytować bossa i pozbawić się szansy na pozytywne załatwienie sprawy.

– Pewnie słyszałeś, Bocian, co mi się przytrafiło na placu Calenda? – przeszedł od razu do rzeczy, nie zsiadając nawet ze skutera. Trzymał

głowę na pół opuszczoną, bo przy tym chudym, wysokim mężczyźnie czuł się zawsze nieswojo. Przypominał mu grabarzy, których widział w filmach, i czuł się, jakby za chwilę miał wziąć z niego miarę na trumnę.

– Słyszałem. Kudłacze chcieli cię ukatrupić – odpowiedział Bocian. Wszyscy o tym słyszeli, a on wcześniej niż inni.

– Tak. I już by mnie nie było, gdyby nie Nicolas, chłopak z Forcelli.

– Wiem. Ale jeżeli chce za to pieniądze, to źle trafił, bo ostatnio cienko przędziemy.

– On nie chce pieniędzy, chce czegoś innego.

– To znaczy?

– Chce rozmawiać z don Vittoriem.

– Chce rozmawiać z don Vittoriem?! Nie ma takiej możliwości. Don Vittorio nie dopuszcza do siebie ludzi, którzy ubiegają się o to od miesięcy, a miałyby rozmawiać z takim niedorostkiem? Ty chyba, Ptaszek, zwariowałaś. I jeszcze mi piszesz, że to pilne! – Z trudem się powstrzymał, żeby nie plunąć mu w twarz. Chętnie by to zrobił, i to siedem razy – tyle, ile wykrzykników ten chłopak wstawił do swojego ostatniego esemesa. Zamiast tego Bocian obrócił się na pięcie i pochylając głowę, wszedł z powrotem do domu, zostawiając chłopca samego na ulicy.

Ptaszek wiedział, że musi wymyślić jakiś fortel. Ale on był człowiekiem akcji, tak jak Wolverine z jego cudowną zdolnością regeneracji, którego szpony wytatuował sobie na przedramionach w taki sposób, że każdy z pazurów kończył się na poszczególnych kłykciach jego palców. Ptaszek nie miał zbytniego zaufania do swojej inteligencji. Teraz też krążył na vespie po ulicach Ponticelli z pustą głową, choć starał się ze wszystkich sił napełnić ją sprytnymi pomysłami. Aż wreszcie pomyślał o tym, co zrobił Nicolas, żeby osiągnąć cel: wymieszał wszystkie karty w grze, wywołał chaos po to, żeby sprowokować ludzi do reakcji i to wykorzystać. Ptaszek zdecydował, że też wywoła chaos.

Najpierw pojechał do kwiaciarni. Poprosił sprzedawcę o radę i wyszedł ze sklepu z gałązkami orchidei, białej i czerwonej, ale nie wytrzymał i kupił jeszcze aniołka, żeby było ładniej. Pofrunął potem skuterem na cmentarz Poggioreale, trzymając kwiaty między nogami, ale niezbyt ciasno, żeby ich nie zgnieść. W Poggioreale umiera się za życia i w Poggioreale zostaje się po śmierci – powtarzał zawsze don Vittorio. Ptaszek doszedł do grobu Gabriele Grimaldiego, wyjął z wazonu i wyrzucił bukiet chryzantem, który ktoś tam niedawno wsadził, i ułożył w nim gałązki orchidei tak pięknie, jak tylko potrafił. Zrobił kilka zdjęć smartfonem, ustawiając się w różnych miejscach, po czym wskoczył na vespę i pojechał do domu. Zdjęcie grobu Gabrielelego zamieścił na forum kibiców Napoli. I czekał.

Posypały się komentarze, na które odpowiadał niezmiennie: „Cześć wspaniałemu kibicowi”. I czekał dalej. Aż wreszcie przyszedł komentarz, na który czekał od początku. „Komu ta cześć? Zdrajcy, który nigdy nie zrobił niczego dobrego dla nikogo ze swej dzielnicy? Który wolał zadawać się z Cyganami ze Wschodu i tuczył dupę w Czarnogórze? Cześć temu, kto go sprzątnął”. Jest! Mamy go. Szwajcar85.

Tylko jedna osoba mogła się podpisać: Szwajcar85. Kibic z San Giovanni, urodzony w Szwajcarii w rodzinie emigrantów, która potem wróciła do Neapolu. Choć był kibicem Napoli, nosił często koszulkę Kubilaya Türkyilmaza, którą jak twierdził, dostał od piłkarza. Wszyscy się z niego śmiali, bo był niski i koszulka sięgała mu do kolan, ale on się tym nie zrażał i z dumą się z nią obnosił.

Ptaszek zrobił zrzut ekranu i posłał go Bocianowi z podpisem: „Gabrielelego obrzucają gównem. Załatwię to”.

Bocian wahał się, czy pokazać to Archaniołowi, ale postanowił czekać; był ciekawy, do czego jest zdolny ten gówniarz.

W niedzielę Ptaszek poszedł na stadion. Wiedział, że jak zawsze będą tam wszyscy. Nie musiał wchodzić na trybunę, żeby być tego pewnym. Nie myślał o tym, jakie powinien wykonać następne ruchy, zdał się w całości na efekt chaosu – jak być może wyraziłby się jeden

z superbohaterów, których tak bardzo lubił. On nazwałby to po prostu bajzlem. Wziął z sobą na stadion dwóch swoich ludzi, Manuela Mleczarza i Alfreda Remika. Wyjaśnił im w kilku słowach, czego od nich oczekuje. Musi się policzyć ze Szwajcarem, ale nie chce tego zrobić na trybunie, bo to zbyt ryzykowne, mogą się wtrącić policjanci. Najlepiej załatwić to w ubikacji. Poczekają tam na koniec pierwszej połowy, kiedy mnóstwo ludzi przychodzi się odlać. Wtedy Mleczarz i Remik zablokują wejście do WC, ustawią na krzyż dwie szczotki. Toalety nieczynne. Dzisiaj nie ma siusiania. Kibice na sto procent będą się burzyć. Zrobi się bajzel i wtedy Ptaszek rozejrzy się po ludziach i może zauważy piegowatą twarz Szwajcara.

Mleczarz i Remik byli idealni do tej roboty. Pierwszy nie bał się nikogo, nawet tłumy kibiców, wściekłych, że nie mogą opróżnić pęcherza. Drugi miał za sobą dwadzieścia trzy lata więzienia, przez co był ogólnie szanowany. Skazano go za jedno morderstwo, ale wszyscy wiedzieli, że popełnił ich więcej niż dziesięć. Krążyły o nim legendy, w których liczba jego ofiar zmieniała się jak numery na loterii: trzydzieści trupów, pięćdziesiąt trupów... Dla wymiaru sprawiedliwości miał na sumieniu tylko jednego człowieka. Od zarzutów innych morderstw, o które oskarżali go „skruszeni” kamoryści i policyjni informatorzy, został uwolniony. Otaczał go szacunek i nimb tajemniczości, ale nie miał pieniędzy i był o krok od kompletnego załamania.

Ptaszek siedział na desce klozetowej i obwijał sobie dłonie bandażami, jakich używają bokserzy. Miały przytrzymywać dwueurowe monety, które umieścił na kłykciach. Na koniec okleił bandaże trzema warstwami taśmy. Słyszał z daleka Mleczarza i Remika, którzy starali się zablokować wejście do WC. Z jeszcze większej odległości docierały do niego chóralne śpiewy kibiców. Były przytłumione, ale Ptaszek, który nieraz śpiewał je na całe gardło na stadionie, rozpoznawał je bezbłędnie: „To dla ciebie, dla ciebie śpiewam”, „W głowie mam jedną myśl, w sercu mam Napoli”, „Jeszcze tu jesteśmy, nikt nas nie zatrzyma”. Teraz też nucił je półgłosem,

podczas gdy przyciskał taśmę klejącą do dłoni. Nucił je przez czterdzieści pięć minut i dogrywkę, po czym podwójny gwizdek sędziego posłał piłkarzy do szatni. Ptaszek usłyszał te gwizdki bardzo wyraźnie. A może mu się przyśniły? Podniósł głowę po raz pierwszy, od kiedy usiadł na desce klozetowej, i usłyszał tupot setek nóg na stopniach stadionu. Zbliżali się, zaraz zacznie się bajzel. Rzeczywiście, to był prawdziwy bajzel. Krzyki, przekleństwa, szturchańce i przepychanki. Ptaszek obserwował tłum, który najpierw płynął schodami jak rzeka, a potem roił się przed wejściem do toalet. Wszedł w tę kipiącą ciżbę z opuszczoną głową, w obstawie swoich towarzyszy. Inkasował kuksańce, deptali mu po nogach, ale parł do przodu, aż zobaczył czerwony i niebieski kolor koszulki Szwajcara w odległości kilku metrów od siebie. Natarł na niego jak byk, krzycząc przy tym:

– Ty skurwysynu! Obrzuciłeś gównem Gabriele'go. Zapłacisz za to!

Szwajcar przyjął dwa pierwsze ciosy bez mrugnięcia okiem. Był niski, ale krzepki. Dopiero przy trzecim uderzeniu zrozumiał, że agresorowi chodzi o wpis na forum kibiców, i zaatakował go głową tak, że przeciął Ptaszkowi brew. Ptaszek nie przestawał go boksować, z werwą, ale bez techniki, zadawał ciosy na chybił trafił. Gdyby nie jego obstawa, mogło się to dla niego źle skończyć. Ale interwencja Remika w jednej chwili zmieniła sytuację. Walnął na odlew trzech chłopaków i dotarł do Szwajcara, który miał rozkwaszony nos. Remik wydał z siebie tuż przy jego twarzy krzyk tak przeraźliwy, że Szwajcar znieruchomiał, jakby go sparaliżowało. Ale jak to się często zdarza w przypadku bójek, do których przyłączają się także ludzie niemający z nimi nic wspólnego i zaczyna się walka wszystkich przeciwko wszystkim, ferwor wygasł po kilku minutach. Na płycie stadionu gwizdek sędziego zapowiedział rozpoczęcie drugiej połowy meczu. Beładna ciżba znów uformowała się w ludzki potok i popłynęła schodami, tyle że w przeciwnym kierunku. Na pustym teraz placu przed toaletami został tylko Ptaszek, jego dwaj towarzysze i rozdygotany sprzedawca napojów i chipsów, który nosił swój towar

w wielkim pudle zawieszonym na szyi. Ptaszek zdołał sformułować tylko jedną myśl: Minęło już piętnaście minut?

Remik wyprowadził Ptaszka i Mleczarza ze stadionu, wsadził ich do samochodu i natychmiast zawiózł na osiedle Conocal, po czym zniknął. Poszkodowani na stadionie chłopcy przypominali dwóch niesfornych urwisów, których po bójce w szkole wytargano za uszy przed rodzicami. Mleczarz dostał kopniaka w głowę i miał rozciętą wargę, Ptaszek czuł, że pulsuje mu cała twarz, i nie był w stanie otworzyć prawego oka. Popęłił szaleństwo, bo porwał się na tę akcję bez pozwolenia, teraz na pewno zostanie ukarany. Ale jego plan zadziałał. Dotrze tam, dokąd chciał dotrzeć, teraz musi tylko rozegrać dobrze ostatnie karty.

Bocian, powiadomiony o incydencie przez Remika, czekał na poszkodowanych w tym samym miejscu, w którym wcześniej rozmawiał z Ptaszkim. Nie miał zagniewanej miny ani pasa w ręce jak ojciec albo starszy brat pragnący ukarać młodszą latorośl za udział w bójce. Trzymał w ręce pistolet i wycelował go teraz prosto w twarz Ptaszka.

– Co ty, kurwa, wykombinowałeś?! Co zrobiłeś? Kto ci dał pozwolenie?!

Ptaszek stał wyprostowany przed lufą pistoletu i myślał, że oto nadszedł najdelikatniejszy moment.

– Co ty, kurwa, wykombinowałeś? – Bocian powtarzał wciąż to samo pytanie i za każdym razem coraz bardziej podnosił głos. Ten gówniarz naprawdę go wkurzył. Przenosił pistolet z jednego chłopaka na drugiego i nie usłyszał metalicznego dźwięku nad swoją głową. Na balkon wyszedł don Vittorio i uderzał obręczką w balustradę. Bocian dalej powtarzał swoje pytanie, ale chłopcy, zamiast patrzeć na niego lub na lufę pistoletu, skierowali wzrok ku niebu. Don Vittorio musiał głośno powiedzieć „Eeejej!”, żeby kucharz zorientował się w sytuacji. Od razu rozpoznał głos szefa, włożył pistolet za pasek i wszedł do domu, rzuciwszy przedtem do chłopców:

– Nie ruszajcie się z miejsca. – Ale oni nie mieli takiego zamiaru,

stali z oczami zwróconymi ku niebu jak pastuszki z Fatimy.

Krótko potem zszedł do nich Archanioł we własnej osobie. Nie powinien. Miał areszt domowy, za takie przewinienie mógł się dostać w jednej chwili z powrotem do więzienia. Co byłoby bolesne, zwłaszcza że otrzymanie aresztu domowego dużo go kosztowało. Ale chciał zejść na ulicę, więc to zrobił. Począł tylko, aż Bocian da znać czujkom, żeby zdwoiły czujność.

– Bocian i Ptaszek... – zaczął don Vittorio – Mamy u nas więcej skrzydeł niż na lotnisku Capodichino.

Ptaszek nie widział w tym nic zabawnego, ale się uśmiechnął.

– Dowiedziałem się, że wzięłeś w obronę Gabriele'go, bo ktoś obraził go w internecie. – Wziął go za ramię i zaprowadził do pomieszczenia pod schodami. Niskie metalowe drzwi były zamknięte, don Vittorio otworzył je kluczem, który wyjął z kieszeni. Do kranu w ścianie podpiął wąż, odkręcił kurek i włożył pod wodę rękę Ptaszka. Trzymał jego dłoń w swojej i kciukiem czyścił ją delikatnie z krwi. Najpierw prawą, potem lewą. Na lewej ręce Ptaszek nie przymocował bandażem monet, nie była więc zakrwawiona, ale za to bardziej spuchnięta.

– Nie miałeś kastetu? – Ptaszek nie wiedział, o czym don Vittorio mówi, ale wypowiedzenie przy nim słowa „nie” wydało mu się niestosowne. Podobnie zresztą jak stanie tuż przy nim w półmroku, w pomieszczeniu tak ciasnym, że czuł zapach jego wody po goleniu. Archanioł zapytał ponownie: – Nie miałeś kastetu? No, kastetu... albo jak to się inaczej nazywa: żelaznej pięści?

Ptaszek potrząsnął głową i powiedział:

– Położyłem na palce monety i zabandażowałem rękę.

– No tak, bo teraz rewidują. Kiedy byłem w twoim wieku, uszkodziłem kastetem niejedną buźkę.

Przerwał swoje wyznania i zakręcił kurek. Potem wytarł brzeg dłoni o spodnie i mówił dalej:

– Dziękuję, że stanąłeś w obronie Gabriele'go. Tak sobie zawsze myślę, że obelgi tych skurwysynów w internecie nie pozwalają mu

spoczywać w pokoju. Ale najpierw powinienes mnie o tym powiadomić. Powiedziałbym ci, jak zrobić, żeby ten gnojek nie podniósł się już z ziemi. Jeżeli zostawisz go przy życiu, będzie ci mógł zrobić krzywdę. Jeżeli kogoś grzmocisz tylko po to, żeby mu przemówić do rozumu, dajesz mu drugą szansę. Może czujesz do niego sympatię?

– Wcale! Wręcz przeciwnie.

– No to dlaczego od razu go nie ukatrupiłeś? I dlaczego nie przyszedłeś z tym najpierw do mnie?

– Bo Bocian nikogo do was nie dopuszcza.

– Tutaj, w tej dzielnicy, wszyscy jesteście dla mnie jak własne dzieci.

Nadeszła właściwa chwila. Ptaszek zrobił cały ten bajzel po to, żeby dotrzeć do don Vittoria i doczekać się tego momentu. Teraz albo nigdy.

– Chciałbym was, don Vittorio, o coś poprosić.

Boss milczał, jakby zachęcał chłopca do wyrażenia prośby, z którą przyszedł.

– Mogę poprosić?

– Czekam.

– Nicolas, chłopak z Forcelli, który praktycznie uratował mi życie, kiedy ludzie z parazy Kudłaczy chcieli mnie zastrzelić, chciałby z wami porozmawiać w pilnej sprawie, ale nie powiedział mi o czym.

– Niech przyjdzie – odparł Archanioł. – Powiedz, że pošlę do niego człowieka, powie mu, co ma zrobić. Spotka się z nim za kilka dni na placu Belliniego.

Ptaszek nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Podziękował Archaniołowi, skłaniając przy tym nisko głowę jak w jakimś niezgrabnym dygu. Don Vittorio złapał go za policzki jak kochający dziadek, potem wyszli z ciemnego pomieszczenia na słońce. Bocian czekał z rękami założonymi za plecy, widać było, że jest wściekły. Tymczasem Mleczarz rozglądał się dokoła, wciąż jeszcze oszołomiony, zastanawiając się pewnie, jak mógł się tu dostać.

– Wszystkiego dobrego, chłopcy – powiedział Archanioł i skierował

się do drzwi wejściowych, ale po kilku krokach obrócił się do nich i rzucił do Ptaszka: – Pięćdziesiąt procent.

– To znaczy? Przepraszam, don Vittorio, ale nie zrozumiałem. – Ptaszek stał już jedną nogą na parkingu i myślał sobie, że jak tylko to się skończy, zamknie się w domu i przez tydzień nie będzie robić nic innego, jak tylko oglądać X-Menów.

– Pięćdziesiąt procent.

– Don Vittorio, przepraszam, ale dalej nie rozumiem...

– Co ci powiedziałem przedtem? Że tutaj jesteście wszyscy moimi dziećmi. A moje dziecko ma za nic swoje życie i nawet jeżeli ktoś mu je uratuje, to nie znaczy, że da mu wszystko, czego zażąda.

Ptaszek mrużył zdrowe oko, jakby chciał w słowach bossa dostrzec jego intencje.

– Jestem pewny, że ten chłopak z Forcelli dał ci pozwolenie na handel na ich terenie, na pewno możesz tam sprzedawać nasz towar. Pięćdziesiąt procent z tego, co zarobisz, ma trafić tutaj – powiedział, klepiąc się po kieszeni spodni. – Następne trzydzieści procent dasz naszemu człowiekowi, który prowadzi punkt. Co ci zostanie, możesz sobie zatrzymać. Ten chłopak musiał ci pewnie obiecać coś bardzo ważnego, jeżeli z powodu tego sprowokowałeś przez internet ludzi, żeby obrazili Gabriele'go. Ale dobrze zrobiłeś, Ptaszku, że zemściłeś się w moim imieniu i broniłeś mego honoru.

Po wszystkich swoich zabiegach Ptaszek został z pustymi rękami. Przedtem to, co sprzedawał poza terenem klanu, szło w całości do jego kieszeni, wystarczyło, że dał trzydzieści procent prowadzącemu punkt na osiedlu Conocal. Teraz natomiast miał płacić także Archaniołowi. Ptaszek spuścił głowę i podniósł ją dopiero, kiedy zobaczył przed sobą długi cień Bociana.

– Co dwa miesiące przyniesiesz mi pieniądze. Jeżeli zobaczę, że zostawiasz sobie więcej, będę się bardzo gniewać. Mam wszystko pod kontrolą, dobrze wiem, ile dostajesz towaru. Jeżeli coś nie będzie się zgadzać, obetnę ci jaja.

– Byłoby lepiej, gdyby White mnie od razu zastrzelił – burknął

Ptaszek pod nosem, wsiadając na vespę.

Bocian spojrział na niego, jakby chciał mu powiedzieć, że nawet jeżeli miałby najlepszych nauczycieli, nigdy nie zmądrzeje.

– Może to do ciebie, szczyłku, nie dotarło, ale don Vittorio właśnie uratował ci życie. – Ptaszek znowu nie zrozumiał, co do niego mówią. – Gdybyś zaczął dobrze zarabiać na terenie tych z Forcelli, to miałbyś dwie możliwości: albo chłopaki z naszego osiedla załatwiłyby cię, żeby handlować zamiast ciebie w centrum, albo też na własną rękę znalazłyby sposób, żeby sprzedawać w centrum, a nie tutaj. Wtedy u nas interes w ogóle by się nie kręcił i musiałbym wyprawić cię na tamten świat. – Powiedziawszy to, Bocian zostawił go na parkingu. Na poblądłej twarzy Ptaszka jeszcze wyraźniej odznaczało się jego podbite oko.

Trudny dzień miał się ku końcowi. Zanim ruszył w drogę, Ptaszek wyjął telefon komórkowy. Miał powiadomienia o nieodebranych połączeniach od matki i od swojego dostawcy towaru, Totorego, który wiedział, że pojechał na stadion, a potem do Archaniola, i chciał się upewnić, czy nie wpadł w jakieś tarapaty i czy on nie będzie musiał ponieść konsekwencji.

„Wszystko w porządku” – napisał do matki.

„Wszystko w porządku” – napisał do Totorego.

„Wszystko w porządku” – napisał do Maharadży.

Wszystko w porządku – wyrażenie powszechnie zrozumiałe. Używane w sytuacjach, kiedy wszystko postępuje zgodnie z wcześniej ustalonym porządkiem. Wszystko w porządku – dla matki, która chciała wiedzieć, dlaczego nie wrócił jeszcze do domu, choć mecz dawno się skończył. Wszystko w porządku – dla koordynatora punktu sprzedaży narkotyków, bo nie musi nic płacić, przeciwnie – więcej zarobi. Wszystko w porządku – dla kandydata na bossa paranzę, który potrzebował protekcji starego kamorysty znajdującego się poza grą.

Wszystko w porządku. I tak ma być.

Melina

Dragonbol zaprowadził ich do mieszkania przy ulicy dei Carbonari. Znajdowało się na trzecim piętrze zaniedbanej kamienicy, w której od wieków mieszkały te same rodziny. Na drzwiach, na których niegdyś widniało nazwisko sprzedawcy owoców, teraz było to samo nazwisko, tylko że należało do jego potomka, który też sprzedawał owoce; tabliczka na drzwiach przemysłownika też pozostała od dziesiątków lat ta sama, tylko że kiedyś mieszkał za nimi dziadek obecnego właściciela. Nie było nowych lokatorów, nie licząc dilerów pochodzących z Afryki, którym niekiedy pozwalano zamieszkać tu przez jakiś czas z rodziną.

W tej kamienicy Drago miał do dyspozycji jedno mieszkanie.

– Tego nie zabrała nam policja, ciągle jeszcze jest własnością rodziny Striano. Należało do mojego dziadka, Suwerena, wynajmował je ludziom, którzy dla niego pracowali.

Rzeczywiście, było w nim widać ślady pobytu różnych ludzi. Umieblowano je w latach osiemdziesiątych, od tamtego czasu nic w tym mieszkaniu nie zmieniono. Z czasem zostało opuszczone. Zapomniane. Albo raczej – zachowane na wypadek, gdyby miało się przydać w przyszłości. Wyglądało, jakby czterdzieści lat wcześniej ktoś przykrył całe jego wyposażenie płachtą i zdjęto ją dopiero teraz.

Wszystko tam było niskie – stoliki, kanapy, ława pod telewizor, jakby ludzie w poprzednim pokoleniu nie mierzyli więcej niż sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Meble sięgały chłopcom do łydek. Od razu zmienili zastosowanie stojącego przed brązową skórzaną kanapą stolika ze szklanym blatem i położyli na nim nogi. Wysoka lampa z ogromnym kwiecistym abażurem łączyła dwa rozłożyste fotele z brązowej skóry. I wszędzie regały z półkami pełnymi przedmiotów, z których wiele widzieli po raz pierwszy w życiu. Na przykład kasety VHS z białymi etykietkami, na których ktoś zapisał daty i miejsca

meczów rozegranych przez reprezentację piłkarską. Ale najbardziej rozbawił ich telewizor stojący na ławie pod wyklejoną tapetą w biało-niebieskie paski ścianą. Był masywnym sześcianiem, ważył pewnie co najmniej pięćdziesiąt kilo, ekran miał wypukły, odbijało się w nim wyposażenie pokoju. Ząbek zbliżył się do niego ostrożnie, jak do dzikiego zwierzęcia, i zachowując bezpieczną odległość, nacisnął guzik wyglądający na wyłącznik, na co telewizor zareagował jedynie dźwiękiem zwolnionej sprężyny.

– Nie działa – powiedział Nicolas. Ale po chwili zabłysło czerwone światełko, zaprzeczając jego stwierdzeniu.

– Kiedyś ukrywali się tutaj ludzie z klanu – wyjaśnił kolegom Dragonbol. – Od czasu do czasu don Feliciano Szlachcic przyprawiał tu swoje dupy. To mieszkanie jest niczyje.

– Świetnie – odparł Nicolas. – Bardzo nam się przyda to „niczyje” mieszkanie. To będzie nasza melina.

Ten wyraz wywołał uśmiech na twarzach chłopców.

– Melina? – zapytał Agostino. – Co to znaczy?

– Miejsce, gdzie będziemy się mogli schronić, gdzie będziemy się spotykać i bawić, gdzie będziemy się wszystkim dzielić.

– W takim razie najważniejsza rzecz, jakiej tu brakuje, to Xbox – zażartował Agostino, ale Nicolas mówił dalej z poważną miną:

– To będzie miejsce wszystkich, więc wszyscy muszą się podporządkować tym samym regułom. Pierwsza: kobietom wstęp wzbroniony.

– Ojejku! – Żetakpowiem od razu zmanifestował swoje rozczarowanie – Tego się, Maharadża, po tobie nie spodziewałem.

– Jeżeli zaczniemy przyprawiać dziewczyny, to zrobimy tu burdel. Nie, tylko my i nikt inny. Obcych chłopaków też nie będziemy przyprawiać. Tylko my i koniec. Poza tym pełna tajemnica. Nikomu ani słowa. To miejsce istnieje tylko dla nas.

– Pierwsza zasada klubu walki: o klubie walki się nie mówi – powiedział Briatore.

– Bravo! – Lollipop docenił jego znajomość klasyki.

– No dobra, ale ludzie będą widzieli, że tu wchodzimy – zauważył Dragonbol.

– Nie tylko będą nas widzieć, ale im o tym powiemy – odparł Maharadża.

Ulica dei Carbonari od lat upamiętniała karbonariuszy. I wciąż ich upamiętnia, wciąż jest w tym samym miejscu w Forcelli. Chłopcy nic nie wiedzieli o karbonariuszach, ale w pewnej mierze ich przypominali. Nie mieli szlachetnych intencji, ale mieli w sobie tę samą gotowość do poświęceń i wyrzeczeń i tę samą ślełą przekorę, która zawiodła ich do odrzucenia świata i traktowania własnej woli jako jedyne kryterium oceny swojego postępowania.

– Chłopaki, to jest nasza melina. Tutaj będziemy przychodzić, będziemy palić, co nam się podoba, będziemy się bawić... Tu będziemy spędzać czas. Dragonbol się na to zgadza. Copacabana nic o tym nie wie. To wyłącznie nasza sprawa.

Dla Nicolasa to mieszkanie było podstawą, uważał, że potrzebują miejsca, w którym mogą się spotykać. Ono ich połączy. Wyraził to głośno:

– Teraz możemy zacząć na poważnie.

Tylko Biskopcik jeszcze się nie odezwał. Wpatrywał się w czubki swoich nowiutkich białych adidasów, jakby chciał koniecznie znaleźć jakąś plamę.

– No co, Biskopciku, nie jesteś zadowolony? – zapytał Maharadża.

Biskopcik wreszcie podniósł głowę:

– Mogę z tobą przez chwilę pogadać, Nicò, sam na sam?

Nazwał go „Nicò”, nie „Maharadża” ani nawet „Nicolas”, i zaraz znowu spuścił wzrok na buty.

Inni nawet nie zauważyli, że tamci dwaj przeszli do sypialni. Byli bardzo zajęci eksplorowaniem wehikułu czasu, w którym się znaleźli.

Biskopcik zaczął od razu:

– Nicò, jesteś pewny, że nie ma w tym nic złego, jeżeli wystartujemy z mieszkania człowieka, który zdradził, który się sprzedał policji?

Maharadża zbliżył się do chłopca na odległość oddechu i wszedł butami na jego stopy obute w bielutkie adidas.

– Zdrajcą jest ten, który zdradził, a nie ten, który ma tę samą krew co zdrajca. Zrozumiałeś? Poza tym ojciec Dragonbola nigdy nie kablował. A teraz wrócimy do innych. Nic się nie stało. – Zszedł z nóg Biskopcika i powiedział: – Wystartujemy właśnie stąd.

Klucze mieli tylko on i Dragonbol. Inni, jeżeli chcieli wejść, wysyłali esemes: „Jesteście w domu?”. Melina była początkiem wszystkiego, tak uważał Nicolas. Zresztą mieć takie miejsce dla siebie to marzenie każdego chłopca. Miejsce, w którym można włożyć zarobione pieniądze do koperty i schować je w jakiejś skrytce czy między starymi czasopismami, a potem, od czasu do czasu, dla przyjemności je przeliczyć. I – przede wszystkim – w którym można je gromadzić. Maharadża uważał, że wystartują, jeżeli złożą wszystkie pieniądze razem. To ich połączy. Tak samo jak fakt, że będą wychodzić na akcje wszyscy z tego samego miejsca. W ten sposób tworzy się rodzinę. W ten sposób urzeczywistni się jego marzenie, powstanie paranza.

Niech mi matka umrze...

– Musimy utworzyć naszą własną paranzę. Nie będziemy do nikogo należeć, nikomu podlegać.

Wszyscy patrzyli na Nicolasa w milczeniu. Czekali, aż im wyjaśni, jak mogą się usamodzielić, nie mając żadnych środków, nic. Absolutny brak potencjału uwydatniały jeszcze ich dziecinne buzie.

Nazywano ich dzieciakami i tak właśnie było – byli jeszcze dziećmi. I jako że nie zaczęli jeszcze naprawdę żyć, nie bali się niczego, ludzi starszych uważali za skończonych, właściwie za trupy, już pogrzebane. Ich bronią była dzikość, która zachowała się u ludzkich szczeniąt. W działaniu kierowali się instynktem, jak zwierzęta. Pokazywali zęby, warczeli i czasami to wystarczyło, żeby wzbudzić strach w tych, których mieli przed sobą.

Muszą odznaczyć się okrucieństwem – tylko wtedy ci, którzy teraz budzą strach i respekt, mogą traktować ich poważnie. Niech będzie, że są dziećmi – ale z jajami! Potrafią tworzyć chaos i wyciągać z niego korzyści, potrafią się doskonale odnaleźć w układzie opartym na bezładzie.

– Ludzie myślą, że jesteśmy dziećmi, ale my mamy to... i mamy też to. – Mówiąc to, Nicolas wyjął prawą ręką rewolwer zza paska spodni. Zaczął nim obracać na wskazującym palcu, jakby nic nie ważył, a jednocześnie lewą ręką wskazywał na swoje genitalia. Mamy broń i jaja – to chciał powiedzieć swoim chłopcom.

– Nicolas... – przerwał mu Agostino. Ktoś musiał to zrobić. Nicolas się tego spodziewał. Spodziewał się jak pocałunku, który wydał Chrystusa żołnierzom. Czekał, żeby jeden z chłopców wyraził wątpliwości, żeby wziął na siebie ciężar myślenia. Potrzebował kozła ofiarnego, bo było jasne, że żaden z nich nie miał wyboru, żaden nie mógł się wahać, czy zostać z nimi, czy nie. Paranza musi oddychać

unisono, a oddech, do którego wszyscy muszą dostosować własne zapotrzebowanie na tlen, to oddech Nicolasa.

– Nicò, niech mi matka umrze, jeżeli to możliwe... Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby ktoś na własną rękę utworzył paranzę, ot tak, z dnia na dzień... Musimy poprosić o pozwolenie! Teraz, kiedy wszyscy myślą, że w Forcelli już nikogo nie ma, jeżeli będziemy umieli to dobrze rozegrać z Kudłaczami, możemy pracować dla nich. Każdy dostanie pensję i kto wie, może niedługo oddadzą nam jeden punkt narkotykowy.

– Zapalka, nie chcę u siebie ludzi takich jak ty. Tacy ludzie jak ty muszą odejść, i to od razu.

– Nicò, może mnie nie zrozumiałeś. Chciałem tylko powiedzieć...

– Ja wszystko dobrze zrozumiałem. Mówisz rzeczy, których nie powinienes mówić.

Nicolas zbliżył się do Agostina, wciągnął nosem powietrze i splunął mu w twarz. Zapalka nie był tchórzem, zareagował od razu, ale kiedy natarł głową w kierunku przegrody nosowej Nicolasa, ten zdążył się odchylić. Spojrzeli sobie w oczy. I tyle, przedstawienie skończone. Scena została dla Maharadży.

– Agostino, ja nie chcę mieć u siebie tchórzy, strach nie ma prawa nawet musnąć moich ludzi. Jeżeli masz wątpliwości, jesteś dla mnie skończony.

Agostino wiedział, że wyraził na głos obawy wszystkich. Nie tylko on uważał, że należało porozmawiać ze starszymi bossami. To splunięcie w twarz było raczej ostrzeżeniem niż poniżeniem. Ostrzeżeniem dla innych.

– Teraz musisz się wynieść. Nie możesz być członkiem naszej paranzы.

– Jesteście tylko stadkiem gówniarzy – powiedział purpurowy na twarzy Agostino.

Wtrącił się na to Ząbek, próbując go uspokoić:

– Agostino, idź już sobie, bo będzie jeszcze gorzej...

Agostino nigdy nikogo nie zdradził, ale jak wszyscy Judasze posłużył

do przyśpieszenia akcji. Zanim wyszedł z pomieszczenia, nieświadomie wyposażył Nicolasa w narzędzie, jakiego potrzebował do zespolenia paranzę.

– Chcecie zrobić paranzę z trzema nożami i dwoma straszakami?

– Tymi trzema nożami w pięć minut wyprujemy ci bebechy – wybuchnął Nicolas.

Agostino wyciągnął środkowy palec w kierunku chłopaków, którzy jeszcze przed chwilą byli mu bliscy jak bracia.

Nicolasowi było przykro, że Zapałka odchodzi. Trudno jest się odciąć w jednej chwili od kogoś, kogo życie zna się w najmniejszych szczegółach. Nicolas znał wszystkich wujków i kuzynów Agostina, razem kibicowali, chodzili na stadion San Paolo i jeździli na mecze wyjazdowe. Takiego przyjaciela należy trzymać przy sobie na zawsze. Ale stało się inaczej. Zresztą jego oddalenie przyniesie korzyści. Agostino posłużył jako gąbka, która wchłonęła obawy innych. Gdy tylko trzasnął za sobą drzwiami, Nicolas zaczął mówić dalej:

– Chłopaki, w jednej kwestii ten tchórz ma rację. Nie możemy utworzyć paranzę uzbrojeni w trzy noże i dwa straszaki.

Ci, którzy jeszcze przed chwilą byli gotowi porywać się na najśmielsze czyny uzbrojeni jedynie w podebrane mamie w kuchni noże, bo tak chciał Nicolas, teraz, kiedy już pozwolił im wątpić w powodzenie takich planów, przyznali się, że marzą o prawdziwej broni, a muszą zadowolić się zabawkami przechowywanymi w swoich pokojach.

– Znalazłem rozwiązanie – oznajmił Nicolas. – Albo mnie zabiją, albo wrócę z całym arsenałem. Ale jeżeli mi się uda, wszystko będzie musiało się zmienić. Razem z poważną bronią pojawią się poważne reguły, których trzeba będzie przestrzegać. Bo niech mi matka umrze, jeżeli bez tego coś zdziałamy. Nie! Zostaniemy tylko bandą szczyli.

– Na pewno będziemy się trzymać reguł, Nicò. Będziemy jak bracia.

– Bracia braćmi, ale musimy złożyć przysięgę. A przysięgę składa się na rzeczy naprawdę ważne. Widzieliście *Kamorystę*, nie? Kiedy Profesor przysięga w więzieniu. Zobaczcie to sobie, jest na YouTube.

My też musimy tak zrobić, musimy być połączeni na zawsze. Musimy zrobić chrzest, taki jak na filmie, zobaczcie to sobie. Profesor mówi tak: „Musimy być jednością. Musimy się ochrzcić, jak to zrobili nasi trzej starsi, oni użyli żelaza i łańcuchów. Musimy być strażnikami milczenia”. To coś wspaniałego, chłopaki, musicie to zobaczyć. „Dla tego, kto zdradzi, chleb zamieni się w ołów, a wino w truciznę”. Przysięgę musimy przypieczętować krwią, musimy wymieszać naszą krew. I nie wolno nam się niczego bać.

Podczas gdy mówił o przysiędze, o odwadze i lojalności, myślał o pewnej sprawie, która leżała mu na żołądku i nie dawała spokoju.

Następnego dnia panował upał. Reprezentacja Włoch miała rozegrać mecz. Letizia poprosiła Nicolasa, żeby obejrzał go razem z nią, ale jej odmówił. W reprezentacji grało za mało zawodników Napoli, więcej było piłkarzy Juventusu, więc on i jego koledzy mieli gdzieś to spotkanie. Zresztą musieli coś pilnie załatwić. Było ich sześciu, na trzech skuterach. Jego skuterem kierował Ząbek, jechali przodem, inni trzymali się kilka metrów za nimi. Z Moiariello droga prowadziła cały czas z górki, wąskimi zaułkami. Przejeżdżając tamtędy, oszczędza się czas, bo kiedy to konieczne, można jechać po chodniku, omija się korki i ulice jednokierunkowe i w kilka chwil dociera do placu Belliniego.

Nicolas się śpieszył, bo miał się spotkać z człowiekiem Archaniola. Chociaż czuł się już bardzo ważny, ten kontakt był mu potrzebny, a ludzie tego pokroju nie mają w zwyczaju czekać. Maharadza miał dziesięć minut, żeby stawić się na umówionym miejscu.

Ostatni kawałek ulicy Foria, jeszcze przed muzeum, przebyli, jadąc zygzakiem po szerokim, dobrze oświetlonym chodniku. Równie dobrze mogliby jechać ulicą, bo była prawie pusta, nieliczni, którzy nie zorganizowali się na czas, stali teraz pod gołym niebem przed ekranami, które w Neapolu są na każdym rogu. Od czasu do czasu, słysząc głośniejsze krzyki, chłopcy zatrzymywali skutery i pytali o wynik. Reprezentacja Włoch wygrywała. Nicolas zaklął.

Na ulicę Costantinopoli wjechali pod prąd, od razu wprowadzili skutery na chodnik, który tutaj był węższy i nieoświetlony. Szło nim sporo ludzi, w większości studenci i turyści, kierując się, podobnie jak chłopcy na skuterach, na plac Belliniego albo do Port'Alba czy na plac Dantego, gdzie znajdowało się dużo lokali z telewizorami na zewnątrz. Chłopcy jechali zbyt szybko i nie zauważyli na czas dwóch wózków dziecięcych, stojących przy stoliku barowym na chodniku, przy którym siedzieli rodzice.

Pierwszy skuter nawet nie próbował zahamować. Lusterko zaczepiło o rączkę wózka stojącego bliżej ulicy i skuter pociągnął go za sobą. Po kilkunastu metrach wózek się odzepił i przewrócił na bok, ale dalej ślizgał się po chodniku jak po lodzie. Zatrzymał się dopiero, gdy z głuchym odgłosem uderzył w mur. Ten dźwięk wywołał w wyobraźni widzów straszne obrazy skrwawionego białego ciała, ledwo wyrosłych miękkich włosów, kołysanek w dziecięcym pokoju i bezsennych nocy. Po chwili absolutnej ciszy dziecko zaczęło płakać, a jego matka przeraźliwie krzyczeć. Dziecku nic się nie stało, ale ojciec pozostał nieruchomy, jakby skamieniał w chwili wypadku. Stał i patrzył na chłopców, którzy tymczasem zaparkowali skutery i spokojnie oddalali się z tego miejsca. Nie zatrzymali się, żeby zobaczyć, co się stało, ale i nie uciekli w obawie przed konsekwencjami. Nie. Zaparkowali i odeszli, jak gdyby to, co się stało, było czymś normalnym w tym mieście, które uważali za wyłącznie swoje terytorium. Tratować, deptać, niszczyć. Szybcy, głośni, nieokrzesani, bezczelni i brutalni. Tak już jest, inaczej być nie może. Nicolas czuł, że serce bije mu jak szalone. Jego zachowanie nie było jedynie dowodem chamstwa, ale także wynikiem kalkulacji. Ten wypadek mógł pomieszać im szyki. Po dwóch stronach ulicy stały dwa samochody policyjne, tuż przy miejscu, gdzie chłopcy zaparkowali skutery. Czterej policjanci słuchali przez radio transmisji meczu i nie zareagowali na to, co się stało. Znajdowali się w odległości kilku metrów od miejsca incydentu, ale krzyki świadków nie kazały im wyskoczyć z samochodów. Dlaczego? Co sobie pomyśleli, gdy je

usłyszeli? Że w Neapolu zawsze wszyscy krzyczą? Albo: Lepiej nie interweniować, jest nas tylko czterech, i tak nie możemy nic zrobić.

Nicolas nic nie mówił. Podczas gdy spojrzeniem szukał człowieka od Archanioła, myślał, że dużo ryzykowali. Powinni dać kopa temu wózkowi, nie ciągnąć go za sobą przez dziesięć metrów. W Neapolu są u siebie, wszystko należy do nich, także chodniki, ludzie powinni to wiedzieć.

Dostrzegł człowieka przysłanego przez don Vittoria Grimaldiego, z czapką na głowie i skrętem między wargami. Podeszedł powoli, nie zdjął czapki i nie wyjął z ust skręta, potraktował Nicolasa jak niedorostka, którym był, a nie bossa, jakim chłopak się widział.

– Archanioł powiedział, że możesz przyjść się pomodlić. Ale żeby wejść do kaplicy, musisz się trzymać instrukcji.

Nicolas od razu rozszyfrował kod. Boss przyjmie go w swoim domu, ale niech mu nie przyjdzie do głowy pojawić się przy drzwiach wejściowych! Don Vittorio ma areszt domowy i nie może się z nikim spotykać. Nie widać w sąsiedztwie kamer karabinierów, ale kamery są, na pewno je zainstalowano. Bardziej niż kamer Nicolas powinien jednak wystrzegać się oczu ludzi z klanu Faella. Człowiek, którego Archanioł posłał na plac Belliniego, dał mu do zrozumienia, że bossowi zależało na tym, żeby Nicolas postępował ostrożnie. Jeżeli ktoś z klanu Faella go zobaczy, uznają go za człowieka Grimaldich, a wtedy może źle skończyć. I tyle.

W rzeczywistości prawda wyglądała inaczej. Nicolas i jego chłopaki to banda gówniarzy i Grimaldi nie chcieli, żeby z ich winy policja oraz klany rywali skupili uwagę na Archaniele, który i bez tego miał mnóstwo problemów.

Nicolas pojechał do domu don Vittoria na skuterze. Nie był tak sławny, jak by tego pragnął, i na osiedlu Conocal, daleko od domu, nie znał go żaden z ludzi Systemu. Z imienia może tak, ale jego twarz na pewno nie wzbudzi podejrzeń. Pomyślał co najwyżej, że przyjechał kupić narkotyki. Nicolas rzeczywiście zatrzymał się przy kilku chłopcach i od razu został obsłużony.

- Ile masz?
- Sto euro.
- Nieźle. To daj tę forszę.

I po paru minutach miał narkotyki pod siedzeniem. Zrobił jeszcze jedno okrążenie i zaparkował skuter. Zapiął go na dobrze widoczną kłódkę i poszedł wolnym, ale zdecydowanym krokiem w kierunku domu Archaniola. Nie wkładał rąk do kieszeni. Swędziała go głowa, bo się pocił, ale się nie podrapał. Czy widział ktoś kiedyś bossa, który drapie się po głowie w ważnej chwili? Zgodnie z instrukcją zadzwonił domofonem do mieszkania piętro niżej. Usłyszał odpowiedź. Podał imię, wymawiając wyraźnie każdą sylabę.

- Profesorze, to ja, Nicolas Fiorillo.
- Otwarte?
- Nie!

Drzwi były otwarte, ale potrzebował jeszcze trochę czasu.

- Popchnij mocno, to się otworzą.
- Tak! Teraz się otworzyły.

Capodimonte

Rita Cicatello była emerytowaną nauczycielką. Udzielała korepetycji za niewielkie pieniądze. Uczniów posyłali do niej starzy znajomi z czasów, gdy jeszcze pracowała w szkole. Kto brał prywatne lekcje u niej i jej męża, przechodził do następnej klasy, inni mieli poprawki i też w końcu musieli do niej chodzić, tyle że podczas letnich wakacji.

Nicolas wszedł na podest prowadzący do mieszkania nauczycielki. Bez pośpiechu. Zachowywał się jak uczeń, który wie, że znowu czeka go męczarnia, i pragnie opóźnić moment jej rozpoczęcia. W rzeczywistości chciał mieć pewność, że zainstalowana gdzieś na pewno przez karabinierów kamera wszystko dobrze nagra. Wyobrażał ją sobie jako ludzkie oko z przymykającymi się powiekami, tak więc zwolnił, by oko mogło dobrze zarejestrować jego ruchy. Kamera karabinierów, która służyła także klanowi Faella, ma sfilmować Nicolasa Fiorillo, jak wchodzi do mieszkania emerytowanej nauczycielki, profesor Cicatello. Nic więcej.

Nauczycielka otworzyła drzwi. Miała na sobie fartuch dla ochrony przed plamami z oliwy i sosu pomidorowego. W małym mieszkanku, przy okrągłym stole w jadalni, siedziało dziesięcioro dziewcząt i chłopców. Mieli przed sobą otwarte książki, ale każdy patrzył w swój smartfon. Młodzież lubiła profesor Cicatello, bo nie robiła tak jak inni nauczyciele, którzy przed lekcjami zabierali im telefony, zmuszając do wynajdywania wymówek w rodzaju: mam dziadka w szpitalu na sali operacyjnej; moja mama, jeżeli nie odpowiem na jej telefon, po dziesięciu minutach zadzwoni na policję, za każdym razem, gdy chcieli sprawdzić, czy przyszła jakaś wiadomość na WhatsAppie albo pojawił się nowy lajk na Facebooku. Cicatello zostawiała im komórki i lekcji właściwie w ogóle nie robiła. Kładła na środku stołu tablet – prezent od syna na ostatnie Boże Narodzenie – z przyłączonym

amplifikatorem, który wzmacniał nagrany głos. Mówiła o Manzoni, Dantem albo o zjednoczeniu Włoch, w zależności od tego, co akurat przerabiali w szkole. Lekcje nagrywała w wolnych chwilach, a gdy je odtwarzała, ograniczała się do wykrzykiwania od czasu do czasu: „Odłóżcie wreszcie te telefony, słuchajcie lekcji!”. W tym czasie przyrządzała kolację, sprzątała mieszkanie albo prowadziła długie rozmowy przez stary telefon stacjonarny. Na koniec wracała do uczniów, żeby poprawić im zadania domowe z włoskiego i geografii, podczas gdy jej mąż poprawiał zadania z matematyki.

Nicolas wszedł do jadalni, wymamrotał słowa ogólnego powitania, ale żaden uczeń nie podniósł nawet na niego wzroku. Otworzył oszklone drzwi i przeszedł do pomieszczenia za nimi. Uczniowie często widzieli, jak ktoś przychodzi do nauczycielki i po krótkim przywitaniu znika za drzwiami do kuchni. Nikt z nich nie wiedział, jak wygląda życie nauczycielskiej pary za tymi drzwiami. Łazienka znajdowała się po przeciwnej stronie jadalni, tak więc znali tylko te dwa pomieszczenia. Innymi się nie interesowali i o nic nie pytali – ciekawość nie popłaca.

W pomieszczeniu, w którym królował tablet, w fotelu przed telewizorem siedział zwykle także mąż nauczycielki. Nogi miał zawsze zakryte kocem, także latem. Uczniowie podchodzili do niego z zadaniami z matematyki. Profesor Cicatello wyjmował wtedy z kieszonki koszuli czerwony długopis i poprawiał ich prace. Na widok Nicolasa mruknął w jego kierunku coś, co miało pewnie być przywitaniem.

Na drugim końcu kuchni stała drabina. Nauczycielka bez słowa wskazała Nicolasowi drogę w górę. W suficie był otwór łączący dwa piętra, dzięki niemu ten, kto nie mógł odwiedzić don Vittoria, wchodząc głównymi drzwiami, przechodził przez mieszkanie nauczycielki. Kiedy Nicolas sięgnął do ostatniego szczebla, uderzył kilka razy pięścią w zamkniętą klapę w suficie. Właz otworzył don Vittorio we własnej osobie. Przy schylaniu musiał zdobyć się na wysiłek, o którym świadczył bulgot rodzący się gdzieś w dole

kręgosłupa. Nicolas był stremowany, Archaniola widział dotąd tylko na sali sądowej. Z bliska jednak nie zrobił na nim takiego wrażenia, jak przewidywał. Wyglądał jak stary, słaby człowiek. Don Vittorio wpuścił go i z tym samym bulgotem co wcześniej spuścił klapę. Nie uściśnął mu ręki, tylko gestem pokazał drogę.

– Chodź, chodź – powiedział, wchodząc do przestronnej jadalni. Stał w niej ogromny stół z drewna hebanowego, którego naturalna elegancja zatraciła się z winy kiczowatej formy mebla.

Don Vittorio usiadł na prawo od szczytu stołu. Ściany pomieszczenia były zastawione kredensami i regałami pełnymi figurek różnych kształtów. Porcelana z Capodimonte była pewnie namiętnością pani domu, która jednak nie zostawiła tutaj żadnych innych śladów swojego istnienia. Dama z pieskiem, myśliwy, kobziarz – klasyka. Nicolas przesuwiał spojrzeniem po ścianach jadalni, chciał wszystko dobrze zapamiętać. Wcześniej był bardzo ciekawy, jak wygląda mieszkanie don Vittoria, ale to, co zobaczył, nie wywarło na nim pozytywnego wrażenia. Nie potrafiłby powiedzieć, co konkretnie mu się w nim nie podobało, jedno jest pewne – nie wyglądało jak mieszkanie bossa. Coś tu nie pasowało. Cała ta wyprawa do niezdobytego fortu okazała się łatwa, wręcz banalna. Telewizor o płaskim ekranie w ramie koloru drewna, przed nim dwóch mężczyzn w spodenkach drużyny Napoli. Mężczyźni nie przywitali Nicolasa, widać było, że czekają tylko na znak od Archaniola, który ten, gdy tylko usiadł, rzeczywiście zrobił połączonymi palcami, wskazującym i środkowym. Gest nie mógł oznaczać nic innego jak tylko: wynoście się. Wyszli do kuchni i po chwili dało się stamtąd słyszeć zachrypnięty głos pewnego komika i ich śmiechy. Mieli w kuchni drugi telewizor.

– Rozbierz się.

Teraz Nicolas nie miał wątpliwości, że człowiek, który wydał to polecenie, jest przyzwyczajony do rozkazywania.

– Mam się rozebrać? Co to znaczy? – Temu pytaniu Nicolasa towarzyszył wyraz zdziwienia, wręcz niedowierzania. Nie spodziewał

się takiego żądania. Dziesiątki razy wyobrażał sobie, jak będzie wyglądać to spotkanie, i nigdy nie przyszło mu do głowy, że będzie musiał się rozbierać.

– Rozbieraj się! Przecież w ogóle cię nie znam. Kto mi zagwarantuje, że nie przyniosłeś z sobą jakiegoś podsłuchu albo aparatu do nagrywania?

– Don Vittorio, niech mi matka umrze, jeżeli mam coś przy sobie! Jak możecie myśleć, że... – Nicolas użył niewłaściwych słów. Don Vittorio podniósł głos, żeby usłyszano go dobrze także w kuchni, pomimo śmiechów i wygłupów komika. Boss jest bossem i może wszystko.

– Skończyliśmy rozmowę.

Faceci w spodenkach w kolorach Napoli nie zdążyli nawet wrócić do jadalni, a Nicolas już był bez jednego buta.

– Dobrze, dobrze. Już się rozbieram.

Zdjął buty, spodnie, bluzkę i został w samych majtkach.

– Wszystko! Do dupy też mogłeś sobie włożyć jakiś mikrofon.

Nicolas zdawał sobie sprawę, że nie chodziło o mikrofony. Miał przed Archaniołem stać nago jak jakiś robak, to była cena, jaką musiał zapłacić za to spotkanie. Właściwie rozbawiła go ta sytuacja, zrobił piruet, pokazując, że nie ma mikrofonów ani mikrokamer, za to ma poczucie humoru – cechę, którą bossowie tracą w drodze na szczyty. Don Vittorio gestem kazał mu usiąść, na co Nicolas wskazał ręką na siebie, jakby pytał, czy naprawdę ma usiąść na golasa na jednym z tych nieskazitelnie białych krzeseł. Boss potaknął.

– W ten sposób sprawdzimy, czy umiesz sobie dokładnie wycierać tyłek. Jeżeli zostawisz plamy z gówna, to będzie znaczyło, że jesteś jeszcze szczyłem i potrzebujesz mamusi, żeby ci dobrze umyła pupcię.

Siedzieli naprzeciw siebie. Don Vittorio specjalnie nie usiadł u szczytu stołu, bo gdyby potem chłopak znalazł się po jego prawicy, mógłby sobie nie wiadomo co pomyśleć. Lepiej mieć go naprzeciw siebie, tak jak podczas przesłuchań. Specjalnie też niczym go nie poczęstował. Nie należy dzielić się jedzeniem przy stole

z nieznanymi, nie podaje się kawy gościowi, którego trzeba dopiero sprawdzić.

– A więc to ty jesteś Maharadzą.

– Nazywam się Nicolas Fiorillo.

– No właśnie, Maharadzą. To ważne, jak cię nazywają. Przydomek jest ważniejszy aniżeli imię i nazwisko. Znasz historię Bardellina?

– Nie.

– Bardellino był prawdziwym bossem. To on z bandy pastuchów stworzył w Casal di Principe poważną organizację.

Nicolas słuchał go, jak gorliwi wierni słuchają mszy.

– Bardellino miał przydomek, który nadano mu we wczesnej młodości i który pozostał do niego przyklejony, także kiedy był już dorosły. Nazywano go Pucchiacchiello, czyli Cipek.

Nicolas wybuchnął śmiechem, a don Vittorio otworzył szeroko oczy i kiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że referuje mu prawdziwe, ważne fakty, a nie jakieś legendy.

– Bardellino nie chciał wiecznie żyć w smrodzie obory, nie chciał pokazywać się ludziom z brudem za paznokciami, więc kiedy schodził do miasteczka, mył się dokładnie, perfumował i elegancko ubierał. Jakby każdego dnia była niedziela. Włosy posmarowane brylantyną, wilgotne, starannie uczesane...

– No i skąd ta ksywa?

– W tamtych czasach większość ludzi w miasteczku pracowała na roli. Ten zawsze czysty i zadbany chłopak aż się prosił, żeby z niego żartować. Nadano mu więc taki przydomek. Pucchiacchiello – od *pucchiacca*, cipka pięknej kobiety, wilgotna i pachnąca.

– Rozumiem, taki picuś-glancuś.

– Tak czy inaczej, nie mógł nikomu rozkazywać z takim przydomkiem. Żeby rządzić, musisz mieć przydomek, który już sam w sobie rządzi. Może być brzydki, może nic nie znaczyć, ale nie może być śmieszny.

– Ale nikt sobie sam ksywy nie wybiera.

– No właśnie. I dlatego, kiedy Bardellino został bossem, zażądał,

żeby nazywano go tylko don Antonio. Jeśli komuś zdarzyło się go nazwać Pucchiacchiello, miał duże kłopoty, więc nikt go tak nie nazywał, ale przydomek pozostał.

– Ale to był wielki boss, prawda? Z tego wynika, że przydomek nie jest aż tak ważny.

– Mylisz się. Don Antonio poświęcił całe życie, żeby wymazać jego ślady.

– A jak skończył Pucchiacchiello? – Nicolas zapytał o to z uśmiechem na twarzy, co nie spodobało się Archaniołowi.

– Zniknął. Niektórzy mówią, że zaczął nowe życie, zrobił sobie operację plastyczną twarzy, udawał martwego i śmiał się z tych, co chcieli, żeby umarł albo zgnił w więzieniu. Widziałem go tylko raz w życiu, kiedy byłem bardzo młody. To był jedyny boss Systemu, który wyglądał jak prawdziwy król. Nie było i nie ma drugiego takiego jak on.

– Brawo Pucchiacchiello – zaśmiał się Nicolas, jakby mówił o swoim koledze.

– Tobie się udało, twój przydomek dobrze się kojarzy.

– Nadali mi go, bo siedzę często w Nowym Maharadży, to taki lokal w Posillipo. To moja centrala, poza tym robią tam najlepsze koktajle w Neapolu.

– To twoja centrala? Nieźle. – Don Vittorio powściągnął uśmiech. – Wiesz, co znaczy twój przydomek?

– Tak, znalazłem w internecie. To hinduski władca.

– Rzeczywiście, oznacza władcę, ale uważaj, żeby nie skończyć tak jak w tej piosence.

– W jakiej piosence?

Don Vittorio zaczął śpiewać falsetem, bardzo czysto:

– Pasqualino Maharadża / nie pracuje, tylko próżnuje / wśród tajemnic Orientu / jest nababem wśród Hindusów / Ulla! Ulla! Ullala / Pasqualino Maharadża / nauczył Hindusów, jak się robi pizzę / i wszyscy za nią szaleją...

Przestał śpiewać i śmiał się na cały głos, aż się rozkaszał. Nicolasa

zirytował ten rubaszny śmiech. Pomyślał, że don Vittorio tym występem chciał sobie z niego zakpić i wystawić na próbę jego cierpliwość.

– Nie rób takiej miny, to ładna piosenka. Śpiewałem ją często, kiedy byłem młody. Poza tym myślę, że turban by ci pasował, mógłbyś robić pizzę w Posillipo z turbanem na głowie.

Nicolas zmarszczył brwi. Poczucie humoru, którym mógł się pochwalić jeszcze kilka minut wcześniej, ustąpiło złości. Nie potrafił jej ukryć. Ale zapytał tylko:

– Don Vittorio, czy mam tak zostać z tym gołym fiutem?

Don Vittorio siedział nieporuszony na swoim krześle i udawał, że nie usłyszał.

– Żarty żartami, ale muszę ci powiedzieć, że jeżeli ktoś chce zostać bossem, powinien się starać za wszelką cenę nie robić z siebie idioty.

– Jak dotąd nikt mi jeszcze nie nasrał na głowę. Niech mi matka umrze...

– Idiotę robi z siebie ten, kto organizuje paranzę, a nie ma broni.

– Z całym szacunkiem, don Vittorio, ale z tym, co mam, robię więcej szumu niż wasi chłopcy. Chociaż oczywiście przy was, don Vittorio, jestem nikim.

– Jedno szczęście, że mówisz z szacunkiem, bo gdyby moi chłopcy tylko chcieli, to w jednej chwili zrobiliby z ciebie i z twojej paranzы to samo, co zostaje na targu rybnym po czyszczeniu ryb.

– Pozwólcie mi, don Vittorio, powiedzieć, że wasi ludzie nie mogą za wiele. Siedzą tu ściśnięci, nie mogą się ruszyć. Rodzina Faella zrobiła z was więźniów, niech mi matka umrze, jeśli wkrótce nie będziecie musieli ich prosić o pozwolenie, żeby oddychać. Wy macie areszt domowy, a tam jest jeden wielki bajzel, więc tak wyszło, że to my teraz rządzymy, z bronią albo bez. Nie ma się co czarować, Jezus, Matka Boska i Święty January zostawili Archanioła samego jak palec.

Ten chłopak opisał, jak naprawdę wygląda sytuacja, i don Vittorio mu na to pozwolił. Nie podobało mu się, że wsadził w swą przemowę świętych, a jeszcze bardziej drażniło go zdanie, które Nicolas wstawiał

co jakiś czas, żeby pokazać, jak bardzo jest przekonany o tym, co mówi. Niech mi matka umrze... Gwarancja prawdomówności. Czy śmierć matki ma być ceną za kłamstwo? Niech mi matka umrze... Chciał mu kazać przestać, ale potem opuścił wzrok, bo to nagie ciało młodego chłopca prawie go rozczuliło. Pomyślał, że Maharadża powtarza to zdanie jak zaklęcie, którym chce zażegnać to, czego młody ptak, który nie opuścił jeszcze gniazda, obawia się najbardziej, to znaczy śmierć matki. Nicolas zauważył spuszczone po raz pierwszy oczy don Vittoria i uwierzył, że oto role się odwróciły, że dominuje nad bossem, także w swej nagości. Był młody i silny, a don Vittorio miał ciało stare i pokrzywione.

– Was nazywają wszędzie Archanioł, na ulicy, w więzieniu, w sądzie i w internecie. To dobry przydomek, sam rządzi, jak powiedzieliście. Skąd go macie?

– Mój ojciec, pokój jego duszy, miał na imię Gabriele, jak jeden z archaniołów. Nazwano mnie tak jako jego syna.

Nicolas posuwał się coraz dalej w niwelowaniu barier między sobą a don Vittoriem:

– I ten Archanioł siedzi ze związanymi skrzydłami w miejscu, którym kiedyś rządził, a które teraz już do niego nie należy. Siedzi wraz ze swymi ludźmi, którzy potrafią tylko bawić się na PlayStation. Archanioł powinien mieć skrzydła zawsze szeroko rozpostarte, tymczasem trzyma je przy ciele jak szczygieł w klatce.

– W życiu jest czas na latanie i czas na siedzenie w klatce. Zresztą lepiej siedzieć w takiej klatce jak ta, niż w celi z artykułu czterdzieści jeden bis.

Nicolas wstał i zaczął krążyć wokół don Vittoria. Chodził powoli. Boss się nie ruszał, nie obracał za nim, zawsze tak robił, żeby sprawiać wrażenie, że ma oczy także z tyłu głowy. Jeżeli masz kogoś za plecami i zaczynasz śledzić go wzrokiem, to znaczy, że się go boisz. A czy będziesz na niego patrzeć, czy nie, i tak wbije ci nóż, jeżeli носи się z takim zamiarem. Jeżeli nie będziesz obracać głowy do tyłu, to po pierwsze, pokażesz, że się nie boisz, a po drugie, zrobisz z twego

mordercy tchórza bez honoru, który wbija ofierze nóż w plecy.

– Don Vittorio, wy już nie macie ludzi, ale macie broń. Do czego wam służy całe to żelastwo, które trzymacie pochowane po kryjówkach? Ja mam ludzi, ale o arsenale, który macie wy, mogę tylko pomarzyć. Wy moglibyście uzbroić wojsko wysyłane na prawdziwą wojnę.

Archanioł nie spodziewał się takiej propozycji, nie przyszłoby mu do głowy, że ten dzieciak, którego wpuścił do swego domu, może posunąć się aż tak daleko. Sądził, że poprosi go o pozwolenie na wejście na jego teren. Jednakowoż, choć można było uznać tę propozycję za brak respektu, Archanioł odebrał ją pozytywnie. Spodobała mu się ta zuchwałość. Wzbudziła w nim strach, a don Vittorio już od dawna, od zbyt dawna nie czuł strachu. Ten, kto rządzi, kto jest bossem, musi się bać każdego dnia, w każdym momencie swego życia. Po to, żeby strach przewycięzać, żeby sobie stale udowadniać, że jest się do tego zdolnym, sprawdzać, czy strach pozwala na życie, czy też to życie tylko zatruwa. Jeżeli boss nie czuje strachu, to znaczy, że już go nie ma, że nikt nie ma interesu w tym, żeby go zabić albo przynajmniej się do niego zbliżyć i zabrać mu to, co do niego należy i co jakiś czas wcześniej zabrał komuś innemu.

– Nie będę się z tobą niczym dzielić. Nie należysz do nas, nie należysz do mojego Systemu, nie wyświadczyłeś mi żadnej przysługi. Już za samą tę propozycję, którą okazałeś mi brak respektu, powinienem cię stąd wyrzucić i wybrudzić twoją krwią mieszkanie nauczycielki pod nami.

– Ja się was nie boję, don Vittorio. Gdybym zabrał waszą broń bez pytania, to byłaby inna sprawa, wtedy mielibyście rację.

Archanioł siedział, a Nicolas stał przed nim, ręce zwinięte w pięści opierał kłykciami o stół.

– Jestem stary, prawda? – zapytał don Vittorio z nieznacznym uśmiechem.

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć.

– Po prostu odpowiedz, Maharadża. Jestem stary?

– Jak chcecie. Tak, jeżeli mam powiedzieć, że tak.

– Jestem czy nie jestem stary?

– Tak, jesteście stary.

– I brzydki?

– A co to ma do rzeczy?

– Na pewno jestem dla ciebie stary i brzydki i na pewno się mnie boisz. Gdyby tak nie było, nie chowałbyś gołych nóg za stołem, żebym ich nie widział. Cały się trzęsiesz, chłopcze. Ale powiedz mi jedną rzecz: jeżeli dam wam broń, co będę z tego miał?

Nicolas był przygotowany na to pytanie, ale i tak bardzo się denerwował, kiedy zaczął wypowiadać zdanie, które przygotował sobie podczas jazdy skuterem, tym bardziej że nie spodziewał się, iż przyjdzie mu to mówić na golasa, z drżącymi nogami.

– Wasz zysk będzie taki, że będziecie dalej istnieć i że będzie z wami sprzymierzona najmocniejsza paranza w Neapolu.

– Usiądź – polecił mu Archanioł, po czym, założywszy na twarz najpoważniejszą ze swoich masek, powiedział: – Nie mogę zrobić tego, o co prosisz. To byłoby tak, jakbym pozwolił dzieciom bawić się cipką. Nie umiecie strzelać, nie umiecie czyścić broni, zrobicie sobie krzywdę. Nie umiecie nawet załadować karabinu maszynowego.

Nicolas najchętniej odpowiedziałby na to ostrymi słowami – był podniecony, serce biło mu mocno – ale zmusił się do spokoju.

– Dajcie nam broń, a zobaczycie, co potrafimy. My wymażemy zniewagę, jaką splamili was ci, którzy uważają, że jesteście poza grą. Najlepszym sojusznikiem, jakiego możecie mieć, jest wróg waszych wrogów. A my chcemy wyrzucić klan Faella z centrum Neapolu. To nasz dom, jesteście tam u siebie. A jeżeli my wypieprzymy ich z centrum Neapolu, wy możecie wypieprzyć ich z San Giovanni, odebrać całą dzielnicę Ponticelli, wszystkie bary i inne miejsca, gdzie przedtem rządziście.

Obecny porządek rzeczy nie pasował Archaniołowi i stary boss nie miał nic przeciwko zmianie. Nie wróci do panowania, ale przynajmniej zasieje chaos. Mógłby im dać broń, od lat leżała

nieużywana. Broń to siła, ale kiedy siły się nie używa, zanikają mięśnie. Archanioł zdecydował, że postawi na tę paranzę gówniarzy. Nie mógł rządzić, ale mógł zmusić tych, którzy opanowali jego terytorium, żeby negocjowali z nim warunki pokoju. Miał dość dziękowania za ochłapy i ta banda dzieciaków była dla niego jedyną szansą, żeby zobaczyć jeszcze światło, zanim zapadną dla niego wieczne ciemności.

– Dam wam to, czego potrzebujecie, ale nie będziecie działać w moim imieniu. Kretyństwa, które zrobicie za pomocą mojej broni, nie mogą być ze mną w żaden sposób powiązane. Wasze długi będziecie spłacać sami, waszą krew sami będziecie zlizywać. Ale jeżeli was o coś poproszę, będziecie to musieli wykonać bez dyskusji.

– Jesteście, don Vittorio, stary, brzydki i mądry.

– A teraz, Maharadża, idź, skąd przyszedłeś. Jeden z moich ludzi da ci znać, gdzie jest broń.

Don Vittorio wyciągnął do niego rękę, Nicolas uścisnął ją, a potem chciał ją pocałować, ale Archanioł wyszarpnął ją z wykrzywioną twarzą.

– Co robisz?

– Chciałem was pocałować w rękę, żeby okazać szacunek.

– Chłopcze, ty masz źle w głowie. Naoglądałeś się za dużo filmów.

Archanioł wstał z krzesła, opierając się rękami o stół. Ciało mu ciążyło. Podczas aresztu domowego przytył i osłabł.

– Teraz możesz się ubrać. Szybko, bo zaraz przyjdą karabinierzy na kontrolę.

Nicolas założył majtki, dzinsy i buty tak szybko, jak tylko mógł.

– Don Vittorio, jeszcze jedno...

Boss odwrócił się do niego, było po nim widać znużenie.

– W tym miejscu, z którego miałbym wziąć...

Nie było tu podsłuchu, poza tym Nicolas wypowiedział już to słowo, ale teraz, kiedy prawie osiągnął to, na czym mu zależało, poczuł nagły lęk.

– Tak? – ponaglił go Archanioł.

– Chciałbym was poprosić, żebyście postawili tam na straży kogoś, kogo mógłbym łatwo wykurzyć.

– Postawimy dwóch Cyganów z pistoletami. Ale strzelajcie w powietrze, bo są mi potrzebni.

– To oni potem strzelą do nas.

– Cyganie zawsze uciekają, jeżeli strzela się w powietrze. Naprawdę musisz się jeszcze dużo nauczyć.

– Jeżeli uciekają, to po co ich tam stawiacie?

– Powiadają nas o problemach i potem przychodzi kolej na nas.

– Niech mi matka umrze, don Vittorio, jeżeli będziecie mieli z mojego powodu jakieś kłopoty! Zrobię wszystko, jak każecie.

Mężczyźni w spodenkach odprowadzili Nicolasa do klapy w podłodze, ale kiedy już postawił nogę na pierwszym stopniu drabiny, don Vittorio go zatrzymał:

– Zanieś tę figurkę pani Cicatello, żeby przeprosić ją za kłopot. Uwielbia porcelanę z Capodimonte.

– Naprawdę?

– Tak, weź kobziarza, to klasyczny wzór, na pewno jej się spodoba.

Rytuał

Nicolas wszedł do sklepu żelaznego z pękiem kluczy. Zależało mu na dorobieniu tylko jednego z nich, długiego i ciężkiego, z podwójnymi ząbkami, do drzwi pancernych. Otwierał stary, ale – jak się okazało w licznych próbach włamania – bardzo solidny zamek.

– Doróbcie mi dziesięć... albo nie, lepiej od razu piętnaście takich kluczy.

– Piętnaście? – zdziwił się ślusarz. – A co będziesz z nimi robić?

– Na wszelki wypadek, gdyby się zgubiły...

– Masz ciężką sklerozę, jeżeli jesteś w stanie zgubić tyle kluczy.

– Przeworny zawsze ubezpieczony.

– Niech ci będzie. Za wszystko zapłacisz...

– Zapłacę przy odbiorze. A może mi nie wierzycie?

To ostatnie pytanie wymówił tak wyraźnym tonem pogroźki, że ślusarz więcej nie nalegał. Zrozumiał, że alternatywą było sprezentowanie chłopcu dorobionych kluczy.

Maharadża włączył WhatsAppa i napisał do chłopców o najbliższym spotkaniu:

Maharadża:

Chłopaki, potwierdzam spotkanie w melinie.

Nie w mieszkaniu, domu albo jakoś inaczej – żeby zwieść tych, którzy ewentualnie mogli podejrzeć ich czat. Nicolas pisał to słowo i wymawiał je często, jakby wręcz zależało mu na podkreśleniu atmosfery konspiracji, kryminalnej tajemnicy. Być może chciał w ten sposób zagwarantować, że mieszkanie będzie naprawdę spełniać przewidzianą przez niego funkcję, a nie stanie się tylko miejscem, w którym będą swobodnie palić skręty i grać na konsolach.

Starął się zawsze tworzyć gangsterską atmosferę, także wtedy, gdy

był sam. Postępował zgodnie z zasadą, którą sam wymyślił, a którą można znaleźć w każdym amerykańskim poradniku psychologicznym. Brzmiała mniej więcej tak: „Zaczynij już teraz żyć takim życiem, jakie chciałbyś mieć w przyszłości”. Może nawet byłby zadowolony, gdyby ktoś ich podsłuchał albo przechwycił jego esemesy. Wtedy od razu awansowałyby z pozycji ostatniego stopnia dogorywającego klanu, na jakim się teraz znajdował. Nicolas widział wokół siebie jedynie terytoria, nad którymi mógłby objąć kontrolę. Wiedział już, jak to działa, i nie chciał czekać, aż dorośnie, nie chciał przestrzegać kolejności etapów ani hierarchii. Przez dziesięć dni oglądał w kółko *Kamorystę*. Teraz był gotowy.

Nadeszło wreszcie rano. Nicolas kupił świecę i odebrał dorobione klucze, płacąc za usługę co do grosza. Zresztą taki właśnie miał zamiar, ale lubił budzić lęk w ludziach nawykłych do częstych rabunków i wymuszeń. W sklepie spożywczym kupił chleb i wino. Potem poszedł do meliny i zaczął przygotowania. Wyłączył wszystkie światła, zapalił świecę i umocował ją na podstawce, zagłębiając w stopionym wosku. Wyjął chleb z papierowej torebki i połamał go na kawałki. Włożył bluzę i naciągnął kaptur na głowę.

Chłopcy zaczęli przychodzić grupkami po dwóch, trzech. Śnięta Ryba, Ząbek, Dragonbol, potem Dron, Żetakpowiem, Biskopcik, Tukan, Briatore i Lollipop. Nicolas otwierał drzwi każdemu z nich oprócz Dragonbola, który miał swoje klucze.

– Co tu tak ciemno? – zapytał Żetakpowiem.

– Bądźcie cicho! – Nicolas starał się stworzyć atmosferę odpowiednią do tego, co sobie zaplanował.

– Wyglądasz jak Arno z filmu *Assassin's Creed* – zauważył Dron. Nicolas nie powiedział, że rzeczywiście chciał się upodobnić właśnie do tej postaci. Stał za stołem i spuścił głowę.

– Co się wygłupiasz! – powiedział Biskopcik, ale Nicolas puścił to mimo uszu.

– Chrzczę ten lokal tak, jak czynili to nasi trzej starsi. Oni użyli żelaza i łańcuchów i ja tak czynię.

Wymówił te słowa powoli i z powagą. Potem przerwał i spojrzał na sufit.

– Wznoszę oczy do nieba i widzę spadającą gwiazdę. – Odchylił głowę, przy czym odsłoniła się jego twarz. Zaczął zapuszczać brodę, pierwszą w życiu. – Lokal jest ochrzczony. Obowiązuje nas milczenie i lojalność, które tworzą klan.

Zapytał, kto chce być pierwszy. Nikt się nie ruszył. Jedni wbili wzrok w czubki butów, inni kołysali się na nich w przód i w tył, jeszcze inni starali się ukryć uśmiech zażenowania po tej scenie, którą tyle razy obejrzel na YouTubie. Wreszcie jeden z chłopców wyszedł spośród innych. Ząbek. Nicolas zwrócił się do niego z pytaniem:

– Czego pragniesz?

Ząbek odpowiedział tak jak w filmie:

– Godności członka klanu.

– Ile waży żołnierz? – zapytał znowu Nicolas.

– Tyle co piórko na wietrze – odparł Ząbek bezbłędnie. Znał na pamięć dialogi filmu, wypowiadał je we właściwym rytmie, z tą samą intonacją.

– Kim jest żołnierz?

– Strażnikiem milczenia, który krąży, a to co usłyszy, zobaczy i zarobi, przynosi do klanu.

Następnie Nicolas wziął do ręki kawałek chleba i podał mu go ze słowami:

– Jeśli zdradzisz, ten chleb zamieni się w ołów.

Ząbek włożył chleb do ust i żuł go powoli, mieszając ze śliną. Nicolas nalał wina do plastikowego kubka, podał mu go i powiedział:

– A to wino zamieni się w truciznę. O ile dawniej znałem cię jako młodzieńca honoru, od teraz jesteś dla mnie żołnierzem należącym do naszego klanu.

Przed nim leżało otwarte Pismo Święte, zabrane z szuflady matki. Wziął do ręki nóż sprężynowy z czarną kościaną rękojeścią, który zawsze był jego ulubioną bronią. Wyjął go z pokrowca i uwolnił ostrze. Ząbek zaprotestował:

– Nie! Nie chcę, żebyś mnie kaleczył!

– Przypieczętujemy to krwią – powiedział Nicolas, przytrzymując jego rękę. Przeciął skórę na wewnętrznej stronie przegubu, zdecydowanie płycej, niż to zrobił Ben Gazzara w *Kamoryście*. Wypłynęła kropla krwi, tyle wystarczyło. Potem skaleczył swoją rękę dokładnie w tym samym miejscu.

– Niech się zmiesza nasza krew, krew, która nie pochodzi od tej samej matki.

Przytknęli do siebie miejsca, z których wypłynęła krew.

Ząbek wrócił między kolegów, do przodu wystąpił Briatore. Miał łzy w oczach. To było jak pierwsza komunia, bierzmowanie i ślub, wszystko razem.

Stanął przed Nicolasem. Ten zadał mu te same pytania co Ząbkowi.

– Czego pragniesz?

Briatore otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, więc Nicolas, jak nauczyciel w szkole, który chce pomóc uczniowi w odpowiedzi, zaczął go naprowadzać:

– Godno... godności...

– Godności człowieka klanu!

– Nie, do jasnej cholery! Godności członka klanu!

– Godności członka klanu!

– Ile waży żołnierz? – zapytał znowu Nicolas.

– Tyle ile wiatr. – Briatore znów się pomylił, ale ktoś z tyłu podpowiedział mu cicho:

– Tyle co piórko na wietrze.

– Kim jest żołnierz?

– Żołnierzem milczenia.

Z głębi pokoju ktoś inny go poprawił:

– Strażnikiem!

Briatore udał, że nic się nie stało, i mówił dalej:

– Który przynosi pieniądze do klanu.

– Nie! Masz powiedzieć: który krąży, a to co usłyszy, zobaczy i zarobi, przynosi do klanu!

Wtedy Briatore wybuchnął:

– Gdybyś mi powiedział, zobaczyłbym sobie wczoraj ten film jeszcze raz! Niech mi matka umrze... Nie da się zapamiętać tego wszystkiego!

– Akurat! – zaprotestował Żetakpowiem. – Niech mi matka umrze, jeżeli nie powiem tego całego na pamięć!

Nicolas próbował przywrócić atmosferę powagi. Podał Briatoremu chleb:

– Jeśli zdradzisz, ten chleb zamieni się w ołów. A wino zamieni się w truciznę.

Przy każdym następnym chrzcie cięcia na przegubach rąk chłopców były coraz płytsze, bo Nicolasa zaczynała boleć ręka. Na koniec przyszła kolej na Tukana, który stwierdził:

– Nicò, pamiętaj, że musimy to przypieczętować krwią, a ty mi naciąłeś skórę tak płytko, że krew w ogóle nie wypływa. Tylko mnie podrapałeś.

Nicolas wziął więc jeszcze raz nóż i naciął głębiej. Tukan chciał mieć wyraźny ślad, chciał widzieć go na swojej ręce jeszcze przez wiele dni.

– O ile dawniej znałem cię jako młodzieńca honoru, od teraz jesteś dla mnie żołnierzem należącym do naszego klanu.

Tukan nie wytrzymał napięcia i po wymieszaniu krwi przyciągnął do siebie Nicolasa i pocałował go w usta.

– Ty pedale! – krzyknął Nicolas i na tym skończyła się ceremonia.

Teraz wszyscy chłopcy znajdujący się w tym pomieszczeniu byli braćmi krwi. Braterstwo krwi to coś, z czego nie można się wycofać. Od tej chwili wiązały ich niewzruszone reguły. Żyje się albo umiera w zależności od tego, czy jest się w stanie pozostać w wyznaczonych przez nie ramach. Kalabryjska 'Ndrangheta zawsze przeciwstawiała braterstwo krwi braterstwu grzechu, to znaczy takiemu, które wynika z grzesznego obcowania fizycznego matki i ojca. Braci krwi wybiera się samemu, biologia nie ma tu nic do rzeczy, obywa się bez macicy i plemników. Ważna jest tylko krew.

– Miejmy nadzieję, że nikt nie ma HIV-a, bo wymieszaliśmy się wszyscy – powiedział Nicolas. Teraz, po skończonej ceremonii, wszedł

między nich. Byli razem jak rodzina.

– Ciro może mieć, bo dupczy się z chorymi dziewczynami! – oznajmił Biszkopcik.

– Odpieprz się! – zareagował ostro Śnięta Ryba.

– To nieprawda – zaśmiał się Ząbek. – Ciro bzyka same grubaski. Ale tylko kiedy ma kutasa miękkiego jak śnięta ryba.

Ząbek zrobił aluzję do pewnej starej historii, w wyniku której Ciro Somma dostał swój przydomek. Zdarzyła się w czasach strajku okupacyjnego w liceum artystycznym, kiedy zdjęcie nagiej pulchnej dziewczyny obiegiło smartfony w całej szkole. Jemu ta dziewczyna bardzo się podobała, ale wstydził się przyznać do tego kolegom i zamiast ją bronić przed kretyńskimi dowcipami i chamskimi epitetami, powiedział, że i owszem, przeleciał ją, ale nie całkiem, bo miał wtedy kutasa miękkiego jak śnięta ryba.

– Trudno w to uwierzyć – zaczął Żetakpowiem, dotykając swego ciała, jakby wyszedł spod fontanny z cudowną wodą – ale czuję się innym człowiekiem. Naprawdę!

Tukan odezwał się zaraz za nim:

– To prawda. Ja też.

– No i bardzo dobrze, że czujecie się innymi ludźmi, bo przedtem były z was straszne palanty.

Od dziesiątków lat w Forcelli nie odprawiano takich rytuałów. Forcella opierała się tego typu zwyczajom, bo wprowadził je do Neapolu w latach osiemdziesiątych boss Raffaele Cutolo, z którym Forcella miała na pieńku.

Kiedyś Cosa Nostra zaproponowała don Felicianowi Szlachcicowi przystąpienie do sycylijskiej mafii, jak to robiło wielu neapolitańczyków. Musieli w tym celu przejść tak zwany rytuał nakłuwania, który polegał na tym, że nakłuwano szpilką opuszek palca wskazującego i wytoczoną krwią plamiono wizerunek twarzy Madonny z Pompei, a następnie palono go nad świecą. Palermitańczycy opisali mu ten rytuał, podkreślając, że będzie musiał zostać ukłuty, i do dzisiaj pamiętają jego reakcję. Szlachcic powiedział

im mianowicie: „Sami się w dupę ukłujcie! Nie potrzebuję takich czarów, nie jestem pastuchem z Kalabrii czy Sycylii. Pod Wezuwiuszem wystarczy dane słowo”.

A jednak paranza stała się paranzą dopiero po odprawieniu rytuału. Dopiero wtedy chłopcy poczuli się połączeni, poczuli się jednością. Nicolas miał rację.

– Teraz jesteśmy paranzą, prawdziwą paranzą! Dociera to do was?

– Duża rzecz! – Dragonbol zakłaskał w dłonie, inni wołali w kierunku Nicolasa:

– Nasz ras! Nasz ras!

Wszyscy to powtarzali, ale nie chórem. Wołali prawie po kolei, jakby każdy chciał uhonorować go osobiście. Słowo „ras” stało się wyrazem najwyższego poważania na terenie od Forcelli do dzielnicy Quartieri Spagnoli. Ciekawe, jak to się stało, że tego honorowego tytułu – nadawanego w cesarskiej Etiopii, niższego tylko o stopień od tytułu „negus”, jakim obdarzano władców tego kraju – używają chłopcy, którzy nawet nie wiedzą o istnieniu Etiopii. Słowo „ras” pochodzi z języka amharskiego, ale na stałe weszło do dialektu neapolitańskiego. W tym mieście honorowe tytuły i przydomki, a także twarze jego mieszkańców i ślady w języku często przypominają o niegdysiejszych kontaktach z piractwem osmańskim.

Nicolas zaprowadził spokój głośnym klaśnięciem w rękę. Świeżo zaprzysiężeni kamoryści umilkli i dopiero w tym momencie zauważyli, że Maharadża trzyma przy nogach torbę. Podniósł ją teraz i rzucił na stół. Dał się słyszeć brzęk metalu i przez chwilę chłopcy pomyśleli, że to pistolety i amunicja. Na widok kluczy poczuli się lekko rozczarowani.

– To klucze do naszej meliny. Każdy z was może tu wejść i stąd wyjść, kiedy chce. Kto należy do paranzы, ma klucze, klucze do paranzы. Wyjść z paranzы można tylko nogami do przodu, w trumnie.

– Niech mi matka umrze... Mnie to pasuje – powiedział Śnięta Ryba.

– Ale gdybym chciał pracować w hotelu Copacabany, to mogę? Nawet jeżeli jestem w paranzы?

– Możesz robić, co ci się podoba, ale na zawsze zostaniesz członkiem paranzы. Nigdy z niej nie wyjdiesz. Nawet jeśli pojedziesz do Brazylii albo do Niemiec. Zresztą tam też możesz się przydać paranzы.

– Mnie też to pasuje – oznajmił Żetakpowiem.

– Wszystkie pieniądze macie przynosić tutaj. Potem podzielimy je po równo. Żadnych zarobków na boku, żadnych kieszonkowych. Wszystkie pieniądze, z kradzieży, ze sprzedaży narkotyków, wszystko musi być złożone tutaj, potem każdy dostanie co miesiąc pensję, a resztę przeznaczymy na nasze akcje, na nasze *mission*.

– *Mission! Mission!*

– Teraz, kiedy już jesteśmy paranzą, wiecie, czego nam brakuje?

– Brakuje nam broni – odparł Ząbek.

– No właśnie. Obiecałem, że ją zdobędziemy, i tak będzie.

– Przydałoby się nam błogosławieństwo Matki Boskiej – powiedział Tukan. – Macie jakąś forszę?

Słyszając o Matce Boskiej, chłopcy od razu sięgnęli do kieszeni. Niektórzy wyjęli pięć euro, inni dziesięć, Nicolas dał dwadzieścia. Tukan pozbiierał pieniądze i powiedział:

– Kupimy świecę, dużą świecę. I ofiarujemy ją Matce Boskiej.

– Dobrze – rzekł Ząbek.

Nicolas nic nie powiedział. Wyszli razem z meliny i poszli do sklepu z dewocjonaliami.

– Tutaj kupimy? W sklepie dla księży?

Weszli do środka w dziesiątkę. Sprzedawca zaniepokoił się na ich widok, a potem się zdziwił, gdy zaczęli oglądać wielkie świece. Wybrali największą, przekraczała metr wysokości. Położyli pogniecione banknoty na ladzie. Liczenie pieniędzy zabrało sprzedawcy trochę czasu, chłopcy wyszli, nie czekając na resztę i paragon.

Weszli do kościoła św. Marii Egipcjanki w Forcelli. Prawie wszyscy zostali ochrzczeni w tej właśnie świątyni lub w katedrze. Przeżegnali się. Przechodząc nawą główną, stawiali ciche kroki; żaden z nich nie miał butów, które stukałyby w posadzkę, nosili sneakersy Air Jordan.

Przed obrazem głównym w prezbiterium przeżegnali się ponownie. Nie było miejsca, w którym można by postawić tak dużą świecę. Śnięta Ryba zapalniczką zaczął topić jej spód.

– Co robisz? – zapytał Ząbek.

– Nic. Przykleimy ją do podłogi. Nie ma gdzie jej postawić.

Podczas gdy Śnięta Ryba upewniał się, że świeca się nie przewróci, Tukan otworzył nóż sprężynowy i zaczął w niej żłobić jakiś napis, tak jak to się robi na korze drzew.

Napisał PARANZA, wielkimi literami.

– Wygląda, jakbyś napisał PaPanza – skomentował Biskopcik.

– O kurwa! – zaklął Tukan, za co dostał kuksańca od Ząbka.

– Takie słowa przy Matce Boskiej?

Tukan spojrział na obraz i powiedział:

– Przepraszam. – Potem wyciął nożem wyraźniejsze R i odczytał głośno: – Paranza.

Słowo „paranza” odbiło się echem w całym kościele.

Paranza z morza przeniosła się na ziemię. I z dzielnic nad Zatoką Neapolitańską rozprzestrzenia się po całym mieście.

Chłopcy wyruszyli na połów, przyszła ich kolej.

Zoo

Maharadza był bardzo szczęśliwy. Dostał to, czego chciał. Don Vittorio osobiście przyznał, że nadaje się na dowódcę parazytów, i co ważniejsze, dopuścił go do swoich arsenałów. Nicolas podskakiwał na skuterze, rozsadzała go wewnętrzna energia. Jechał szybko w kierunku centrum. Z uśmiechem, który nie schodził mu z twarzy, napisał wiadomość na WhatsAppie.

Maharadza:

Chłopaki, załatwione! Mamy skrzydła!

Lollipop:

Naprawdę?! Niech mi matka umrze...!

Dragonbol:

Jesteś wielki!

Biskopcik:

Hurra!

Tukan:

Jesteś lepszy od Redbulla!

Nicolas był tak bardzo podekscytowany, że nie mógł teraz pojechać do Letizii ani nawet do meliny, a co dopiero do domu. Postanowił więc zakończyć ten dzień inaczej. Zrobił sobie nowy tatuaż. Miał już jeden na prawym przedramieniu, z inicjałami Letizii i swoim, splecionymi z różą z kolcami, a na piersiach napis fantazyjną kursywą „Maharadza”, ozdobiony granatem ręcznym. Wiedział już, co i gdzie da sobie wytatuować tym razem. Zatrzymał się przed pracownią Totò Ronaldinha i jak zwykle wszedł obcesowo, nie zważając na to, że Totò pracował właśnie przy kliencie.

– Cześć, Totò! Musisz mi zrobić skrzydła.

– Co?

– Wytatuujesz mi skrzydła, tutaj z tyłu. – Przesunął ręką po plecach, tak żeby pokazać, że rysunek ma je pokrywać w całości.

– Jakie skrzydła?

– Archanioła.

– Anielskie?

– Nie anielskie. Chcę takie skrzydła, jakie mają archanioły.

Nicolas wiedział, na czym polega różnica, bo w podręczniku do historii sztuki było wiele obrazów Zwiastowania i zdjęć nastaw ołtarzowych z archaniołami o ogromnych skrzydłach, które zdawały się płonąć. A podczas wycieczki do Florencji widział takie obrazy na żywo, z archaniołami i ich imponującymi skrzydłami, które budziły przerażenie nawet w smokach.

Nicolas napisał na WhatsAppie: „Chłopaki, robię sobie skrzydła na plecach. Przyjdźcie tutaj”.

Potem pokazał Totò zdjęcie, które miał w komórce, przedstawiające czternastowieczny obraz Świętego Michała ze szkarłatno-czarnymi skrzydłami, i powiedział, że ma je zrobić dokładnie takie same.

– Żeby wytatuować coś takiego, potrzebuję trzech dni – zaprotestował Totò, który zwykle pracował na wzorach ze swego katalogu.

– Zobaczysz, że wystarczy ci jeden dzień. Zaczynaj już dzisiaj. Potem zrobisz taki sam tatuaż jeszcze kilku moim kolegom. Jeżeli nie policzysz nam za dużo.

– Jasne, Maharadza. O nic się nie martw.

Następne dni spędzili w pracowni Ronaldinha, który delikatnie i precyzyjnie nakłuwał im skórę na plecach. Totò lubił swoją pracę, zwłaszcza kiedy wymagała od niego kreatywności, dlatego zaciekał go niecodzienny wybór Nicolasa.

– Co dla ciebie znaczą te skrzydła? – zapytał, wpuszczając mu tusz pod cienką skórę na łopatkę. – I dlaczego twoi koledzy tatuują sobie to samo?

Nicolas nie miał pretensji o te pytania. Symbole są ważne, ale ważne jest także, żeby ludzie umieli je odczytać. Powinny być czytelne jak

freski na ścianach kościołów. Jeżeli jest na nich święty z kluczami w ręce, wiadomo, że to Święty Piotr. Symbolika tego tatuażu musi być czytelna dla chłopców z parazy i dla wszystkich innych.

– To tak, jakby przejąć czyjąś moc, jakbyśmy złapali archanioła, czyli kogoś w rodzaju bossa aniołów, i wycięli mu skrzydła. Nie dostaliśmy ich gratis, ale zapracowaliśmy sobie na nie, to nasza zdobycz. I teraz jesteśmy jak Anioł z X-Menów, rozumiesz? To nasze... trofeum, rozumiesz?

– Coś jak skalp – odparł Totò.

– Co to jest skalp? – zapytał Ząbek.

– Skóra z włosami, którą Indianie wykrawali nożem z głowy wroga.

– Zgadza się – potwierdził Nicolas.

– A komu zabraliście te skrzydła?

– Ty, Ronaldinho – zaśmiał się Nicolas – chciałbyś za dużo wiedzieć.

– No to nie mów.

– Z tymi skrzydłami to jest tak, jak kiedy nauczysz się od kogoś dobrze grać w piłkę albo szybko pływać. Albo chodzisz na prywatne lekcje jakiegoś obcego języka. Uczysz się od innych. Tu jest tak samo: nas ktoś nauczył żyć ze skrzydłami. I teraz możemy latać, i nic nas już nie zatrzyma.

Od trzech dni wszyscy chłopcy z parazy mieli ogniste skrzydła na plecach, ale jeszcze nie oderwali się od ziemi. Czekali na sygnał od don Vittoria, który się spóźniał, a oni nie wiedzieli, jak się z nim skontaktować. Maharadża zachowywał się tak, jakby wszystko szło zgodnie z planem, ale w środku aż się gotował. Żeby nie stracić animuszu, przypominał sobie dokładnie spotkanie z bossem. Przecież dał mu słowo! Nie powinien mieć żadnych wątpliwości.

Rozwiązanie okazało się prostsze, niż myśleli. Posłańcem był Ptaszek; podjechał do skutera Nicolasa na swojej vespie, bez wcześniejszego umawiania przez telefon czy wizyty w melinie. Powiedział tylko:

– Prezent od Archanioła jest w zoo.

– W zoo?!

– Tak, w zoo, w południowej części, tam, gdzie są pingwiny.

– Poczekaj! Zatrzymaj się na chwilę! – Rozmawiali, nie przerywając jazdy.

– Coś ty! Jedź dalej! – Ptaszek obawiał się ludzi Kiciusia, znajdował się w strefie zakazanej, na terytorium klanu Faella. – Ściągnij sobie z internetu mapę zoo. Przy pingwinach jest pusto. W studziencie są torby z bronią.

– Cyganie jeszcze tego pilnują?

– Tak.

– Nie będą do nas strzelać?

– Nie, nie będą. Jeżeli strzelisz w powietrze, to uciekną.

– Dobrze.

– Powodzenia. – Wyprzedziwszy Nicolasa, odwrócił się jeszcze do tyłu i krzyknął: – Jak to już załatwicie, daj post na Facebooku, będę wiedział, o co chodzi.

Nicolas przyśpieszył i dołączył do kolegów w mieszkaniu przy ulicy dei Carbonari, żeby jak najszybciej zorganizować wyprawę po broń. Mieli tylko jeden rewolwer, ten, który kupili u Chińczyków, poza tym kilka noży. Ząbek zaproponował:

– Pójdę na targ Duchesca, może ktoś sprzeda mi pistolet. Albo spróbujemy w jakimś sklepie dla myśliwych, możemy zrobić napad...

– Tak, napadnijmy najlepiej od razu na jakąś zbrojownię, wtedy na sto procent nafaszerują nas ołowiem.

– W takim razie nic nie możemy zrobić...

– Kupmy sobie jeszcze jeden pistolet u Chińczyków, tam, gdzie Nicolas.

– Jeszcze jeden rupieć? Nie ma mowy. Dzisiaj wieczorem pójdziemy po arsenał Archaniola, obiecał, że możemy wziąć wszystko. To poważna broń, nie jakieś zabawki.

– No to dobra. Idziemy do zoo.

– Do zoo? – zapytał Ząbek. Nicolas potaknął.

– To już zdecydowane. Wejdziemy w piątkę: ja, Briatore, Ząbek,

Żetakpowiem i Śnięta Ryba. Na zewnątrz będą pilnować Tukan i Lollipop. Żetakpowiem pójdzie najpierw sprawdzić, czy nie dzieje się tam coś podejrzanego, i zadzwoni do Śniętej Ryby, który przez cały czas ma mieć włączoną komórkę. Dragonbol będzie czekać w melinie, bo musimy potem ukryć broń.

Dojechali do zoo. Nikt z nich nie postawił tam nogi po ukończeniu czterech lat i pamiętali tylko, że w zoo karmili mały orzeszkami. Ogród zoologiczny otaczał mur, wejście zamykała brama, którą jednak można było łatwo pokonać. Myśleli, że będą musieli szukać jakiegoś wejścia bocznego, ale okazało się to niepotrzebne. Pierwszy wspiął się Żetakpowiem, potem, na jego sygnał, pozostali czterej chłopcy. Tak bardzo śpieszyli się do arsenału, że nie zważali na strzałki z nazwami zwierząt. Broń była o krok, już prawie czuli jej zapach, silniejszy od fetoru guana produkowanego przez wszystkie te ptaki, które rozwijały skrzydła na ich widok, wydając przy tym upiorne dźwięki. Chłopcy byli tak podnieceni, że strach nie miał do nich dostępu, podobnie zresztą jak rozsądek, przez co szybko się zgubili.

Zatrzymali się w połowie stawu, który rozciągał się po ich prawej stronie.

– Gdzie, do cholery, są te pingwiny?

Wzięli do rąk smartfony i starali się znaleźć mapę ogrodu zoologicznego na jego stronie internetowej.

– Powiedziałem wam, żebyście nauczyli się drogi na pamięć! – wybuchnął Nicolas, ale sam też nie wiedział, gdzie iść.

– Kurde, jak ciemno! – Briatore wziął z sobą latarkę, inni szli za nim, oświetlając sobie komórkami ziemię przed stopami. Na końcu stawu znaleźli się pod klatką lwa. Wyglądało na to, że śpi, poza tym miał już swoje lata, ale zawsze to król zwierząt, zatrzymali się więc na chwilę, żeby mu się przyjrzeć.

– Ale wielki! Myślałem, że jest mniej więcej tak duży jak dog

niemiecki – powiedział Ząbek, a inni pokiwali głowami.

– Jest jak boss, który siedzi w więzieniu, ale rządzi także z za krat.

Byli rozkojarzeni, zgubili się jak małe dzieci. Poszli w złym kierunku, znaleźli się teraz w strefie zebr i wielbłądów.

– Pomyliliśmy drogę. Wielbłądy nie mają nic wspólnego z pingwinami. Pokażcie mapę – powiedział Żetakpowiem.

– Nie widzisz, że to dromader? Łazisz zawsze z papierosem w ręce i nie wiesz nawet, jak wygląda dromader – zakpił sobie z niego Briatore.

– No, że tak powiem... dromadery...

– Chłopaki, nie jesteśmy na szkolnej wycieczce. – Nicolas tracił cierpliwość. – Pośpieszmy się.

Skręcili w prawo, pozostawiając za sobą wielką klatkę na ptaki, minęli terrarium, nie zamieniając już między sobą ani słowa. Wreszcie znaleźli się we właściwej części zoo.

– Co to jest, niedźwiedź polarny? W takim razie jesteśmy blisko.

– Ale śmierdzi! Czemu te pingwiny tak śmierdzą? Przecież siedzą ciągle w wodzie! Powinny być czyste.

– To nic nie znaczy – powiedział Nicolas. – Pingwiny śmierdzą, bo mają tłuszcz.

– Skąd wiesz? Uczysz się na weterynarza? – zaśmiał się Briatore.

– Nie, ale obejrzałem sobie dzisiaj film dokumentalny o pingwinach na YouTube. Chciałem zobaczyć, czy mogą nas zaatakować albo coś w tym rodzaju. Ale gdzie jest ta studzienka?

Nikt nie dostrzegł studzienki. Stali przed szybą oddzielającą wybieg dla pingwinów od niewidocznej dla zwiedzających części, w której spędzały noce. Za szybą była makieta przedstawiająca Ziemię Ognistą, skąd pochodziły pingwiny. Chłopcy domyślili się, że studzienka znajduje się dokładnie pod miejscem, gdzie przebywały pingwiny, wśród odchodów i resztek jedzenia, za makieta. Skierowali tam snop światła i rzeczywiście zobaczyli dwa włazy.

– Cholera jasna, niech mi matka umrze, jeżeli Archanioł mówił, że studzienka jest dokładnie pod pingwinami! Myślałem, że jest gdzieś na

ich terenie.

– I jak tam wejdziemy?

– A co z Cyganami, którzy mieli tu pilnować? – przypomniał sobie Briatore.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie oni są? Tu nikogo nie ma.

Zaczęli kopać w metalowe drzwi. Hałas wystraszył pingwiny, zaczęły przestępować z nogi na nogę w ten charakterystyczny dla siebie sposób, jakby wypily dziesięć szotów, jeden za drugim.

– Maharadza, strzel w zamek, będzie szybciej!

– Zgłupiałeś? Mam tylko trzy naboje. Kopiemy! – I żeby dać przykład, kopnął z całej siły w metalowe drzwi. Za dziesiątą próbą zwaliły się razem z kawałkiem murku, który otaczał przestrzeń zarezerwowaną dla pingwinów. Zwierzęta były przerażone. Wydawały z siebie dźwięki, które potwierdzały, że wbrew wszelkim pozorom rzeczywiście należą do gromady ptaków i chociaż nie potrafią latać, mają pokaźne dzioby.

Chłopcy trzymali latarkę skierowaną prosto na pingwiny, wyglądało, jakby trochę bali się do nich wejść.

– Czy one nie są agresywne? – zapytał Ząbek. – To znaczy... Nie rzucą się na nas i nie zjedzą nam kutasów?

– Nie ma obaw, Ząbek, wiedzą, że u ciebie się nie najedzą.

– Nie żartuj sobie, Maharadza. W końcu to dzikie zwierzęta.

Nicolas zdecydował się wejść. Pingwiny stały się jeszcze bardziej nerwowe, nie przestawały przestępować z nogi na nogę i poruszały rozpaczliwie szczątkowymi skrzydłami. Kilka obracało głowy w kierunku wyrwy w murze, być może zobaczyły w niej drogę ucieczki.

– Przepędźmy je stąd, nie będą przeszkadzać. – Żetakpowiem i Ząbek zaczęli je popychać w stronę wyrwy, tak jak się to robi z kurczakami, żeby złapać jednego z nich. W tym momencie zauważyli dwóch Cyganów niosących kawałki pizzy i butelki z piwem.

– Co wy tu robicie? Kim jesteście? – krzyknęli, budząc jeszcze większą nerwowość u pingwinów. Nieopodal foki zaczęły wydawać

z siebie te ich zabawne „honk, honk”.

Nicolas zrobił tak, jak powiedział mu Archanioł. Złapał za rewolwer i wystrzelił po raz pierwszy w życiu w powietrze.

Wtedy Cyganie zaczęli strzelać do niego i chłopaków z parazy.

– Uwaga! Strzelają do nas! – Podczas ucieczki, szukając jakiegoś schronienia, Nicolas wystrzelił w kierunku Cyganów dwa ostatnie naboje. Przy drugim strzale zniknęli cicho jak koty.

– Poszli sobie? – Odczekali chwilę bez ruchu, nasłuchując. Nicolas mierzył ciągle jeszcze w ciemność ze swego francotte’a, jakby rewolwer bez naboji mógł się sam załadować jak w grach wideo.

Kiedy było już jasne, że Cyganów na pewno nie ma, chłopcy zaczęli znowu oddychać normalnie. Śnięta Ryba podniósł z ziemi porzucone pizze i cisnął je pingwinom.

– Myślicie, że tym biedakom smakuje pizza?

– Co to, kurwa, było?! Maharadża, przecież mówiłeś, że Cyganie uciekną, jak strzelimy w powietrze?

Tymczasem udało im się otworzyć klapy studzienek. Briatore zaoferował się, że wejdzie do środka. Na komórki chłopców przychodziły esemesy od stojących na czatach Tukana i Lollipopa, którzy chcieli się dowiedzieć, co się dzieje i czy może powinni im pomóc. Ząbek odpowiedział: „Myślicie, że możemy pisać na WhatsAppie, kiedy do nas strzelają?”. Nicolas poklepał go po plecach.

– Zamiast tracić czas na pisanie, wchodź do środka!

– Chłopaki! Patrzcie tylko, co tu jest! – dobiegł do nich głos Briatorego. W studziencie był największy arsenał broni, jaki kiedykolwiek widzieli na oczy. Prawdę mówiąc, teraz też nie zobaczyli go dokładnie, mogli jedynie rozróżnić ciemne lufy karabinów wystających z worków na śmieci. Briatore i Nicolas przynieśli z sobą torby, które zaczęli teraz napełniać wszystkim, co im wpadło w ręce.

– Pośpieszcie się! Szybko! Weźcie tę torbę.

– O kurde! Ale waży! – jęknął Śnięta Ryba, podtrzymując torbę od spodu.

Wyszli z wybiegu dla pingwinów, nie przejmując się tym, że zwierzęta rozeszły się po zoo. Ponownie minęli klatkę lwów, tym razem nieśli ciężkie torby.

– Eeej! – zawołał Lollipop, który właśnie do nich dołączył, pozostawiając Tukana samego na czatach. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł: – Zastrzelmy lwa! Potem go stąd zabierzemy, damy go wypchać i postawimy sobie w melinie.

– Coś ty! – zareagował Ząbek. – A kto nam go wypcha?

– Znajdziemy kogoś w internecie.

– Tak! Zróbmy to, Maharadza! Pozwól mi go zastrzelić.

– Co ty, całkiem już zgłupiałeś?!

Lollipop otworzył torbę i wyjął pierwszą rzecz, która na dotyk mogła być pistoletem, zbliżył się do klatki lwów, ale od tyłu. Wetknął nos w szparę, żeby sprawdzić, ile zwierząt jest w środku. Zobaczył starego lwa, którego widzieli wcześniej, a w tle być może jedną lwicę. Wycelował w lwa i nacisnął spust, ale spust się nie poruszył. Pistolet miał pewnie jakieś zabezpieczenie. Lollipop dotknął wszystkich ruchomych części, ale nic się nie zmieniło.

– Przecież nie ma nabojów, głupku! – zaśmiał się Maharadza, a Ząbek złapał Lollipopa za ramię i powiedział: – No już, pośpiesz się. Safari zrobisz sobie kiedy indziej.

Wyszli główną bramą, na bezczelnego. Wystarczyło poczekać, aż ochroniarze skończą dyżur i przejadą radiowozy. Tukan powiadomił ich z zewnątrz esemesem, że jest spokojnie.

Torby z bronią zanieśli do meliny przy ulicy dei Carbonari, gdzie czekał na nich Dragonbol. Skłamał matce, że będzie spał u kolegi z klasy. Chętnie dowiedziałyby się, jak było, ale widział, że są zbyt zmęczeni, żeby mógł liczyć na ich opowieść. Pożegnali się klepinięciem w plecy. Mieli za sobą noc pełną emocji. Zasnęli w swoich łóżkach, w pokojach sąsiadujących z sypialniami rodziców. Zasnęli jak dzieci w wigilię Bożego Narodzenia, gdy wiedzą, że rano po przebudzeniu znajdą prezenty pod choinką. Nie mogli się doczekać, aż rozpakują tę wspaniałą paczkę z bronią i zaczną się dla nich nowe życie, w którym

wszyscy będą się z nimi liczyć, w którym będą dorośli. Zasnęli z uczuciem, że ich wielki dzień jest już blisko.

Głowa Turka

Broń trzymali w zielonych torbach z napisem „Klub Sportowy parafii Matki Zbawiciela”.

Maharadża i Briatore wygrzebali je z dna szaf, spomiędzy plecaków i sportowych koszulek. Leżały tam od czasu, gdy przestali grać w przykościelnej drużynie. Nie mieli w domu bardziej pojemnych toreb. Kiedyś nosili w nich piłkarskie stroje i buty, teraz wypchali je karabinami maszynowymi i półautomatycznymi pistoletami.

Gdyby zaczęli ćwiczyć się w strzelaniu gdzieś na polach poza miastem, zaalarmowałoby okoliczne klany, daliby znać, że się organizują, że są uzbrojeni. Wiązało się z tym za duże ryzyko. Wszyscy chcieliby wiedzieć, skąd mają broń i co zamierzają z nią zrobić. Lepiej tego uniknąć. Ale co prawda, to prawda – strzelać nie umieli. Widzieli setki instruktaży na YouTube, zabili setki ludzi, ale tylko na PlayStation. Killerzy z gier wideo.

Wygodnie byłoby pojechać do jakiegoś lasu i pomierzyć do drzew i pustych butelek, ale wiązało się to ze stratą czasu i amunicji, która była im potrzebna do prawdziwych akcji. Ich ćwiczenia powinny zostawić ślady, poza tym śpieszyło im się. Za tarcze strzelnicze posłużą im rekwizyty z ich własnego świata, w którym pnie są metalowe, a zamiast trawy ścielą się kable. Skorzystają z anten i bielizny suszącej się na sznurach na dachu jakiejś spokojnej kamienicy. Tylko że strzały mogą przywołać uwagę patrolu karabinierów albo policji i skłonić ich do przeprowadzenia kontroli. Maharadża i na to znalazł sposób.

– Poczekamy na jakąś imprezę z ogniami sztucznymi, racami, rakietami, czymkolwiek, co robi dużo hałasu i zamieszania. Wtedy nikt nie rozróżni, czy to nasze strzały, czy fajerwerki.

– Ognie sztuczne bez żadnego święta? Bez okazji? – zapytał Ząbek.

Chodzili po całej Forcelli, Duchesce i Forii, żeby się dowiedzieć, czy ktoś planuje ślub, uroczyste urodziny albo pierwszą komunię.

Chodzili od drzwi do drzwi, od sklepu do sklepu. O to samo pytali własne matki, siostry i ciotki. Ktokolwiek usłyszy o jakiejś imprezie, ma ich poinformować, bo chcą zrobić prezent. Piękny prezent dla wszystkich!

– Znalazłem! Starsza kobieta, mieszka w domu, na którym moglibyśmy potrenować.

Kamienica znaleziona przez Briatorego znajdowała się przy ulicy Foria. Na dachu miała taras wręcz idealny dla ich celów – duży i otoczony ze wszystkich stron antenami. Briatore wymówił wyraz „potrenować” tak dokładnie, że potem zdawał się jeszcze z przyjemnością lizać dziąsła, jakby pozostał na nich smak tych czterech sylab, twardych, męskich. Po-tre-no-wać.

– Nazywa się Natalia – dopowiedział.

Dziewięćdziesiąte urodziny. Wielka impreza, ognie sztuczne za tysiąc euro na głowę. Ale to za mało.

– Potrzebujemy jeszcze większego bajzlu. Przydałaby się druga impreza gdzieś blisko, z muzyką, najlepiej na żywo. Jakiś zespół, bębny, trąby, klawisze...

Briatore zaszedł do trzech restauracji w sąsiedztwie kamienicy. W jednej miało się odbyć przyjęcie komunijne, ale nie umówiono się na sto procent. Rodzina dziecka miała mało pieniędzy i jeszcze nie doszli do porozumienia w sprawie cen. Komunia to jak generalna próba wesela. Dziesiątki gości, ubrania, jedzenie, wydatki, na które trzeba się zapożyczyć u lichwiarza. Zastaw się, a postaw się.

– Chciałbym rozmawiać z właścicielem – zakomunikował Briatore pierwszemu kelnerowi, którego spotkał w tej restauracji.

– Mnie powiedz, o co chodzi.

– Chcę rozmawiać z właścicielem.

– Ale dlaczego nie możesz powiedzieć mnie?

Zanim zaczął swój obchód, Briatore otworzył torbę z bronią i wyjął z niej pistolet, pierwszy, na który natrafił ręką. Chciał mieć pewność,

że nie będzie tracić czasu na czcze gadanie, chciał się czymś podeprzeć, żeby ludzie brali go na poważnie. Wyglądał jeszcze bardzo dziecinnie, prawie nie miał zarostu, nie miał blizn na twarzy, choćby zarobionych przez przypadek, i żeby go słyszano, musiał zawsze podnosić głos. Wyjął więc teraz pistolet bez naboju i pewnie z zabezpieczeniem.

– Słuchaj, grzecznie cię pytam: zawołasz właściciela czy mam ci rozwalić ten głupi łeb?

Właściciel, który słyszał tę rozmowę, zszedł z półpiętra.

– Eeej, szczeniaku, odłóż te spluwę, bo należymy... To się może dla ciebie źle skończyć.

– Gówno mnie obchodzi, gdzie należycie. Chcę rozmawiać z właścicielem. To chyba nic trudnego, nie?

– Ja jestem właścicielem.

– Komu organizujecie komunię?

– Jednemu chłopcu z tej ulicy.

– Jego ojciec ma pieniądze?

– Akurat! Za obiad będzie mi płacić w ratach.

– Dobrze. W takim razie powiesz mu tak... Powiesz mu, że my zapłacimy za sztuczne ognie, tu, przy lokalu, przez trzy godziny.

– Nie zrozumiałem. Jakie ognie?

– Jak to jakie? No, sztuczne ognie, race czy jak to się nazywa... To nasz prezent dla tego chłopca, który idzie do komunii. Mam ci to powtórzyć po raz trzeci? Ale za czwartym razem mogę się wkurwić, ostrzegam.

– Rozumiem, rozumiem. Ale po co robisz z tego powodu takie przedstawienie?

Właściciel przekazał wiadomość o niezwykłym prezencie. Briatore znalazł firmę, która zajmowała się pokazami sztucznych ogni. Każdy z chłopców dał tysiąc euro, prezent od parazy. Wszystko załatwione. Briatore napisał na WhatsAppie:

Briatore:

Chłopaki, impreza w Forii jest już przygotowana. Przygotujcie

się i wy na sztuczne ognie.

Odpowiedzi były prawie identyczne:

Ząbek:

Super!

Biskopcik:

Fajnie, bracie! Ekstra!

Lollipop:

Wow!

Dron:

Jakbym już tam był!

Śnięta Ryba:

Super! Nie mogę się doczekać!

Maharadża:

Brawo, bracie. W sobotę spotykamy się wszyscy na komunii.

Nadszedł ten dzień. Zaparkowali skutery w bramie kamienicy. Nikt ich o nic nie zapytał. Weszli po schodach na dach. Ząbek ubrał się elegancko. Briatore był w dresie i miał na uszach słuchawki, jakich używają robotnicy obsługujący młoty pneumatyczne. Szli w milczącej procesji, skoncentrowani, jak gotowi na poświęcenie pokutnicy. W tle, nad dachami, zachodziło czerwone słońce.

Rozsunęli zamki błyskawiczne, błysnął metal, srebrny i czarny jak połyskliwe i pełne życia żuki. W jednej z toreb była także amunicja w pudełkach, każde z nich oklejone żółtą taśmą z wypisanymi ręcznie nazwami broni, do jakiej można jej używać. Nazwami doskonale im znanymi, oznaczającymi przedmioty, których pragnęli nawet bardziej niż kobiet. Wszyscy dopadli do otwartej torby, popychając się i wyciągając ręce do karabinów maszynowych i do pistoletów, jakby to był towar na wyprzedaży sezonowej. Biskopcik szukał gorączkowo czegoś odpowiedniego dla siebie. „Chcę strzelać! Chcę strzelać!” Był taki drobny, że zdawał się znikać w przepastnej torbie z bronią.

– Powoli, chłopcy, powoli... – uspokajał ich Maharadża. – Pierwszy

strzela Biskopcik, bo jest najmniejszy. Zawsze daje się pierwszeństwo kobietom i dzieciom. Ty, Biskopcik, jesteś bardziej dziecko czy baba?

– Odpieprz się! – odszczeknął się Biskopcik. Ale to prawda, że zachował się jak kapryśny dzieciak. Inni chłopcy byli zadowoleni, że uwaga skupiła się na nim i sami nie wyszli na gówniarzy.

Biskopcik wziął do ręki pistolet. Berettę. Wyglądała na używaną, i to często. Miała porysowaną lufę i wypolerowaną kolbę. Biskopcik wiedział wszystko o pistoletach, wszystko, czego można się dowiedzieć dzięki YouTube'owi. YouTube jest najlepszym nauczycielem. Wie wszystko i zawsze odpowiada na pytania.

– Tutaj jest magazynek. – Wyjął magazynek, nacisnąwszy odpowiednie miejsce na kolbie. Był pełny. – Tutaj jest bezpiecznik. – Pokazał i odblokował zabezpieczenie. – Potem, żeby wprowadzić nabój do komory naboju, muszę zrobić tak... – Próbował załadować pistolet, ale mu się to nie udało.

Aż do tej chwili wyglądało, jakby miał dużą wprawę w posługiwaniu się bronią. Rzeczywiście, nie po raz pierwszy trzymał pistolet w ręce, ale nigdy dotąd nie nacisnął spustu. A tej broni nie umiał nawet załadować, wykonywał nerwowe ruchy, ciężki przedmiot wyślizgiwał mu się z rąk. Czuł na sobie oczy całej paranzы. Śnięta Ryba wyjął mu pistolet z ręki i załadował. Wyskoczył jeden nabój.

– Widzisz? Jeden nabój już był w lufie – wyjaśnił, oszczędzając Biskopcikowi upokorzenia.

Biskopcik wycelował w antenę satelitarną i czekał na wybuch fajerwerków. Dał się słyszeć świst i zaraz po nim na niebie nad ich głowami rozpostarł się parasol utworzony z czerwonych gwiazd, ale żaden z chłopców nie podniósł głowy. W ich mieście kolorowe światła, które budzą dzieci i do których wyją psy, które ostrzegają i przy których się świętuje, czerwone, zielone i białe, można oglądać każdej nocy z własnego balkonu.

Wszyscy patrzyli na rękę Biskopcika, ten zmrużył oczy i wystrzelił. Dzielnie wytrzymał odrzut, który zadziałał do góry.

- Nie trafiłeś! Pudło... Teraz ja... – Lollipop zrobił krok do przodu.
- Nie! Poczekaj. Powiedzieliśmy, że jeden magazynek na głowę.
- Naprawdę? A kto tak powiedział?
- Tak, to prawda. Tak zdecydowaliśmy – potwierdził Ząbek.

Drugi strzał i znowu nic. Trzeci – pudło. Wokół nich fajerwerki wybuchały raz po raz, w całym tym chaosie wydawało się, że Biskopczik strzela z tłumikiem. Teraz wyciągnął do przodu dwie ręce, obiema trzymał kolbę pistoletu.

– Zamknij jedno oko i celuj, Biskopcziku, no już, skup się – popędził go Nicolas.

Znowu pudło. Ale przy piątym strzale, na chwilę przed wybuchem kolorowej rakiety, usłyszeli metaliczny dźwięk. Trafił w antenę satelitarną. Paranza wybuchnęła radością. Chłopcy zachowywali się jak drużyna piłkarska po pierwszym голу. Ściskali się i klepali po plecach.

– Teraz moja kolej – Ząbek wygrzebał w torbie karabin Uzi. – Chłopaki, to jest dopiero coś! Włączcie YouTube!

Wszyscy chwycili za smartfony i rozbiegli się po tarasie z wyciągniętymi w górę rękami, szukając zasięgu.

– Tu nie ma zasięgu!

Nadszedł czas Drona. Nareszcie mógł wykorzystać wiedzę nabytą za zamkniętymi drzwiami pokoju, gdzie nikt z tego powodu nie mógł sobie z niego podkpiwać. Wyjął z plecaka komputer, połączył się z niezabezpieczoną siecią wi-fi i postawił sprzęt na parapecie. Ekran oświetlał ich twarze, podczas gdy niebo ciemniało coraz bardziej. Dron zdjął okulary i zaczął poszukiwania. Włączył YouTube i wpisał nazwę karabinu.

Ząbek naśladował ruchy instruktora w filmiku, który wyświetlił się jako pierwszy. Ruchy powolne, dokładne, profesjonalne. Ale towarzyszyło im zbyt wiele słów, niepotrzebnych przy opisie broni, którą mogłyby posługiwać się nawet kobiety. Na YouTube było wiele filmików instruktażowych z seksownymi blondynami.

– Chłopaki, co jest dla was lepsze: karabin maszynowy czy ta

kobitka? – zapytał Tukan.

– Dla mnie, kiedy mam w ręce karabin, dziewczyny mogą w ogóle nie istnieć – powiedział Ząbek. Któryś z chłopców podał w wątpliwość autentyczność uzbrojenia gwiazdek porno, ktoś inny żartował sobie z Ząbka, że z całego arsenału, który tu z sobą przynieśli, wybrał sobie broń, jaką posługują się kobiety. Ale on się tym nie przejął. Przynajmniej nie zrobi z siebie patałacha, bo z tego karabinu trudno nie trafić do celu.

– Co ten facet mówi?

Mężczyzna na filmiku mówił po hiszpańsku z bardzo wyraźnym akcentem meksykańskim, ale w tym wypadku słowa właściwie nie miały znaczenia. Tego typu filmy instruktażowe nie mają języka. Żeby nauczyć strzelać Meksykanina, Amerykanina, Rosjanina czy Włocha, wystarczą ciało, ramiona i oczywiście broń.

Ząbek podniósł karabin na wysokość nosa, jak to pokazano w filmie, i wystrzelił całą serię pocisków, które praktycznie przecięły na pół talerz anteny satelitarnej. Strzały uzi zadudniły tak silnie, że pomimo sztucznych ogni słychać było nawet ich echo.

To było łatwe zwycięstwo, ale Ząbek zarobił sobie nim na aplauz całej parazy. W tej samej chwili rozbłysły lampy uliczne, zapaliło się też oświetlenie tarasu. Zapadła noc.

Śnięta Ryba wsadził głowę do torby z bronią, przebierał w berettach i karabinach maszynowych, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Rewolwer z bębniem.

– Zobaczcie, chłopaki. Ten jest jak armata, Smith & Wesson 686. Widziałem go w *Breaking Bad*. Piękny!

Trafił w lampę na tarasie od razu, za pierwszym strzałem. Zrobiło się ciemniej. Sylwetki chłopców na dachu były wyraźne tylko podczas wybuchów fajerwerków.

– To było za łatwe. Spróbuj strzelić w antenę, tę za talerzami do telewizji satelitarnej – powiedział Maharadża.

Kula ominęła antenę i wbiła się w ścianę, tworząc sporą dziurę.

– Eeej, chyba wcale jej nie widziałeś! – zawołał Biskopcik.

Śnięta Ryba strzelił jeszcze cztery razy. Z trudem utrzymywał rewolwer przy odrzucie. Czuł się, jakby galopował na koniu bez siodła, i żeby nie spaść, mógł jedynie trzymać się cugli. Rewolwer nie tylko miał silny odrzut, ale zdawał się sam poruszać w dłoni.

– Niech mi matka umrze... Ząbek! Popatrz tylko, jaka dziura!

Ząbek podszedł do muru, Lollipop włożył do dziury palec, wypadło z niej trochę pokruszonego cementu.

– Dziursko jak cipa twojej matki!

– Zamknij się, skurwysynu! Ty parszywy zboczeńcu!

Ząbek uderzył Lollipopa w twarz, aż plasnęło. Ten podniósł pięści, przygotowując się do bójki. Wymierzył prawy sierpowy, ale Ząbek złapał go za przegub i obaj upadli na ziemię. Wszyscy krzyczeli, chcieli ich powstrzymać. Powinni natychmiast przestać. Nie po to się męczyli i szukali imprez w tej samej okolicy, nie po to wydali kupę pieniędzy na zespół muzyczny i na sztuczne ognie, żeby teraz tracić czas na rozdzielanie dwóch kretynów. Na niebie wytrysnęła wysoka biała fontanna, która oświetliła taras na dachu i całą paranzę.

Chłopcy szepieni na ziemi znieruchomieli na chwilę, spojrzeli na oświetlone fajerwerkami twarze kolegów, przypominające twarze zmarłych oświetlone płomieniem gromnicy. I znowu zapadła ciemność. Wrócił porządek. Chłopcy ponownie podeszli do toreb z bronią, wreszcie przyszedł czas na AK-47.

Wyjęli kałasznikowy, przekazywali je sobie z rąk do rąk jak jakąś świętość.

– Chłopaki, przedstawiam wam Jego Wysokość Kałasza – powiedział Maharadża, przyciskając do siebie karabin.

Wszyscy chcieli dotknąć kałasznikowa, postrzelać albo przynajmniej go potrzymać, ale były tylko trzy. Jeden trzymał Nicolas, za drugi złapał Ząbek, za trzeci Briatore.

– Jest dokładnie taki sam jak w *Call of Duty* – zauważył Briatore, po czym założył te swoje dziwaczne słuchawki.

Załadowali karabiny, podczas gdy Dron trzymał wysoko komputer, żeby lepiej odbierał internet; wyglądało to tak, jakby niósł pizzę dla

kolegów. Wszyscy mieli zobaczyć scenę z *Pana życia i śmierci*. Zobaczyć, jak strzela Nicolas Cage, a potem Rambo.

Byli gotowi. Jeden, dwa... na trzy wypalili. Nicolasowi i Ząbkowi wyszła cała seria, Briatore natomiast wystrzelił tylko pojedynczy pocisk. Obiekty na dachu, które do tej pory pozostały nienaruszone, teraz podzieliły los tych trafionych wcześniej. Wszystkie anteny zostały dosłownie skoszone, a talerze odbierające telewizję satelitarną były porozrywane i ledwo trzymały się w całości, jak rozdarłe uszy dzięki tkance chrzęstnej.

– Kałasz! Kałasz! – krzyczał Ząbek. Dookoła na taras spadały kawałki anten, chłopcy musieli się przed nimi chronić.

Zanosili się śmiechem. Prawie równocześnie odwrócili się plecami do dachów, wyglądali przy tym jak na paradzie wojskowej. W tej samej chwili podnieśli oczy znad swoich zabawek i dostrzegli grubego kota, który zamierzał się otrzeć o zapomniane przez kogoś prześcieradło na sznurze. Trzy serie wystrzelone naraz wydawały się jedną, za to potężną. Kot eksplodował, jakby miał w brzuchu ładunek wybuchowy. Skóra z sierścią przykleiła się do prześcieradła, które jakimś cudem dalej wisiało na sznurze. Głowa zwierzęcia natomiast zniknęła. Być może uległa kompletnej dezintegracji albo spadła na ulicę. Reszta kota, różowa, dymiąca masa, leżała w kącie tarasu. Śmieć.

Byli zachwyceni i tak podnieceni, że nie usłyszeli wołania z ulicy.

– Maharadża! Ząbek!

Pod kamienicą stał Dumbo, kolega Ząbka, z Christianem, bratem Nicolasa. Pomimo sporej różnicy wieku spędzali dużo czasu razem. Razem trenowali dzudo, ale podczas gdy Christian miał już pomarańczowy pas, Dumbo pozostał na etapie żółtego, bo nie zdał sprawdzianu. Dumbo lubił wozić Christiana na skuterze, kupował mu czasem jakiś napój albo lody, ale przede wszystkim lubił z nim rozmawiać, bo nie musiał się przy tym zbytnio koncentrować. Dumbo nie był zbyt bystry.

– Maharadża! Ząbek! – zawołali jeszcze raz, po czym, nie

otrzymawszy odpowiedzi, bez zaproszenia weszli na górę.

– Chłopaki, przynieśliśmy wam tyczkę do selfie.

Nicolas był zły. Nie chciał, żeby jego brat uczestniczył w życiu parazy.

– Gdzie spotkałeś mojego brata?

– Szukał cię wszędzie. Powiedziałem mu, że wiem, gdzie jesteś, że jesteście na dachu. A dlaczego?

– Tak tylko chciałem wiedzieć.

Nicolas dopiero tworzył swoją paranzę, jeszcze nie miała definitywnej postaci. Jeszcze ich nie szanowano, nikt się ich nie bał, nie umieli strzelać. Na tym etapie Christian nie powinien się do niego przylepiać. Nicolas obawiał się, że może zacząć się chwalić dokoła, a nikt nie powinien o nich jeszcze wiedzieć. Christian mógł rozpowiadać tylko to, czego dowie się od niego, a nie to, co sam zobaczy. Do tej pory ten układ dobrze się sprawdzał.

Przed Dumbem Ząbek nie ukrywał niczego. Nigdy. Wiedział więc, że mieli strzelać. To też nie podobało się Nicolasowi. Tylko paranza mogła znać plany parazy. Poza tym, kiedy robili coś razem, tylko oni powinni być przy tym obecni. Kto miał być na tym tarasie, już na nim był. Jeżeli kogoś tam nie było, to znaczy, że miało go nie być. I tyle. Takie są zasady.

Myślał o tym, podczas gdy inni zaproponowali Dumbowi, żeby sobie postrzelał. Ale on odmówił:

– Nie, takie rzeczy mnie nie bawią.

Ale Christian już grzebał w torbie z bronią i złapał za jakiś karabin. W tej samej chwili dopadł do niego Nicolas, podniósł go bez wysiłku i powierzył Dumbowi. Tak jak go tutaj przyprowadził, tak samo miał go teraz zawieźć do domu, razem z tyczką do selfie. Christian dobrze znał swego brata, wiedział, że kiedy ma taki wyraz twarzy jak teraz, lepiej mu się nie sprzeciwiać. Dlatego nie nalegał i się nie żalił, tylko posłusznie poszedł za Dumbem do schodów, niosąc w ręce tyczki.

Karabin, który wygrzebał Christian, to był stary mauser 98k. Nicolas od razu go rozpoznał:

– O kurde! Mauser! Mój brat wie, co dobre!

Ciekawe, na jakich wojnach walczył ten niezrównany niemiecki karabin. W latach czterdziestych był najbardziej precyzyjną bronią palną, teraz wyglądał jak stary rupieć. Przybył pewnie z Bałkanów, bo miał serbską naklejkę na kolbie.

– A co to takiego? – zaśmiał się Biskopczik. – Kij Świętego Józefa?

Tymczasem Maharadzę ten stary karabin dosłownie zauroczył. Oglądał go dokładnie, dotykał części mechanicznych, gładził lufę.

– Co ty wiesz o broni?! Ten karabin jest po prostu piękny. Musimy nauczyć się używać także takiego sprzętu. – Ostatnie zdanie skierował już do całej paranzы, mówił tonem trenera. Zbliżył palec do nosa, żeby poczuć zapach smaru, którym mauser był konserwowany, potem rozejrzał się dokoła. Ognie sztuczne miały się ku końcowi, kończył się też ich czas na ćwiczenia. Bez osłony fajerwerków nie będą mogli strzelać, chociaż właściwie w zwykłym chaosie, jaki zwykle panował w mieście, ich strzały nikogo nie wystraszą, a już na pewno nikt nie zadzwoni z tego powodu do karabinierów albo na policję. Ale Śnięta Ryba, który sumiennie kontrolował czas na swojej komórce, ostrzegł Nicolasa:

– Maharadza, musimy się pośpieszyć. Ognie zaraz się skończą.

– Nie przejmuj się – odparł Nicolas i szukał wzrokiem odpowiedniego celu, do którego mógłby postrzelać z mausera, oraz stanowiska dla siebie. Taras, na którym się ćwiczyli, był prawie na wyciągnięcie ręki od tarasu sąsiedniej kamienicy. Te budowle, wiekowe olbrzymy, ocalałe podczas trzęsień ziemi i bombardowań, drżą, gdy ktoś zbyt mocno trzaśnie drzwiami, ale niezmiennie trwają na swoich miejscach. Pamiętają czasy wicekrólestwa, zdają się przysypane kurzem historii. Od lat zamieszkuje je powielające się życie. Dzieci arystokratów, mieszczan i nędzarzy przez wieki wchodziły i schodziły po tych samych schodach i miały twarze podobne do twarzy dzieci, których głosy odbijają się dzisiaj od ścian sieni.

Nicolas wreszcie znalazł to, czego szukał. W sąsiedniej kamienicy,

ale nie na tarasie, tylko na balkonie na czwartym piętrze, stała kolorowa donica w kształcie głowy wąsatego Turka, typowy wytwór rzemiosła wybrzeża Amalfi. Cel wręcz idealny. Cel dla snajpera.

Znalazł sobie stanowisko na daszku postawionej nielegalnie w kącie tarasu dobudówki, która służyła komuś za komórkę. Wszedł na nią, pomagając sobie tylko jedną ręką, bo w drugiej trzymał ciężkiego mausera. Wszyscy patrzyli na to w milczeniu, nikt nie odważył się zaproponować mu pomocy. Maharadza przyjął na daszku dobudówki pozycję snajpera i wycelował karabin w głowę Turka na balkonie. Pierwszy strzał był niecelny, za to bardzo głośny, a odrzut mocny, ale Nicolas umiał go skompensować. Zachowywał się jak wytrawny snajper.

– Eeej, chłopaki! – zawołał. – Jestem Chris Kyle!

Usłyszał jednogłośnie reakcję:

– Poważnie, Maharadza, jesteś naprawdę jak American Sniper.

Ładowanie mausera w tak niewygodnej pozycji nie było proste, ale Nicolas znajdował w tym przyjemność, a cała paranza obserwowała jego sprawne ruchy. Zamek czterotaktowy – widzieli go we wszystkich filmach, w których występowali snajperzy, więc odgłos uderzania metalu o drewno był im dobrze znany. Trrrrak... trrrrak... Maharadza strzelił po raz drugi. Znowu pudło. Dałby w tej chwili wszystko, żeby trafić za trzecim razem. Ta gliniana głowa była dla niego darem niebios, stała na balkonie specjalnie po to, żeby mógł pokazać swoim chłopcom, że potrafi strzelić w czyjąś głowę jak prawdziwy wojownik. Zamknął jeszcze dokładniej lewe oko i wystrzelił trzeci pocisk. Usłyszał ostry dźwięk, brzęk metalu i eksplodującego szkła, towarzyszył mu przeszywający ból. Tym razem nie udało mu się skompensować odrzutu. Za bardzo skoncentrował się na kolbie, jak wszyscy debiutanci sądził, że wystarczy utrzymać ją nieruchomo, żeby mieć kontrolę nad całym karabinem, więc skupił na niej całą siłę mięśni. Tymczasem karabin, jak żywe stworzenie, podskoczył mu w rękach i lufa uderzyła go w twarz. Z nosa puściła się krew, zamek mausera przeciął mu skórę na kości jarzmowej. Siła odrzutu sprawiła,

że stracił równowagę; żeby nie upaść, wbił silniej nogi w daszek, na którym stał, i ten się pod nim zarwał. Maharadża wpadł do komórki na miotły, wiadra i detergenty, na skrzynki z narzędziami, zardzewiałe anteny i kolce przeciw gołębiom. Upadek Nicolasa rozśmieszył wszystkich, ale ich wesołość trwała nie dłużej niż kilka sekund. Ostatni pocisk odbił się od poręczy balkonu i uderzył w szybę, rozbijając ją na kawałki. Na balkon wyszedł przerażony starszy mężczyzna, a zaraz za nim jego żona, która dostrzegła głowy chłopców na tarasie sąsiedniego domu.

– Co wy tam robicie?! Kim jesteście?

Wykazując się niesamowitym refleksem, Briatore wziął Biskopcika pod pachy, jak to się robi z dziećmi, gdy sadza się je na ramionach. Postawił go na gzymsie i powiedział:

– Przepraszamy panią! To ten chłopczyk wystrzelił racę. Zaraz wszystko posprzątam i zapłacimy za szkody.

– Nie będziecie nic sprzątać. Zaraz zadzwonimy na policję. Czy wy jesteście? Banda chuliganów!

Briatore starał się zatrzymać parę starszych ludzi jak najdłużej na balkonie, w tym czasie Nicolas i reszta wkładali szybko broń i amunicję z powrotem do toreb. Poruszali się chaotycznie, jak myszy, kiedy ktoś wchodzi do pokoju, zapaliwszy w nim światło. Widząc ich w tej sytuacji, nikt by nie pomyślał, że są żołnierzami parazy. Wyglądali jak chłopcy, którzy zbili piłką szybę w oknie koleżanki matki jednego z nich i teraz szykują się do ucieczki, starając się, żeby ich nie rozpoznała. To prawda, że jeszcze przed chwilą ćwiczyli się w strzelaniu z ostrej broni, ale robili to z typową dla dzieci ciekawością wobec nowych zabawek. Broń palną uważa się za narzędzie dla dorosłych, tymczasem im młodsza jest ręka, która manipuluje kurkiem, magazynkiem czy lufą, tym skuteczniej działa pistolet, strzelba, karabin maszynowy czy nawet granat. Broń jest skuteczna, gdy jest przedłużeniem ludzkiego ciała. Nie wtedy, gdy jest narzędziem służącym do obrony, ale gdy staje się ręką, palcem, penisem, uchem, ramieniem. Broń jest stworzona dla ludzi młodych,

dla dzieci. Ta teza sprawdza się pod każdą szerokością geograficzną.

Briatore robił wszystko, by zająć uwagę poszkodowanych lokatorów sąsiedniej kamienicy. Wymyślał, co mógł:

– Organizujemy imprezę, urodziny, tu na pierwszym piętrze.

– Tak, a czyje?

– Pani Natalii. Skończyła dziewięćdziesiąt lat.

– Nic nas to nie obchodzi. Wezwijcie rodziców. Wytłukliście wszystkie szyby w oknie balkonowym.

Briatore starał się ich zagadać, zatrzymać jak najdłużej na balkonie, ale nie miał najmniejszego zamiaru płacić za szkodę. Sztuczne ognie kosztowały już paranzę dużo pieniędzy. To nie znaczy, że nic im nie zostało, przeciwnie, jak na swój wiek mieli bardzo dużo gotówki, ale każdy grosz wydany nie na siebie wydawał im się marnotrawstwem.

Podczas gdy Briatore trzymał staruszków na balkonie, a reszta paranzы zbierała łuski pocisków w obawie, że zaraz przyjdzie policja i zarekwiruje całą broń, Maharadża zastanawiał się nad jednym: co zrobić, żeby wymazać wspomnienie tego odrzutu karabinu, którego nie umiał skompensować. Mógłby być dumny ze swej rany na policzku, gdyby została mu po jakiejś prawdziwej strzelaninie, gdyby nie zależała od niego. Tymczasem prawda jest taka, że zranił się, bo nie potrafił obchodzić się z bronią palną.

Kiedy starszy mężczyzna założył okulary, żeby wybrać numer 113 na telefonie komórkowym, Briatore powiedział:

– Niech pan nie dzwoni na policję. Zaraz do was przyjdziemy i przyniesiemy pieniądze.

Na to hasło wszyscy rzucili się do wyjścia i zbiegli po schodach. Wsiedli na skutery zaparkowane w bramie. Na ulicy leżały wypalone fajerwerki, ale impreza jeszcze trwała. Goście komunijni wyszli z restauracji, dołączyli do nich goście pani Natalii. Rozpoznali Briatorego:

– Eeej, chłopcze, zatrzymaj się na chwilę. Chcemy ci podziękować.

Dowiedzieli się, że to on zapłacił za to wspaniałe widowisko. Chcieli mu okazać wdzięczność, choć domyślali się mniej więcej, jaka była

przyczyna tej niezwyklej hojności. Oczywiście nie wiedzieli, że chodziło o ćwiczenia w strzelaniu, ale zrozumieli, że należy do grupy stowarzyszonej z Systemem, która chce sobie zarobić w ich dzielnicy na wdzięczność. Należało im podziękować.

Z początku Briatore próbował się ulotnić, ale szybko zrozumiał, że lepiej będzie, jeżeli pozwoli się wyściskać i wycalować starszym ludziom, którzy go obstąpili. Starał się zachowywać dyskretnie, powtarzał tylko:

– Nic takiego nie zrobiłem, to była dla mnie przyjemność.

Ludzie myśleli, że był to pozytywny gest ze strony nowo powstałej grupy należącej do Systemu, i chcieli jej okazać akceptację. Briatore bał się podwójnie. Po pierwsze, niedobrze było zwracać na siebie uwagę na uliczce, która nie należała do ich terytorium. Ta obawa blakła jednak wobec strachu, że Maharadża się zezłości, bo to on był odpowiedzialny za sztuczne ognie. Gdyby nie to, Briatoremu byłoby przyjemnie, że ludzie właśnie jemu wyrażają wdzięczność. I dlatego, próbując bezskutecznie uruchomić skuter, udawał, że to z winy zanieczyszczonej świecy, podczas gdy tak naprawdę nie dość silnie naciskał kciukiem starter. W końcu jednak sygnał od paranzы przekonał go, że musi się pośpieszyć:

– Briatore, zmywamy się!

Jechali za Nicolasem, nie wiedząc, dokąd ich prowadzi. Któryś z chłopców dogonił go i powiedział, żeby otarł twarz z krwi. Niebezpiecznie było jeździć po mieście z torbami pełnymi broni; wiedzieli o tym, ale nie czuli strachu. Byli gotowi na wojnę. Jakąkolwiek.

Szkolenie

W asfalcie było mnóstwo dziur. Po każdym deszczu, jak grzyby, pojawiały się dziurki nowych. Minąwszy stację przy placu Garibaldiego i skręciwszy w ulicę Ferrarisa, paranza na skuterach musiała zwolnić. Nicolas prowadził ją do mieszkającej w dzielnicy Gianturco znajomej dziewczyny pochodzącej z Erytrei. Była siostrą kobiety, która pomagała jego matce w domu, miała na imię Aza i nie więcej niż trzydzieści lat, choć wyglądała na pięćdziesiąt. Opiekowała się staruszką chorą na alzheimera i mieszkała razem z nią. Do tej części miasta nie zapuszczały się nawet Ukrainki.

Nicolas pomyślał, że to idealna kryjówka na arsenał paranz. Nie mówił o tym reszcie chłopaków, to nie był odpowiedni czas. Tak czy inaczej, wszyscy jechali za jego skuterem. Ten czy ów próbował się dowiedzieć po drodze, dokąd zmierzają, ale ich pytania pozostały bez odpowiedzi, tak więc doszli do wniosku, że trzeba po prostu za nim jechać, i koniec. Zaparkował pod wysokim domem i kiedy inni go otoczyli, nie wyłączając silników, bo nie wiedzieli, czy to koniec podróży, czy też ruszą zaraz dalej, powiedział, wskazując bramę:

– Tutaj będzie nasz magazyn broni.

– Kto tu mieszka? – zapytał Śnięta Ryba. Nicolas spojrzał na niego takim wzrokiem, że Śnięta Ryba od razu pomyślał, że lepiej, jeżeli natychmiast spuści spojrzenie. Ale w tej samej chwili Ząbek zszedł z siodelka i stanął między nimi, łagodząc sytuację.

– Nie obchodzi mnie, kto tu mieszka. Jeżeli dla Maharadży ten dom jest pewny, to dla nas też jest pewny.

Śnięta Ryba pokiwał głową i tym gestem wyraził zdanie reszty paranz.

Wybudowana w latach sześćdziesiątych kamienica niczym się nie wyróżniała. Stała przy ulicy obsianej wręcz skuterami, pięć pojazdów

paranzy ginęło w tłoku. Właśnie dlatego Maharadża zdecydował, by ukryć broń w tym miejscu. Mogli tu przyjeżdżać niezauważeni, czy to w ciągu dnia, czy w nocy, poza tym obiecał Azie, że dzięki ich wizytom Cyganie będą się trzymać od tej ulicy z daleka. To nie była prawda. Mieszkańcy obozu Romów nawet nie wiedzieli, kim są ci chłopcy, na tyle bezczelni, że obiecują ochronę w dzielnicy, która już ma swojego bossa.

Nicolas i Ząbek zadzwonili domofonem i weszli potem aż na piąte piętro.

Aza czekała na nich w otwartych drzwiach. Przejęła się zakrwawioną twarzą Nicolasa:

– Ojej! Co ci się stało?

– Nic. To drobiazg.

Weszli do pogrążonego w mroku mieszkania, unosił się w nim zapach przyprawy berbere i naftaliny.

– Możemy wejść?

– Mów cicho, bo pani śpi.

Nie wyczuł w tym mieszkaniu zapachu, jakiego się spodziewał – zapachu starości. I chociaż nie miał czasu, żeby wylapać wszystkie szczegóły, ten akurat dał mu do myślenia. Erytrejskie aromaty w domu starszej kobiety zaniepokoiły go, świadczyły o tym, że Aza prowadziła go, jakby była u siebie, co mogło znaczyć, że ze staruszką jest już bardzo źle i że to miejsce wkrótce zapełni się krewnymi, którzy będą musieli zająć się pogrzebem.

– Jak się czuje twoja podopieczna?

– Bóg ją jeszcze kocha – odparła Aza.

– To dobrze, ale co mówią lekarze? Pożyje jeszcze?

– Wszystko w rękach Boga.

– A pomijając Boga, co powiedział lekarz?

– Mówi, że ciało jest silne, tylko głowa szwankuje.

– To dobrze. Dożyje setki.

Aza, powiadomiona już wcześniej o jego potrzebach, wskazała Nicolasowi pawlacz. Od kiedy choroba zniszczyła mózg właścicielce

mieszkania, nigdy tam nie zaglądała. Postawili pod nim drabinkę, wcisnęli torby do środka i przykryli je świątecznymi bombkami, pastuszkami ze stajenki i albumami fotograficznymi.

– Uważaj, nie stłucz czegoś – ostrzegła go Aza.

– Nawet gdybym coś stłukł, wygląda na to, że staruszka już nie będzie tego potrzebować.

– Tak czy inaczej, staraj się niczego nie zniszczyć.

Zanim zszedł z drabinki, wyjął trzy pistolety z jednej torby i pudełko z amunicją z drugiej.

– Nie rób tego w mojej obecności. Nie chcę o tym nic wiedzieć – powiedziała Aza ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– I o niczym nie wiesz. Kiedy będziemy chcieli przyjść, zadzwonimy do ciebie i powiemy, że zamierzamy przynieść zakupy dla staruszki, wtedy ty nam powiesz, o której godzinie. Przyjdziemy, zabierzemy, co mamy zabrać, i wyjdziemy. Jeżeli któryś z przysłanych przeze mnie chłopców sprawi ci jakiś kłopot, napiszesz do mnie esemes, masz mój numer. W porządku?

Aza związała matowe loki i bez słowa poszła do kuchni. Nicolas powtórzył pytanie: „W porządku?”, tym razem twardszym tonem. Kobieta zamoczyła ręcznik pod kranem w zlewie, po czym, dalej nic nie mówiąc, podeszła do niego i otarła mu twarz. Nicolas odsunął się instynktownie: zapomniał o ranie, przeciętej skórze i krwawiącym nosie. Aza stała z zabrudzonym ręcznikiem w ręce, patrząc mu w oczy. On dotknął palcami nosa, spojrział na nią i pozwolił, żeby go obmyła.

– Za każdym razem, kiedy tu przyjdziemy, dostaniesz prezent – obiecał, ale nie zwracała na niego uwagi. Otworzyła szafkę pod zlewem w kuchni i wyjęła buteleczkę ze środkiem odkażającym.

– Posmaruję ci to spirytusem, ranę trzeba odkazić. – Było widać, że miała doświadczenie, nabyte pewnie jeszcze w ojczyźnie i dobrze wykorzystane przy pielęgnacji odleżyn staruszków, którymi się opiekowała. Nicolas nie spodziewał się tego, nie spodziewał się też, że powie: – Nos nie jest złamany, tylko stłuczony.

Podziękował, ale wydało mu się to niewystarczające, dodał więc jeszcze:

– Dziękuję ci bardzo.

Aza zdobyła się na uśmiech, który rozjaśnił całą jej wymizerowaną twarz.

Nicolas włożył sobie dwa pistolety za pasek od spodni na plecach, trzeci przekazał Ząbkowi. Potem pożegnał się z Azą, ale najpierw dał jej sto euro, które włożyła szybkim ruchem do kieszeni džinsów, i wróciła do płukania w zlewie ręcznika pobrudzonego krwią.

Podczas gdy zbiegali po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, Ząbek zapytał:

– Co teraz zrobimy?

Ząbek domyślił się, że zabrali z sobą pistolety, żeby od razu zrobić z nich użytek.

– Nie nauczymy się strzelać, jeżeli będziemy celować tylko do anten i murów.

A więc Ząbek się nie pomylił.

– Maharadża, ty decyduj, a my zrobimy, co nam powiesz.

Kiedy byli już na dole, Nicolas zastawił drogę Briatoremu i Ząbkowi i powtórzył to samo, co powiedział przed chwilą. Skandował wyraźnie każde słowo, patrząc przy tym na kolegów, jakby zrobili coś nie tak:

– Nie zasłużymy na respekt, jeżeli będziemy strzelać tylko do anten i murów.

Chłopcy wiedzieli, o co mu chodzi. Nicolas chciał strzelać. Chciał strzelać do ludzi. Oni jednak nie mieli dość śmiałości, by samodzielnie dojść do takiej konkluzji. Woleli, żeby on to powiedział. Jasno i zdecydowanie. I Nicolas to zrobił:

– Musimy załatwić jedną albo dwie sztuki. Zaraz.

– Dla mnie okej. Niech mi matka umrze... ja się zgadzam – odparł Ząbek.

Briatore instynktownie próbował odwołać się do rozsądku:

– Nauczmy się najpierw lepiej używać broni. Im lepiej...

– Briatore, jeżeli chcesz się uczyć i ćwiczyć w nieskończoność,

powinieneś wstąpić do policji. Żołnierze paranzы muszą to umieć od urodzenia.

Briatore zamilkł. Bał się, że skończy jak Agostino. Po chwili powiedział:

– Ja też się zgadzam. Zaliczmy kilka sztuk.

Sprawa załatwiona. Nicolas oddalił się od Briatorego i Ząbka i powiedział do wszystkich:

– Spotkamy się na placu za parę godzin. – Umówił się z chłopcami tam, gdzie zawsze, na placu Belliniego.

Skutery wystartowały. W paranzы panowało podekscytowanie, wszyscy chcieli wiedzieć, o czym Maharadża rozmawiał z Ząbkim i Briatorem, ale stwierdzili, że teraz lepiej będzie, jeżeli pojedą szybko na plac.

Nicolas aż do tej pory nie włączał komórki. Zajrzał do niej teraz i znalazł kilka nieprzeczytanych wiadomości od Letizii.

Letizia:

Kochanie, gdzie jesteś?

Kochanie, nie czytasz esemesów?

Nicò, martwię się o ciebie!

Nicolas, gdzie ty, kurwa, jesteś?

Nicolas!!!???

Nicolas:

Jestem, kotku. Byłem z chłopakami.

Letizia:

Z chłopakami? Sześć godzin?

I nie czytasz wiadomości?

Nic mi o sobie nie mówisz.

Idź w cholerę!

Letizia siedziała na skuterze Cecilio. Koleżanka pokryła go nalepkami, bo wstydziła się skromnej marki pojazdu. Letizia miała

taki sam kymco people 50, ale wcale się go nie wstydziła. Przy Nicolasię czuła się zawsze jak królowa. Mogła go posyłać sto razy w cholere, ale to nic nie znaczyło. Ot, takie przekomarżanie między parą zakochanych. Ważne było tylko to światło, które się w niej odbijało i które wielu brało za władzę.

Kymco Letizii stał zaparkowany pod pomnikiem Vincenza Belliniego wśród dziesiątków innych skuterów oraz dziewcząt i chłopców, którzy rozmawiali, pili piwo i koktajle, palili papierosy i skręty. Nicolas nigdy nie prowadził swego skutera aż do tego miejsca. To nie był koń, na którym chciałby się publicznie pokazywać. Parkował na ulicy Costantinopoli i dalej szedł pieszo.

Wykonał w kierunku Letizii ruch głową, który miał oznaczać: podejdz do mnie!

Dziewczyna udała, że nie zrozumiała tego rozkazującego gestu, tak więc Nicolas musiał sam się do niej zbliżyć. Podeszedł tak blisko, że jego obolały nos dotykał prawie nosa dziewczyny. Letizia nie zdążyła nawet powiedzieć: „Co ci się stało, kochanie”, kiedy Nicolas wycisnął na jej ustach długi pocałunek. Potem złapał jej brode dwoma palcami jak kleszczami i odsunął od siebie z widoczną irytacją.

– Leti, ty mnie w cholere posyłać nie będziesz! Zapamiętaj to sobie! – I odszedł, nie mówiąc już nic więcej.

Teraz przyszła kolej na nią. Nicolas spodziewał się, że za nim pójdzie. Ona o tym wiedziała, podobnie zresztą jak wszyscy stojący wokół nich. I tak się też stało. Zaczęło się od jego przyśpieszonego kroku i jej pogoni za nim. Potem odwrotnie – ona odwróciła się do niego plecami z obrażoną miną, on ruszył za nią i starał się ją udobruchać. Ciągła zmiana frontów i humorów, podniesione głosy, grożenie palcem, łapanie się za ręce, kradzione pocałunki. I jeszcze „Zamknij się” i „Nie pozwalaj sobie za dużo” na przemian z „Kochanie, spójrz mi w oczy, czy ja ci kiedyś skłamałem?”. A wszystko to publicznie, na bazaltowej nawierzchni placu i w zaułkach starówki.

Tymczasem paranza zebrała się w umówionym miejscu.

Podczas gdy Nicolas godził się z Letizią, Ząbek i Briatore starali się

uspokoić nerwy, wdychając chciwie dym ze skrętów, które chłopcy z parazy podawali sobie z rąk do rąk. Kto będzie ich pierwszym celem? Kogo zaatakują w pierwszej kolejności? Jak sobie poradzą? Kto z nich jako pierwszy zrobi z siebie głupka? Biskopcik przerwał pełną napięcia ciszę:

– Gdzie się podział Maharadża?

Wsparł go Lollipop:

– Ząbek, Briatore, powiedzcie, co się stało. Może Maharadża podarował komuś nasz arsenał?

Lollipop nie zdążył nawet skończyć tego zdania, gdy Briatore uderzył go w twarz tak mocno, jak nawet matka nigdy go nie uderzyła. Licząc ten na tarasie, to już drugi policzek, który zarobił tego dnia.

– Nie waż się wypowiadać tego słowa tutaj, na placu.

Lollipop sięgnął do kieszeni. Była to uwertura do bójki na noże. Ząbek momentalnie złapał Briatorego za koszulkę i pociągnął do tyłu.

– Co ty, kurwa, robisz? – wysyczał mu do ucha.

Tymczasem Lollipop, który zdążył już wyjąć sprężynowy nóż z kieszeni i otworzyć jego ostrze, zobaczył przed sobą Śniętą Rybę.

– Co się dzieje?! Będziemy się zakłuwać nożami między braćmi?

Ząbek zaś powiedział rozkazującym tonem do Briatorego:

– Zaraz go przeproś. Tak nie może być.

Briatore wysilił się na uśmiech i wyciągnął rękę do Lollipopa.

– No, przepraszam. Daj rękę na zgodę, bracie. Ale ty też musisz uważać. Spraw parazy nie możesz wyciągać na placu, przy ludziach. Pilnuj się trochę.

Lollipop ścisnął mu rękę trochę zbyt silnie.

– W porządku, Briatore. Tylko nigdy więcej nie dotykaj mi twarzy. Nigdy! Ale masz rację, powinienem ugryźć się w język.

Pożar, który wybuchnął w jednej chwili, w następnej został ugaszony. Ale napięcie pozostało. Było tak, jakby po parazy hulał wiatr i skręcał emocje jej żołnierzy w wiry. Briatore i Ząbek nie wiedzieli, jak złagodzić to napięcie.

Ząbek czuł ucisk lufy pistoletu na mosznie. To było przyjemne uczucie, jakby miał na sobie zbroję, jakby był kimś innym. Obok nich stała grupka chłopców, którzy w zamian za skręty częstowali ich rumem z sokiem gruszkowym. Ząbek i Briatore byli odurzeni alkoholem i narkotykiem. Na placu ubywało młodzieży. Niektórzy chłopcy z parazy rozmawiali przez telefon z rodzicami.

– Nie martw się, mammo. Nie, nie jestem na ulicy, jestem w domu Nicolasa, wrócę później.

Do Śniętej Ryby podchodzili studenci, którzy kupowali u niego w Forcelli trawkę, i pytali, czy ma jakiś towar. Nie miał przy sobie prawie nic, sprzedał im kilka porcji po piętnaście euro sztuka zamiast jak zwykle po dziesięć.

– Ale kretyn ze mnie, że nie wziąłem z sobą większego ładunku. – I zwracając się do Lollipopa, dodał: – Powinienem zawsze mieć przy sobie kilogram towaru, bo klienci już mnie znają, rozprowadziłbym go w pół godziny.

– Uważaj, bo niedługo będą cię znać także karabinierzy. A potem poznają cię w Poggioreale.

– Już mnie tam znają!

Plac się wyludnił.

– Chłopcy, ja jadę do domu – oznajmił Śnięta Ryba, który nie wiedział już, jaką wymówkę wymyślić dla ojca. Powoli, jeden po drugim, inni też wrócili do domu.

O wpół do czwartej nad ranem Nicolas jeszcze nie dał znaku życia. Zaniepokojeni Ząbek i Briatore pojechali do meliny. Na ulicach wciąż jeszcze był ruch. Kiedy tylko weszli do środka, od razu rozpoczęli śledztwo. W końcu znaleźli torebkę z kokainą.

– Z tego na pewniaka wyjdą dwie kreski.

Dwie kreski żółtej kokainy, uryny. Skręcili tutki z dwóch paragonów sklepowych. Uryna to kokaina najwyższej jakości, ale jej kolor budzi nieufność. Nozdrza chłopców wciągnęły wszystko jak pompy ssące, do ostatniego pyłku.

– Głupie wrażenie, kiedy się wciąga taki żółty proszek, nie? A to

przecież naprawdę najlepszy towar. Ciekawe, dlaczego jest taki żółty.

– Bo to surowiec.

– Surowiec?

– Tak, potem się go jeszcze obrabia.

– Jak?

– Zadzwoń do Heisenberga, niech ci wytłumaczy.

Jeszcze chichotali, kiedy usłyszeli, że ktoś przekręca klucz w zamku. W drzwiach stanął Nicolas, twarz przecinał mu szeroki uśmiech.

– Ach, wy skurczybyki, wciągacie tu sobie spokojnie całą urynę, tak?

– Zgadłeś. Gdzieś ty się podziewał aż do teraz? – przywitał go Briatore.

– Zostawiliście mi trochę?

– Jasne, brachu.

– Wychodzimy na akcję.

– Jest czwarta rano! Jaką akcję chcesz robić?

– Dobrze, poczekamy.

– Właśnie, lepiej poczekać.

– O piątej wychodzimy i załatwimy kilka sztuk.

– To znaczy co?

– *Pocket coffee*.

– *Pocket coffee*?

– No tak, *pocket coffee*... Czarnuchów. Załatwimy kilku czarnuchów, jak będą czekać na autobus, żeby pojechać do pracy. Staniemy sobie w pobliżu i ich załatwimy.

– No, nieźle! – powiedział Ząbek.

– Jak to? – zaproponował Briatore. – Nawet nie będziemy wiedzieli, kto to jest, i ich załatwimy? Strzelimy i zaliczymy *pocket coffee*? Pierwszy lepszy?

– Tak jest najlepiej. Przynajmniej możemy być pewni, że do nikogo nie należą. Nikogo nie obchodzą. Myślicie, że ktoś będzie dociekał, kto zabił jakiegoś czarnucha?

– Zrobimy to tylko my trzej czy z całą paranzą?

– Nie, nie. Musi być przy tym cała paranza. Z tym że spluwy

będziemy mieli tylko my.

– Ale oni teraz wszyscy śpią.

– Co mnie to obchodzi? Zadzwonimy, żeby przyszli.

– Zróbmy to sami.

– Nie. Wszyscy to muszą zobaczyć. Niech się uczą.

Briatore się uśmiechnął.

– Przecież powiedziałaś, że w paranzы musimy takie rzeczy umieć od urodzenia.

– Włącz PlayStation. Szybko – rozkazał Nicolas, zignorowawszy poprzednią uwagę. Podczas gdy Briatore włączał PlayStation, dodał: – Uruchom *Call of Duty*. Zagramy sobie w *Mission One*. To ta, gdzie się walczy w Afryce. Na rozgrzewkę, żeby lepiej strzelać do czarnuchów.

Ząbek posyłał przez WhatsAppa wiadomości do całej paranzы: „Chłopaki, wcześniej rano przygotujcie się do rozgrywek”. Nikt nie odpowiedział.

Wyświetlił się powitalny ekran gry z napisem: *The future is black*. Ale *the future* należy do tych, co zdążą załadować kałasznikowa przed innymi. Jeżeli nie postawisz się facetom w podkoszulkach, wybebeszą cię maczetą. Bo fakt, że te czarnuchy mają ją nawet na fladze, musi coś znaczyć. Druga zasada: nie odkrywaj się. Schroń się za skałą, za czołgiem. W ich świecie wystarczy bagażnik samochodu zaparkowanego w drugiej linii. Ale w ich świecie nie mogą liczyć na wsparcie sił lotnictwa, jeżeli pojawią się problemy. Trzecia zasada, najważniejsza: biegnij. Zawsze.

Zaczęli grę. Karabin maszynowy strzelał jak wściekły. Akcja rozgrywała się chyba w Angoli. Główny bohater walczył w szeregach regularnego wojska, miał mundur moro i czerwony beret. Celem było rozbicie oddziałów rebeliantów, facetów w ohydnych podkoszulkach, z karabinami maszynowymi przewieszonymi przez torsy. Nicolas strzelał jak oszalały. Nie zatrzymywał się nawet, kiedy go trafiali. I biegł. Zawsze.

O wpół do szóstej rano stali już pod domem Lollipopa. Zadzwonili

domofonem, odpowiedział ojciec:

– Co jest? Kto tam?

– Przepraszam, panie Esposito. Jestem Nicolas. Czy jest Lollipop?

– O tej godzinie?! Vincenzo śpi, a potem idzie do szkoły.

– Mamy dzisiaj rano wycieczkę.

– Vincenzo! – Ojciec Lollipopa krzyknął, budząc syna. Ten w pierwszej chwili pomyślał, że przyszła po niego policja.

– Tato, co się stało?

– Na dole jest Nicolas. Mówi, że macie wycieczkę ze szkoły, ale matka nic mi nie mówiła.

– Ach! Rzeczywiście, zapomniałem.

Lollipop złapał za domofon, podczas gdy matka zbliżała się do niego na bosaka, wymachując rękami.

– Jaka wycieczka? Gdzie?

– Już schodzę, Nicolas. Schodzę!

Ojciec Lollipopa próbował z balkonu dostrzec w ciemnościach, kto stoi pod domem, ale widział tylko poruszające się ciemne plamy. Chłopcy na dole składali się wpół ze śmiechu.

– Na pewno macie tę wycieczkę? Teresa – zwrócił się do żony – zadzwoń do szkoły.

Lollipop już był w łazience, gotowy, żeby zejść do kolegów. Nie miał wątpliwości, że minie kilka godzin, zanim ktoś w szkole odbierze telefon i rodzice się dowiedzą, że nie ma żadnej wycieczki.

Podobnie sytuacja wyglądała w domu Dragonbola, Śniętej Ryby, Drona i innych. Poszli po wszystkich. I stopniowo paranza stawała się paranzą, sznurem skuterów prowadzonych przez ziewające dzieciaki. Tylko Biskopcik nie wyszedł z domu.

Mieszkał na parterze, przy samej ulicy, naprzeciwko szpitala Loreto Mare. Pod jego dom przyjechała cała paranza. Zapukali bezpośrednio do drzwi, otworzyła matka Biskopcika; była bardzo zdenerwowana, odgadła, że koledzy przyszli po Eduarda.

– Nie, Eduardo nigdzie nie pójdzie, a już na pewno nie z takimi chuliganami jak wy.

Wykorzystując fakt, że drzwi były otwarte, Nicolas krzyknął do środka, jak gdyby matka chłopca nie stała przed nim i nie powiedziała tego, co usłyszał:

– Biskopczyk, wychodź. Już!

Matka Eduarda stanęła pół kroku przed nim w swej imponującej postaci, z potarganymi włosami i oczami szeroko otwartymi w złości.

– Ty szczeniaku jeden, po pierwsze, mój syn nazywa się Eduardo Cirillo. A po drugie, nie waż się nigdy więcej mówić w mojej obecności synowi, co ma robić. A może myślisz, że się ciebie wystraszę? Już się cała trzęsę! – Złapała za rąbek koszuli nocnej, którą miała na sobie, i poruszyła nim gwałtownie.

Biskopczyk nie wyszedł. Prawdopodobnie nawet nie wstał z łóżka. Matki bał się bardziej niż Nicolasa i zdradzenia paranzę. Ale Nicolas nie poddał się tak łatwo:

– Gdyby tu był wasz mąż, rozmawiałbym z nim. Wy nie powinniście się wtrącać. Biskopczyk musi jechać z nami.

– A niby po co? – zapytała matka. – Zaraz zadzwonię do twojego ojca i wtedy zobaczymy, co będzie. I nie waż się wspominać mojego męża, bo nie masz pojęcia, o kim mówisz.

Ojciec Biskopczyka zginął podczas napadu na furgonetkę pancerną przewożącą pieniądze na Sardynii. Był kierowcą, nie miał broni, nie brał aktywnego udziału w rabunku, prowadził tylko jeden z dwóch samochodów rabusiów. Zostawił wdowę i trzy sieroty. Pracował jako sprzątac w szpitalu Loreto Mare i tam poznał członków grupy, która parła się napadami. Został zastrzelony w pierwszej akcji, w której wziął udział. Napad jednak się udał. Dwóch bandytów przeżyło i uciekło z pieniędzmi. Matce Biskopczyka dali pięćdziesiąt tysięcy euro. Sami zarobili na tym skoku milion. To wszystko. Biskopczyk znał tę historię i za każdym razem, gdy o tym myślał, ścisnął mu się żołądek. Koledzy ojca ukrywali się przed wymiarem sprawiedliwości. Kiedy docierały do niego jakieś wiadomości na ich temat, przyrzekał sobie, że prędzej czy później ich znajdzie. Matka Biskopczyka, jak wszystkie wdowy, przysięgła sobie, że swoim dzieciom zapewni inny

los, że zrobi wszystko, żeby nie skończyli jak ich ojciec.

Dla Nicolasa natomiast zastrzelony przez policję podczas napadu ojciec Biskopca był bohaterem, jednym z tych, którzy – jak to zawsze powtarzał – sami biorą sobie pieniądze, nie czekają, aż inni im je dadzą.

– Edua’! Kiedy mamusia pozwoli ci wyjść z łóżeczka, zadzwoń, to przyjedziemy po ciebie – zawołał przez otwarte drzwi Maharadża i w ten sposób skończył rozmowę. Rój skuterów parazy pojechał tam, gdzie poprowadził ich boss.

W żółtawym świetle wczesnego poranka, na pustych jeszcze ulicach, pod śpiącymi oknami i praniem suszącym się na powietrzu od poprzedniego dnia, skutery jadące jeden za drugim były jak ministranci podążający rzędkiem na mszę. Można by pomyśleć o nich, że są radosne, kiedy tak żwawo pokonywały pod prąd wszystkie jednokierunkowe uliczki między corso Novara a placem Garibaldi.

Dotarli w pobliżu przystanku autobusowego na tyłach dworca głównego, przejechali slalomem między Ukraińcami czekającymi na autokar do Kijowa i Turkami wymieszanymi z Marokańczykami, którzy zamierzali dojechać do Stuttgartu. W głębi, między parkingiem a szeregiem stanowisk dla autobusów, kręciło się czterech cudzoziemców. Dwaj byli niewysocy, wyglądali na Hindusów, jeden chudy, drugi trochę tęższy, oprócz nich stał tam chłopak o hebanowej skórze i jeszcze jeden, który wyglądał na Marokańczyka. Hindusi pracowali pewnie gdzieś na roli, bo mieli wysokie buty oblepione wysuszonym błotem, dwaj inni byli zatrudnieni na budowie, o czym świadczyły plamy z farby i wapna na spodniach i koszulach.

Paranza na skuterach zbliżyła się do nich, ale żadnemu z ciemnoskórych mężczyzn nie przyszło do głowy, że może im grozić jakieś niebezpieczeństwo, bo nie mieli nic, co warto byłoby ukraść. Nicolas dał sygnał do rozpoczęcia akcji:

– Już, Ząbek, strzel mu w nogi!

Ząbek wyciągnął zza pleców dziewięciokalibrowy pistolet, który dla pewności trzymał pod gumką z majtek, odbezpieczył i strzelił trzy

razy. Tylko jedna z kul trafiła, a właściwie drasnęła stopę Hindusa, który zaczął krzyczeć dopiero w momencie, gdy poczuł ból. Wszyscy czterej rzucili się do ucieczki, choć nie mogli zrozumieć, dlaczego na nich polują. Nicolas ścigał na skuterze czarnoskórego Afrykańczyka. On też strzelił trzy razy, dwa pociski poleciały w powietrze, trzeci utkwiał w prawym ramieniu chłopca, który upadł na ziemię. Drugi Hindus rzucił się w kierunku stacji.

– Eeej! Trafiłem go jedną ręką! – mówił Nicolas, trzymając kierownicę skutera lewą. Briatore przyśpieszył, żeby dopaść rannego Hindusa, który próbował uciec.

Strzelił trzy razy. Cztery. Pięć. I nic.

Wtedy Nicolas krzyknął:

– Jesteś do niczego!

Hindusowi udało się gdzieś schować. Nicolas strzelił w kierunku biegnącego Marokańczyka, trafił go w twarz, gdy ten się odwrócił, żeby zobaczyć, kto go ściga. Odstrzelił mu kawałek nosa.

– Załatwiliśmy trzech *pocket coffee*.

– „Załatwiliśmy”? Nie widziałem żadnego trupa. – Śnięta Ryba nie mógł strawić, że nie znalazł się wśród wybrańców. Chciał strzelać, podczas gdy Nicolasowi zależało przede wszystkim na tym, żeby wymazać wspomnienie idiotycznego upadku z daszku na tarasie.

– Są ranni. Jeszcze uciekają.

Marokańczyk z okaleczonym nosem zniknął, ale Afrykańczyk z kulą w ramieniu leżał na ziemi.

– Masz. – Nicolas podał mu pistolet, ostrożnie, żeby nie poparzyć się gorącą lufą. – Idź, załatw jedną sztukę, wykończ go, strzel mu w łeb.

– Nie ma sprawy – odparł Śnięta Ryba, postawił skuter na podpórce i poszedł do czarnoskórego chłopca, który powtarzał bezskutecznie:

– *Help, help me! I didn't do anything.*

– Co mówisz?

– Mówi, że nie zrobił nic złego – powiedział Nicolas bez chwili wahania.

– To prawda, ten biedny *pocket coffee* nie zrobił nic złego –

stwierdził Lollipop – ale my musimy sobie postrzelać, no nie? – Podjechał na skuterze do leżącego chłopca i zbliżył się do jego ucha: – Nie jesteś winny, *pocket coffee*, jesteś tylko żywym celem.

Śnięta Ryba zbliżył się do rannego, ale nie na tyle blisko, żeby być pewnym na sto procent, że nie spudłuje. Z odległości kilku metrów strzelił dwa razy. Był pewny, że trafił, ale pistolet podskoczył mu w ręce i pocisk ugodził czarnoskórego chłopca z boku, wszedł i wyszedł z tej samej strony szyi. Amunicja się skończyła. Chłopiec płakał i krzyczał. W oknach domu naprzeciwko zaczynały podnosić się żaluzje.

– Co jest, bracie? Nie udało ci się załatwić ani jednej sztuki?

– Nie chciałem skończyć jak John Travolta, nie chciałem, żeby mnie uświł krwią.

Hindus ze zranioną stopą zdołał uciec, podobnie jak Marokańczyk z odstrzelonym nosem. Afrykańczyk dogorywał z rozerwanym barkiem i postrzeloną szyją. Na placu pokazał się samochód policyjny, przyjechał od strony bramy. Żółte oczy seata zapaliły się nagle, podobnie jak syreny. Posuwał się do przodu powoli, przypominał gąsienicę. Może ktoś zadzwonił na policję albo, co bardziej prawdopodobne, znalazła się na tym pustym placu, bo zwyczajowo krążyła wśród podróżujących imigrantów o tej wczesnej godzinie, gdy otwierano pierwsze bary przy ulicy Galilea Ferrarisa i sztuczne światła przegrywały z brzaskiem dnia.

– Kurwa! – krzyknął Nicolas. – Strzelamy w to ścierwo!

Nie uniknęliby aresztowania, gdyby nie to, że Dron, który aż do tej chwili stał nieruchomo i patrzył tylko na to, co się dzieje, wyjął niespodziewanie pistolet i wystrzelił cały magazynek w samochód policyjny.

Nikt nie wiedział, że ma broń. Faktem jest, że podziurawił maskę i przednią szybę. Dołączył do niego Briatore, który miał jeszcze kilka naboí. Jeden z nich dosięgnął syreny na dachu pojazdu, chociaż wcale w nią nie celował. Chłopcom udało się zbiec, bo samochód się zatrzymał. Nie tylko dlatego, że policjanci zobaczyli dym

wydobywający się z silnika, ale także dlatego, że napastników było zbyt wielu i woleli wezwać posiłki. Paranza zdecydowała się rozdzielić.

– Odjeżdżamy osobno.

Każdy wybrał inną drogę. Odjechali na swoich skuterach z fałszywymi tablicami rejestracyjnymi. Wymienili je, zanim jeszcze komukolwiek przyszłoby do głowy ich ścigać, żeby nie płacić za ubezpieczenie.

Szampan

Wrócili do meliny dopiero po kilku dniach, w tym czasie prowadzili spokojne życie. Niektórzy nie chodzili do szkoły, udając chorobę, inni przeciwnie – brali udział we wszystkich lekcjach, żeby nie budzić podejrzeń. Ale podejrzeń nie miał nikt. Ich twarze nigdzie nie zostały sfilmowane, dwaj policjanci, zaspani po nocnym dyżurze, nie potrafili powiedzieć na temat napastników nic konkretnego. Chłopcy obawiali się, że strzelaninę mógł zarejestrować czyjś smartfon albo zainstalowany na samochodzie GoPro, ale policja nie ma pieniędzy nawet na benzynę, a co dopiero na technologiczne nowinki. Pomimo to obawa nie opuszczała żołnierzy paranzы.

Gdy minął tydzień od ćwiczeń strzelniczych z udziałem żywych celów, spotkali się jakby nigdy nic w mieszkaniu przy ulicy dei Carbonari. Wchodzili bez pukania, bo każdy miał swój klucz. Pojawiali się osobno, o różnych godzinach, niektórzy po szkole, inni wieczorem. Zwyczajnie. Jak zawsze. Życie w Forcelli płynęło zwykłym torem. Czas spędzili przy grze w FIFA, zakładając się o pieniądze albo o piwo. Nikt nie wracał do tego, co się wydarzyło, łącznie z Nicolasem. Dopiero pod koniec dnia zszedł do baru i wrócił z butelką szampana.

– Chłopaki, to jest Moët et Chandon. Koniec z tym pogrzebowym nastrojem. To było ważne doświadczenie. Pomogło nam zrozumieć, że od teraz musimy się wprawiać raz w tygodniu na dachach domów.

Na jego słowa jako pierwszy zareagował Dron.

– Co to znaczy? Że co tydzień będziemy musieli szukać imprezy z fajerwerkami? – Już od dłuższego czasu próbował strzelić gola, prowadząc piłkę przez całe boisko jednym zawodnikiem, i teraz, kiedy już prawie mu się to udało, Nicolas wyskoczył z tym swoim pomysłem.

– Żadnych imprez. Będziemy strzelać krótko. Jeden, najwyżej dwa magazynki. Pod domem postawimy czujki. Jeżeli ktoś się nami

zainteresuje, czujki nas ostrzegą i uciekniemy górą, po dachach. Ale musimy znaleźć domy, z których można uciec bez zbiegania po schodach. Skosimy wszystkie anteny w Neapolu.

– Świetnie, Maharadża – powiedział Śnięta Ryba, ale oczy trzymał utkwione w ekran, nie czując bólu odcisków na palcach od joypada.

– Wypijmy za to!

Wszyscy przerwali to, co akurat robili, i złapali za plastikowe kubki. Podsuwali je już pod butelkę, kiedy Ząbek powiedział:

– Nie można pić szampana Moët et Chandon z plastikowych kubków. Poszukajmy prawdziwych kieliszków, na pewno gdzieś tu są.

Otworzyli wszystkie szafki w mieszkaniu i znaleźli kieliszki do szampana, pewnie prezent ślubny dawnego lokatora tego domu, który przetrwał bombardowania i trzęsienie ziemi w 1980 roku. Te mury były nieustraszone.

– Wiecie, co lubię w szampanie? – zapytał Ząbek. – Że kiedy jest odkorkowany, nie można go już z powrotem zakorkować. Z nami jest tak samo: nikt nas nie zakorkuje. Musimy tylko pozwolić wypłynąć pianie – powiedział i kopnął korek od szampana, który odbił się od ściany i wpadł na wieki wieków pod kanapę.

– Dobrze powiedziane – pochwalił Ząbka Nicolas. – Teraz, kiedy już usunęliśmy nasz korek, nikt nie może wsadzić go z powrotem.

Napełnił wszystkie kieliszki i powiedział:

– Wznieśmy toast za Drona, który zatrzymał policjantów i nas uratował.

Wszyscy zaczęli wychwalać Drona i prawić mu komplementy, opróżniając kieliszki:

– Brawo dla Drona! Za twoje zdrowie!

Potem Maharadża usiadł, wygasił uśmiech na twarzy i powiedział:

– To prawda, że Dron nas uratował. Ale też nas zdradził. – Dron zaczął głośno się śmiać, ale Nicolas pozostał poważny. – Ja nie żartuję, Antonio.

Antonio nazywany Dronem podszedł do Nicolasa.

– Co ty pieprzysz, Maharadża? Gdyby nie ja, to siedziałbyś teraz

w Poggioreale!

– Po pierwsze, kto ci powiedział, że nie chciałbym siedzieć w Poggioreale?

– Jesteś szajbnięty.

– Posłuchaj spokojnie! Paranza musi robić wszystko razem. Boss decyduje i cała paranza wykonuje jego polecenia. Jest tak? – Nicolas widział, że wszyscy potakują głowami, czekał tylko na reakcję Drona. Ten wypowiedział tylko jedną literę: „E!”. W języku włoskim pełni funkcję spójnika „i”, ale gdy się ją akcentuje w odpowiedni sposób, ma większą moc niż zwykle „tak”, jest najsilniejszym potwierdzeniem.

– Ukradłeś pistolet z torby, kiedy byliśmy na dachu, prawda? – Nicolas odłożył kieliszek z szampanem i patrzył twardym wzrokiem na Drona. Widać było, że czeka na jakąkolwiek odpowiedź, bo i tak powziął już decyzję.

– Tak, ale zrobiłem to dla dobra paranzы.

– Nie pieprz! Skąd mam wiedzieć, że nie wziąłeś tego pistoletu, żeby użyć go przeciw któremuś z nas? Mogłeś się sprzedać innej paranzы. Mogłeś przejść do Kiciusia.

– Co ty mówisz, Nicò! Mam klucz, należę do paranzы! Jesteśmy braćmi. Jak możesz tak mówić?!

Ząbek miał ochotę się wtrącić, ale w końcu nic nie powiedział. Dron wziął do ręki klucz z meliny, symbol przynależności do paranzы.

– Tym pistoletem ochroniłem paranzę.

– Dobrze. Ale użyłeś go także, żeby ochronić siebie. Zresztą kogo obchodzi ten pistolet? Nie można ci ufać. To bardzo poważne przewinienie. Musisz zostać za to ukarany.

Nicolas obserwował wszystkich innych żołnierzy paranzы. Niektórzy wbili wzrok w podłogę, inni uciekali spojrzeniem, bawiąc się komórkami. W tle ciągle było słychać melodię z FIFA, ale to nie przeszkadzało Nicolasowi.

– Chłopcy, patrzcie teraz wszyscy na mnie. Musimy razem znaleźć dla niego jakąś karę.

Lollipop stwierdził:

– Moim zdaniem Dron po prostu chciał mieć pistolet i nic więcej. Może miał coś do załatwienia. Zrobił głupstwo, ale to dobrze, że je zrobił, bo gdyby nie on, wszystkich by nas wyłapali.

– Nie możesz tego wiedzieć – odparł Nicolas. – A może udałoby się nam uciec? Albo jeszcze postrzelać?

– Maharadża, nie mieliśmy już amunicji – wtrącił się Briatore.

– No to by nas wyłapali. Waszym zdaniem lepiej okradać własnych braci? Lepiej dać się oszukać Dronowi?

Jak to się zwykle zdarza w przypadku zdrady, świadkowie tej rozmowy podzielili się na oskarżycieli i obrońców. Tak podpowiada instynkt. Przynależność do jednej z tych grup zależy albo od stopnia zażyłości z oskarżonym, albo od osobistego przekonania, jak samemu zachowałoby się w podobnej sytuacji. Empatia lub obcość. Więzy krwi lub okoliczności. Jako obrońca wystąpił Dragonbol, który dobrze znał Drona, bo razem chodzili do szkoły zawodowej.

– Maharadża, masz rację. Dron wziął pistolet i nic nam nie powiedział. Ale on nawet się nad tym nie zastanowił. Chciał go sobie trochę potrzymać w ręce. Jasne, że nie użyłby tej spluwy. Nosił ją w majtkach i wyjął tylko po to, żeby nas obronić. Tak się sprawy mają.

Ząbek, bardzo zdenerwowany, wziął na siebie rolę oskarżyciela.

– Tak, ale gdyby wszyscy chcieli tak robić, to nasz magazyn broni byłby teraz pusty. To znaczy... nie może tak być, że każdy bierze, co mu się podoba.

Dron próbował sam się bronić:

– Ale ja przecież nie chciałem kraść! Chciałem sobie trochę potrzymać ten pistolet, potem bym go odłożył, skąd wziąłem. – Stał przed Nicolasem, podczas gdy inni utworzyli wokół niego krąg. Też instynktownie. Prawdziwy sąd.

– Tak, odłożyłbyś, skąd wziąłeś! Akurat! Broń ma być tam, gdzie wszyscy razem zdecydowaliśmy ją przechowywać. Nie można robić tak jak Dron. Musi zostać ukarany – zawyrokował Śnięta Ryba.

Briatore zmienił front, przeszedł do obozu oskarżycieli.

– To prawda, że powinniśmy ci podziękować, bo nas nie

aresztowali. Ale prawdą jest też, że ukradłeś pistolet, a tak nie można.

Dragonbol starał się zwrócić na siebie uwagę wszystkich, rozkładając szeroko ramiona.

– Chłopcy, ja też uważam, że trzeba Drona ukarać. Zrobił głupstwo, ale tylko dlatego, że nie pomyślał. Nie miał złych zamiarów. Moim zdaniem wystarczy, jeżeli wszystkich przeprosi, i sprawa załatwiona.

– Ale jeżeli raz się na to zgodzimy – zaproponował Briatore – to każdy będzie robił głupoty, bo pomyśli, że potem przeprosi i będzie w porządku.

Po trzecim kieliszku szampana także Żetakpowiem rozluźnił się na tyle, że zabrał głos.

– Moim zdaniem, że tak powiem... potrzebna jest kara. Ale nie ciężka, tylko lekka.

– A ja uważam, że kara musi być ciężka – powiedział Biskopcik. – Bo jak nie, to wszyscy zaczną kraść spluwy. – Długo czekał na właściwą chwilę, żeby wygłosić swoje zdanie, przez ten czas zdążył wymodulować niski męski głos, żeby nikt nie pomyślał, że dzieciak znowu ma jakieś kaprysy.

– Ale ja nie jestem „wszyscy”! – zaprotestował Dron. – Jestem częścią parazy. Wziąłem coś, co należało także do mnie i co chciałem szybko oddać.

Żetakpowiem odpowiedział na to:

– Dobrze, ale co by cię to kosztowało, gdybyś zapytał Nicolasa, zapytał wszystkich z parazy? To znaczy... że tak powiem... popełniłeś błąd, ale nie taki znowu wielki. Istnieją błędy, wielkie błędy, małe błędy i prawie błędy. Ja, że tak powiem... Jak dla mnie, zrobiłeś mały błąd albo taki prawie błąd, ale na pewno nie duży błąd. To chciałem powiedzieć i tak myślę.

Dragonbol zajął teraz pozycję sędziego.

– Dron zrobił głupstwo. Ukarzmy go i wszystko będzie załatwione. Nie było już miejsca na obronę.

– Dobrze – wypowiedział się wreszcie Maharadża.

– Ja myślę, że jeżeli ukradł ręką, to powinniśmy mu tę rękę odciąć –

powiedział Ząbek. Wszyscy się roześmiali, ktoś złapał Drona za ucho.

– Skończysz jak Mulat, z obciętą ręką!

– Uważaj – dodał Briatore – bo obetniemy ci ucho, jak policjantowi we *Wściekłych psach*.

– Dobry pomysł! Obetniemy mu ucho – zawołał Biskopcik.

Dron początkowo śmiał się razem z resztą, ale teraz te żarty zaczęły go drażnić. Ząbek dodał:

– Ale we *Wściekłych psach* policjant robi potem za lampę. Musimy podpalić Drona. – I znowu wszyscy w śmiech.

– Nie, nie! – włączył się Żetakpowiem. – Zróbmy jak w *Chłopcach z ferajny!*

– O tak! Zróbmy z Dronem to, co Henry i Jimmy zrobili z Billym Battsem, kiedy go zmasakrowali, aż wykorkował.

Atmosfera się rozluźniła. Nicolas opuścił krzesło sędziego, teraz imitował Joego Pesciego, a Dragonbol odpowiadał mu słowami Raya Liotty.

– Zabawny z ciebie facet.

– Zabawny? Co zabawnego we mnie widzisz? – I tak dalej. Cytowali cały ten dialog z *Chłopców z ferajny*, jak to często robili, wymieniając się czasem rolami. Dron wyglądał na zamyślonego, a może tylko takiego udawał, w każdym razie w pewnej chwili podniósł się i poszedł w kierunku drzwi.

– No dobrze, kiedy już zdecydujecie, co mi zrobicie, dajcie mi znać.

Maharadza w jednej chwili spowaźniał. Jak mim, który przesuwając dłoń po roześmianej twarzy i zostawia ją smutną.

– Dokąd się wybierasz? Najpierw kara, a potem możesz iść do domu, do mamusi.

Lollipop chował w zanadrzu jeszcze jedną żartobliwą propozycję.

– Moim zdaniem najlepszą karą byłoby sprowadzenie tutaj Rocca Siffrediego. Niech mu wsadzi w dupę.

Jeszcze jedna salwa śmiechu.

– To dobry pomysł – powiedział Maharadza. – Chciałbym zaproponować właśnie coś w tym stylu. Ty masz siostrę, prawda?

Dron stał już z ręką na klamce, gotowy do wyjścia. Ciągłe jeszcze myślał, że to tylko przedstawienie. Ale niespodziewanie wymówione przez Nicolasa słowo „siostra” zatrzymało go. Odwrócił się gwałtownie.

– Bo co? – zapytał.

– Jak to: bo co? Pamiętasz film *Kamorysta*? Pamiętasz tego chłopaka, który powiedział: „Podobno profesor jest trochę pedziowaty”?

– Co to ma do rzeczy?

– Poczekaj, zaraz ci wyjaśnię. Pamiętasz czy nie?

– Tak.

– I pamiętasz, o co zapytał go profesor?

– O co?

– Zapytał: „Ta dziewczyna, która cię odwiedza, to twoja siostra, prawda?”. No właśnie, ty też za karę przyprowadzisz mi swoją siostrę. Dokładnie tak samo. Ale nie przyprowadzisz jej do mnie, bo kradnąc ten pistolet, obraziłeś nie tylko mnie. Przyprowadzisz ją do całej paranzы.

– Co ty mówisz, Maharadża? Zwariowałeś?

Wśród chłopców z paranzы zapadło milczenie, które zwykle poprzedza chwilę powzięcia decyzji.

– Przyprowadzisz tu swoją siostrę, żeby zrobiła loda wszystkim chłopakom, żeby ożywiła wszystkie śnięte ryby paranzы.

Dron wyskoczył do przodu, mijając Nicolasa. Chłopcy rozstąpili się przed nim, bo nikt nie odgadł jego intencji. Dron chciał dopaść pistoletu, który zostawił na parapecie okna w pokoju sypialnym meliny. Złapał berette, załadował ją i wycelował w twarz Maharadży.

– Co ty, kurwa, robisz?! – krzyknął Dragonbol.

Maharadża patrzył na niego zwężonymi oczami:

– No, strzelaj. Widzicie, chłopaki? Skradziony pistolet służy właśnie do tego. Chciał nas załatwić. Ale to dobrze, nie ma sprawy. Zobaczmy, co dalej. Strzelaj, a potem ktoś to da na twój kanał na YouTubie.

Dronowi naprawdę przeszło przez głowę, żeby z tym wszystkim

skończyć, żeby rozkrwawić osłupiałe twarze żołnierzy paranzы. Zmasakrować te gęby zastygłe w szoku jak w galarecie. Nie nakręcono jeszcze filmu z taką sceną, a jeżeli tak, to teraz go sobie nie przypominał, bo jego myśli były dalekie od paranzы. Myślał o swojej siostrze Annalisie, która należała do zupełnie innego świata. Dron mocno trzymał berettę. Zbyt mocno, by nie poczuć jej ciężaru – i ten ciężar szybko stał się nie do zniesienia. Opuścił pistolet i usiadł. W pomieszczeniu panowała absolutna cisza. Przerwał ją Maharadża, zimno i bez litości:

– Teraz będziesz musiał przekonać twoją siostrę, żeby tutaj przyszła i zrobiła wszystkim loda.

– Mnie też? – zapytał z głębi pokoju Biskopczik.

– Jeśli ci stanie, to tobie też.

– Stanie, stanie – odrzekł Biskopczik.

– No to załatwione – powiedział Briatore.

– Tego się naprawdę nie spodziewałem... To znaczy, że zrobimy *bukkake!* – zapalił się Ząbek. To egzotyczne słowo wywołało u wszystkich żołnierzy paranzы tę samą wizję: krąg mężczyzn, którzy ejakulują na klęczącą kobietę. Edukacja seksualna chłopców przebiegła na podstawie filmów na Pornhub. *Bukkake* uważali zawsze za nieosiągalną chimerę. Tukan był bardzo podniecony, poprawił sobie gumkę majtek. Dragonbol chciał jakoś pomóc Dronowi, więc powiedział:

– Ja nie chcę, żeby mi ssała. Można nie chcieć, co, Maharadża? Albo muszę koniecznie wsadzić jej go do buzi? Będzie mi trudno, znam Annalisę od dawna.

– Rób, co chcesz. To jest kara dla Drona.

– Mnie się podoba – powiedział Śnięta Ryba. – W ten sposób wszyscy nauczymy się nie robić głupot.

– Ja nie muszę się uczyć – stwierdził Maharadża. – Ja wiem, czym jest paranza. Bez respektowania pewnych zasad będziemy tylko bandą dupków.

Nicolas był zadowolony, że żaden z chłopców oprócz Dragonbola

nie wywodził się ze środowiska kamorry. To on ich wybrał, bez niego nie przyszłoby im do głowy, żeby wejść do grupy o takim charakterze. Nie trzeba było ich zmieniać, a tylko przyciągnąć, włączyć do grupy i nauczyć reguł. Dron złapał za lufę pistoletu i podał go Maharadży.

– Zastrzel mnie od razu – powiedział, a potem, patrząc na innych, dodał: – Zastrzelcie mnie! Tak będzie dla mnie lepiej. Co mnie podkusiło, żeby was bronić! Banda skurwysynów!

– Nie ma sprawy – odparł Maharadża. – Jeżeli nie przyprowadzisz twojej siostry, zastrzelimy cię. Jesteś częścią parazy. Kto zdradzi, umiera.

Dron czuł łyżę w ustach. Wychodząc, trzasnął drzwiami, tak jak to robią dzieci.

Nazajutrz w szkole rozważył swoją sytuację, wziął pod uwagę różne możliwości. Zastanawiał się, czy mógłby odejść z parazy, oddać klucz od meliny i po prostu odejść. A może rzeczywiście powinien im przyprowadzić siostrę? Jak miałby ją przekonać, żeby przyszła? A jeżeli Annalisa się zgodzi? Czy to nie będzie dla niego jeszcze gorsze? Jak wytłumaczy się narzeczonej, jeżeli to do niej dotrze? A rodzicom? Wyobrażał sobie nieraz, jak odwiedzają go w więzieniu, jak stoją przed jego grobem na cmentarzu. Ale nie mógł sobie wyobrazić, że usłyszy od ojca: „Okryłeś hańbą swoją siostrę!”. Nie mógł o tym nawet myśleć. Gdy rozpatrywał różne możliwości, po raz pierwszy w życiu przyszła mu do głowy także myśl, która nachodzi wielu chłopców w jego wieku: że popełni samobójstwo. Myśl przelotna, którą Dron od razu schował ze wstrętem gdzieś głęboko. Rozważył też zemstę. To prawda, popełnił błąd, ale przecież nie na tyle poważny, żeby zasłużyć sobie na tak wielkie upokorzenie.

Po południu zaprosił Dragonbola do siebie do domu.

Dron chodził tam i z powrotem po niewielkim pokoju. Oczy miał spuszczone, jakby wciąż jeszcze szukał jakiegoś rozwiązania. Tylko od czasu do czasu podnosił je na ustawione równo na półkach drony, jakby sprawdzał, czy na pewno są na swoim miejscu.

– Słuchaj, Dron – zaczął Dragonbol, pólężąc na łóżku kolegi – to jest kara przykładna. Nicolas nie wyznaczył jej przeciwko tobie, przeciwko twojej siostrze czy przeciwko nam wszystkim. Służy po to, żebyśmy zrozumieli, że nie wolno kraść broni.

– A jeżeli nie zrobię tego, co mi każe? Jeżeli odejdę z parazy?

– Wtedy oni cię zabiją. Zastrzelą cię. Staniesz się żywym celem, to więcej niż pewne.

– Lepiej dla mnie.

– Nie pieprz – powiedział Dragonbol. Przeciągnął się i wstał z łóżka. Podszedł do wieży stereo pogłośnić muzykę, żeby nie usłyszała ich matka Drona, i usiadł naprzeciwko plakatu klubu Napoli z sezonu 2013/2014. – Ta kara jest potrzebna, dzięki niej paranza się wzmocni, nikt już nie będzie robił żadnych numerów z bronią.

A więc także Dragonbol zaakceptował logikę Maharadży. Dron nie miał nikogo po swojej stronie. Po tej bezowocnej rozmowie z przyjacielem zamieścił na Facebooku kilka swoich zdjęć z Nicolasem. To był taki jego sposób na zapewnienie sobie ochrony, coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej na życie. Gdyby coś mu się stało, łatwiej byłoby skojarzyć to z Nicolasem. Albo przeciwnie – śledztwo ominęłoby przyjaciół, a skupiłoby się na wrogach. Jednocześnie miał jeszcze resztki nadziei, że Nicolas je zobaczy i obudzi się w nim współczucie.

Z biegiem dni rosła jego nerwowość. Każda godzina była udręką. To coraz bardziej przeszkadzało mu działać, a nawet podjąć decyzję. Nie mógł spać, chodził po domu jak pokutująca dusza. W ogóle nie docierało do niego, co mówią domownicy. Matka Drona była bardzo zaniepokojona jego zachowaniem, ale bezskutecznie próbowała się dowiedzieć, co je spowodowało.

– Antonio, co się z tobą dzieje?

Dron czuł się, jakby miał wysoką gorączkę, wyniszczało go to zawieszenie, niezdecydowanie. Na widok jedzenia reagował mdłościami, podobnie jak na wszelkie wyraźniejsze zapachy. Pewnego dnia po kolacji matka i siostra przyszły do jego pokoju.

– Antonio, co się stało? Pokłóciłeś się z Marianną?

– Nie, skąd! Z Marianną nie spotykam się już od sześciu miesięcy. Nic się nie stało. – To była jego jedyna odpowiedź.

– Na pewno coś się stało, to po tobie widać. Poza tym nic nie jesz. Coś w szkole? – Matka i siostra wymieniały wszelkie możliwe przyczyny jego złego samopoczucia, pewnie w nadziei, że jeżeli odgadną właściwą, Dron otworzy się jak *slot machine*, gdy trafią się trzy czereśnie. Radosne dzwoneczki, brzęk pieniędzy, sama radość. Myślały, że gryzą go zwykle u nastolatków smutki i problemy, a tymczasem Dron miał w sobie brutalną wojnę.

Jeszcze bardziej niż perspektywa wmieszania siostry w swoje brudne sprawy dręczyła go myśl, że sprawi zawód ojcu. Gdyby ojciec znał to określenie, powiedziałby o Dronie, że to nerd i że jest z tego powodu bardzo dumny. Pomagał synowi, w czym mógł, nie szczędził pieniędzy na komputer czy tablet dla niego. A teraz Dron miałby od niego usłyszeć: „Okryłeś hańbą swoją siostrę”? To zdanie przez cały czas dudniło mu w głowie.

– Dajcie mi spać! – To była jedyna odpowiedź, jaką uzyskały matka i siostra na swoje pytania. Zapewnił je, że wkrótce poczuje się lepiej i wtedy do nich wróci.

W nocy przyszła mu do głowy nowa kusząca myśl. W komórce miał filmiki z akcji paranzy, które przeniósł do swego Maca. Postanowił utworzyć na YouTube konto, ale tak, żeby nie dało się go skojarzyć z jego ID. Zamieści na nim nagrania ze strzelaniny. Wiedział, że zaraz potem ich zaaresztują. Wszystkich, łącznie z nim. Na nagraniach widać było dokładnie ich twarze. Ale czy w ten sposób zaoszczędziłby siostrze upokorzenia, nie okryłby jej hańbą? Nie umiał się zdecydować, jego drżący palec nad przyciskiem WYŚLIJ był jak wahadło zegara. Spocił się, zrobiło mu się słabo. Zamknął komputer. W głowie brzmiały mu słowa Dragonbola: „Oni cię zabiją”. Od kiedy chłopcy z paranzy to „oni”? Do tej pory nazywali się „my”. Pomyślał, że jest już faktycznie poza paranzą. Więc dlaczego miałby posłusznie poddać się karze? Gdyby tylko miał jeszcze pistolet w plecaku... Umiał

się nim posługiwać, nie przypadkiem zdołał zatrzymać patrol policji.

Nazajutrz nie był w stanie wstać z łóżka. Kiedy matka przyszła do jego pokoju, żeby go obudzić, dotknęła czoła syna i poczuła, że jest rozpalone. Miał gorączkę. W komórce znalazł wiadomości od niektórych chłopców z parazy, także od Maharadży. Nikomu nie odpowiedział. Usłyszał dzwonek telefonu domowego i zaraz potem głos siostry:

– Tak. Cześć, Nicolas!

Dron wyskoczył z łóżka, wyrwał słuchawkę z rąk siostry.

– Nie waż się rozmawiać z moją siostrą! Zrozumiałeś? – I odłożył telefon.

– Co się dzieje? – Annalisa domyśliła się, że dolegliwości brata mają związek z towarzystwem, w jakie wszedł właściwie bez wiedzy rodziny. Ale ona odgadła jego charakter, tylko że nic na ten temat nie mówiła. Także dlatego, że zależało jej na tym, żeby zaczął się liczyć w jakimś środowisku. Nie chciała, żeby spędził życie na oglądaniu filmów w internecie i grach komputerowych. Poza tym blask parazy mógłby stać się częściowo także jej udziałem.

Dron wrócił do pokoju. Annalisa weszła za nim.

– Teraz musimy porozmawiać – powiedziała tym samym tonem, którego używała w stosunku do niego w dzieciństwie, kiedy chciała podkreślić swoje starszeństwo. Dron wyznał jej wszystko, także to, czego nie powinien. Mówił, chodząc tam i z powrotem po swoim małym pokoju, jak przy Dragonbolu, tyle tylko, że zamiast rozpartego na łóżku przyjaciela miał teraz przed sobą siostrę, która słuchała go, siedząc z rękami splecionymi na kolanach.

– Należę do parazy z Forcelli. Razem z Nicolasem, Dragonbolem... – I tak dalej, i tak dalej. Aż doszedł do ćwiczeń strzelniczych na dachu kamienicy. Wtedy usłyszał, że Annalisa powtarza w kółko: „Powariowaliście. Całkiem powariowaliście”. Wziął w ręce jej dłonie, ciągle jeszcze splecione na kolanach i powiedział: – Annalì, jeżeli komukolwiek powiesz o tym, co tu usłyszałaś, nawet mamie, już nie żyjesz.

Jego słowa odbijały się od plakatu zespołu Napoli, od gigantycznego rysunku Raymana i selfie przypiętych do korkowej tablicy – selfie z ulubionymi youtuberami Drona. Odbijały się od modeli dronów poustawianych na półkach we wszystkich kątach pokoju. Te słowa – śmierć, pociski, karabiny maszynowe – nie miały nic wspólnego z tym pokojem.

Wreszcie zdobył się na odwagę. Napił się wody i nie patrząc na siostrę nawet ukradkiem, opowiedział jej, co się stało później. Powiedział o karze, jaką mu wyznaczili za to, co zrobił. Annalisa skoczyła na równe nogi.

– Jesteście obrzydliwi! Ty i twoi koledzy. Obrzydliwi! Masz jeszcze ten pistolet, z którego strzelałeś do policjantów? To zastrzel się z niego. Zastrzel siebie i tych twoich kompanów! – I wyszła z pokoju. Miała rozognioną twarz. Jak mogła być dumna z brata jeszcze pół godziny wcześniej?

Dron był zrozpaczony. Ale przeczuwał, że siostra tak zareaguje. W głębi duszy chciał, żeby tak właśnie zareagowała.

Po tej rozmowie mogło się wydawać, że Annalisa zaraziła się chorobą brata. Nie mogła jeść ani spać, ale umiała lepiej maskować się przed rodzicami. Rozważyła wszystkie możliwe wyjścia, które mogły przyjść do głowy komuś, kto urodził się w tym miejscu na ziemi. I wszystkie, także te najbardziej ryzykowne, polegały na działaniu. Zastanawiała się nad zemstą. Kogo spośród tych, którzy nałożyli na brata taką karę, mogłaby osiągnąć? Nicolas powinien sobie uświadomić, że ustalona przez niego sankcja jest nieadekwatna do przewinienia Drona. Jeżeli ktoś ukradł pistolet, można go za to zastrzelić, tak przynajmniej uważała Annalisa. Ale brat wziął go jako coś swojego i przede wszystkim tym pistoletem obronił ich wszystkich, więc nie zasłużył sobie na tak surową karę. To logiczne.

Wyjścia z tej sytuacji nie należało szukać wewnątrz granic, w jakich mogło do niej dojść. Należało niezwłocznie je przekroczyć, przeskoczyć przez nie tak, jak skacze się przez obręcz ognia.

Tymczasem rodzeństwu nie przyszło nawet do głowy, że mogliby wyjść z granic, w których wyrosli. Annalisa starała się wymyślić jakiś sposób, żeby obronić brata przed szantażem. Doniesienie na niego, że popełnił przestępstwo, nie było dla niej równoznaczne z powierzeniem go w ręce sprawiedliwości, ale ze sprzymierzeniem się z obcym. A sprzymierzyć się można albo z paranzą, albo przeciw paranzы, albo z inną paranzą, ale nie z obcym.

Zażądano od niej czegoś, co napawało ją obrzydzeniem. Gorzej – co uważała za niezasłużone. Gdyby Dron zabił czyjś brata albo gdyby za jego przyczyną wszystkich aresztowano, Annalisa uznałaby za zasłużoną nawet taką karę. Myślała w taki sposób, jakby i ona była w paranzы. Wszyscy byli w paranzы, nawet o tym nie wiedząc. Prawo, jakim się kierowali, było prawem paranzы.

Annalisa miała ograniczony wybór. Czy powinna poprosić o pomoc Kiciusia? A może jakiegoś znajomego policjanta? A może jednak obsłużyć na kolanach całą paranzę? Ta wizja była równie upokarzająca jak myśl, że jej brat to niezguła. Przez chwilę zapragnęła, żeby był taki jak Nicolas albo White. Tymczasem Dron to Dron – nerd, który myślał, że zyska sobie poważanie u ludzi, jeżeli będzie częścią grupy. Miała łzy w oczach. To wszystko było obrzydliwe, jakkolwiek na to patrzeć. Nie mogła się nikomu zwierzyć, nawet najbliższej przyjaciółce, bo ktoś mógłby zdecydować za nią. Wystarczyłoby, żeby przyjaciółka porozmawiała z rodzicami albo żeby wymknęło jej się coś przed jakimś karabinierem bądź zaprzyjaźnionym prawnikiem na prozanej kolacji, a Annalisa przestałaby być panią swego losu.

Została tego dnia poza domem najdłużej jak mogła, ale w końcu – zmęczona i z mieszanymi uczuciami – zdecydowała się wrócić. Całą rodzinę spotkała przed domem. Na drzwiach garażu widniał napis „złodziej”, a obok rysunek członka narysowany jakby dziecięcą ręką. Poza tym ktoś skopał zwijaną bramę do garażu tak dokładnie, że nadawała się tylko do wymiany.

– Dlaczego to napisali?! – zapytał ojciec, zwracając się do syna, jakby ten musiał coś wiedzieć na ten temat. Pomyślał, że prawdopodobnie zrobił jakiś numer przy użyciu narzędzi, na których tak dobrze się znał. Użył czyjś hasła albo ukradł coś w niezabezpieczonym przed takimi wypadkami sklepie internetowym. Krzyknął: – Co zmalowałeś? O co im chodzi?

Dron znalazł się po raz drugi w ciągu zaledwie kilku dni na ławie oskarżonych. Matka uznała go za niewinnego, niemniej jednak od razu wymierzyła mu policzek i dopiero potem zażądała wyjaśnień:

– Kto cię krzywdzi? Mów!

– Mamo, a jeżeli ten napis dotyczy taty, a nie mnie? – Dron zasiał wątpliwości.

Siostra zachowywała się, jakby w tej chwili spadła z przestworzy.

– Co się stało? Kto to zrobił? – pytała, podczas gdy wszyscy wchodzili po schodach. Tymczasem ojciec zyskiwał pewność, że syn ma rację, że napis może odnosić się do niego. Przypomniawszy sobie różne sytuacje na budowach, na których pracował w ostatnich czasach. Być może zbyt pochopnie oskarżył syna. Wiedział, że spotyka się z grupą chłopców, za których nie dałby złamanego grosza, ale napis na drzwiach garażu równie dobrze mógł zrobić ktoś, z kim pracował na budowie. Dron widział, że ojciec wydzwania do znajomych, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego. Napięcie widoczne na twarzy ojca go złamało. Nie był materiałem na kamorystę. Na dole w sieni, podczas gdy matka i siostra jechały do mieszkania windą, powiedział:

– Tato, muszę z tobą porozmawiać.

Dołączyli do Annalisy, która czekała na nich na podeście. Od razu zwróciła się do Drona:

– Antonio, nie powiedziałam ci jeszcze, że już zdecydowałam. Masz rację, zrobimy tak, jak mówi Nicolas.

Ojciec zareagował natychmiast:

– Dlaczego mówicie o tym...

– O Nicolasie?

– Czego chce ten Nicolas?

Dron znieruchomiał. Czy ona zwariowała? Chce mówić o *bukkake* przed ojcem?

– Nicolas zaproponował, żebyśmy założyli stronę internetową, i chce, żebym ja też w tym wzięła udział – odpowiedziała Annalisa.

– Stronę internetową? A z czym? Co też mógł wymyślić ten wykolejeniec? – zapytał ojciec.

– Nie, nie. On ma rację. Na stronie będziemy pisać o sprawach naszej dzielnicy. Może ktoś nawet zapłaci nam za zamieszczenie reklam. Ludzie lubią czytać o tym, co się dzieje pod ich domem, a nie w Rzymie, Mediolanie albo w Paryżu.

Dron na nowo zaczął oddychać, ale nie był pewny, czy siostra przypadkiem nie postradała zmysłów.

Annalisa od razu zrozumiała, że brat się załamał. Ojciec wpakowałby się w straszne kłopoty, gdyby doniósł na paranzę. A zrobiłby to na pewno, żeby nie doszło do wymierzenia kary. Musieliby się wyprowadzić, na pewno nie znalazłby już nigdy pracy na budowie. Lepiej, żeby się nie dowiedział.

Dron jadł kolację w milczeniu, potem wszedł do pokoju siostry.

– Annalì, mówiłaś poważnie?

– Tak, muszę to zrobić. Nie mamy innego wyjścia. A może zamierzasz ich zastrzelić?

– Chcesz, żebym ich zastrzelił? Dobrze.

– Gdybyś to zrobił, zapłacilibyśmy za to wszyscy: mama, ojciec i ja.

Dron wbił spojrzenie w stopy. Czuł ulgę, ale i wstręt do samego siebie za swoją słabość. W jego głowie od wielu dni pojawiały się wciąż te same obrazy: moment, kiedy po kryjomu wyciągnął z torby pistolet i amunicję, noc, kiedy spał z nim pod poduszką, i poranek, kiedy wyjął go zza paska spodni i strzelał do patrolu policyjnego.

Annalisa włączyła telefon i wybrała numer, po chwili powiedziała szorstkim tonem:

– Nicolas? Mówi Annalisa. W porządku. Zorganizuj to przedstawienie i zdejmujemy winę z mojego brata.

Dron zaczął krzyczeć, kopać i tłuc pięściami.

– Nie!

Zniszczył konsolę, jednym ruchem ręki zmiotł drony z najniższej półki, nie uspokoił go nawet odgłos łamanych skrzydeł. Ojciec i matka przybiegli do pokoju.

– Co się stało?

Annalisa robiła wszystko, żeby ochronić rodziców przed prawdą.

– Dowiedzieliśmy się, że napis na garażu odnosił się do niego.

– Widzisz? To teraz mów, kto to zrobił i dlaczego.

– Jestem za bardzo wściekły – odparł Dron.

– Koledzy go oskarżyli, że ukradł pliki z komputera... Ale to nie był on, tylko ktoś inny.

– Możesz im to wyjaśnić, nie? Porozmawiać... – powiedziała matka.

– Tak, akurat! Porozmawiać! Im dłużej koleguje się z tymi śmieciami, tym jest gorzej. Sam niedługo będzie takim samym śmieciem jak oni, zawsze to mówiłem – rzekł ojciec.

To była kropla, która przepełniła czarę.

– To ty jesteś śmieciem! – wypluł z siebie Dron. Ojciec najchętniej powiedziałby: „Na co ty sobie pozwalasz?!”, co byłoby zaproszeniem do starcia, ale milczał. Był nazbyt zszokowany. – To ty jesteś śmieciem – powtórzył Dron. – Umiesz tylko wymyślać drobne oszustwa, żeby załatwiać sobie pracę na budowach. I ciągle muszę wysłuchiwać, że twoi znajomi są lepsi od moich. I wiecznie się skarżysz, że nas na nic nie stać.

– Nigdy niczego ci nie brakowało.

– Jesteś pewny?

Przy każdym zdaniu ton ojca i syna się podnosił, Annalisa i matka obserwowały ich starcie z coraz większą obawą, że sąsiedzi usłyszą, co się u nich dzieje. W końcu matka nie wytrzymała.

– Bądźcie cicho, obydwaj!

Ojciec i syn znieruchomieli nos przy nosie, dyszeli ciężko, żaden się nie cofnął. Annalisa złapała od tyłu brata za ramiona, matka odciągnęła męża. Rozdzieliły ich. Dron wrócił do zrujnowanego pokoju, ojciec zniknął za drzwiami pokoju rodziców, które stały się

nieprzekraczalną granicą.

Annalisa spakowała plecak, wyszła z łazienki i powiedziała:

- Jestem gotowa.
- Po co ci ten plecak? – zapytał oschle Dron.
- Mam w środku swoje rzeczy.
- Jakie rzeczy?

Nie odpowiedziała. Dron czuł w ustach gorycz, a oddech miał tak ciężki, jakby przez całą noc miesił językiem ciężki muł, podchodzący mu do gardła. Nie udało mu się zadziałać, nie zrobił nic, żeby zmienić sytuację. Nie miał żadnej mocy, a przecież był przekonany, że stając się częścią parazytu, będzie czymś więcej, więcej niż sobą. Teraz zaś pozostał bez ruchu, był bezradny.

– No już! Idziemy – powiedziała Annalisa. To ona musiała dodawać bratu odwagi. Dron się zaniepokoił; najbardziej bał się tego, że siostra znajdzie przyjemność w tej sytuacji. Tymczasem ona myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej się to skończyło.

Zeszli na ulicę i wsiedli na skuter. Prowadził Dron, Annalisa siedziała za nim. Kiedy dotarli do ulicy dei Carbonari, paranza była już w komplecie. Zapukali. Drzwi otworzył Nicolas.

- Cześć, Dron, nie masz klucza? Dlaczego pukasz?

Dron nie odpowiedział. Wszedł, i tyle. Klucza nie chciał używać. Nigdy więcej. Usiadł na kanapie.

– Cześć, Annali! – „Cześć” dochodziło z każdej strony, jak „dzień dobry” w klasie, kiedy wchodzi nauczycielka. Wszyscy byli bardzo podekscytowani i prawdę mówiąc, lekko wystraszeni.

– Bierzmy się do roboty – powiedziała Annalisa – skończmy tę tarantelę jak najszybciej.

– Eeej! Żadne „jak najszybciej”! – zaprotestował Maharadża. – Powoli, a dobrze – dodał, poruszając ręką w powietrzu, jakby chciał podkreślić, że on jest tutaj reżyserem. – Szczęście, że jesteś rozsądną i odpowiedzialną dziewczyną. Nie tak jak Antonio, twój brat.

- Skończ z tym – ucięła krótko Annalisa.

Dragonbol jeszcze próbował coś zdziałać:

– Maharadża, naprawdę trzeba to robić? Dron już zrozumiał, że popełnił błąd. A co wspólnego ma z tym Annalisa?

– Zamknij się, Dragonbol – powiedział Maharadża, na co Dragonbol się obruszył:

– Będę mówił, kiedy mi się podoba. Tym bardziej że jestem w swoim domu.

– Jesteś w naszym domu. Melina należy do wszystkich. Także do ciebie. Teraz to dom parazy. Poza tym nie myśl, że jeżeli powtórzysz coś sto razy, to za setnym razem nas przekonasz, chociaż za pierwszym ci się nie udało. Jeżeli coś nie działa za pierwszym razem, to za setnym też nie zadziała.

– Bo mnie się wydaje, że karać Drona za takie głupstwo to przesada – nie poddawał się Dragonbol.

– Jeszcze raz? – zniecierpliwiał się Nicolas. – Nie chcesz wyciągnąć kutasa, to go nie wyciągaj. Koniec rozmowy.

– Nudzisz, Dragonbol – wsparł go Ząbek.

Dragonbol rzucił długie spojrzenie Annalisie, jakby chciał jej powiedzieć, że nic więcej nie może zrobić. Dziewczyna nie okazała żadnego znaku wdzięczności za jego wysiłki. Czowała obrzydzenie do całej parazy, do wszystkich bez wyjątku. Weszła do łazienki i po kilku minutach ukazała się w zupełnie innej postaci. Żołnierze parazy nigdy jeszcze nie widzieli takiej obfitości i zmysłowości. A raczej – widzieli na kanale YouPorn, który był jedyną szkołą edukacji seksualnej dla tych chłopców wyrosłych przy komputerach. Annalisa postanowiła upodobnić się do bohaterki pornosów, których tyle obejrzała. W ten sposób szybciej skończy.

I oto są, zebrani w jednym pokoju, wyglądają, jakby mieli sobie zrobić grupowe zdjęcie. Niżsi z przodu, wyżsi za ich plecami, gdzieś w środku twarz oszołomionego Biskopcika. Przyszła pani nauczycielka. Cała klasa stanęła na baczność. Przez chwilę wszyscy poczuli się poddani obserwacji. Niektórzy zareagowali na to pociąganiem nosem, inni poprawiali na sobie koszulkę, jeszcze inni

wkładali ręce do kieszeni, jakby czegoś szukali. Widziani z dystansu, jaki wytworzył się z chwilą pojawienia się Annalisy, wydawali się tym, czym byli w rzeczywistości – nastoletnimi chłopcami, dziećmi. W ciągu tej długiej chwili wzajemnej obserwacji każdy z nich był sobą samym, a nie tylko częścią grupy. Nie było grupy, nie było paranzы, więc kara wyznaczona w jej imieniu nie miała sensu. Pani nauczycielka weszła do klasy, żeby dowiedzieć się od każdego z osobna, co potrafi. W tym czasie, kiedy znów byli sobą, znaleźli się w próżni, w której czuli się bezbronni albo tylko skonsternowani, z rozwiązanymi sznurówkami w butach i poplątanymi myślami, niezdecydowani, czy powinni zatrzymać spojrzenie w jednym punkcie, czy też uciec nim w bok.

Potem w jednej chwili wszystko wróciło na swoje wcześniejsze miejsce. Annalisa, niewzruszona i zdecydowana, uklękła przed Nicolasem. Kiedy już nie było wątpliwości, że jest gotowa rozpocząć to, czego wszyscy od niej oczekiwali, Dron, nie patrząc na nikogo, włożył sobie do uszu słuchawki z bardzo głośną muzyką, żeby nie słyszeć żadnych innych dźwięków. Ale Maharadza od razu go zatrzymał:

– Dron! Eeej, Dron! – krzyknął, zmuszając go do wyjęcia słuchawek i podniesienia na niego oczu. – Widzisz, jak to się kończy, kiedy ktoś chce wyjechać paranzę? Paranza wyjebie jego i tych, co mają jego krew. A teraz wstawaj, Annalì. Idź się ubrać.

– Neeee! Naprawdę? – nie wytrzymał Śnięta Ryba. Był bardzo podniecony i bardzo rozczarowany.

– O nie! – zawtórował mu Biszkopcik.

Dron miał ochotę uściskać Maharadzę. Gdyby to zrobił, wyglądałoby to, jakby mu dziękował za udzieloną lekcję. Nicolas z wysokości swych szesnastu lat poczuł się tak dojrzały i mądry, że nie zdziwiłby się, gdyby wszyscy kolejno zaczęli całować go po rękach. Do tego pasowałyby mu kwadratowe szczęki jak u Marlona Brando i Vita Corleone, ale na razie musiało mu wystarczyć rozczarowanie na twarzach żołnierzy paranzы, zaskoczona mina Annalisy i zastygła

wdzięczność Drona, który nie był w stanie wydusić z siebie słowa ani nawet zmienić wyrazu twarzy z wymalowanym na niej niedowierzaniem. Przedstawienie jak w teatrze. Nicolas uwielbiał teatralne efekty. Pisał scenariusz swojego dochodzenia do władzy.

Annalisa stanęła przed Nicolasem. Była prawie równie wysoka jak on. Spojrzała na niego, jakby wydzielał jakiś odrażający zapach, po czym powiedziała, akcentując każde słowo:

– Czuję do was wstręt. Do wszystkich, łącznie z moim bratem. – Nabrała powietrza i kontynuowała: – Ale teraz macie go zostawić w spokoju. Jest oczyszczony ze swojej winy.

Nikt nie zareagował.

Annalisa podeszła jeszcze bliżej do Nicolasa.

– Jest oczyszczony? Mów!

– Tak, jest oczyszczony. Dron należy z powrotem do parazy.

– Co za honor! – powiedziała drwiąco Annalisa i odwróciwszy się do niego plecami, poszła do łazienki, żeby się ubrać.

Chłopcy śledzili ją wzrokiem, wlepiali oczy w jej pośladki, aż zniknęła za drzwiami. Potem jeden za drugim wyszli z meliny. Już na schodach stojący na czele grupy Nicolas zapytał:

– Kebab?

– Kebab! – odpowiedziała reszta jednogłośnie.

Jedynie Dron został w melinie. Czekał na siostrę, żeby odwieźć ją do domu.

Część trzecia

BURZA

Sekret kulinarnego powodzenia paranzы smażonej w głębokim oleju polega na dobraniu rybek i owoców morza odpowiedniej wielkości. Wszystkie muszą mieć równie niewielkie rozmiary. Jeżeli przy jedzeniu między zębami zostanie ci ość sardeli, to znaczy, że sardela była za duża, jeżeli potrafisz odróżnić od innych smak kalmara, to znaczy, że kalmar był nie dość mały. I wtedy dania, które masz na talerzu, nie możesz nazwać frittura di paranza, to po prostu mieszanka usmażonych ryb i owoców morza. Gdy jesz prawdziwą frittura di paranza, nie przyjdzie ci nawet do głowy, by odgadywać, co wchodzi w jej skład. Frittura di paranza jest przyrządzana z morskich odpadków, które podane wszystkie razem, i tylko wtedy, stają się smaczną potrawą.

Nie bez znaczenia jest przy tym panierka. Mąka musi być dobrej jakości, poza tym sam proces smażenia też wymaga określonych warunków. Swój niezrównany smak frittura di paranza zdobywa po wygranej batalii na patelni, a przedtem jeszcze przy wytłaczaniu oliwek, przy mieleniu zboża na mąkę i przede wszystkim – przy czerpaniu z morskiej różnorodności. O wygranej można mówić, gdy zachowana jest idealna równowaga i kiedy w ustach paranza ma jeden

smak.

Paranza kończy się w mgnieniu oka. Jak szybko się rodzi, tak szybko umiera. Jak to mówią neapolitańczycy: frienn'e magnanno, to znaczy, że należy ją zjeść, kiedy tylko zostanie usmażona. Musi być ciepła, jak ciepłe jest morze nocą, gdy się ją z niego wyławia. Na dnie sieci rybackiej, gdy po połowie wciągnie się ją do łodzi, jest mnóstwo małych stworzonek – niewyrosłych soli, wątluszy, które za mało pływały, i drobnych mięczaków – wymieszanych z większymi rybami. Te ostatnie szybko się sprzeda, a maleństwa zostaną na dnie skrzyń, wśród bryłek topiącego się lodu. Pojedynczo nie mają żadnej wartości, ale zebrane razem, usmażone i wyjadane z papierowej torebki są prawdziwym przysmakiem. W morzu były niczym, niczym były w sieci, prawie nie poruszyły szali wagi, na talerzu zaś, gdy są odpowiednio przyrządzone, cenią je najwięksi smakosze. W ustach przeżuwa się je wszystkie razem. Razem na dnie morza, razem w sieci, razem w panierce i razem smażone w głębokim oleju, razem w ustach między zębami – razem tworzą jeden smak, smak paranzы. Ale kiedy już są na talerzu, trzeba je zjeść natychmiast, bo zimna panierka odkleja się od rybek, owoce morza wysychają. Smaczna potrawa zamienia się w trupa.

Paranza szybko rodzi się w morzu, szybko jest wyławiana, szybko trafia do gorącego oleju i między zęby. Krótko trwa przyjemność.

My tu będziemy rządzić

Pierwszy powiedział to Nicolas. Był z innymi w Nowym Maharadży, czekali na początek nowego roku. Roku, który miał ich katapultować w przyszłość.

Dragonbol i Briatore stali w ścisku na tarasie w Posillipo nad Zatoką Neapolitańską. Robili to co inni, to znaczy odliczali sekundy dzielące ich od północy, ściskając w rękach butelki Magnum, z kciukami gotowymi do podważenia korków. Falowali wraz z morzem ludzi cieszących się z nadejścia Nowego Roku. Dotyk miękkich tkanin skąpych sukienek dziewcząt, zapach płynu po goleniu, którego oni właściwie jeszcze nie potrzebowali, podsłuchane rozmowy ludzi, z których można było odnieść wrażenie, że decydują o losach świata, i dużo alkoholu. Na tarasie paranza rozpraszała się i zaraz znowu skupiała w jednym miejscu, przez kilka minut chłopcy skakali do rytmu muzyki, trzymając się w pasie, po czym wdawali się w rozmowy z nieznanymi ludźmi. Nigdy jednak nie tracili się z oczu. Przeciwnie, co jakiś czas się szukali, choćby tylko po to, żeby uśmiechem potwierdzić, że wszystko jest wspaniałe. A za rok będzie jeszcze wspanialsze.

Pięć, cztery, trzy, dwa...

Nicolas to słyszał, może nawet wyraźniej niż inni, ale nie postawił nogi na tarasie. Kiedy discjockey zaprosił wszystkich, żeby powitali Nowy Rok, patrząc na morze, otoczył ramieniem Letizię i wszedł z nią w ludzki potok, ale po kilku krokach się zatrzymał, podczas gdy ona poszła dalej, porwana przez ciżbę. Stał przez jakiś czas przed przeszkloną ścianą, za którą ludzie tłoczyli się jak ryby w zbyt gęsto zamieszkanym akwarium, potem się odwrócił i przeszedł do prywatnego saloniku paranzы, pomieszczenia, które dzięki niemu Oscar zarezerwował wyłącznie dla nich. Usiadł w wyłożonym

aksamitem fotelu, nie zważając na to, że był mokry od szampana, i pozostał tam, aż wrócili inni. Powiedzieli, że dużo stracił, bo jakaś kobieta, pewnie naćpana, rozebrała się przed wszystkimi do naga i mąż musiał ją przykryć obrusem. Nicolas powiedział tylko:

– Muszą sobie uświadomić, że teraz nikt już nie będzie bezpieczny. Że domy, sklepy, skutery, bary, kościoły, wszystko istnieje, dopóki my na to pozwalamy.

– Co to znaczy, Maharadża? – zapytał Briatore. Trzymał w ręce siódmy kieliszek szampana Polisy, drugą rozgarniał przed sobą powietrze przesiąknięte zapachem siarki z fajerwerków.

– Że naprawdę wszystko, co jest w tej dzielnicy, należy do nas.

– Ale gdzie tam! Przecież nie mamy tyle pieniędzy, żeby wszystko kupić.

– Na pewno nie będziemy nic kupować. Należy do nas, to znaczy, że jest nasze. Jeśli będziemy chcieli, to możemy wszystko spalić. Muszą zrozumieć, że mają patrzeć w ziemię i siedzieć cicho.

– A jak im to wytłumaczymy? Zastrzelimy wszystkich, którzy nie pozwolą nam rządzić? – wtrącił się Ząbek. Zostawił gdzieś marynarkę i teraz szpanował fioletową koszulą z krótkimi rękawami i widocznym na przedramieniu tatuażem z rekinem, który zrobił sobie niedawno.

– Dokładnie.

Dokładnie.

Wystarczyło to jedno słowo, które otworzyło drogę wielu innym, a te z kolei następnym. Lawina. Czy po latach będą pamiętać, że wszystko zaczęło się od tego jednego modnego wówczas słowa? Że to ono zapaliło lont, podczas gdy wokół świętowanie początku Nowego Roku osiągnęło apogeum? Nie, nikt nie będzie w stanie zrekonstruować tego procesu. Zresztą nie przyszło im to nawet do głowy, bo nie mieli czasu myśleć. Nie mieli czasu, żeby dojrzeć.

Zanim się ukazali, ludzi kręcących się po placu Dantego zaalarmowały niecodzienne hałasy. Przeczucie niebezpieczeństwa albo zwykła

ciekawość sprawiły, że przechodnie i klienci okolicznych barów znieruchomieli w pół kroku lub przy filiżance kawy. Plac Dantego jest otoczony półkolem osiemnastowiecznego Foro Carolino. Od kiedy zamknięto go dla ruchu, została wyeksponowana elegancja dwóch skrzydeł tej budowli zaprojektowanej przez Vanvitellego. W tej enklawie miejskiego piękna tym bardziej szokującym dysonansem było to, co się wydarzyło. Z początku wyglądało to na porachunki band lub atak terrorystyczny. Pojawienie się grupy szturmowej poprzedziło buczenie skuterów i strzały. Buczenie stawało się coraz głośniejsze, aż wjechali na plac od strony Port'Alba w skupionej grupie, jak rój oszalałych pszczół, i zaczęli bezładnie strzelać. Krążyli zygzakami po placu wokół pomnika Dantego, strzelili do niego kilka razy, ale potem skoncentrowali się na oknach i witrynach sklepowych.

Zaczął się sezon zbrojnych rajdów nazywanych w miejscowym żargonie *stesa*, od włoskiego czasownika *stendere*, czyli rozciągnąć, bo tym, którzy przypadkiem znajdują się w polu rażenia gotowych na wszystko zadymiarzy, nie pozostaje nic innego, jak tylko rzucić się na ziemię i rozciągnąć na niej płasko, by nie trafiły ich pociski. Celem takich rajdów jest zasiać strach, a sianie strachu to najszybszy i najtańszy sposób na poddanie sobie jakiegoś terytorium. Skończyły się czasy, kiedy rządzą ci, którzy terytorium zdobywali uliczka po uliczce, terroryzując i korumpując pojedynczych ludzi, zawiązując alianse. Teraz wystarczyło wszystkim naraz rozciągnąć na ziemi. Mężczyzn, kobiety, dzieci. Turystów, sklepikarzy, rdzennych mieszkańców dzielnicy. *Stesa* jest objawem równouprawnienia, bo zmusza do spuszczenia głowy każdego, kto znajdzie się w jej zasięgu. Poza tym nie potrzeba wiele, żeby ją zorganizować. Wystarczy, tak jak w tym przypadku, krótkie polecenie.

Paranza Nicolasa zaczęła od peryferii. Od Ponticelli i Gianturco. Jedna wiadomość na czacie: „Jedziemy na wycieczkę” i żołnierze wyruszyli w drogę na skuterach. Każdy z bronią pod siodełkiem lub za paskiem spodni. Mieli wszystkie jej rodzaje: berettę, parabellum,

smitha & wessona 357, ale także kałasznikowa i karabiny maszynowe M12. Prawdziwa broń bojowa z pełnymi magazynkami, tak żeby nie trzeba było zbyt często zdejmować palca ze spustu. Nie dostali precyzyjnych instrukcji. W pewnej chwili wszyscy po prostu zaczęli strzelać na oślep. Nie celowali do niczego szczególnego. Podczas gdy jedną ręką naciskali gaz i kierowali pojazdem, żeby ominąć przeszkody, drugą trzymali broń i strzelali. Dziurawili trójkąty nakazujące ustąpić pierwszeństwa przejazdu, śmietniki krwawiące potem czarnym szlamem, następnie dodawali gazu, żeby zająć środek ulicy, i celowali wyżej – w balkony i dachy, nie zapominając o sklepach, przystankach i autobusach. Nie mieli czasu, żeby się rozglądać, mogli sobie pozwolić jedynie na szybkie spojrzenia z wnętrza kasków integralnych, by się upewnić, czy nie ma gdzieś policyjnej blokady albo patroli w cywilu na motocyklach, nazywanych „sokołami”. Nie mieli czasu nawet na to, żeby sprawdzić, czy kogoś trafili. Każdemu strzałowi towarzyszył jeden obraz – ludzi schylających głowy i zaraz potem rozciągniętych płasko na ziemi, żeby zniknąć z pola rażenia. Za samochodem, za parapetem balkonu, za kępą dziko rosnącej trawy, która miała upiększyć rondo. Przerazenie, jakie Nicolas i inni chłopcy widzieli na twarzach tych ludzi, było ich przepustką do władzy. *Stesa* trwa kilkanaście sekund, tak jak atak sił specjalnych. Później, gdy już się objedzie jeden kwartał, przenosi się do innego. Nazajutrz zadymiarze przeczytają w lokalnej prasie, jak im poszło, jakie spowodowali szkody i czy były ofiary w ludziach.

Przyszedł czas na starówkę.

– Załatwmy ulicę Toledo – zaproponował Lollipop. Wyjechali od razu. Także tam należało zasiać strach.

– Wszyscy będą srać na żółto – dodał Lollipop. Kolor biegunki, kolor strachu.

Ulica Toledo od placu Dantego prowadziła w dół. Wszyscy jechali z największą prędkością w szaleńczej szarży i tylko Nicolas zaraz za placem Doria d’Angri dostrzegł – bo nie mógł nie dostrzec – wśród

ludzi rzucających się na chodnik kobietę, która stała, a nawet specjalnie wyszła przed drzwi zakładu usługowego z szyldem Blue Sky. Matka rozpoznała go, rozpoznała ich wszystkich. Zwykłym sobie gestem odgarnęła nieujarzmione kruczoczarne włosy z twarzy. Nic więcej. Chłopcy podziurawili witrynę sklepu z ubraniami po przeciwnej stronie ulicy.

Na placu Carità pokręcili się wokół drzew i zaparkowanych samochodów jak jakaś nawiedzona karuzela. Wjechali do galerii handlowej Umberto I, żeby usłyszeć echo strzałów. Potem wrócili aż do sklepu Disneya i tam któryś z żołnierzy paranzы wycelował niżej. Przybyły z Bałkanów uliczny grajek wypuścił powietrze z miecha akordeonu w połowie smutnej piosenki, potem zrobił kilka kroków w kierunku stacji metra Toledo. Osunął się na ziemię, gdy wszyscy wokół niego zaczęli się podnosić. Tymczasem paranza, skupiona jak rój pszczół, pojechała w głąb dzielnicy Quartieri Spagnoli, aż do San Martino, może żeby sprawdzić efekty akcji. Sprawdzili je jak zwykle w dzienniku telewizyjnym i tego wieczoru zobaczyli po raz pierwszy na ekranie swojego trupa, zobaczyli mężczyznę skulonego na akordeonie w kałuży krwi. Był znany z tego, że grał często tę samą smutną piosenkę. Opowiadała o chorej dziewczynie, która poprosiła swego ukochanego, żeby przyniósł jej żółtą pigwę ze Stambułu, bo tylko ona mogła ją uzdrowić, ale chłopiec wrócił z pigwą dopiero po trzech latach, w dniu pogrzebu dziewczyny.

– On jest mój – powiedział Śnięta Ryba.

– Nie wydaje mi się. Myślę, że jest mój – zaproponował Ząbek.

– Jest mój – powiedział Nicolas i inni zostawili mu tę satysfakcję, okazując respekt, a kryjąc wszystkie inne uczucia.

Teraz, kiedy mieli za sobą tyle zbrojnych rajdów, kiedy *stesa* w ich wykonaniu odniosła sukces w tak wielu punktach miasta, przyszedł czas owocobrania. Było dla nich za wcześnie na przejęcie rynku narkotykowego, do tego musieli jeszcze dorosnąć. Doskonale pamiętali lekcję Copacabany: albo zbierasz haracze, albo kontrolujesz punkty sprzedaży narkotyków. Na zbieranie haraczy byli gotowi.

Dzielnica była teraz ziemią niczyją, nadszedł ich czas i zamierzali to wykorzystać.

Nicolas wybrał pierwszy cel – salon sprzedaży jednośladów Yamaha przy ulicy Marina.

Na osiemnaste urodziny paranza dołożyła się do opłaty za egzamin na prawo jazdy, każdy z chłopców wyciągnął z kieszeni sto pięćdziesiąt euro. Ojciec podarował mu skuter Kymco 150, wydał dwa tysiące na maszynę prosto z fabryki. Zaprowadził syna przed garaż i puchnąc z dumy, otworzył przed nim zwijaną bramę. Czarny kymco błyszczał w półmroku. Stojąc przed błotnikiem nad prawym kołem, udekorowanym czerwoną kokardą, Nicolas z trudem powstrzymał śmiech. Podziękował ojcu, który zapytał, czy chce go od razu wypróbować, ale Nicolas odparł, że innym razem, i zostawił go samego w garażu, a ojciec długo jeszcze się zastanawiał, co zrobił nie tak.

Na kymco wsiadł następnego dnia. Czerwona kokarda zniknęła. Pojechał do wytypowanego salonu, po drodze dołączyła do niego reszta paranz.

Kiedy sprzedawcy zobaczyli długi wąż skuterów przesuwaną się slalomem między pojazdami wystawionymi na placu, pomyśleli od razu, że to napad. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Chłopcy z paranz zaparkowali skutery przed dużym oknem, za którym znajdowało się biuro, Nicolas wszedł sam. Od progu wołał, że chce rozmawiać z kierownikiem, bo ma dla niego propozycję nie do odrzucenia. Klienci rozstępowali się przed nim, patrząc na niego z mieszaniną lęku i dezaprobaty. Kim był ten chłopiec? Ale chłopiec nie zwracał na nich uwagi; zlokalizował kierownika, mężczyznę koło czterdziestki, z włosami z wyraźnym przedziałkiem i wąsami à la Salvador Dali, podszedł do niego blisko i zaczął go uderzać w piersi otwartymi dłońmi. Zmusił go w ten sposób do wycofania się do przeszklonego biura i usiadł w jego fotelu, kładąc nogi na stole. Gestem wskazał kierownikowi krzesło przeznaczone dla klientów. Ten masował sobie miejsce na klatce piersiowej, gdzie uderzył go

Nicolas, i próbował coś powiedzieć, ale Nicolas nie dopuścił mężczyzny do słowa.

– Uspokój się, Wąsaczu. Od teraz my ci damy ochronę.

– Nie potrzebujemy ochrony – próbował przeciwstawić się kierownik, nie przestając gnieść koszuli w paseczki. Głuchy ból nie mijał.

– Bzdura. Wszyscy potrzebują ochrony. Zrobimy tak... – Nicolas zdjął nogi z biurka, podszedł do kierownika i złapał go za rękę. Ścisnął ją mocno w swojej dłoni, a drugą wymierzał ciosy w to samo miejsce co przedtem.

– Widzisz moich kolegów za oknem? Będą tu przyjeżdżać w każdy piątek.

Znowu trzy ciosy.

– A teraz przejdźmy do aktu przeniesienia własności. Mój kymco, nowiutki, bez jednego zadrapania. Jest wart tyle co t-Max?

Następne trzy ciosy.

– Tak, oczywiście – odparł kierownik zasapanym głosem. – A jak zrobimy z dokumentami?

– Nazywam się Nicolas Fiorillo. Maharadża. Wystarczy?

Potem przyszła kolej na ulicznych handlarzy.

– Wszyscy, którzy handlują na Rettifilo, muszą nam płacić – oświadczył Nicolas. – Wsadzimy spluwę do gęby każdemu cholernemu czarnuchowi i będą musieli nam dać dziesięć albo piętnaście euro na dzień.

Następnie zaczęli odwiedzać sklepy. Wchodzili i wyjaśniali, że od tej pory oni tu rządzą, po czym ustalali sumę. Właściciele pizzerii i salonów gier czekali w każdy czwartek na wizytę Drona i Lollipopa, którzy zbierali haracz. „Idziemy na badania” – pisali na czacie. Z czasem postanowili zlecić tę pracę jakimś przymierającym głodem imigrantom w zamian za garść euro, za które mogli sobie zapłacić za jedzenie i miejsce do spania. Wszystko to było proste i przebiegało bardzo sprawnie. Wystarczyło nie przekraczać granic swego

terytorium. Jeżeli właściciel sklepu z wędlinami podskakiwał, należało wyciągnąć spluwę i wcisnąć mu lufę do gardła. Nicolas często sięgał po francotte'a, bo jego dotyk sprawiał mu przyjemność i pistolet dobrze leżał w dłoni. Ale niewielu było takich, co próbowali się przeciwstawić. Po jakimś czasie dochodziło do tego, że niektórzy donosili parazy na samych siebie, jeżeli w czwartek, już po zamknięciu sklepu, nikt jeszcze nie wziął od nich haraczu.

Teraz do kasy parazy wpływały prawdziwe pieniądze, z wyjątkiem Dragonbola żaden z nich nie widział nigdy takich sum. Myśleli czasem o chudych portfelach rodziców, którzy harowali całymi dniami, niszcząc sobie zdrowie. Dochodzili wtedy do wniosku, że lepiej od nich zrozumieli, jak należy żyć. Czuli się mądrzejsi i dojrzałsi, uważali, że są prawdziwszymi mężczyznami niż ich ojcowie.

Spotykali się w melinie i liczyli banknoty przy małym stoliku. Podczas gdy palili skręty, a Tukan ładował i rozładowywał pistolet, do czego tak bardzo się przyzwyczał, że nawet nie zauważał, iż robi to bez przerwy, Dron dodawał sumy i wpisywał wszystko do iPhone'a. Na końcu dzielili się pieniędzmi, grali partyjkę *Assassin's Creed*, zamawiali kebab i połknąwszy ostatnie kęsy, wychodzili, żeby wydać gotówkę. W mniejszych grupkach albo z dziewczynami, a czasem pojedynczo. Złoty rolex, ostatni model smartfona, buty ze skóry udającej wężową, od Gucciego, sneakersy od Valentina. Ubierali się w firmowe rzeczy od stóp do głów, łącznie z majtkami – koniecznie od Dolce & Gabbana. Poza tym tuziny róż doręczanych na adresy ich dziewcząt, pierścionki Pomellato, kawior, ostrygi i całe rzeki Veuve Clicquot wypijane na kanapach Nowego Maharadży. Prawdę mówiąc, czasem mieli dość oślizłych i ostro pachnących mięczaków i wychodzili z restauracji, żeby kupić sobie smażoną paranzę jak Bóg przykazał i zjeść ją z zatłuszczonej papierowej torebki na stojąco albo na siodełku skutera. Pieniądze, jak łatwo przychodziły, tak samo łatwo znikwały. Nigdy nie pomyśleli o tym, żeby część odłożyć. Ich celem było zarobić jak najwięcej i jak najszybciej zaspokoić wszelkie zachcianki. Przyszłość dla nich nie istniała.

Paranza rosła. Rosły zarobki i respekt, który widzieli w oczach ludzi.

– Ludzie zaczynają nas unikać, to znaczy, że chcieliby być jak my – mówił Maharadża.

Oni też dorastali, chociaż nie mieli czasu, żeby to zauważyć. Żetakpowiem nie przecierał sobie już twarzy litrami topexanu, trądzik, z którym tak długo walczył, poddał się, zostawiwszy po sobie na pamiątkę blizny, które nadawały chłopakowi wygląd człowieka doświadczonego. Dragonbol i Śnięta Ryba zakochali się co najmniej trzy razy i za każdym razem przysięgali, że to miłość na całe życie. Pochyleni nad smartfonami wystukiwali zdania znalezione w internecie na stronach wyspecjalizowanych w tej tematyce i obiecywali wierność do grobowej deski. Ukochane dziewczyny były najpiękniejsze na świecie, były słońcem oświetlającym całą egzystencję i na pewno będą im wierni do grobowej deski. Briatore, wyśmiewany przez Maharadżę, że zaczesuje włosy do tyłu jak jakiś mediolańczyk, dał za wygraną i ogolił się na zero. Przez jakiś czas chodził w kaszkiecie, ale za każdym razem, kiedy spotykał się z kolegami, ci się z niego naśmiewali. Zwracali się do niego co chwila słynnym zdaniem z *Donnie Brasco*: „Nie musimy ci chyba o tym mówić”, w czym właściwie nie było nic obraźliwego dla kogoś, kto jak on znał ten film na pamięć, ale w końcu mu się to znudziło i wrzucił kaszkiet głęboko do szuflady. Ząbek i Lollipop chodzili razem na siłownię, obaj byli dobrze umięśnieni, tyle że ten pierwszy szybko przestał rosnąć, a Lollipop dalej się wydłużał i zdawało się, że będzie tak już zawsze. Chodząc, obaj wypinali klatkę piersiową i odchylali ramiona, jakby bicepsy nie pozwalały im trzymać ich blisko ciała. Tukan miał już od dłuższego czasu szerokie plecy, ale teraz zrobiły się jeszcze szersze i bardziej muskularne, przez co wytatuowane na nich skrzydła zdawały się porywać do lotu. Biskopczik też się zmienił. Z dnia na dzień urósł kilka centymetrów, jego wyćwiczone na rowerze nogi były gotowe do wszelkich wysiłków. Dron nie używał już okularów, zastąpił je szklami kontaktowymi. Narzucił sobie dietę, przestał jeść kebab i smażoną pizzę. Także Nicolas się zmienił, i to nie

dlatego, że brał coraz więcej kokainy, bo ta, jak się zdawało, nie wywoływała u niego takich efektów jak u reszty parazy. Maharadża kontrolował nawet swoją euforię. Kiedy Dragonbol rozmawiał z Nicolasem, widział wyraźnie po jego oczach, że myśli zaprzęta mu nie tylko to, o czym mówią. Maharadża żartował, organizował codzienne akcje, rozmawiał, wygłupiał się z innymi, ale nigdy nie tracił czujności i pozostawał skoncentrowany na swoich kombinacjach, do których nie dopuszczał nikogo innego. Czasem oczy Nicolasa przywodziły Dragonbolowi na myśl oczy jego ojca, Nunzia Wicekróla, oczy, których on sam nigdy nie miał. Ale te refleksje Dragonbola były jak błyski piorunu podczas burzy, które znikają, gdy tylko dotkną ziemi.

Kim się stawali? Nie było czasu nawet na próbę odpowiedzi. Należało przeć naprzód.

– Granicą jest niebo – mówił często Nicolas.

Narkotyki

Ciszy nie można przerwać, bo cisza nie istnieje. Nawet na lodowcu, na wysokości czterech tysięcy metrów, co jakiś czas coś chrzęści. Nawet na dnie morza usłyszysz bicie swojego serca. Ciszę można raczej przyrównać do koloru – ma setki odcieni i kto urodził się w takim mieście jak Neapol, Mumbai czy Kinszasa, potrafi je rozróżnić.

Paranza zebrała się w melinie w dzień wypłaty. Stos banknotów, czyli miesięczne profity, które należało rozdać żołnierzom paranz, pokrywał stolik z kryształowym blatem. Najpierw Briatore, a potem Tukan próbowali podzielić je na równe części, ale rachunki się nie zgadzały. Zawsze ktoś tracił w stosunku do innych.

– Briatore, czy ty przypadkiem nie uczyłeś się księgowości? – zapytał Biskopczik, który miał przed sobą dziesięć banknotów dwudziestoeurowych i patrzył na setki w ręce Drona.

– Nie – wtrącił się Śnięta Ryba. – Przeleciał kiedyś jedną nauczycielkę, ale i tak go oblała.

Była to aluzja do pewnej starej historii, która prawdopodobnie miała niewiele wspólnego z prawdą, ale chłopcy nie przestawali jej przywoływać przy każdej okazji. Briatore już nawet nie zaprzeczał, a na pewno nie teraz, gdy nie zgadzały mu się rachunki.

Dragonbol zebrał pieniądze od wszystkich i rzucił je ponownie na stolik jak wtedy, gdy przerywa się grę w karty. Zatrzymał się z dwudziestoeurowym banknotem w uniesionej ręce, jakby to był as, którym zamierzał przebić wszystkich.

– Czemu jest tak cicho?

Wszyscy podnieśli głowy, starając się odgadnąć odcień tej ciszy. Jako pierwszy z meliny wyszedł Nicolas, za nim zrobili to inni. Biskopczik chciał powiedzieć, że przed wybuchem jądrowym – jak to widział niedawno w telewizji – zawsze zapada cisza, a potem buuum!

i zostaje sam popiół, ale wszyscy byli już na ulicy, gotowi dołączyć do reszty Forcelli, która korzystała z chwili pauzy. Rzecz jasna hałas w tle nie zamierał nigdy, mieli do czynienia jedynie z odcieniem ciszy, ale to już coś.

Ruch kołowy został zablokowany w punkcie rozwidlenia głównej ulicy dzielnicy. Dokładnie w tym właśnie miejscu zatrzymała się, tarasując przejazd, stara ciężarówka obsługująca przeprowadzki. Nazwa firmy, do której należała, wyblakła, tragarze zostawili otwarte tylne drzwi naczepy. Ludzie wyglądający z okien, przechodnie na chodniku, kierowcy zablokowanych samochodów, w których wyłączyli silniki, oferowali pomoc, ale bez większego przekonania, bo rozpoznali wśród tragarzy żołnierzy paranzы Kudłaczy. Nosili meble z ciężarówki do kamienicy stojącej dokładnie na rozwidleniu, w honorowym punkcie dzielnicy. Meble były staromodne, bardzo ciężkie, typowe dla czasów sprzed dwóch generacji, ale nietknięte zębem czasu, jakby przez dziesiątki lat stały okryte plastikowymi płachtami. Trzech Kudłaczy pocilo się pod ciężarem dwumetrowej figury Matki Boskiej Pompejańskiej, dwóch trzymało za nogi Świętego Dominika i Świętą Katarzynę ze Sieny, podczas gdy trzeci trzymał Matkę Boską za aureolę. Sapali, pocili się i przeklinali w obecności wszystkich tych świętości. Obok stał White, który komenderował nimi krzykiem jak pastuch owcami:

– Jeżeli potłuczecie Madonnę, Madonna potłucze nas!

Poza tym kryształowe żyrandole, obita tapicerką w kolorze czerwieni pompejańskiej i zdobiona złoceniami otomana, krzesła z oparciami wysokimi jak w tronach, fotele, skrzynie z porcelaną. Wszystko, co potrzebne, by rozpocząć życie w wielkim stylu. Gdyby żołnierze paranzы Maharadży, oparci plecami o ścianę kamienicy naprzeciwko, oderwali oczy od tego widowiska i podnieśli je dziesięć metrów wyżej, zobaczyliby w oknie nową panią tego domu, Maddalenę zwaną Dupiastą. Była zła na męża, Crescenzia, znanego jako Roipnol, bo pragnęła zejść na ulicę i przejść się z nim po najbliższym sąsiedztwie. Jednym słowem, chciała się

zaaklimatyzować. Ale mąż nie dał się ruszyć z mieszkania i wśród pustych jeszcze ścian starał się jej wytłumaczyć, że nie może z nią wyjść, bo nie czuje się bezpiecznie. Ale ona może pójść na spacer sama, nikt jej tego nie broni. Spędził dwadzieścia lat w więziennej celi, wytrzyma jeszcze trochę zamknięty we własnym mieszkaniu. Crescenzio starał się udobruchać żonę, ale pogłos w pustych pokojach i ten chłopaczek, Rinuccio Szczylek, który bez przerwy pytał: „Ale podoba wam się, jak wymalowaliśmy mieszkanie?”, działał jej na nerwy i niweczył jego wysiłki.

Dziesięć metrów niżej Kudłacze wchodzili do bramy z ciężarami i wychodzili z niej z pustymi rękami, gotowi przenieść następną rzecz. Tylko White nie ruszał się z miejsca, palił dżointy jeden za drugim i gestykulował jak dyrygent orkiestry.

Nicolas i jego paranza nie odważyli się zrobić nawet jednego kroku. Stali z otwartymi ustami jak grupa staruszków przypatrujących się robotnikom wykopującym doły pod nowe instalacje. Pierwszy odezwał się Biskopcik:

– Nicò, kto to jest?

Cała paranza zwróciła się w stronę Nicolasa. Ten zrobił krok do przodu, stanął przy samym krawężniku i głosem tak zimnym, że mógł wywołać dreszcz, stwierdził:

– Widzisz, Biskopciku, pomoc przy noszeniu mebli może być przyjemnością.

– Komu pomagają?

– Nie wiem – odparł Maharadża i zrobił kilka następnych kroków, odrywając się od paranzы. Doszedł do White'a i szepnął mu coś do ucha. White zapalił kolejnego skręta i poprawił sobie samurajski ogonek, który zapuścił w ostatnich czasach. Oddalili się razem od zbiegowiska i weszli do pobliskiej sali gier, której bywalcy stali teraz wśród innych gapiów na chodniku. White położył się na stole do bilarda i oparł głowę na rękę, tymczasem Nicolas stał wyprostowany, zwinięte w pięści ręce trzymał przy samym ciele. Spocił się ze złości, ale nie ocierał potu z twarzy, żeby nie okazać przed White'em

słabości. W ciągu tych trzech minut, których potrzebowali, żeby dojść do sali gier, White, nie owijając w bawełnę, oznajmił mu, że dzielnica należy teraz do Crescenzia Roipnola. Tak zdecydowano. Niech więc Nicolas i jego chłopaczki się uspokoją, niech wezmą sobie na wstrzymanie.

Nikt z nich nie widział wcześniej Crescenzia Roipnola, ale wszyscy wiedzieli, kim jest i dlaczego dwadzieścia lat wcześniej dostał się do Poggioreale. W tamtych czasach don Feliciano i jego najbliżsi współpracownicy byli daleko – w Rzymie, Madrycie, Los Angeles – pewni, że nikt nie zagrozi imperium podczas ich nieobecności. Ale brat don Feliciano, Wicekról, tracił panowanie nad sytuacją, nie był w stanie powstrzymać tych, którzy chcieli zawładnąć Forcellą, wykorzystując bezkrólewie. Ernesto zwany Boa, człowiek bossa Ogniojada z dzielnicy Sanità, zainstalował się w Forcelli, żeby wprowadzić swoje rządy i podporządkować ją klanowi z dzielnicy Sanità. Na pomoc Wicekrólowi przybył klan Faella, na czele z bossem, Sabbatinem Faellą, ojcem Kiciusia. Przybył też jego zaufany człowiek, zbrojne ramię, Crescenzio Ferrara, znany jako Roipnol. To on zlikwidował Ernesta Boa; zrobił to w niedzielę, podczas mszy, na oczach wiernych, żeby powiadomić wszystkich, że władza don Feliciano pozostaje niezachwiana dzięki Sabbatinowi Faelli. Nieustająca wojna między monarchiami Forcelli i Sanity została ponownie zawieszona, a serce Neapolu – podzielone między dwóch władców, co odpowiadało klanom z zewnątrz.

Crescenzio był narkomanem starej daty, uzależnionym od heroiny. W więzieniu udało mu się przeżyć jedynie dzięki teściowi, ojcu Dupiastej Maddaleny, który dostarczał mu Rohypnol za kraty. Tabletki uspokajały drgawki w kryzysach abstynencji i sprawiły, że nie zwariował, ale spowolniły jego odruchy, tak że często wydawał się naćpany. To jednak nie przeszkodziło, żeby po wyjściu z więzienia powierzono mu funkcję *capozony*, czyli koordynatora części terytorium podległego rodzinie.

Nicolas patrzył, jak White uśmiecha się coraz szerzej, odsłaniając

wystające brązowe zęby. Pomyślał, że temu dupkowi nawet nie przejdzie przez myśl, że jest niewolnikiem.

– Lubisz, jak ci go wciskają? – zapytał Nicolas.

White rozłożył się wygodniej na stole bilardowym, leżał teraz na nim, jakby opalał się na łące.

– Lubisz, jak ci go wciskają? – powtórzył Nicolas, ale White nie zwracał na niego uwagi. Być może nawet nie słyszał jego słów, tak samo jak nie czuł gorącego popiołu ze skręta, który spadał mu na szyję.

– Lubisz, co? Nie muszą nawet na niego napluć.

White nagle usiadł w jakiejś karykaturalnej pozycji jogi. Wciągał chciwie dym z dżointa. Być może chciał wyssać z niego odwagę. Albo zagłuszyć wstyd.

– Jak to jest? – kontynuował Nicolas. – Kiciuś wciska go do dupy Copacabanie, Copacabana Roipnolowi, a Roipnol wciska go tobie. Dobrze mówię?

White rozwiązał sobie kucyk i cienkie, brudne włosy opadły mu na kark.

– Wymieniamy się – odparł i znów położył się na stole.

Nicolas był wściekły, miał ochotę zamordować White'a w tej samej chwili. Gołymi rękami złapać go za szyję i ścisnąć z całej siły, aż zsinieje. A jeszcze bardziej chciałby wejść na czwarte piętro kamienicy, gdzie miał zamieszkać Roipnol, i zamordować jego i jego żonę, a potem wziąć w posiadanie Forcellę, zabrać to, czego Copacabana pozwolił mu posmakować i co mu teraz odebrał. Ale to jeszcze nie był właściwy czas. Opuścił bar i zdecydowanym krokiem podszedł do chłopców z parazy. Nie ruszyli się ani na centymetr z miejsca, gdzie ich zostawił. Kudłacze nieśli teraz ozdobną skrzynię, która nie miała prawa zmieścić się w drzwiach. Nicolas stanął wśród swoich chłopców, jakby był ostatnim kawałkiem puzzli, dzięki któremu układany obraz stał się kompletny. Biskopczik zapytał, nie obracając głowy w stronę szefa:

– Dla kogo noszą te meble?

– Noszą meble komuś, kogo tu posłano, żebyśmy stali się mrówkami Kiciusia.

– Co ty mówisz, Maharadza! – zaniepokoił się Tukan. – Musimy zaraz pójść do Copacabany.

– Tak, pójdziemy i powiemy mu, że odczytaliśmy jego wiadomość.

Nerwowe dreptanie w miejscu, ręce wciśnięte głęboko do kieszeni, pociąganie nosem... Paranza straciła kontemplacyjny nastrój.

– To znaczy? – zapytał Tukan.

– To znaczy, że Copacabana nas oszukał. Odebrał nam klucze do Forcelli.

– I co teraz zrobimy?

– Rewolucję.

Nicolas powiedział im, żeby dołączyli do niego w Nowym Maharadzy. Jeszcze tego wieczoru. Kazał wnieść do prywatnego saloniku nowe fotele dla chłopaków, a dla siebie wybrał tron obity czerwonym aksamitem; Oscar pożyczał go klientom, którzy zamawiali u niego imprezy na osiemnaste urodziny, a przedtem chcieli nakręcić filmik z solenizantem, żeby pokazać go gościom. Nicolas usiadł na nim i czekał na żołnierzy paranzę. Miał na sobie ubranie w ciemnoszare prążki, kupione krótko przedtem, zaraz po rozmowie z White'em. Zabrał z sobą Letizję i weszli do pierwszego sklepu, na jaki trafili w centrum miasta. Kupił też buty z ozdobnymi ćwiekami od Philippa Pleina i kapelusz z szerokim rondem, model Armaniego. Całość była dość ekstrawagancka, ale Nicolas się tym nie przejmował. Z przyjemnością patrzył, jak światła Nowego Maharadzy odbijają się w butach za pięćset euro. Z tej okazji odwiedził także fryzjera, który nadał idealny kształt jego brodzie. Chciał wyglądać perfekcyjnie.

Bębnił palcami po mosiężnych oparciach tronu i obserwował, jak jego żołnierze pochłaniają kolejne kieliszki Moët et Chandon. Dragonbol zapytał, z jakiej okazji świętują. Przecież teraz będzie nimi rządzić Roipnol, więc nie ma się z czego cieszyć. Ale Nicolas nawet mu nie odpowiedział, podsunął tylko bliżej tacę z ciasteczkami.

Z głównego pomieszczenia restauracji dobiegała muzyka w rytmie stu dwudziestu uderzeń na minutę. Pewnie ktoś ma urodziny, impreza potrwa jeszcze długo. To dobrze, pomyślał Nicolas, kiedy chłopcy byli już w komplecie i usiedli w fotelach. Miał ich wszystkich przed sobą, tych swoich apostołów, siedzieli w półkolu, przez co spojrzenia każdego w naturalny sposób kierowały się na niego. Przesunął wzrokiem z prawej strony do lewej i potem z lewej do prawej. Dragonbol też chyba odwiedził rano fryzjera, bo nieporządną cień, który zwykle zalegał na jego twarzy, koncentrował się teraz w formie kreski o wyraźnych brzegach. Briatore wybrał na tę okazję granatową koszulę i zapiął ją aż po szyję, a Dron miał na sobie obcisły T-shirt. Niedawno zaczął chodzić na siłownię i ciężko pracował nad powiększeniem mięśni klatki piersiowej. Nawet Śnięta Ryba zadbał o wygląd, przynajmniej raz zostawił w domu spodnie *oversize* i pokazał się w *north sails*ach z lekko obniżoną talią i przykrótkimi nogawkami, odkrywającymi mokasyny.

Ci chłopcy są piękni, pomyślał Nicolas, objawszy spojrzeniem także Tukana, Lollipopa, Żetakpowiem i Ząbka. Gdyby wypowiedział to na głos, naśmiewaliby się z niego przez całą noc, ale nie wstydził się tej myśli. Biskopczik też był piękny, z tą swoją buzią, która nie straciła jeszcze dziecięcych krągłości.

– Co świętujemy? Że mamy podlegać Roipnolowi? – powtórzył pytanie Dragonbol. Teraz Nicolas powinien już im odpowiedzieć. Najchętniej powiedziałby, że chyba domyślają się, co świętują, jeżeli stawili się na spotkanie tak wyelegantowani. Najwyraźniej zrozumieli, że to nie jest dzień ich klęski.

– Nasza paranza nie podlega nikomu – zaczął.

– No dobrze, Nicò, ale teraz mamy tu tego faceta i jeżeli on tu jest, to znaczy, że Kiciuś tak zdecydował.

– A my zajmiemy się narkotykami. Przejmiemy wszystkie punkty sprzedaży.

Nikom nie musiał tłumaczyć, jak działa system handlu narkotykami. Chłopcy doskonale go znali, urodzili się i wyrosli w tym

świecie. Potrafili rozróżnić twarze „menedżerów” poszczególnych punktów wśród tysięcy innych. Ten system, rodzaj franczyzy, zawsze świetnie funkcjonował i pewnie tak już będzie. Gestorzy punktów mieli wolną rękę przy rozprowadzaniu towaru i tylko jeden obowiązek: płacić pod koniec tygodnia ustaloną sumę klanowi, który kontrolował terytorium. Skąd brali towar? Mieli jednego dostawcę czy było ich więcej? Należeli do klanu? Takie pytania może zadawać tylko ktoś, kto nie jest stąd. Ten system to odmiana kapitalizmu, kapitalizmu bez duszy, który pozwala na tylko tyle swobody, by wszyscy mogli ciągnąć zyski. Jeżeli gestorom udaje się zarobić coś ekstra, klan przymyka na to oko, pozwala na nagrody motywacyjne.

Kto zarządza punktami sprzedaży narkotyków, zarządza częściami dzielnicy, zdobywa terytorium. Regularne haracze i pieniądze wymuszane na ulicznych handlarzach nie pozwalają na zapuszczenie korzeni. Dają zyski, ale na dłuższą metę niczego nie zmieniają. Nicolas układał ambitne plany: marihuana, haszysz, kobret, kokaina, heroina. Jedno po drugim, same słuszne posunięcia, we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Wiedział, że niektórych etapów nie da się przeskoczyć, ale można je przyśpieszyć. Przede wszystkim zaś można zawsze i wszędzie zostawić swój znak, znak paranzu.

Nikt się nie śmiał, nikt nie komentował, nikt nawet nie zakładał nogi na nogę ani nie zmieniał pozycji w fotelu. Po raz drugi tego dnia paranza skamieniała. Oto ich marzenie konkretyzuje się w słowach. To, co robili do tej chwili, było szaleńczym biegiem do celu, który Nicolas odważył się teraz nazwać. Rynek narkotykowy.

Nicolas wstał i położył rękę na czuprynie Dragonbola.

– Ty, Dragonbol weźmiesz punkt przy ulicy Vicaria Vecchia – powiedział i zaraz potem oderwał rękę nagłym ruchem, jakby właśnie uczynił zakłęcie.

Dragonbol wstał z fotela i wyciągnął przed siebie ręce zwrócone wnętrzem do sufitu, po czym podnosił je i opuszczał, jakby niósł na nich jakiś niewidzialny ciężar. *Raise the roof.*

Inni zaklaskali, ktoś odważył się nawet gwizdnąć.

– Briatore będzie zarządzać punktem przy ulicy delle Zite – ogłosił Maharadża i przypieczętował swoje słowa tym samym gestem co przy Dragonbolu. Biskopczik nie wytrzymał i zakłócił powagę sytuacji:

– Ale pamiętaj, Briatore, jeżeli chcesz rządzić, musisz zacząć robić co rano co najmniej sto pompek.

Briatore udał, że zamierza wymierzyć mu za to cios pięścią w nos, ale zaraz potem uklęknął przed Nicolasem i pochylił głowę.

– Dronie, przyjacielu, tobie wyznaczyłem punkt w zaułku Sant’Agostino alla Zecca – powiedział Maharadża.

– O kurde! – wtrącił Briatore, kolejny raz napełniając sobie kieliszek szampanem. – Nareszcie będziesz mógł używać tych twoich gadżetów dla dobra całej paranzы.

– Odpieprz się...

– Lollipop, ty zajmiesz się sprzedażą na placu San Giorgio.

W miarę jak Nicolas przydzielał place narkotykowe, coraz więcej foteli zajmowanych dotąd przez żołnierzy paranzы opróżniało się. Chłopcy, którzy dostali już swój punkt, gratulowali tym, którzy byli za nimi w kolejce, ściskali się, brali sobie nawzajem twarze w ręce i patrzyli sobie w oczy jak wojownicy gotowi wyruszyć na pole bitwy.

Żetakpowiem dostał punkt w rejonie placu Belliniego, Śnięta Ryba – między ulicami Tribunali i San Biagio dei Librai.

– Żetakpowiem, spotkał cię zaszczyt!

– Ząbek, a co myślisz o placu Umberto I? – zapytał Maharadża.

– Co myślę? Teraz dopiero się zacznie!

Nicolas nalał sobie szampana.

– Skończyliśmy, co, chłopaki? Zaczynamy robotę?

– A ty, Maharadża? – zapytał Ząbek.

– Zostawiam dla siebie *delivery*. Usługi na zamówienie.

Biskopczik siedział w samym centrum półokręgu. Nicolas przeszedł przed nim co najmniej cztery razy. Czuł się jak zapomniany przez trenera zawodnik na ławce rezerwowych. Drżały mu usta, wbił paznokcie w obicie fotela, starał się skupić wzrok na jednym punkcie, by nie widzieć roześmianych twarzy kompanów, którzy przed chwilą

wznieśli toast za dzieciaka bez przydziału.

Nicolas wypił szampana jednym haustem, po czym poprosił Biskopcika, żeby wstał. Ten podszedł lekko speszony do swego szefa, który położył mu rękę na ramieniu.

– Wystraszyłeś się, co? Spodnie masz jeszcze suche czy zrobiłeś pod siebie?

I znowu śmiechy i brzęk kieliszków.

Potem Nicolas klepnął Biskopcika w policzek i także jemu przydzielił plac narkotykowy. Jego własny plac.

Teraz już mogli świętować wszyscy razem, cała paranza.

Teraz wszystkim pokażemy!

Dzienniki podały wiadomość o zamachu terrorystycznym. Chłopcy stali przed laptopem Drona i patrzyli na efekty eksplozji i zdjęcia terrorystów.

– Patrzcie, jakie mają brody! – powiedział Tukan.

– Prawie takie jak my – odparł Śnięta Ryba.

– To są prawdziwi faceci z jajami – stwierdził Nicolas.

– Dla mnie to sukinsyny. Zabijają wszystkich jak leci. W wybuchu zginęło dziecko – powiedział Ząbek.

– To było twoje dziecko?

– Nie.

– No to co cię to obchodzi?

– Ja też tam mogłem być!

– Ale nie byłeś – zamknął dyskusję Nicolas i powtórzył to, co powiedział wcześniej: – To faceci z jajami.

– Co ty pieprzysz, Nicolas! Chłopaki, Maharadża ześwirował!

Nicolas usiadł na stoliku, tuż przy komputerze, i spojrzał na nich poważnie.

– Zastanówcie się, czy nie mam racji. Ten, kto jest gotowy za coś umrzeć, ma jaja. I tyle. Nawet jeżeli to „coś” jest takim gównem jak religia, Allach czy bo ja wiem, co jeszcze. Kto idzie na śmierć, żeby coś osiągnąć, jest wielki.

– Ja też myślę, że mają jaja – powiedział Ząbek – ale mogą nam szkodzić. Chcą rznąć nasze kobiety, chcą nam spalić Jezusa.

– Tak czy inaczej, ja ich szanuję, bo są gotowi umrzeć. Także dlatego, że wszyscy się ich boją, a to znaczy, że dopięli swego, udało im się. Niech mi matka umrze, jeśli im się nie udało! Przecież wszyscy srają w gacie, kiedy ich widzą!

– Wiesz, co ci powiem, Maharadża? Mnie się to podoba, że ludzie się

boją facetów z brodą – powiedział Lollipop.

– Ja się nie boję – zaproponował Biskopcik, który nie miał jeszcze nawet cienia zarostu. – Poza tym wy przecież nie nosicie brody dlatego, że należycie do ISIS.

– Nie, ale nie miałbym nic przeciwko temu – powiedział Nicolas i zaraz zamieścił na Facebooku: Allach Akbar. W jednej chwili ukazała się pod jego wpisem cała seria komentarzy z wyrazami oburzenia.

– Maharadża, wpisują ci tu same gówna – zawołał Briatore.

– Niech wpisują. Mam to gdzieś.

– Powiem ci, Maharadża, co myślę – zaczął Tukan. – Brzydzą się ludźmi, którzy mają dużo forsy, a nie muszą ryzykować, żeby ją zdobyć. Tacy, co mają pieniądze, ale nie umieją nawet strzelać, co dostają wysoką pensję albo emeryturę i w życiu nie umieliby zdobyć forsy w inny sposób, powinni wszystko stracić. Szanuję ludzi, którzy mają pieniądze i dla nich ryzykują życie. Ale bez przesady! Ci, co podkładają bomby, co strzelają do dzieci, to dla mnie bydlaki.

Żetakpowiem podniósł się po kolejne piwo. Po drodze rzucił okiem na ekran, na którym po raz enty można było zobaczyć wybuch, i powiedział:

– A mnie się nie podoba, że zamachowcy przy tym umierają. Dla mnie to jest jakieś chore.

– Masz rację – poparł go Dragonbol, a potem, zwracając się do Nicolasa, dodał: – Jak ktoś umiera podczas napadu albo przy jakiejś strzelaninie, to jedno, ale jak ktoś z własnej woli idzie na śmierć, to całkiem inna sprawa. Mnie też się to nie podoba. Coś takiego może zrobić tylko jakiś szajbus.

– No tak – pokiwał głową Maharadża – zostaniemy już na zawsze bandą kutafonów, którzy zadowolą się byle czym.

– Maharadża, o co ci chodzi? Niedługo będziemy królami Neapolu, sam mówiłeś!

– W ten sposób niczego nie zmienimy.

– Ja nie chcę niczego zmieniać – powiedział Lollipop. – Chcę zarabiać dużo pieniędzy. Nic więcej.

– I na tym właśnie polega problem – powiedział Nicolas, a jego czarne oczy zabłyśły. – O tym mówię. Mamy rządzić, a nie tylko zarabiać pieniądze.

– Musimy tu zrobić totalny bajzel! – poparł go Biszkopcik.

– Jeśli ktoś chce mieć władzę, to ludzie muszą go rozpoznawać na ulicy, muszą mu się kłaniać, muszą rozumieć, że nic go nie ruszy, że zostanie tu już na zawsze. Ludzie muszą się nas bać. Oni nas, a nie my ich. – Nicolas sparafrazował tezy Machiavellego, które utkwily mu głęboko w pamięci.

– Ale przecież wszyscy już teraz srają w gacie na nasz widok! – zauważył Ząbek.

– Przed naszymi drzwiami powinna stać kolejka, wszyscy powinni się prosić, żeby ich wziąć do paranzы, a nie ma nikogo.

– Tym lepiej dla nas! – stwierdził Śnięta Ryba. – Jeszcze by tego brakowało, żeby nam wsadzili jakąś wtyczkę!

– Tu nie chodzi o wtyczki – powiedział Nicolas, potrząsając głową. – Wiecie, że paranze zawsze działały na czyjeś polecenie. Jak to mówi policja, kiedy aresztuje jakiegoś chłopaka ze spluwą...

– Mówią, że to zbrojne ramię – dopowiedział Dron.

– No właśnie. A ja nie chcę być niczym ramieniem. Chcę, żebyśmy byli czymś więcej. Ulice mają być nasze. Dotąd myśleliśmy tylko o pieniądzach, teraz musimy zacząć myśleć o władzy.

– Co to znaczy? Co, do jasnej cholery, powinniśmy robić? – Tukan był zdesperowany, brał słowa Nicolasa do siebie. Nikt w paranzы nie rozumiał, o co Maharadży tak naprawdę chodzi.

– Kto ma pieniądze, ten rządzi – stwierdził Ząbek.

– Ale jakie pieniądze? To, co udaje nam się uzbierać, pierwszy lepszy boss zarabia w dwa tygodnie, a przedsiębiorca, taki Criviello, w jeden weekend! – Nicolas podniósł się ze stolika i poszedł po piwo. – Niech mi matka umrze, jeżeli kiedyś zrozumiecie, o co tu naprawdę chodzi. Nie zrozumiecie, i tyle. Nic się na to nie poradzi.

– Tak czy inaczej – zabrał głos Lollipop, żeby zakończyć tę rozmowę, która zastopowała się jak silnik starego motoroweru – lubię nosić

brodę, bo ludzie się mnie boją.

Podczas gdy Lollipop gładził się po wypielegnowanym zaroście, Dragonbol, przygotowując skręta w wygodnej pozycji na kanapie, dołożył swoje dwa grosze:

– Ja się tam brody nie boję. Ci z dzielnicy Sanità mają wszyscy długie brody, a nie robię pod siebie na ich widok.

– Ty nie, ale zwykli ludzie tak – odparł Maharadża.

– Mnie się brody nie podobają – pozostał przy swoim Dragonbol.

– A nam tak. Nicolasowi, Dronowi i mnie, więc już nie dyskutuj, tylko zapuść brodę, to będzie nasz znak rozpoznawczy – powiedział Lollipop.

– Dobry pomysł z tym znakiem rozpoznawczym – pochwalił go Maharadża.

– Chłopaki, ja myślę, że Dragonbolowi broda nie wyrośnie... Jest jeszcze za młody, jak Biskopcik.

– Pieprz się, dupku – odszczeknął się Dragonbol. – A zresztą my mamy skrzydła. To jest prawdziwy znak rozpoznawczy, na skórze. Brodę każdy fryzjer ogoli ci w pięć minut.

Nicolas przestał ich słuchać. Rozdzielił punkty handlu narkotykami, każdy dostał jeden, ale rzeczywiste objęcie kontroli nad nimi to inna sprawa. Wątpił, czy któryś z nich jest w pełni świadomy, że jedno od drugiego dzieli głębokie morze. Ale faktem jest, że najgłębsze morza da się przebyć i dla kogoś, kto od urodzenia jest przeznaczony do tego, by rządzić, nie istnieją przeszkody, które mogłyby go zatrzymać. Granicą jest tylko niebo.

Nicolas wierzył głęboko w swoje możliwości oraz w znaki. Na krótko przed dniem, w którym Roipnol zagnieździł się w Forcelli jak kleszcz gotowy ssać krew, zobaczył Dumba wiozącego na skuterze jakąś kobietę. Dostrzegł, że pasażerka miała około pięćdziesięciu lat, ale jej nie rozpoznał, bo jechali zygzakiem, z ogromną prędkością. Coś jednak kazało mu obserwować Dumba w następnych dniach i szybko odkrył, że wioził na tylnym siodełku Carycę, wdowę po don Cesare

Acanforze nazywanym Negusem. Caryca, prawdziwa królowa San Giovanni a Teduccio, w rzeczywistości miała na imię Natasza, ale nikt o tym nie pamiętał. Była matką nowego króla tej peryferyjnej części Neapolu, Małpopsa. Męża Carycy zamordowali ludzie Archaniola, ponieważ sprzymierzył się z rodziną Faella, chociaż przez wiele lat był związany z klanem Grimaldich. Kiedy już opłakała Negusa, Caryca postawiła sobie jeden cel – mieć wyłączność na heroinę w Neapolu. Nic więcej. Żadnych haraczy, żadnych zbrojnych oddziałów, tylko ludzie zaangażowani do ochrony tego biznesu. Swoim synem pokierowała tak, żeby go do tego przygotować. I rzeczywiście, Małpopies był raczej brokerem niż bossem kamorry. Po jakimś czasie Kiciuś znalazł dla siebie innych dostawców i rodzina Acanfora zaczęła zarabiać mniej.

Rzadko który przydomek tak dobrze pasuje do osoby, która go nosi, jak Małpopies do młodego Acanfory. Kiedy miał szesnaście lat, zawiesił się po grzybkach halucynkach i teraz, pięć lat później, gdy zdarzało się, że w jednym zdaniu musiał wymówić kilka razy literę „s”, ślinił się jak pies i wzdrygał, przypominając małą zaskoczoną niespodziewanie ostrym dźwiękiem. „Trzeba wciągać, a nie dawać po kablach” – radził amatorom heroiny, bo widział wielu ćpunów, którzy wstrzykiwali ją sobie dożylnie i zamieniali się w odrażające zombie z *The Walking Dead*.

Nicolas z łatwością połączył wszystkie elementy: Ząbek – Dumbo – Caryca – Małpopies – heroina.

Ząbek i Dumbo byli jak bracia, co ułatwi mu kontakt z Małpopsem. Dumbo cieszył się poważaniem, choć był nieduży, łagodny i nigdy w życiu nie strzelał. Ale siedział w więzieniu na Nisidzie i to wystarczyło. Nie mógłby wstąpić do parazy, dobrze o tym wiedział, ale kiedy Nicolas poprosił Dumba, żeby ten skontaktował go z Małpopsem, nie mrugnął nawet okiem. Powiedział tylko: „Nie ma sprawy”. I w ten sposób Maharadża błyskawicznie przeszedł do następnego etapu.

Małpopies przyjął Nicolasa, jak przyjmuje się obcego. Nieufnie.

Leżał na kanapie w mieszkaniu w San Giovanni a Teduccio, służącym mu wyłącznie do przyjmowania gości. Głaskał syjamskiego kota, który mrużeniem wyrażał swe zadowolenie, i oglądał w telewizji jakiś reality show. Zanim Nicolas mógł wejść do środka, ludzie Małpopsa dokładnie go obszukali.

– Chcemy, żebyście zaopatrywali nas w heroinę – powiedział bez żadnych wstępów, zdecydowany jak najszybciej pokonać także ten etap.

Małpopies spojrział na niego, jakby był pierwszym lepszym niedorostkiem, który prosi, żeby pozwolił mu strzelić z pistoletu.

– Umówmy się, że przyszedłeś mnie tylko pozdrowić.

– Kicius kupuje u innych, dobrze o tym wiesz.

– No dobra, umówmy się, że przyszedłeś mnie pozdrowić – powtórzył Małpopies tym samym tonem, nie zmieniając pozycji.

– Czy mam porozmawiać z twoją matką? – zapytał Nicolas, obniżając głos, żeby nadać większą moc groźbie, jaka tkwiła w tych słowach.

– Ja jestem głową rodziny. – Małpopies strącił kota na podłogę, wyłączył telewizję i wstał z kanapy. Wszystko to w jednej sekundzie. Ten, którego miał przed sobą, nie był zwykłym niedorostkiem. To była jego szansa. Wiązała się ze skokiem do wody o nieznanym dniu, ale zawsze to lepsze niż pozwolić się przygnieść Kiciusiowi, który właśnie zaczął zaopatrywać się u Syryjczyków.

– Za heroinę musicie płacić mnie.

– Mogę ci dać trzydzieści tysięcy.

– Za tyle ją kupuję.

– Właśnie. Musimy zrobić tak, żeby wszyscy chcieli kupować naszą heroinę. Będziemy ją sprzedawać za trzydzieści pięć euro za gram. Teraz dobry towar można dostać za pięćdziesiąt euro, za czterdzieści dostaniesz jakieś gówno. My będziemy sprzedawać pierwszy gatunek za trzydzieści pięć. Zobaczysz, że za trzy miesiące w całym Neapolu będzie już tylko twoja heroina.

Pespektywa objęcia monopolu na rynku heroiny w Neapolu bardzo

się spodobała synowi Carycy. Podczas gdy Małpopies wyrażał zgodę, Maharadża miał już w głowie następny ruch. Ten ruch był trudniejszy, bo nie wystarczą już efektowne deklaracje bez pokrycia, przynęty zdolne zwabić jedynie małe rybki. Teraz będzie musiał wyjaśnić, na czym polega jego strategia.

Wrócił do swoich chłopców, zastał ich w tym samym barze co zawsze. Kupił piwo i wśród wrzasków żołnierzy paranzы grających w *Call of Duty* wysłał esemes do Bociana. Tym razem nie miał problemów z umówieniem się na spotkanie.

Nicolas musiał wybrać między pijakiem, rybakiem a elegancikiem. To była opłata za przejście przez mieszkanie profesor Cikatello. Stał niezdecydowany przed witryną z porcelanowymi figurkami z Capodimonte w sklepie przy ulicy Tribunali. W końcu podszedł do sprzedawczyni, ale czuł się skrępowany.

– Którą podać?

– Tę... – powiedział, wyciągając rękę w przypadkowym kierunku.

– To znaczy którą – zapytała sprzedawczyni, śledząc oczami ruch ręki Nicolasa. – Tę? – zapytała, dotykając jednej z figurek.

– Wszystko jedno. Którą pani chce.

Włożył figurkę do plecaka i założył kask, później wsiadł na swojego T-Maxa i odjechał przed sklep.

Tym razem było mu trudniej wjechać na osiedle Conocal, już go tu znali. Choć miał na głowie kask integralny, obawiał się, że ludzie Kiciusia zgadną, że to on. Swojej paranzы mógł być pewien, chłopcy, jak na karnych żołnierzy przystało, nie zapuszczali się w zakazane rejony. Nicolas rozglądał się przez cały czas na wszystkie strony; w każdej chwili ktoś mógł do niego strzelić albo mogli zacząć go śledzić policjanci w cywilu z motocyklowej brygady „sokołów”, którzy lubili sprawdzać tożsamość chłopców w kaskach integralnych. Maharadża dojechał na miejsce, gdzie Bocian wyznaczył mu spotkanie, to znaczy przed sklep mięsny, własność osobistego kucharza don Vittoria. Bocian w jednej chwili wskoczył na siodełko za

Nicolasem. Teraz Nicolasa chroniła żywa tarcza, mógł bez przeszkód jeździć po Conocalu.

Zaparkował w garażu pod żółtobrunatnym domem. Tym razem nie przyjechał po broń, potrzebował narkotyków, żeby handlować nimi w swoich punktach, a kilka metrów wyżej mieszkał ktoś, kto mógł mu to zapewnić.

Archanioł siedział w fotelu z ruchomym oparciem. Nicolasowi skojarzył się z krzesłami, na których w Ameryce wykonuje się wyroki śmierci. Od jego ramienia odchodziły cztery kaniule połączone z dużym urządzeniem z migającym ekranem oraz butlą, w której był płyn do dializy. Pomimo całej tej skomplikowanej medycznej aparatury, plątaniny rurek i krwi, która barwiła je na różowo, pomimo wymuszonego unieruchomienia pacjenta w pokoju nie wyczuwało się atmosfery przygnębienia czy choćby napięcia, a urządzenie do dializy emitowało jedynie ledwo postrzegalny dźwięk kontrolki.

– Don Vittorio, jesteście chory?

Zanim Archanioł odpowiedział na to pytanie, odprawił ruchem ręki pielęgniarkę, która stała przy fotelu.

– Ależ skąd!

– No to dlaczego siedzicie przy tej maszynie?

– A ty myślisz, że areszt domowy dają na piękne oczy? Lekarz wypisał zaświadczenie, że mam uszkodzone nerki. Kazał sobie za to zapłacić fortunę, ale dzięki temu odsiaduję wyrok w domu. Zresztą nigdy nie zaszkodzi oczyścić sobie krew, zwłaszcza w moim wieku. Może dzięki temu pożyję sobie dłużej, nie?

– Na pewno.

– Posłuchaj, Maharadza – Archanioł wypowiedział te słowa z uśmiechem na twarzy – wiem, że robisz pożytek z zabawek, które wam dałem. Strzelacie gdzie się da.

Nicolas skinął głową; pochlebilo mu, że akcje parazyty nie przeszły bez echa.

– Ale źle strzelacie. – Don Vittorio zatrzymał się i spojrzał na

maszynę, która pompowała jego krew. – Używacie broni bez rękawiczek, siejecie pociskami. Tak się nie robi! Mam was uczyć podstawowych reguł? Naprawdę z was jeszcze dzieciaki.

– Ale nas nie złapią – powiedział Nicolas.

– Sam nie wiem, czemu zadaję się z takimi szczeniakami. – Don Vittorio obrócił się w stronę Bociana, który zaglądał do środka, stojąc w progu kuchni.

– To co mam robić? Mam sobie iść, don Vittorio?

Archanioł mówił dalej, jakby go nie usłyszał:

– Pierwsza rzecz, o jakiej wie każdy prawdziwy mężczyzna, to ta, że nie zawsze wszystko musi się udać. Powiem więcej: prawdziwy mężczyzna wie, że jeżeli raz mu się uda, to potem prawie na pewno sto razy mu się nie uda. Tymczasem dzieciaki myślą, że sto razy im się uda i ani razu noga im się nie powinie. Ty, Maharadza, powinienes już zacząć myśleć jak dorosły mężczyzna, nie możesz być pewny, że nie spotka cię nic złego. Ten, kto będzie chciał cię załatwić, musi pluć krwią, musi się naprawdę namęczyć, żeby mu się udało. Ty do tej pory strzelałeś do domów...

– To nieprawda! Zabiłem nawet jednego człowieka.

– Nie, to nie ty go zabiłeś. Zabił go pocisk wystrzelony na chybił trafił przez jakiegoś kutafona z waszej paranzы.

Nicolas otworzył szeroko oczy. Brzmiało to tak, jakby Archanioł nie tylko miał wtyczkę w paranzы, ale jakby siedział w ich głowach i czytał ich myśli.

– Wprawiłem się na czarnuchach.

– Też mi bohater! I teraz czujesz się mężczyzną, tak? A co to za problem strzelać do czarnuchów? Popełniłem błąd, nie powinienem wam dawać broni.

– Don Vittorio, my mamy kontrolę nad centrum Neapolu, a wy mi tu, kurwa, coś pierdolicie!

– Oj, chłopcze, będę musiał porozmawiać z twoją matką. Używasz bardzo brzydkich słów. Czujesz się mocniejszy, kiedy tak mówisz? Ale pamiętaj, że nie rozmawiasz z twoim tatuśkiem, więc pilnuj się trochę.

Albo się pożegnamy.

– Przepraszam... Chociaż nie! Żadne przepraszam! Ja wam nie podlegam. Ja wam wyświadczam przysługę! – Nicolas coraz bardziej podnosił głos. – Mam już teraz większą władzę niż wy! Niech mi matka umrze, jeżeli tak nie jest. I daję wam tlen, który Kiciuś całkiem wam już zabrał.

Bocian zrobił kilka kroków w kierunku fotela. Atmosfera stała się napięta, nie podobał mu się ton, jakiego używał Nicolas. Ale Archanioł uspokoił go ruchem ręki, a Nicolas mówił dalej:

– Dajcie nam wasz towar, to, czego nie umiecie tutaj sprzedać. Będziemy waszymi nogami i rękami. Zdobywamy coraz więcej terenu, a wasz towar tutaj kiśnie. Nie sprzedajecie go jeszcze za bezcen tylko dlatego, żeby nikt nie pomyślał, że już całkiem zwijacie interes. Nikt tu nie przyjeżdża, żeby się u was zaopatrzyć. Ciągnięcie do przodu tylko dzięki ćpunom, ale na ćpunach daleko się nie zajędzie.

Archanioł podniesioną ręką uspokajał Bociana. Nicolas wahał się, nie wiedział, czy mówić dalej, czy przestać. Rubikon został przekroczony, nie było powrotu.

– Don Vittorio, kiedy ktoś umiera, nie wróci do życia tylko dlatego, że chce i twierdzi, że dobrze się czuje.

Archanioł zaciskał lewą dłoń na oparciu fotela.

– Mówisz, że zdobywacie coraz więcej terenu? Przecież Kiciuś ma wszystko w garści. Forcella, Quartieri Spagnoli, Cavone, Santa Lucia, dworzec, Gianturco... Mam wymieniać dalej?

– Don Vittorio, jeżeli dacie mi wasz towar, będziemy go sprzedawać we wszystkich punktach.

– Tak? A jak to zrobisz? To już nie jesteś Maharadzą, zamieniłeś się w Harry’ego Pottera? A może jesteś krewnym Świętego Januarego?

– Tu nie ma żadnych czarów ani cudów. Działamy jak Google.

Boss spojrzał na niego uważniej, nie rozumiał, o czym ten chłopak mówi.

– Waszym zdaniem, don Vittorio, dlaczego wszyscy używają Google?

– No, nie wiem... Bo jest dobry...?

– Bo jest dobry i jest gratis.

Archanioł rzucił spojrzenie na Bociana, żeby zobaczyć, czy on to chwyta, ale kucharz miał niepewny wyraz twarzy i zmarszczone brwi.

– Wasz towar gnije. Jeżeli damy go dilerom bez marży, niczego innego nie będą sprzedawać.

– Chcesz ludziom zrobić dobrze moim kosztem?

– Sytuacja jest następująca: Kiciuś płaci za trawkę pięć tysięcy euro za kilo, sprzedaje ją za siedem tysięcy, ale w detalu bierze dziewięć euro za gram. My będziemy żądać zawsze pięć tysięcy.

– Maharadża, przestań pieprzyć. Nie można tego słuchać.

Ale Nicolas mówił dalej i nie spuszczał przy tym wzroku z Archanioła.

– W punktach będą dalej sprzedawać towar Kiciusia, ale będą też sprzedawać nasz. To znaczy wasz. A wasz towar jest dobry, don Vittorio, jest czysty. Tylko że sama jakość nie wystarczy.

Logika Nicolasa zaczęła naruszać sceptycyzm don Vittoria, opuścił rękę i słuchał uważnie, podobnie jak Bocian.

– Ja wiem, kogo chcę wyrolować. Tego samego człowieka co wy.

– No dobrze, ale ile na tym zarobimy?

– Nic. Dokładnie tak samo jak Google.

– Nic... – Don Vittorio Grimaldi powtórzył to słowo, które zawsze brzmiało dla niego zbyt ostro.

– Nic. Postaramy się, żebyście wyszli na zero. Najpierw zrobimy wszystko, żeby ludzie zaczęli korzystać z waszego towaru jak z Google'a, a potem, kiedy już wszyscy będą przychodzić tylko do nas, wprowadzimy nowe ceny.

– Wszyscy pomyślą, że nasz towar to szajs. Dilerzy będą myśleć, że dodajemy jakąś truciznę.

– Wystarczy, że spróbują, i poznają się na jakości. Kokaina też, don Vittorio, musicie nam dać także kokainę, nie tylko trawkę.

– Nie przesadzasz?

– Nie. I musicie ją sprzedawać za czterdzieści euro.

– To żaden interes. Ja kupuję kokę za pięćdziesiąt tysięcy za kilo.

– Kiciuś spuszcza kokainę dilerom w punktach za pięćdziesiąt pięć euro. Ci biorą dziewięćdziesiąt za gram, kiedy jest czysta, niewymieszana z pastą do zębów.

– Ale w ten sposób będziemy ją naprawdę dawać w prezencie.

– Gdy tylko ludzie zaczną szukać naszego towaru, podniesiemy ceny i dojdziemy do dziewięćdziesięciu, a nawet stu euro za gram. I będziemy handlować także poza Neapolem.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się don Vittorio – A potem zawieziemy ją do Ameryki.

– Oczywiście! Nie zatrzymam się na tym mieście.

Bocian stał za plecami Archaniola, nie mógł więc zobaczyć uśmiechu na twarzy szefa.

– Bardzo chcesz rządzić, prawda?

– Już rządzę.

– Niech ci będzie, że rządzisz. Ale na razie nikt nie może ci ufać na sto procent.

– Nie myślcie sobie, don Vittorio, że wypiję wasze siuśki, żebyście mieli do mnie zaufanie. Tego nie zrobię.

– Coś ty! Jakie siuśki! Ale nie widziałem jeszcze bossa, który nie zaliczyłby przynajmniej jednej sztuki. Dam ci dobrą radę, Maharadża: gdy tylko spotkasz kogoś, kto ci będzie przeszkadzał, zastrzel go. Ale sam!

Teraz to Nicolas uważnie słuchał każdego słowa don Vittoria.

– Ale jeżeli zrobię to sam, nikt mnie przy tym nie zobaczy – zaproponował.

– To i lepiej. Do ludzi dotrą pogłoski i będą się jeszcze bardziej bać, niż gdyby to widzieli na własne oczy. I pamiętaj, że przed akcją nie można nic jeść. Bo jeżeli trafią cię w brzuch, dostaniesz zgorzeli. Poza tym musisz mieć rękawiczki z lateksu, dres i buty. Po akcji wszystko trzeba wyrzucić. Zrozumiałeś?

Nicolas skinął głową. Uśmiechał się.

– Musimy to oblać! Bocian, przynieś bąbelki.

Toast za porozumienie wzniesli szampanem Moët et Chandon,

zetrnęli kieliszki, ale każdy załatwiał w ten sposób inną sprawę. Maharadża marzył o objęciu kontroli nad całym Neapolem, Archanioł chciał wyjść ze swojej klatki i wrócić do gry.

Przed pożegnaniem Nicolas wyjął z plecaka porcelanowy bibelocik.

– Jak myślicie, don Vittorio, spodoba się pani profesor? – Trzymał w dłoni figurkę chłopca z girlandą róż.

– Bardzo ładna. Dobrze wybrałeś.

Kiedy Nicolas schodził już do mieszkania piętro niżej, usłyszał głos Bociana:

– Maharadża!

– Tak?

– Ty jesteś ras.

Nicolas spojrział na niego oczami, które przypominały czarne szpilki, i powiedział:

– Wiem.

Walter White

Nic nie szło tak, jak sobie założyli. Czasem nie mogli się nawet zbliżyć do dilerów kierujących punktami sprzedaży. Lollipop miał najgorsze doświadczenia. Zaprowadzili go do jakiegoś mieszkania, z tych, które wychodzą prosto na ulicę, żeby jak mówili, swobodniej porozmawiać o proponowanej przez paranzę marihuanie, i tam obezwładnili go uderzeniem w twarz. Obudził się dwie godziny później, przywiązany do krzesła, w pomieszczeniu bez okien. Nie wiedział, czy to dzień, czy noc, czy jest w Forcelli, czy w jakiejś budzie na polu za miastem. Próbował krzyczeć, ale jego głos zdawał się odbijać tylko od ścian i nie wychodzić poza pomieszczenie. Kiedy się uspokajał i nasłuchiwał okolicznych hałasów, docierał do niego jedynie szum wody przepływającej w rurach. Uwolnili go dopiero następnego dnia i odkrył wtedy, że spędził noc w tym samym mieszkaniu, do którego go zaprowadzili.

– Spierdalaj stąd, chłopaczku. I przekaż to także twoim koleżkom.

Innym chłopcom z paranzą grożono, kilku zobaczyło wycelowane w siebie lufy pistoletów, za Briatorem jeździły przez jakiś czas trzy skutery, Biskopcikowi skopali żebra i jeszcze dwa dni później miał trudności z oddychaniem. Krótko mówiąc, potraktowano ich jak dzieciaki, które wyobrażają sobie, że są kamorystami.

Starzy dilerzy, którzy wykonywali tę robotę jeszcze za czasów bossa Cutolo, śmiali się w twarz Nicolasowi i jego chłopcom. Towar dostawali bezpośrednio od Kiciusia, Roipnol dawał im ochronę. Nie chcieli nawet słyszeć o tym, żeby paranza Maharadży zaopatrywała ich w trawkę i heroinę. Co to za nowość? Za kogo oni się uważają? Chcą dyktować warunki facetom, którzy się urodzili, zanim jeszcze ich rodzice przyszli na świat?

– Maharadża, nie ma innego wyjścia. Musimy załatwić tych

skurwysynów.

W Nowym Maharadży, w melinie, na skuterach – Nicolas słyszał to od chłopców za każdym razem, gdy w którymś z punktów odmawiano handlowania ich towarem. A towaru mieli teraz bardzo dużo. Od owego pamiętnego wieczoru w ich prywatnym saloniku minęły dwa tygodnie i w tym czasie niczego jeszcze nie osiągnęli. Nicolas kupił wielkie walizki, w których zamierzał trzymać pieniądze, ale leżały puste na łóżku w melinie. Nieraz przychodziło Nicolasowi do głowy, żeby wyjąć z arsenału dziesięć karabinów Uzi i skosić tych dupków, którzy nie chcieli im płacić, ale trzymał takie myśli na wodzy, a swoim chłopcom kazał przysiąc na krew paranzы, że nie użyją broni. Nie mogli sobie pozwolić na otwartą wojnę. Jeszcze nie teraz. Mieliby przeciwko sobie Kiciusia, Roipnola, Kudłaczy – wszystkich razem. Nie. Należało wykonać chirurgiczną operację, uderzyć w jednego, dając nauczkę także innym, tak jak w tym zdaniu, które zamieścił na Instagramie. Poza tym w głowie wciąż rozbrzmiewały mu słowa Archanioła: „Nie widziałem jeszcze bossa, który nie zaliczyłby przynajmniej jednej sztuki”, wypowiedziane kpiącym tonem, żeby go upokorzyć tak samo jak wtedy, gdy przyszedł do niego po raz pierwszy i musiał się przed nim rozebrać do naga. To prawda, że nikogo jeszcze nie zabił z premedytacją, ale i tak ton głosu don Vittoria głęboko go uraził. Ten człowiek, uwięziony na osiemdziesięciu metrach kwadratowych swego mieszkania, powierzył jemu i jego paranzы praktycznie wszystko: broń, narkotyki i zaufanie, co jednak nie przeszkadzało mu chłostać go ironią i upokarzać przy każdej okazji. Respekt, którego Maharadża wymagał i który rzeczywiście miał u żołnierzy paranzы, powinien teraz zostać „ochrzczone” krwią.

Nauczkę powinni dostać w pierwszym rzędzie ci, którzy byli w grze najdłużej. Egzekucja jednego z nich byłaby równoznaczna z wymazaniem kawałka historii. W ten sposób przygotowałyby miejsce na nową historię, której bohaterami mogliby być on i jego paranza. Nowi ludzie, nowe zasady gry. Koniec z tolerowaniem nadwyżek ze

sprzedaży – wszystkie zyski powinny trafiać do ich kieszeni.

Melon prowadził bardzo uregulowane życie. Kierował swoim punktem jak sumienny urzędnik, który zawsze punktualnie przychodzi do biura, tyle tylko, że zamiast siedzieć osiem godzin za biurkiem, sączył mojito w barze. Mojito było jego jedyną słabością, pamiątką po kilku latach ukrywania się przed włoskim wymiarem sprawiedliwości pod inną szerokością geograficzną. Melon sam nauczył właściciela baru, jak należy przyrządzać idealne mojito, które miało niewiele wspólnego z miksturami konsumowanymi z dala od ojczyzny tego trunku. Dokładnie o piątej po południu wstawał, związał „Gazzetta dello Sport”, wkładał ją sobie pod pachę i wracał do oddalonego o mniej więcej pięćset metrów mieszkania. Szedł nieśpiesznie, równym krokiem, na miejscu najpierw sprawdzał, czy koty zjadły całe mięso, które zostawiał dla nich rano przed bramą do garażu. Nudne, właściwie żałosne życie, toczące się wciąż w tych samych, wyżłobionych przed laty koleinach.

Nicolas znał jego przyzwyczajenia, wszyscy je znali. Wiedział, ile kostek lodu wrzuca do swego mojito (pięć, i wszystkie musiały być identyczne), które strony gazety czyta w pierwszej kolejności (dotyczące rozgrywek międzynarodowych), ile kotów dokarmia (dwa, krótkowłose, brązowe, o nieznanej przeszłości).

Maharadża powiadomił paranzę, że tego dnia mają dzień wolny, mogą robić, co chcą, byle tylko trzymali się z dala od punktów sprzedaży narkotyków. Zamierzał dać komuś porządną naukę i potrzebował spokoju. Za niewielkie pieniądze zamówił na Amazonie zestaw, który zobaczył w serialu *Breaking Bad*: kombinezon, rękawiczki, maskę, a nawet sztuczną brodę, ale tę od razu wyrzucił. Ząbkowi polecił przynieść z budowy buty ochronne, których i tak nikt tam nie używał. Wszystko to włożył do szkolnego plecaka. Schował się za betonowym filarem przy zjeździe do garażu Melona. Pozycja doskonała, bo nikt oprócz Melona się tam nie zapuszczał. Zdjął ubranie, po czym zaczął się przebierać za Waltera White’a. Spokojnie, dokładnie, dbając o to, by lateksowe rękawiczki idealnie, bez

najmniejszej fałdki przylegały do skóry. Żółty kombinezon pasował na niego doskonale i choć wyglądał w nim jak w kostiumie karnawałowym, materiał, z którego został uszyty, zdawał się wytrzymały. To miała być szybka, sprawna egzekucja, po której nie mogło zostać żadnych śladów, przynajmniej na jego ciele. Naciągnął kaptur i założył maskę przeciwgazową, na razie na czoło, żeby opuścić ją we właściwym momencie. W tej pozycji dwa filtry maski wyglądały jak uszy Myszki Miki. Przykucnął, opierając plecy o betonowy filar, w ręce trzymał rewolwer. Na ten swój pierwszy raz wybrał starego francotte'a, chociaż wybór miał ogromny. Wiedział, że rewolwer może się zablokować, ale czuł, że tak się nie stanie. Za spokój przy zmianie ubrania płacił teraz strumyczkami potu spływającymi po plecach i ramionach. Starał się kontrolować oddech, ale bez powodzenia; oddychał coraz szybciej, bo przy każdym głębszym hańście powietrza różne części ciała przypominały mu, że coś może się nie udać. Na niebieskich rękawiczkach rosła plama wilgoci od potu. A jeżeli francotte wyśliznie mu się z ręki? Kombinezon, który wcześniej wydawał się we właściwym rozmiarze, zaczął uwierać go w kroku. A jeżeli opóźni jego ruchy, gdy będzie podchodzić do Melona? Kolana mu drżały. Tak, wyraźnie drżały. Kiedy starał się powstrzymać drżenie, płuca przestawały mu na chwilę pracować. Wyrzucał sobie, że jest tchórzem. Gdyby inni zobaczyli go z czerwoną i błyszczącą od potu twarzą, co by sobie o nim pomyśleli? Koniec parazy. Każdy chciałby rządzić sobą. Paranza rozbiłaby się na tyle części, ilu ma żołnierzy.

Kwadrans po piątej ciężkie kroki na zjeździe do garażu zapowiedziały pojawienie się Melona. Punktualnie jak zawsze. Nicolas obliczył, że Melon będzie musiał zrobić dwadzieścia siedem kroków, żeby dojść do bramy garażu. Odczekał dwadzieścia pięć, spuścił maskę na twarz i wyszedł z za filara z wyciągniętym do przodu rewolwerem. Wizjer maski zaparował, ale już po chwili był w stanie wycelować precyzyjnie w łysą głowę Melona. Kiedy jednak zobaczył, jak jego wyjątkowo duże jabłko Adama porusza się w górę i w dół

z powodu zaskoczenia, pomyślał, że chciałby usłyszeć dźwięk, jaki wyda, gdy trafi w nie dwiema kulami. Poza tym, kiedy znajdą martwe ciało Melona przed bramą garażu, rozejdzie się wiadomość, że Melon na zawsze przestał mówić. I że teraz zamiast niego będzie mówił ktoś inny.

Melon nie zdążył nawet porządnie się zdziwić na widok tego cudaka w żółtym kombinezonie, bo Nicolas od razu nacisnął dwa razy spust. Strzelił bez namysłu, skupił się wyłącznie na swojej dłoni. Nogi jeszcze mu drżały, ale postanowił nie zwracać na to uwagi. Kule wbiły się dokładnie tam, gdzie celował. Straszny huk wystrzału poprzedził odgłos eksplozji jabłka Adama. Puff, puff. Jak przedziurawiona opona. Nicolas podniósł plecak i uciekł, nie sprawdzwszy nawet, czy Melon jest martwy.

Ale Melon zmarł naprawdę, wiadomość o tym dotarła błyskawicznie do wszystkich, nie było potrzeby dzielić się nią na czacie.

– Wiesz, Maharadża? W siłowni wszyscy mówili tylko o zabójstwie Melona.

Wiadomość już obiegła dzielnicę. Dzień po egzekucji Melona chłopcy z parazy umówili się w Nowym Maharadży. Lollipop podszedł od razu do Nicolasa, który właśnie tańczył. Wyszepiane prosto do jego ucha słowa Lollipopa zabrzmiały jak eksplodujące jabłko Adama. Puff, puff.

– To dobrze – odparł i skierował się na środek parkietu, ale Lollipop go zatrzymał.

– Ale mówili o tym nie tak, jak trzeba. Jakby zabił go Roipnol, bo Melon robił z nami interesy. Za karę. Wszystko na odwrót. Do ludzi dociera to właśnie w takiej wersji.

Maharadża się zatrzymał. Słowa Lollipopa długo rozbrzmiewały mu w głowie, towarzyszyło temu bardzo nieprzyjemne uczucie. Podobne do drżących nóg. Nikt nie odczytał jego podpisu pod tym morderstwem, bo paranza, którą dowodził, nie była rozpoznawalna.

I teraz każdy mógł sobie przypisać jego akcję. Poczł się nieskuteczny, poczuł się smarkaczem. Dawno juź nie doświadczył tego uczucia. Poszedł z Lollipopem do saloniku, gdzie juź siedzieli Dragonbol i Ząbek. Zwrócił na nich pytające spojrzenie, potwierdzili, że i do nich wiadomość dotarła w takiej postaci. Ale to nie wszystko. Nadchodziły sygnały od ludzi, którzy w taki czy inny sposób współpracowali z paranzą. Czy nie skończymy przypadkiem jak Melon? – pytali wystraszeni.

To ja! To ja zrobiłem! – Nicolas miał ochotę wykrzyzczyć to całemu światu. Ale się opanował.

W przeciągu dwudziestu czterech godzin Kiciuś i Roipnol zdołali zgnieść chłopaczków Maharadży ciężarem swej wieloletniej reputacji.

Maharadża opadł ciężko na tron, z którego przydziałał terytoria swoim żołnierzom. Powiedział Oscarowi, że ma go zostawić w jego prywatnym saloniku. Niech sobie kupi inny na swoje imprezy. Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej cieniutką folię aluminiową. Różowa kokaina. Wciągnął ją całą. Nie zmarszczył przy tym nosa, nie potarł pod nim palcami. Zażył środek przeciwbólowy.

Cysterna

Na czacie pojawiło się tylko jedno słowo. Nadawcą był Nicolas.

Maharadża

Melina

Była sobota po południu. Dla paranzы czas wolny, spędzany na domowych kanapach, z dziewczynami, podczas gdy rodzice robili zakupy dla całej rodziny. Czas na magazynowanie wspomnień z całego minionego tygodnia. Dron stał się ekspertem od snapchatów. Dał kilka lekcji kolegom i teraz oni też potrafili rejestrować nieostre filmiki, w których przez moment pojawiały się ścieżki kokainy, damskie majtki, rury wydechowe i pociski ułożone w równym rzędku na stole. Kilkusekundowe *potpourri*, zmontowane z następujących po sobie szybko obrazów, które raz obejrzone, znikają na zawsze.

Melina.

Nicolas po dwóch minutach powtórzył tę samą wiadomość. W przeciągu dwudziestu następnych wszyscy stawili się w mieszkaniu przy ulicy dei Carbonari, bo prywatne życie mogli wieść jedynie w odległości umożliwiającej szybką zbiórkę całej paranzы.

Nicolas czekał na wszystkich, siedząc na telewizorze. Aparat był tak solidny, że pozostałby nienaruszony, nawet gdyby Briatore skoczył na niego dwiema nogami. Żeby wykorzystać czas, czatował z Letizią. Nie widzieli się od tygodnia, Letizia była wściekła i na przeprosiny zażądała, żeby wziął ją na wycieczkę łódką, tylko we dwoje, zakończoną być może kolacją nad morzem.

Chłopcy z paranzы weszli do meliny jak zawsze, jak tornado, które w jednej chwili zajmuje całą przestrzeń. Żetakpowiem przytrzymał Biskopcikowi ręce za plecami i jednocześnie, kopiąc go w tyłek, posuwał do przodu. Biskopcik udawał, że się broni, uderzając głową

w tył, ale sięgał nią nie wyżej niż do jego splotu słonecznego. W końcu obydwaj upadli na kanapę, a na nich zwałili się wszyscy inni. Kotłowanina chłopięcych ciał. Biskopczik sam się o to prosił, bo od samego progu żalił się głośno, że z powodu wiadomości od Nicolasa musiał przerwać przed samą kulminacją randkę z niesamowitą laską poznaną w internecie. Oczywiście nikt w to nie uwierzył, a kiedy jeszcze dodał, że dziewczyna studiowała na uniwersytecie, wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Nicolas zaczął od razu mówić, jak gdyby miał przed sobą spokojnych i skoncentrowanych na jego słowach słuchaczy. I rzeczywiście, po chwili w takich się zamienili.

– Musimy zdobyć pieniądze – zaczął. Dron miał ochotę powiedzieć, że robi to przez cały czas, zdobywa pieniądze, i to dużo. Za haracze zbierane od parkingowych na samym tylko stadionie San Paolo kupił sobie skuter, typhoona, za dwa tysiące euro. Ale Maharadża mówił dalej: – To prawda, że możemy mieć tyle pieniędzy, ile chcemy.

Zszedł z telewizora i usiadł na stoliku ze szklanym blatem. Z tej pozycji mógł patrzeć w oczy wszystkim swoim żołnierzom i łatwiej ich przekonać, że pieniądze zapewniają im ochronę i respekt. Zdobyć dużo pieniędzy – to znaczy zdobyć terytorium. I to właśnie muszą teraz zrobić. Przyszedł czas na duży skok.

– Musimy mieć kwintale sałaty. Ale stówkami nie będziemy przykrywać innych banknotów – uśmiechnął się, nie zostawił jednak czasu innym, żeby dokończyli kwestię Lefty’ego, bo zaraz dodał: – Zrobimy skok na stację benzynową.

Cała paranza siedziała na jednej kanapie. Briatore i Lollipop przysiedli na przeciwległych oparciach, reszta ścisnęła się między nimi.

Pierwszy odezwał się Ząbek, którego zakrywał siedzący mu na kolanach Żetakpowiem:

– Kto ci to powiedział?

– Twoja matka – odparł Nicolas, co w wolnym tłumaczeniu znaczy: nic ci do tego. Nicolas nie potrafił opanować rozgorączkowania

i niecierpliwości. Reszta zdawała się mieć inne poczucie czasu. Im się nie śpieszyło, byli zadowoleni, uważali, że wszystko układa się jak najlepiej. Choć nie przejęli kontroli nad punktami sprzedaży narkotyków. Ale w odczuciu Maharadży czas im uciekał. Chciał, żeby wszystko działo się szybciej. Zawsze taki był. Walczył z czasem, nawet kiedy grał w piłkę. Nie umiał dryblować, nigdy nie podawał na skrzydło, nie rozgrywał piłki z innymi graczami, nawet nie próbował. Ale był za to szybki i znajdował się zawsze we właściwym miejscu, żeby móc posłać piłkę do siatki rywali. Sprawny i skuteczny.

– Napadniemy na stację benzynową? Fajnie! Przyłożymy pistolet do głowy benzyniarzowi i da nam wszystko, co zarobił – powiedział Dragonbol.

– Na stacjach benzynowych płaci się kartą – odparł Nicolas. – Musimy uprowadzić cysternę z benzyną. Za samo paliwo możemy dostać czterdzieści tysięcy.

Paranza nie nadążała. Co zrobią z hektolitrami benzyny? Starczy na dwa lata tankowania, dla nich i dla znajomych. Nawet Dragonbol, który zwykle łapał w lot pomysły Nicolasa, potwierdzając w ten sposób obecność w jego żyłach „błękitnej krwi” kamorry, drapał się po głowie, bo nie rozumiał, o co chodzi szefowi. Zdawało się, że nikt nawet nie oddycha, tylko czasem któryś z chłopców przesunął siedzenie, starając się zdobyć dla siebie trochę więcej miejsca na kanapie.

– Wiem, kto ją od nas weźmie.

Teraz dało się słyszeć pociąganie nosami i wyraźniejsze trzeszczenie kanapy pod walczącymi o wygodniejszą pozycję pupami żołnierzy parazy. Wiedzieli, że mogą sobie pozwolić na przerwanie ciszy, bo szef spodziewał się po nich reakcji na tę sensacyjną wiadomość.

– Casalesi. Klan z Casal di Principe.

Wszystko się zatrzymało: pupy szukające wygody na kanapie, kiwające się głowy, łokcie, które jeszcze przed chwilą wbijały się w zębra sąsiadów. Paranza zamarła. Ucichły nawet dźwięki z ulicy i z sąsiednich mieszkań, jakby słowo „Casalesi” skasowało całe miasto,

wszystko, co znajdowało się wewnątrz i na zewnątrz tego pomieszczenia.

Żaden z nich nigdy jeszcze nie wymówił na głos słowa „Casalesi”. Zawierało w sobie wiele innych, przywoływało obrazy z odległych, wspaniałych światów, przywodziło na myśl ludzi, którzy wstąpili na szczyt Olimpu. Nie było sensu go wypowiadać, bo kojarzyło się z ambicjami nie do zaspokojenia. Teraz jednak Maharadża nie tylko wymówił to magiczne słowo, ale zasugerował, że będą robić interesy z klanem z Casal di Principe. Mieli ochotę zapytać, czy już spotkał się z kimś od nich i jak udało mu się wejść z nimi w kontakt. A może ich tylko nabiera? Ale nikt się nie odezwał, bo to była zbyt duża sprawa. Poza tym Nicolas, przysunąwszy się do nich tak blisko, że jego kolana prawie dotykały ich nóg, zaczął im wszystko wyjaśniać.

Stacja benzynowa, którą miał na myśli, znajdowała się przy drodze prowadzącej przez Portici, Ercolano, Torre del Greco i dalej do Kalabrii. Prowadzi przez wiele miejscowości, tak więc zapewnia możliwość ucieczki. Stacja należy do grupy Total, wygląda identycznie jak wszystkie inne. W najbliższy piątek ma dostawę benzyny. Ich zadaniem będzie uprowadzić pełną cysternę i ukryć ją w pobliskim garażu. Wtedy przyjadą do nich dwaj ludzie z klanu Casalesi i zapłacą im za ten skok piętnaście tysięcy euro.

– Które będziemy mogli wydać, na co będziemy chcieli – zakończył Nicolas.

Piętnaście tysięcy euro to dużo pieniędzy do wydania, Maharadża miał już nawet na nie kilka pomysłów, ale najpierw chciał zdecydować, kto z chłopaków weźmie udział w akcji. Pomyślał nawet, że tym razem mogliby dostać osobną gaźę – dwa tysiące euro na głowę.

Śnięta Ryba, Briatore i Żetakpowiem uwolnili się z imadła kanapy i wstali. Zgłaszali się na ochotnika. Nicolas nic nie powiedział, nie wspomniał też o dwóch tysiącach euro – nie było takiej potrzeby. Ci trzej żołnierze paranzzy chcieli pokazać wszystkim i samym sobie, że są odważni, że mają jaja. Wprawdzie taka postawa nie zawsze jest

gwarancją powodzenia, ale Nicolas powziął decyzję: Śnięta Ryba, Briatore i Żetakpowiem uprowadzą cysternę.

Przed akcją sprawdzili trasę, którą mieli zrobić w piątek, żeby nie ryzykować zablokowania czterdziestotonowej cysterny w jakiejś ślepej uliczce. Potem wprawiali się na grze komputerowej Grand Theft Auto. W pokoju sypialnym meliny zainstalowali Xbox One S i 55-calowy telewizor 4K. Jedną z gier GTA zdawała się stworzona dla nich; dzięki niej zrozumieli, że prowadzenie cysterny z benzyną z największą prędkością na autostradzie nie jest zabawą. W grze GTA dochodziło do zderzeń, wskutek których cysterna stawała w ogniu. W najlepszym wypadku gubiła się gdzieś po drodze. Żetakpowiem zaczął wyrażać wątpliwości, czy to zadanie jest wykonalne, ale Briatore od razu go uciszył:

– Przecież w piątek nie będziemy grać w GTA! Nie robimy skoku na Tierra Robada, tylko na drodze numer osiemnaście!

Przyjechali w trzech na skuterze Briatorego w pobliże stacji benzynowej. Stanęli po drugiej stronie ulicy i oparli o murek oddzielający od asfaltu pole obsiane zbożem czekali na pojawienie się cysterny. Palili skręta za skrętem i mówili jeden przez drugiego, nabuzowani adrenaliną, którą na ich szczęście marihuana pomagała trzymać pod kontrolą. Za każdym razem, gdy słyszeli, że hamuje jakiś ciężki pojazd, wychylali się, żeby sprawdzić, czy to ich moment. Kiedy wielka biała cysterna z napisem „Total” wreszcie przyjechała, Żetakpowiem właśnie po raz czwarty tego dnia recytował dialogi z *Kamorysty* i mało brakowało, a nie zauważyłby, że Śnięta Ryba wyjął z kieszeni nóż i wyciął nim dwie dziury w swojej koszulce. Potem to samo zrobił z ich koszulkami i wszyscy naciągnęli je sobie na głowy. To był najszybszy sposób, żeby zakryć twarz w razie potrzeby – naciągnąć na głowę koszulkę z dziurami na oczy, odkrywając brzuch i część pleców. Maski idealnie przylegały do czaszek, wyglądali w nich jak spidermeni. Szybkie spojrzenia na prawo i lewo, żeby sprawdzić

natężenie ruchu na drodze, pistolety do ręki, trzy dziewięćmilimetrowe vikingi wycelowane w czterdzieści tysięcy litrów benzyny. Śnięta Ryba pierwszy dopadł szoferki i podstawił kierowcy vikinga pod nos.

– Zatrzymaj się albo strzelę ci w gębę.

Briatore zajął się tymczasem pracownikiem stacji, który widział ich z daleka z bronią i stał już z rękami podniesionymi do góry. Briatore wcisnął mu lufę pistoletu tak głęboko w szyję, że benzyniarz stracił równowagę i upadł na ziemię, nie opuszczając jednak rąk.

– Co robisz?!

– Zamknij się, kurwa, bo jak nie, to będzie twój koniec, zrozumiałeś?

– zapytał groźnie Briatore.

– Schodź – rozkazał kierowcy Śnięta Ryba, ale ten nie wyglądał na wystraszonego. Trzymał ręce na kierownicy, jakby chciał lada chwila ruszyć z miejsca. Powiedział tylko:

– My należymy, chłopaki. Przyjdą po was. – Powiedział dokładnie to, co w takich sytuacjach należy powiedzieć, to znaczy, że ma ochronę jednego z klanów. Chłopcy z parazy słyszeli to wiele razy.

– Należycie? – Briatore trzymał teraz vikinga skierowanego prosto w czoło benzyniarza. – To znaczy, że ci, do których należycie, są gównem warci.

Podczas gdy Briatore wyjaśniał, dlaczego nic sobie nie robi z tej groźby, Żetakpowiem okrążył cysternę, otworzył drzwi i starał się ściągnąć na ziemię kierowcę, szarpiąc go za ramię. Kierowca się bronił, uderzał głową, kopniakiem udało mu się sięgnąć brzucha Żetakpowiem, który nie wylądował na asfalcie tylko dlatego, że w ostatniej chwili złapał za klamkę i dostał się do szoferki.

– Co ty robisz, Żetakpowiem?! – wrzasnął na niego Śnięta Ryba. Trzymał pistolet wycelowany w kierowcę, ale był jak skamieniały, nie wiedział, jak się zachować w tej sytuacji. Briatore zrobił kilka kroków w tył, w kierunku cysterny, nie spuszczając vikinga z benzyniarza. Kiedy doszedł do szoferki, w której Żetakpowiem kotłował się z kierowcą, strzelił, trafiając tego ostatniego w ramię.

– Kurwa mać! – wrzasnął Śnięta Ryba. Wałki tłuszczu na brzuchu wędrowały mu w górę i w dół, w rytm oddechu przyśpieszonego przerażeniem. – Przecież mogłeś mnie trafić!

– Bez obaw. Wszystko jest pod kontrolą – odparł Briatore. Żetakpowiem, który mógł mieć usprawiedliwione pretensje do Briatorego, bo to on był w szoferce, ściągał z niej teraz kierowcę.

Wykorzystując zamieszanie, benzyniarz wstał i zaczął biec środkiem ulicy. Briatore strzelił za nim dwa razy, ale benzyniarz uciekł. Weszli w trójkę do szoferki, Briatore usiadł za kierownicą. Odpalenie silnika i wjechanie na drogę nie było problemem. Odwiedził w internecie forum kierowców ciężarówek i wiedział, że potem będzie gorzej. Miał nadzieję, że cysterna jest pełna, w przeciwnym razie wskutek falowania benzyny może stracić kontrolę nad pojazdem i skończyć na poboczu. Nie słyszał syren pościgu, zdecydował się więc jechać z prędkością nie większą niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Czuł, że panuje nad tą bestią, musiał tylko uważać, żeby zachować dystans od samochodów osobowych i nie zwracać na siebie uwagi.

– Ale fajnie prowadzi się cysternę!

Nicolas powiedział im dokładnie, dokąd mają jechać. Po dwóch kilometrach trzeba skręcić w lewo – co Briatore zrobił z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę, żeby pojazdem nie zarzuciło – potem jeszcze kilometr do parku samochodowego. Miał wyglądać na opuszczony. W głębi, tuż przy ogrodzeniu, będzie stał podwójny garaż – cztery betonowe ściany i dach z blachy falistej – gdzie mieli zaparkować cysternę i czekać na ludzi z klanu Casalesi.

Wysiedli z cysterny, ale zostali w garażu, bo takie dostali polecenie. Słońce obniżało się ku horyzontowi, pod blaszanym dachem było gorąco jak w piekle, wszystkich trzech zalewał pot, dziurawe koszulki przykleiły im się do ciała. Kiedy później zdawali relację Maharadży, nie umieli powiedzieć, ile czasu spędzili w tym piekarniku. Jedno jest pewne – kiedy usłyszeli silnik motocykla i walenie w metalową bramę garażu, tylko jakieś odległe światełko wycinało z ciemności sylwetki

dwóch mężczyzn. Chłopcy z parazy nie wiedzieli, czego mają się spodziewać. W dniach poprzedzających akcję fantazja podpowiadała im najróżniejsze scenariusze. Teraz byli rozczarowani, kiedy zobaczyli, że ludzie z klanu Casalesi to dwaj brzuchaci faceci, źle ogoleni, ubrani w koszule w kretyńskie hawajskie wzory i szorty za kolana. Wyglądali, jakby zeszli ze statku wycieczkowego po rejsie *last minute* za pół ceny.

– O kurwa! Więc to prawda, że z was jeszcze dzieci! – powiedział jeden z nich.

Briatore i Śnięta Ryba patrzyli na nich bez słowa.

– Jak wyście się ubrali?! – zapytał wreszcie Briatore. Adrenalina nagromadzona w ciągu dnia jeszcze się nie wyczerpała i jego instynkt samozachowawczy był lekko uśpiony.

– Nie podoba ci się?

– Niee – odparł, opierając język na przednich zębach z tyłu i jednocześnie zwierając wargi, jakby do pocałunku, przez co dźwięk, bardziej niż przez usta, wydobył się przez nos.

– To dziwne, bo pracowała przy tym twoja matka – zaśmiał się wysłaniec klanu Casalesi, po czym pomachał ręką do kompana i powiedział: – Daj mu te pięć tysięcy euro i niech się zmywają.

– Co?! – wykrzyknęli unisono Śnięta Ryba i Żetakpowiem.

– A co, gówniarze, coś wam nie pasuje? Mnie też nie pasuje, że mieliśmy gadać z Maharadzą, a go nie ma. Podziękujcie więc Madonnie, że chcemy wam dać aż tyle.

– Tu jest czterdzieści tysięcy litrów benzyny – powiedział Śnięta Ryba. Musiał odzyskać twarz, więc się nie cofnął, kiedy człowiek klanu stanął tuż przed nim. – Nie damy wam ani litra.

Drugi mężczyzna, który do tej pory się nie odzywał, zapytał:

– A czy ty wiesz, skąd jesteśmy?

– Wiem – odpowiedział. – Z Casal di Principe.

– Właśnie. I zjemy was, szczyłki, w całości, a potem wysramy.

Briatore załadował pistolet i powiedział:

– Mam to w dupie, skąd jesteście. Macie nam dać pieniądze i koniec.

– I przytknął lufę vikinga do cysterny, tak samo jak przedtem do czoła benzyniarza. – Jeżeli nie położycie wszystkich pieniędzy zaraz na podłodze, strzelę w cysternę i zrobimy sobie w tym garażu wspólne solarium.

– Odłóż ten pistolet, kretynie. Mogę wam dać najwyżej osiem tysięcy.

– Piętnaście tysięcy. I pamiętaj, że to prawie darmo, parszywcu.

– Ale my tyle nie mamy! – odezwał się ten, który mówił pierwszy i który teraz wycofywał się w kierunku motocykla.

– Ty, Aloha, poszukaj tylko dobrze – powiedział Śnięta Ryba.

– Powiedział, że nie mamy, to nie mamy. Bierzcie te osiem tysięcy i krzyżyk na drogę.

Śnięta Ryba wyciągnął pistolet, załadował i nacisnął cyngiel. Hałas był ogłuszający, ale Żetakpowiem zdążył pomyśleć, że eksplodująca cysterna powinna chyba zrobić więcej hałasu. Chwilę potem zobaczył, że Śnięta Ryba celował w przednie koło pojazdu. Ludzie z klanu Casalesi rzucili się na ziemię, zakrywając rękami głowy, jakby to mogło ochronić ich przed ogniem płonących czterdziestu tysięcy litrów benzyny. Kiedy zorientowali się, że to było tylko ostrzeżenie, wstali, otrzepali hawajskie koszule i podnieśli siodełko motoru, gdzie trzymali paczki z pieniędzmi.

– Widzicie? – powiedział Briatore. – Wystarczyło lepiej poszukać i znaleźliście bankomat pod siedzeniem.

Nicolas podzielił piętnaście tysięcy euro na dziesięć części. Pięć wręczył kapitanowi statku.

– Płacę ryczałtem – oznajmił. Ryczałt obejmował wynajęcie statku, używanego zwykle na przyjęcia weselne i inne imprezy oraz na wycieczki po Zatoce Neapolitańskiej. Mógł zabrać prawie dwieście osób naraz. Nicolas chciał, żeby płynęli nim tylko członkowie parazy i ewentualnie ich dziewczyny. Mieli wyruszyć w przeciagu dwóch godzin, krótko przed zachodem słońca, opłynąć Ischię i otrzeć się o Capri i Sorrento. Nie było już czasu, żeby zdjąć dekoracje

przygotowane na przyjęcie weselne, które miało się odbyć następnego dnia, ale zagwarantowano im aperitif i kolację z dwuosobową obsługą. Nicolas stwierdził, że dekoracje nie będą nikomu przeszkadzać, wręcz przeciwnie. Sam wybrał muzykę na cały rejs. Włoski pop. Tiziano Ferro, Ramazzotti, Vasco, Pausini. Będą tańczyć przytulanki przez całą noc, która pozostanie w ich wspomnieniach najpiękniejszą nocą w życiu. Kapitan sądził, że ci chłopcy to typowe rozpieszczone neapolitańskie *rich kids*, z tych, które zapychają Instagram zdjęciami i filmikami i nie wiedzą, co robić z pieniędzmi. Zmienił jednak zdanie, kiedy zobaczył, jak zbliżają się całą grupą do statku. Jego ostatnie wątpliwości zniknęły, gdy już na morzu chłopak, pewnie ich szef, kazał chłopcom wyciągnąć pistolety i zaczęli strzelać w wodę. Strzelali do delfinów! Dziewczęta próbowały protestować – „Są takie śliczne!!!” – ale było widać, że tak naprawdę są dumne ze swoich chłopców, którzy mogą sobie pozwolić na to, by strzelać, kiedy mają na to ochotę, także do tych ślicznych zwierząt. Kapitan był świadkiem całej tej sceny i nie potrafił ukryć ulgi, gdy zobaczył, jak delfiny odpływają całe i zdrowe w wodzie zaczerwienionej jedynie promieniami zachodzącego słońca. Najwyższy z chłopców, wkładając pistolet z powrotem do spodni, zapytał:

– Kapitanie, czy delfiny można jeść jak tuńczyki?

Zadaszony pokład zdobiły girlandy sztucznych kwiatów przeplecione atlasowymi wstążkami. Na stołach leżały bukietki różowych i żółtych róż. Śnięta Ryba usiadł za stołem, dla żartów udał, że poprawia sobie krawat, choć go nie miał, potem postukał prawą ręką w blat, żeby przywołać kelnera. Ten podszedł do niego i napełnił mu kieliszek szampanem. Ząbek i Biskopcik, jedyni, którzy wybrali się w ten rejs bez dziewcząt, usiedli przy nim i zrobili to samo. Biskopcik zawsze odgrywał kogoś, kto zna się na urokach życia, ale przy przelękaniu takiej ilości bąbelków nie mógł opanować wzdrygnięcia, mrużył przy tym oczy, a potem otwierał usta z głośnym mlaśnięciem.

Kelnerzy zapytali, czy mogą zacząć podawać kolację. Trzej chłopcy

siedzący przy stole wyruszyli zaraz na poszukiwanie Nicolasa, którzy stał z Letizią oparty o burtę.

– Możemy zaczynać? – zapytał Śnięta Ryba.

– Tak, zacznijmy imprezę – poparł go Dragonbol i Nicolas im na to pozwolił. Goście pośpiesznie zajęli miejsca, parki usiadły przy osobnych stolikach. Szybko jednak poczuli się nieswojo. Osamotnieni i podzieleni. Tego wieczoru, gdy płynęli razem statkiem po zatoce w zamierającym świetle wieczoru, czuli szczególną potrzebę bliskości.

Zaczęli wołać do siebie między stolikami:

– Hej, szanowny panie Żetakpowiem! Jak pan się czuje?

– A pan, doktorze Tukanie? Niech pan nie przesadza z tym szampanem!

Jak na komendę zaczęli wstawać z krzeseł, połączyli kilka stolików i usiedli wszyscy razem. Śnięta Ryba włożył sobie żółtą różę za ucho i zawołał, że chętnie by coś zjadł. Niech zaczynają! Kelnerzy podali łososia.

– Zachowujcie się jak ludzie z lepszego towarzystwa! – polecił chłopcom Nicolas. Zaraz potem dodał: – Bo teraz naprawdę jesteście z lepszego towarzystwa. – I wyszedł z Letizią na otwarty pokład.

Dziewczyna przytuliła się do niego i razem patrzyli na oddalający się Wezuwiusz, niewyraźny w wieczornej mgiele. W odległym już teraz mieście zapalały się światła. Zostawili za sobą Ischię, na której z tej odległości było widać niewiele więcej niż ciemną, miękką sylwetkę Epomeo.

Nicolas wziął Letizię za rękę i poprowadził ją na rufę. Przyłgął do jej pleców, gdy stała oparta o burtę. Wtuliła się w niego miękko, też się do niego przycisnęła, co Nicolas odczytał jako przyzwolenie na jeszcze więcej.

– Chodź za mną – powiedział jej do ucha, podczas gdy inni przekrzykiwali się i wtórowali lejącym się z głośników piosenkom. Na dolnym pokładzie znaleźli zamknięte pomieszczenie z kanapą obitą zielonym aksamitem oraz z bulajem, przez który sączyło się jeszcze ostatnie światło dnia.

Letizia usiadła na brzegu kanapy, Nicolas pocałował ją namiętnie i włożył niecierpliwe ręce pod jej sukienkę.

– Zróbmy to jak należy – powiedziała Letizia, patrząc mu głęboko w oczy. – Nadzy.

Nicolas był zaskoczony tą propozycją, wypowiedzianą tak poważnym głosem, bez nawet cienia dialektalnej intonacji. Do tej pory kochali się zawsze na wpeł ubrani. Letizia nieraz prosiła go, żeby zostali kiedyś sami, naprawdę sami, przez całą noc, ale nigdy dotąd do tego nie doszło. Nareszcie nadarzyła się odpowiednia okazja. Odsunęła go delikatnie od siebie i rozpięła mu koszulę.

– Chcę cię zobaczyć – powiedziała i Nicolas zdjął pasek. Gdy ściągał spodnie, Letizia powiedziała już tylko: – Ja też.

Położyli się nadzy na zielonym aksamicie i dotykali swoich ciał. Letizia objęła palcami członek Nicolasa i poprowadziła jego rękę między swoje nogi. Musiała przycisnąć ją silniej, żeby się nie wycofał i żeby zaczął poruszać palcami.

– Chodź – powiedziała w końcu i wprowadziła go do środka. – Powoli, powoli – mówiła, a on był jej posłuszny.

– Jesteś moim mężczyzną – szepnęła mu do ucha. Nicolasowi sprawiło przyjemność, że nazwała go swoim mężczyzną, nie chłopakiem. W tej samej chwili zdał sobie po raz pierwszy sprawę, że ona jest kobietą, że właśnie teraz połączył się z kobietą, z którą leży nago pod bulajem obsianym gwiazdami.

Kiedy wrócili na górny pokład, statek właśnie minął wysokie skały Sorrento i płynął w kierunku Neapolu. Wszyscy pasażerowie byli na dziobie.

– Wznieśmy toast za nas – zawołał Dragonbol – i za nasze miasto, najpiękniejsze na świecie.

Odwrócił się do kelnera, który siedział na krześle po drugiej stronie szyby i ziewał. Dragonbol krzyknął do niego:

– Eeej! Pobudka! To najpiękniejsze miasto na świecie! Zrozumiałeś? I niech szlag trafi tych, co o nim źle mówią.

– Gówniani szmaciarze! – poparł go Dron z gniewną miną, podczas

gdy kelner wstał z krzesła i oglądał się teraz na swego kolegę, jakby pytał: „Ale co my mamy do tego?”.

– Ja bym stąd nigdy nie wyjechał – oświadczył Nicolas, złagodniały z miłości do Letizii.

Dragonbol wychylił się za burtę i pokręcił ramieniem, jakby miał rzucić jakiś ciężar na odległość, może bombę w stronę lądu.

– Ilu już takich widziałem, skurwieli, którzy jeżdżą do Rzymu, do Mediolanu i na nas plują! – krzyczał. – Wiecie, co wam powiem? Powinni wszyscy zdechnąć. Wszyscy szmaciarze, którzy plują na to miasto, powinni zdechnąć.

Podnieśli kieliszki wysoko do nieba i potem wrzucili je do morza. Tańczyli aż do świtu, kiedy statek wpłynął do portu. Żołnierze paranzы i ich dziewczyny obiecali sobie, że wierność na całe życie przysięgną sobie wszyscy razem, na zbiorowym ślubie.

W następnych dniach chłopcy z paranzы żyli jeszcze wspomnieniem błogiej atmosfery, jaka panowała na rejsie. Każdy już na własny rachunek starał się przedłużyć, jak tylko mógł, ten przedsmak miodowego miesiąca na wodach Zatoki Neapolitańskiej.

Nicolas jechał właśnie do Letizii, kiedy jego smartfon zawiadomił go światełkiem, że uaktywnił się czat paranzы. Zawiadamiano go, że musi jak najszybciej pojechać do szpitala Cardarellego. Drugie piętro, pawilon A. I nic więcej. Napisał esemes do Letizii, w którym odwołał spotkanie. Zaraz potem jeszcze jeden: „Kocham cię aż do gwiazd”. I zawrócił.

Na schodach szpitala czekali na niego Dragonbol, Ząbek i Lollipop. Podawali sobie wygaszonego skręta, tak tylko, żeby poczuć jego zapach w nosie i smak na koniuszku języka, nie zważając na spojrzenia szpitalnych gości i pielęgniarek. Widać było, że mają mu coś ważnego do zakomunikowania, ale nie wiedzą, jak zacząć.

– Co się stało? – zapytał Nicolas i wyciągnął rękę po skręta, którego sobie podawali. Wszyscy trzej wskazali jakiś punkt dwa pietra wyżej.

– Pobili Briatorego i Śniętą Rybę – powiedział Dragonbol. Nicolas

ekspłodował. Spokój, jakim nasiąknął na morskiej wycieczce, ulotnił się. Wyrzucił skręta w krzaki przy schodach i już podnosił nogę, żeby kopnąć w najbliższy słup, ale się opanował. Złość ulotniła się w jednej chwili, pozostał Maharadża – chłodny gracz i taktyk, który na boisku znajdował się zawsze we właściwym miejscu, żeby zaskoczyć bramkarza i wbić piłkę do bramki. Zanim postawił z powrotem nogę na ziemi, Ząbek pomyślał, że wygląda jak czapla, którą widział kilka lat wcześniej na szkolnej wycieczce w rezerwacie WWF.

– Chłopaki, odwiedzimy rannych i zaniemiemy im prezenty – powiedział Nicolas. Nazwał chłopców rannymi i poczuł się jak na wojnie. To było przyjemne uczucie.

Prezentami były stary kalendarz z modelkami w seksownych pozach dla Briatorego oraz koszulka z autografem kapitana Napoli dla Śniętej Ryby.

– Co się stało, chłopaki? – zapytał Maharadża swoich rannych w bitwie żołnierzy.

– Kudłacze weszli do naszego baru – zaczął Briatore – kiedy robiliśmy zakłady, mieliśmy dwa pewne typy. Podszedł do nas White i powiedział: „Co wyście, kurwa, zrobili?”.

– Nie, nie, to nie było tak – wszedł mu w słowo Śnięta Ryba. – Powiedział: „Ukradliście benzynę Roipnola”. My na to: „Nic nie zrobiliśmy! Co ty gadasz?”. Wtedy Kudłacze wyciągnęli żelazne pałki. Jak je zobaczyłem, pomyślałem, że to będzie nasz koniec. Żetakpowiem siedział w ubikacji. Kiedy się zorientował, że jest niebezpiecznie, uciekł przed okno, parszywy tchórz.

Kudłacze połamali nogi Briatoremu i Śniętej Rybie. Potem pojechali do Borgo Marinaro i wybili szyby w restauracji, w której pracował ojciec Żetakpowiem.

Briatore próbował usiąść, ale zaraz znowu opadł na poduszkę.

– Tłukli nas bez opamiętania, czułem, jak mi łamią kości. I przez cały czas mówili, żeby im oddać pieniądze. Normalnie nas zmasakrowali. Nie czułem nóg, nie czułem głowy. Nic. Potem

załadowali nas do samochodu i wyrzucili przy szpitalu Cardarellego.

– W samochodzie byłem półprzytomny – opowiadał teraz Śnięta Ryba – ale White mówił coś, że nas oszczędził, bo nas zna, i że Roipnol chce nas wykończyć, i że...

– Ciągle to powtarzał – przerwał mu Briatore. – Że tylko dzięki niemu jesteśmy żywi i że kiedy znowu będziemy na chodzie, musimy pracować dla niego.

– Jeszcze czego! – odparł Nicolas. Wziął do ręki kalendarz i oparł go o ścianę. – Briatore, który miesiąc podoba ci się najbardziej? Kwiecień ma fajne cycki, nie? A popatrz tylko na Lisellę, zaraz zrobi ci się lepiej.

– Maharadza, kiedy stąd wyjdę, będę kulawy.

– Kiedy stąd wyjdiesz, będziesz mocniejszy.

– Do dupy z taką mocą.

– Kupimy ci bioniczną nogę – powiedział Dragonbol.

Pośmiali się przez chwilę i pożartowali z pielęgniarką, której powiedzieli, że takim ręką jak jej daliby bez wahania założyć sobie cewnik. Kiedy zostali sami, patrzyli na Maharadzę, czekając na jego decyzję.

– Załatwimy Roipnola – oznajmił Maharadza i przewrócił kartki kalendarza, zatrzymując się na czerwcu.

Wszyscy się roześmiali, jakby to był jeszcze jeden żart dla rozbawienia rannych.

– Załatwimy Roipnola – powtórzył Nicolas. Przekartkował kalendarz aż do listopada, zatrzymał się na grudniu i podniósł oczy na chłopców.

– Przecież on w ogóle nie wychodzi z domu – powiedział Ząbek z resztkami rozbawienia na twarzy. Śnięta Ryba spróbował usiąść, ale złamaną nogę przeszył rozdzierający ból.

– Czy ty nie widzisz, Maharadza – powiedział – że tylko my jesteśmy odkryci? Kicius ma kryjówkę w San Giovanni, Archanioł siedzi w klatce w Ponticelli, Copacabana w celi w Poggioreale, a Roipnol w twierdzy w Forcelli. Tylko my chodzimy po ulicach. Musimy zacząć się chronić.

– Załatwimy go w jego twierdzy – oznajmił Maharadza. Był właśnie

w trakcie łączenia elementów nowej układanki. Jeżeli Kudłacze nie wykończyli Briatorego i Śniętej Ryby, to znaczy, że takie dostali polecenie. Kiciuś starał się o nowe przyczółki, trzy trupy z tej samej parazy wywołałyby za dużo szumu. I bez tego interesowali się nim karabinierzy i policja. Kiciuś na razie nie mógł sobie pozwolić na nowe zabójstwa i przez jakiś czas tak będzie. Oto ich szansa, okazja, której nikt inny nie śmiałyby wykorzystać.

– To niemożliwe – powiedział Dragonbol. – Kiedy Roipnol wychodzi, jest z nim zawsze Carlito’s Way. Zresztą nie wychodzi prawie nigdy. Dupiasta też rzadko jest poza domem. A jeżeli już, to zawsze z ochroną.

– Wykorzystamy właśnie Carlito’s Waya.

– To się nie uda – przerwał mu Lollipop. – Carlito’s Way nie zdradzi. Roipnol dobrze mu płaci. Poza tym od kiedy robi za prywatnego lokaja, zachowuje się jak boss całego Neapolu.

– Wcale nie musi zdradzić.

– Ty chyba jesteś na haju – powiedział Ząbek.

– Nawet kiedy jestem na haju, nie jestem na haju. Zawsze rozumię logicznie.

– No to posłuchajmy, co ci podpowiada ten logiczny rozum.

– Mam klucz do drzwi domu Roipnola. I niech mi matka umrze, jeżeli nie będę umiał się nim posłużyć.

– Naprawdę? – zapytał powątpiewająco Ząbek. – Myślę, że się mylisz, bo jego drzwi są pancerne, a żeby do nich dojść, trzeba przejść przez las kamer.

– Ale ja mam klucz, który na pewno je otworzy – upierał się Nicolas. Objął ramionami plecy Dragonbola i Ząbka i podprowadził ich do chorych na łózkach, Lollipop zaś zamykał krąg. Konspiratorzy.

Maharadza zapytał tonem, jakim dzieciom zadaje się łatwiutkie zagadki:

– Kto jest bratem Carlito’s Waya?

– Jak to kto? – Briatorego zdziwiło to proste pytanie. – Szczyłek.

– A czyim przyjacielem jest Szczyłek?

- Biskopca - ponownie odpowiedział Briatore.
- No właśnie - powiedział Maharadża. - I ja jutro pogadam z Biskopciem.

Będę grzeczny

Nicolas już wszystko ułożył sobie w głowie. Czuł się, jakby znalazł rozwiązanie równania matematycznego. Wystarczyło tylko przekonać Biskopcika. W tym celu postanowił wziąć go na przejażdżkę, sam na sam, czego nigdy dotąd nie zrobił. Czekał na niego przed szkołą. Matka Biskopcika odprowadzała go codziennie aż do bramy, bo chciała mieć pewność, że dotrze do klasy, a nie ufała jego kolegom. Nie mogła jednak odebrać syna ze szkoły, bo pracowała.

Kiedy Biskopcik zobaczył T-Maxa Nicolasa, utorował sobie łokciami drogę wśród dzieci na schodach, żeby dobiec do niego jak najszybciej.

– Maharadża! Co ty tu robisz?

– Wsiadaj, zawiozę cię do domu.

Biskopcik wskoczył na siodełko, dumny, że ma takiego kolegę. T-Max ruszył na pełnym gazie, Biskopcik krzyknął na cały głos, podczas gdy Nicolas się śmiał. Zamierzał poprosić go o wielką przysługę, nie zaszkodzi, jeżeli najpierw sprawi mu przyjemność. Wybrał najdłuższą drogę. Jechał wolno, zatrzymywał się na światłach, zakręty brał łagodnie. Chciał, żeby Biskopcik długo z nim jechał, bo wiedział, że sprawia mu to radość i że potem łatwiej będzie z nim rozmawiać.

– Słyszałeś, co wszyscy mówią? Że Melona zlikwidowali, bo trzymał z nami.

– Jak to? Przecież był przeciwko nam!

– No właśnie. Ale ten skurwiel, Roipnol, pewnie razem z White'em i Kudłaczami, wyciągnął kutasa, którego wcisnęliśmy mu do dupy, i próbuje wcisnąć go nam. Prawdziwy skurwiel. I ty musisz rozwiązać ten problem.

Przy tych słowach przyśpieszył maksymalnie, minął samochód,

potem drugi, wjechał na chodnik, żeby wyprzedzić furgon, i dopiero wtedy zredukował prędkość do tej, którą jechał na początku.

Biskopcowi serce biło tak silnie, że Nicolas czuł to na plecach.

– Ja? Co to znaczy?

– Kto jest twoim najlepszym przyjacielem?

– Szczylek? Teletubiś?

– Szczylek. A jego brat jest gorylem Roipnola.

T-Max gwałtownie zahamował. Biskopcowi uderzył buzią w plecy Maharadży, ale zanim zdążył zaprotestować, ten znowu przyśpieszył, przeskoczył na drugi pas i jechał teraz w przeciwnym kierunku.

– Musisz powiedzieć Szczylkowi, że po zabójstwie Melona ludzie już nie mają zaufania do mnie i do naszej parazy. Powiedz mu też, że nie masz gdzie pracować i że chcesz pracować z nimi. Że chcesz poinformować o tym osobiście Roipnola. Twoim zadaniem jest zrobić wszystko, żeby Szczylek wpuścił cię do mieszkania Roipnola. Później, gdy tylko tam wejdiesz, strzelisz do niego.

Nicolas znowu zahamował gwałtownie, ale tym razem Biskopcowi zdążył się przytrzymać. Był tak bardzo podniecony, że miał ochotę krzyczeć. Czuł się jak w wesołym miasteczku. Nicolas ponownie zmienił kierunek jazdy i znowu znaleźli się na tym samym pasie co wcześniej.

– Ale Szczylek nie może mnie wpuścić. Przed drzwiami stoi zawsze jego brat, a nie on. – Biskopcowi udało się wypowiedzieć te dwa zdania, usadowiwszy się wygodniej za plecami Maharadży, ale ten znowu przyśpieszył do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jadąc teraz między dwoma pasami. Ruch się wzmógł i lusterka mijanych samochodów prawie muskały kierownicę T-Maxa.

– Carlito's Way zbiera pieniądze dla Roipnola, więc przez jakiś czas nie ma go przed drzwiami – powiedział Nicolas, po czym spojrzał na Biskopcika we wstecznym lusterku. – Boisz się załatwić sztukę, co, Biskopciku? Przyznaj się. Nie ma problemu, znajdziemy jakiś inny sposób.

– Wcale się nie boję – odparł Biskopcowi.

- Co?
- Nie boję się!
- Co? Nie słyszę!
- NIE BOJĘ SIĘ!

Nicolas skręcił z tą samą prędkością na prawą stronę szosy, potem zwolnił i jechał już spokojnie aż do domu Biskopcika.

Równanie zostało rozwiązane.

Od dnia przeprowadzki Crescenzo Roipnol ani raz nie wyszedł z domu. Żona przypominała mu, że obiecał skończyć z tą klauzurą, ale prawda była taka, że Roipnol się bał. Należałoby właściwie powiedzieć, że umierał ze strachu. Próbował zagłuszyć ten strach tabletkami, ale wtedy zaczynał bełkotać i mamrotać jeszcze bardziej niż zwykle i Maddalena się złościła. Błędne koło, które jednak nie przeszkadzało mu rządzić dzielnicą, koordynować sprzedaży narkotyków i trzymać w ryzach paranzę Maharadży. Najtrudniej było mu opanować chęć zlikwidowania tych chłopaczków. Ale Kicius powiedział: „Żadnych trupów”. „W porządku” – odparł Roipnol, bo nie mógł zrobić nic innego. Jego wojsko było rozproszone. Wierne, silne, ale rozproszone, ponieważ musiało trzymać pod kontrolą dwa ruchy, które w okresach stagnacji, takich jak obecny, mogły z sobą kolidować, co groziło napięciami, a nawet pęknięciami.

Tego, co zaobserwował, Biskopcik – oparty o mur w tym samym miejscu, z którego jakiś czas wcześniej patrzył, jak Kudłacze przenoszą Matkę Boską Pompejańską – nie nazwałby może pęknięciem, ale głupotą. Jak to możliwe, że Roipnol, który uważał się za króla dzielnicy, zgadzał się, żeby jego paż, Carlito's Way, zniknął na dwie godziny, wysłany po zyski z zakładów bukmacherskich? Czy ktoś, kto koordynuje tak rozległy rynek narkotykowy i podszywa się pod zabójstwa, których nie dokonał, może uzależniać swoje bezpieczeństwo od Szczyłka, chłopca na posyłki, który robił dla niego zakupy i płacił rachunki na poczcie? Roipnol chyba rzeczywiście zasługuje na to, żeby go zastrzelić, bo nie potrafi rządzić. Biskopcik

poczuł się dumny z tej konkluzji.

Następnego dnia przyjechał do Forcelli skuterem pożyczonym od Lollipopa. Postawił go niedaleko wejścia do kościoła św. Marii Egipcjanki przy corso Umberto. Kościół, święci, Matka Boska, Dzieciątko Jezus – dlaczego nie? W kościele prosi się o pomoc, składa obietnice, oczekuje potwierdzenia słuszności własnych wyborów. Biskopcik wszedł do środka pewnym krokiem, znał tę świątynię. Jak wszyscy w Neapolu był przyzwyczajony do barokowego przepychu i złoceń, do wulkanicznego *piperno* z popielatymi plamami i wielkich obrazów. Do całego tego piękna stworzonego tylko dla piękna. Piękna w służbie sacrum, sił nadprzyrodzonych, nadziei. I dla nadziei właśnie Biskopcik wszedł do kościoła, poszukując świętych, Matki Boskiej – kogokolwiek, komu mógłby się zwierzyć ze swoich problemów. Od samego progu przytłoczyło go bogactwo kolorów i kształtów, obfitość dekoracji, wszędzie widział szerokie gesty pełnych ramion, błękit sąsiadujący ze złotem, twarze z wymalowanymi na nich litością lub męczeństwem. Spróbował najpierw z Matką Boską, ale nie znajdował odpowiednich słów, nie wiedział, jak wejść z nią w kontakt. „Madonno paranzu...” – zaczął, patrząc na łagodną postać, która zdawała się wypełniać powietrze pięknym zapachem. Nie umiał wymyślić nic więcej. Odłożył tę modlitwę na później, może uznał, że na takie wyżyny musi dochodzić stopniowo. Rozejrzał się po kościele w poszukiwaniu świętego, którego potrafiłby rozpoznać, ale bez powodzenia. Widział za to wszędzie małego Jezusa – w ramionach Matki, przy świętych... Dzieciątko umiał rozpoznać. Pomimo oślepiającego światła wpadającego do środka przez kopułę i wielkie okna skupił spojrzenie na maleńkim Jezusie, do którego był trochę podobny, choć nigdy nie dopuściłby do siebie takiej myśli. Poprawił kołnierzyk koszulki, wyprostował pistolet za paskiem spodni, przygładził włosy, upewnił się, że dwie staruszki klęczące w ławkach nie zwracają na niego uwagi. Pozwolił się przeniknąć spokojowi panującemu w kościele,

który w jakiś magiczny sposób separował go i chronił od zewnętrznego świata, pomimo że i tutaj dało się słyszeć hałas ruchu ulicznego.

– Jezu! – zaczął i powtórzył: – Jezu!

Pamiętał gesty, jakie wykonuje się przy modlitwach, ale nie umiał połączyć dłoni, nie chciały do siebie przywrzeć, pozostały oddzielone, zawieszane w powietrzu.

– Jezu, Święty Cyrusie, Święty Dominiku, Święty Franciszku, sprawcie, żeby mnie tam wpuścili i żebym mógł powiedzieć temu śmiertelowi, że ma zejść na ulicę. I żeby mnie posłuchał!

Tak naprawdę nie potrafił sobie nawet wyobrazić takiej sceny: Roipnola, który wychodzi z mieszkania, i Dupiastej, która posłusznie idzie za nim. Jego modlitwa miała przekroczyć granice tego, co możliwe. Wszedł do kościoła po to, żeby pistolet Desert Eagle, który trzymał za paskiem spodni, mógł tam zostać, żeby wystarczyły jego słowa. Słowa zmieniają czasem świat, kiedy jest to możliwe. Czy nie po to ludzie się modlą? Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl.

– Jezu! Spraw, żebym kiedyś mógł mieć swoją paranzę.

I od razu przypomniał sobie, że powinien dodać jakąś obietnicę, bo przecież jeżeli chce się coś dostać, trzeba coś dać. To akurat wiedział doskonale. Nie przychodziło mu nic do głowy, dlatego sięgnął do stałego repertuaru dzieci, bo przecież sam był dzieckiem: Będę już zawsze grzeczny. Będę dobry. Wyobraził sobie tego „dobrego” Biskopczika ze swej obietnicy jako bohatera ludowej rewolucji, kogoś w rodzaju posługującego się szpadą Masaniella, supermena rzucającego się z klasztoru San Martino nad Spaccanapoli i szybującego nad dzielnicą Sanità, przedostawszy się do niej pod mostem. Zakrwawiony Chrystus ze zwisającym jeszcze z szyi sznurem, którym był przywiązany do kolumny, zdawał się patrzeć na niego ze zrozumieniem i litością. Na szczęście chroniła go szklana płyta. Będę dobry! – powtórzył Biskopczik i wyszedł z kościoła tak samo pośpiesznie, jak do niego wszedł.

Wiedział, że łatwo znajdzie Szczyłka w pobliżu twierdzy Roipnola,

bo Dupiasta traktowała go, jakby był jej adoptowanym dzieckiem. Mąż przebywał zbyt długo w więzieniu, teraz było już dla niej za późno, żeby mieć własne potomstwo. Lubiła, kiedy chłopiec przebywał w pobliżu, choćby po to, żeby mogła bawić się w rodzinę. A do własnego dziecka, choćby adoptowanego, ma się zaufanie, prawda? Biskopczik zobaczył Szczyłka, kiedy ten wchodził do kamienicy Roipnola, i pobiegł, żeby go zatrzymać. Powiedział mu, że chciałby do nich dołączyć, wcielił się rolę, którą polecił mu zagrać Nicolas. I zrobił to dobrze, wyrecytował swój tekst, modulując głos, jak to zrobił przed chwilą w kościele. Szczyłek wziął chyba jego ton za objaw prawdziwej desperacji, bo powtarzał przez cały czas: Jasne, nie ma sprawy. Jasne, że zaprowadzi go na górę, choćby teraz. Właśnie tam szedł.

Wbiegli po schodach, przed pancernymi drzwiami Szczyłek podniósł twarz do kamery.

– Proszę pani, to jest Biskopczik, mój przyjaciel. Od kiedy Roipnol załatwił Melona, robi w gacie ze strachu. Boi się, że wszyscy z paranzы Maharadży skończą tak samo. – Nawet nie zauważył, że używał podobnego tonu jak Biskopczik.

Usłyszeli zmieniony, metaliczny głos Dupiastej:

– I ma rację, że się boi. Wchodźcie, chłopaczki.

Szczyłek nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Zrobił krok, żeby wejść do środka, ale Biskopczik złapał go za koszulkę i przykrywając sobie usta, żeby jego słów nie wyłapała kamera, powiedział:

– Wstydzę się rozmawiać z nimi przy tobie. Wolałbym wejść sam.

Szczyłek zatrzymał się w progu. Było widać, że się waha. To, co powie za chwilę, zdecyduje o reszcie. Co się stanie, jeżeli się uprze, żeby wejść razem z nim? Dzieciątko Jezu! – zawołał Biskopczik błagalnie w myślach.

– Dobrze – odparł Szczyłek. – Na razie. – I poszedł na dół schodami.

Biskopczik stał jeszcze przez chwilę w progu, żeby się upewnić, że Szczyłek nie zmieni decyzji, po czym wszedł do mieszkania, kierując się głosami Dupiastej i jej męża. Rozpoznał meble, które widział podczas przeprowadzki, czuł zapach świeżo malowanych ścian.

Dupiasta leżała na otomanie, Roipnol siedział za biurkiem z ciemnego drewna. Przymknięte okiennice przepuszczały tylko wąską smugę światła, pokój był doświetlony stojącą w kącie lampą. Twarz Roipnola zdawała się podzielona na dwie części: dzienną i nocną. Ten człowiek o opadłych barkach i rysach twarzy, które upodobniały go do węża – małe, blisko osadzone oczy, łatwo układające się w okrutny uśmiech cienkie wargi, błyszcząca skóra – mógł w tym świetle skojarzyć się z wikingiem. Nie wyglądał ani na zaskoczony, ani na przestraszony. Po Dupiastej też nie było widać zaniepokojenia. Biskopczyk wyrecytował zdanie, które sobie przygotował:

– Teraz my tu rządzymy. Ty i Dupiasta musicie się stąd wynieść.

– Nawet nie zauważyłem! – powiedział Roipnol i obrócił twarz do żony. Teraz smuga światła wydobywała z półmroku jego ucho, kark i świeżo farbowane włosy. – Byłeś jeszcze w jajach twojego ojca, kiedy bronilem tej dzielnicy. Wyeliminowałem Ernesta Boa. Trzymałem z daleka Ogniojada z Sanity... – Potem zwrócił się bezpośrednio do Biskopczyka: – Temu, kto cię tu posłał, musisz powiedzieć, że Forcella mi się należy!

– Mnie nikt nie posłał – odparł Biskopczyk i zrobił mały krok do przodu, żeby łatwiej trafić.

– Nie bądź bezczelny, smarkaczu. – Roipnol znowu odwrócił twarz.

– Popełniasz błąd, Roipnol. – Jeszcze jeden kroczek.

– Patrzcie go, gówniarza, ryczy jak lew. Myślisz, że wystraszę się takiego dzieciaka jak ty?

– Dziesięć lat mi zabrało, żeby wyrosnąć na takiego dzieciaka. Ale żeby ci wypalić prosto w twarz, wystarczy mi jedna sekunda.

Błysk wystrzału pistoletu oświetlił przez chwilę całe pomieszczenie jak lampa błyskowa przy robieniu zdjęć. Gdyby rzeczywiście ktoś w tej chwili zrobił tu zdjęcie, uwieczniłby Roipnola z otwartymi ustami i dłońmi na twarzy, jakby chciał ją nimi osłonić, oraz Maddalene, która z niespodziewaną sprawnością rzuciła się na męża w podobnie bezskutecznej próbie obrony jego życia. Za moment znów wszystko pogrążyło się w półmroku. Biskopczyk wybiegł pokoju, ale

zaraz się zatrzymał. Wrócił do środka, ponownie podniósł pistolet i wycelował w pośladki Dupiastej. Ciekawe, czy z tych balonów ujdzie powietrze, kiedy je przedziurawi. Pierwszy pocisk trafił precyzyjnie w prawy pośladek. Powietrze nie zasyczało, Biskopczyk był rozczarowany. Wykończył Dupiastą strzałem w kark.

Przefrunął przez mieszkanie i po schodach z prędkością możliwą tylko u dziesięciolatka, który nie nauczył się jeszcze przewidywać możliwych przeszkód. Uderzył się o framugę drzwi i poręcz na schodach, ale nawet tego nie poczuł.

Już widział drzwi, zostało tylko kilka schodów, może trzy metry do przebycia. Już widział ulicę, ale za chwilę przestał ją widzieć, bo w drzwiach stanął Szczylek z pączkiem w ręce.

Desert eagle był jeszcze ciepły, czuł to na skórze, kiedy przez chwilę szaleństwa rozważał możliwość wyeliminowania także tego świadka.

– Co się stało? Czy to były strzały? Co ty zrobiłeś?

Przyjaciel patrzył na niego badawczo. Miał buzię posypaną cukrem. Biskopczyk pobiegł dalej, rzuciwszy tylko za siebie:

– Jedz sobie dalej tego pączka.

Bracia

Zakład kosmetyczny O Sole Mio miał skromną stronę internetową – kilka zdjęć i numer telefonu. Dziewczyna, która odpowiedziała na telefon Lollipopa, kazała sobie powtórzyć dwa razy, że chciał zarezerwować zakład na cały dzień, aż do zamknięcia. „Będziemy oblewać chrzest” – powiedział Lollipop, co zaskoczyło dziewczynę jeszcze bardziej. Chrzest w zakładzie kosmetycznym? Czy to jakiś żart?

Lollipop odłożył słuchawkę i dziesięć minut później stał przed nią z dwoma tysiącami euro w banknotach stueurowych. Później napisał do kolegów na czacie:

Lollipop:

Chłopcy, po południu impreza z okazji chrztu Biskopcika.
Będziemy się opalać!

Wszyscy w paranzы odczytali tę wiadomość właściwie.

Maharadża:

Super!

Biskopcik:

Wow!!!

Żetakpowiem:

Zrobię sobie depilację kompletną!

Punktualnie o trzeciej, kiedy to otwierano zakład kosmetyczny, przez jego drzwi przeszli Tukan i Żetakpowiem, niosąc na złączonych przedramionach Biskopcika. Wszyscy trzej mieli włosy obcięte jak Genny Savastano. Za nimi próg przekroczył Nicolas w dmuchanej czerwonej koronie na głowie, która przydawała mu wzrostu. Włożyli

mu ją przed wejściem Lollipop i Dron. Za Maharadzą weszli Dragonbol i Ząbek; upiększeni złotymi łańcuchami i bransoletkami niby Matka Boska Loretańska wołali:

– Niech żyje Biskopcik!

Każdy po kolei miał seans w solarium, potem przyszedł czas na pedicure oraz depilację twarzy i całego ciała. Zabiegi zakończyli wypaleniem paru dżointów w pomieszczeniu służącym do relaksu. Na imprezę z okazji chrztu bojowego Biskopcika przynieśli też torebkę różowej kokainy. Nicolas wyjął ją z kieszeni płaszcza kąpielowego, usypał ścieżkę na stoliku z drewna tekowego i zaprosił Biskopcika do rozpoczęcia bankietu.

– Podrapaliśmy Różową Panterę po grzbiecie i patrzcie tylko, jaka niespodzianka!

Biskopcik wciągnął jako pierwszy. Na początku zachowywał się normalnie, ale po pięciu minutach zaczął skakać po całym pomieszczeniu, robił gwiazdy i stójki na rękach, aż wreszcie wszyscy mieli już dość tego zamieszania i posłali go pod prysznic wrażeń.

Później kołysali się leniwie na hamakach, podziwiając swoje gładkie ciała bez jednego włoska, z wyjątkiem Ząbka, któremu podobały się jego owłosione piersi z sięgającym obu sutków krzyżem z masywnego złota.

– Dlaczego zamiast wydawać pieniądze na złote łańcuchy, nie zrobisz sobie porządku z zębami? – zapytał Ząbka Lollipop.

– Bo dziewczynom podobam się właśnie taki, przez to okienko z przodu mogą zobaczyć, co mam w środku.

– Masz rację, widać dokładnie wszystkie świństwa.

– A jak właściwie złamałeś te zęby? – zainteresował się Dron.

Ząbek nigdy o tym nie mówił. Faktem jest, że od kiedy ludzie zaczęli się go bać, od kiedy miał pieniądze i dziewczyny, ten defekt przestał mu przeszkadzać, stał się jego znakiem szczególnym.

– Grałem w koszykówkę i w pewnym momencie zacząłem się bić z jednym dupkiem. Rzucił mi w twarz piłkę do kosza. Wiecie, ile waży taka piłka? Złamała mi dwa zęby, jeden nad drugim.

– Co ty, jaja sobie robisz? Nigdy nie uwierzę, że grałeś w kosza! Masz metr sześćdziesiąt, licząc razem z twoim kutasikiem.

– W dupę go sobie wsadź! – odgryzł się Ząbek i zwrócił do Tukana z pytaniem, które zawsze chciał mu zadać: – A dlaczego ciebie tak nazywają?

Tukan wcale nie przypominał egzotycznego ptaka. Miał niewielki nos i gęstą brodę. Ale kiedyś, gdy prowadził skuter, z Briatorem na tylnym siodełku, wpadł mu do ust jakiś owad. Zaczął pluć, był bliski wymiotów, włożył sobie dwa palce do gardła, żeby wyjąć owada, którego trzepotanie czuł na języku i podniebieniu. Kiedy w końcu udało mu się od niego uwolnić, zawołał: „O kurwa, miałem w gardle tukana!”.

Briatore za jego plecami śmiał się do łez z tego tukana, w którego zamienił się *tafano*, jak po włosku określa się bąka. A po jakimś czasie nikt już nie pamiętał, że Tukan w rzeczywistości nazywa się Massimo Rea.

– Kto wie, skąd się wziął przydomek Briatorego?

Nicolas wstał z hamaka, a Lollipop powiedział:

– Prosimy o ciszę, będzie mówił król.

Maharadza poprawił sobie koronę na głowie i powiedział:

– Byłem przy tym. Siedzieliśmy w klasie, to był ostatni dzień gimnazjum. Nauczyciel przyrody pytał każdego, kim chciałby być, kiedy dorośnie. Ktoś powiedział, że adwokatem, ktoś inny, że piłkarzem, kucharzem, urzędnikiem... Briatore wstał i powiedział: „Ja chciałbym być Flaviem Briatore”.

Nicolas nie wrócił już na hamak, dał znak innym, żeby też się podnieśli. Poszli do Biskopcika, który ciągle jeszcze był w pomieszczeniu z prysznicem wrażeń. Leżał na brzuchu pod kaskadą wody pachnącej jaśminami. Co jakiś czas otwierał usta i pił. Wstał, gdy tylko ich zobaczył.

– Gdzie się zgubiliście?

Co chwila dotykał nosa, jak gdyby i jemu wpadł tam bąk. Patrzył na nich półprzytomnie. Chłopcy się rozebrali, stanęli na golasa jeden

przy drugim.

– Pomierzmy sobie – zaproponował Dron, potrząsając swoim fiutem i skłaniając w ten sposób także innych do spoglądania na penisy swoje i kolegów. Naśladując Drona, ustawili się w równym rzędku, z wypiętymi brzuchami i członkami w rękach.

– A teraz flaga na maszt! – I wszyscy się odchylili.

– Można się rozejść – powiedział Nicolas i zniknął w obłoku pary przed kolorowymi kabinami.

Dragonbol złapał Biskopcika za jego ptaszka i zaczął go ciągnąć po pokoju.

– W ten sposób ci się wydłuży! – powiedział, prowokując wszystkich do śmiechu. Potem powchodzili pod prysznice, jedni pojedynczo, inni po dwóch, zmieniając co chwilę kabiny, żeby wypróbować inne kolory i zapachy. Śnięta Ryba skoncentrował się na wyprodukowaniu pierdnięcia, a Dron udawał, że umiera pod dobroczynnym błękitnym deszczykiem z prysznicą.

– Podoba ci się twoja impreza, Biskopciku? Dobrze się bawisz? – zapytał Nicolas, szczypiąc chłopca w policzek.

– Tak, bardzo. Ale gdzie byliście wcześniej? – zapytał ponownie.

– Opowiadaliśmy sobie, skąd się wzięły nasze ksywy...

Biskopcik mu przerwał:

– Właśnie! Zawsze się zastanawiam, jak to jest, że Dron ma taki fajny przydomek. Ja też bym taki chciał. Na Biskopcika chce mi się rzygać.

Dragonbol, którego trudno było rozpoznać w mokrych, gładkich włosach, poklepał Drona po plecach.

– Ten facet naprawdę zarobił sobie na tę ksywę. W całych Włoszech jest jedynym chłopakiem, który ma w domu co najmniej sto numerów czasopisma „Konstrukcja Dronów”. Kupował je co tydzień, każdy kosztował dwa euro dziewięćdziesiąt. I nie tylko je kupował, ale naprawdę zbudował drona. Chyba też jako jedyny we Włoszech. I ten dron latał!

– Naprawdę? – zapytał Biskopcik, patrząc zdziwiony na Drona.

- Nawet Dan Bilzerian nie ma swojego drona.
 - Ten to ma ich chyba z dziesięć. Wiem, bo followuję go na Instagramie.
 - Ja też. I nigdy nie widziałem, żeby miał.
- Masażystka, dziewczyna w guście Śniętej Ryby, przyszła do nich, żeby powiedzieć, że za chwilę będą zamykać O Sole Mio, chłopcy muszą się ubrać i wyjść. Impreza skończona. Ale za kilka godzin zacznie się na nowo w Nowym Maharadży.

Miasto otacza pas dwu-, trzy- i czteropiętrowych budynków mieszkalnych, zbudowanych bez legalnych pozwoleń, które w oczekiwaniu na sanację pączkują, stając się z czasem ludnymi osiedlami. Otaczają je pola, które przypominają, jak wyglądałyby te okolice, gdyby nie zadusił ich beton. Nawet mieszkańcy tych osiedli bywają czasem zaskoczeni, że zjechawszy z głównej ulicy i skręciwszy dwa albo trzy razy, mogą w krótkim czasie znaleźć się wśród bezludnych pól.

Tymczasem Nicolas, choć znajdował się w odległości niewielu kilometrów, ale w przeciwnym kierunku, przebywał w zupełnie innej scenerii. Bombardowany wiązkami kolorowych świateł poruszał głową w rytm piosenki z lat sześćdziesiątych, zaaranżowanej na nowo w stylu disco. Był w Nowym Maharadży i udawał, że świetnie się bawi na imprezie zorganizowanej z okazji uzyskania dyplomu uniwersyteckiego z nauk politycznych przez syna mecenasa Caiazzo. Caiazzo pracował dla rodzin Acanfora, Faella i Striano, zanim podjęły współpracę z wymiarem sprawiedliwości. Był adwokatem piłkarzy i różnych VIP-ów. To on zajął się sprawą chłopców z parazy, gdy oskarżono ich o handel narkotykami; sprawą, w wyniku której za kratkami wylądował Alvaro.

Godzinę wcześniej skończyli imprezę Biskopcika. Otoczyli go ściśle kołem i pokropili szampanem, wznieśli toast za punkty narkotykowe, które po śmierci Roipnola już bez przeszkód przejdą pod ich kontrolę, i jeszcze jeden – za zdrowie Briatorego i Śniętej Ryby, rannych na

wojnie. W końcu wyszli z restauracji, prowadząc z sobą Biskopczika, bo przed nią stał prezent dla niego. Nowy skuter. Prezent dla całej parazy przyniósł natomiast mecenas Caiazzo. Była nim wiadomość o warunkowym zawieszeniu kary orzeczonej w czasie ich starego procesu.

– Brawo, mecenasie! – zawołał Ząbek.

– Otwórzmy Moët et Chandon, żeby to uczcić! – wykrzyknął Maharadza. – Dwie butelki! Musimy to oblać.

– Chłopcy, pamiętajcie, że macie karę w zawieszeniu. To znaczy, że jeżeli znowu was na czymś złapią, cofną zawieszenie i pójdziecie siedzieć.

Chłopcy podnieśli kieliszki, a któryś z nich zawołał:

– Mecenasie, my jesteśmy nietykalni.

Nicolas był myślami zupełnie gdzie indziej. Nie umiał wysiedzieć spokojnie dłużej niż dwie minuty, ciągle wstawał z miejsca i znowu siadał, wychodził z saloniku, żeby zaraz do niego wrócić. Na głównej sali zamawiał koktajl Acapulco, bo syn adwokata wybrał jako temat przewodni imprezy tropiki, tańczył przez chwilę z Letizią, zamieniał po parę zdań ze znajomymi. I ciągle kontrolował smartfon. Liczby nad imionami osób na czacie rosły, ale jego interesowała tylko jedna osoba, która jednak niezmiennie pozostawała na końcu listy. Discjockey wyłączył muzykę i lokal zalało światło. Przyszedł czas na przemowę mecenasa Caiazzo. Miał purpurową twarz i koszulę rozpiętą prawie do pępka. Jest żaloszny, pomyślał Nicolas, ale kiedy adwokat poprosił o ciszę i o aplauz dla syna, odłożył szklanke z Acapulco i energicznie klaskał. Mecenas Caiazzo przesunął pod obraz z wizerunkiem maharadży jedno z krzeseł z białą tapicerką, których pełno było w restauracji. Specjalnie na tę okazję Oscar kazał je pokryć śnieżnobiałym materiałem, bo stwierdził, że ta impreza jest jak chrzest. Caiazzo wszedł na krzesło i szukając równowagi, gniótł tapicerkę swoimi irchowymi butami Santoni.

– Dziękuję wszystkim – zaczął. – Widzę tu twarze moich przyjaciół,

moich klientów.

Ktoś za plecami Nicolasa powiedział:

– Niektórych, mecenasie, brakuje, bo zażywają wakacji...

– Tak, ale zrobiłem, co było w mojej mocy. Wkrótce sprowadzimy ich tutaj z powrotem, bo ja bronię tylko niewinnych.

Rozległy się śmiechy.

– Jestem szczęśliwy, że świętujemy dyplom mojego syna, Filippa, magistra nauk idiotycznych.

Śmiechy stały się jeszcze głośniejsze.

– Moja córka Carlotta skończyła studia nieużyteczne, starszy syn, Gian Paolo, nawet nie próbował studiować i ma teraz restaurację w Berlinie. Jak widzicie, wszyscy troje posłuchali mojej rady: nie róbcie tego co ojciec.

I znowu śmiechy. Nicolas też się śmiał, jednocześnie jedną ręką muskał tyłeczek Letizii, a drugą, w kieszeni, sprawdzał, czy telefon nie wibruje.

– Tak czy inaczej, Filippo, mam dla ciebie tylko jedną radę: dzisiaj baw się dobrze, bo od jutra będziesz bezrobotny.

Wybuch śmiechu. Przemowa skończona, można wrócić do zabawy.

Letizia ciągnęła Nicolasa na parkiet, bo discjockey puścił *Music is the Power* i nogi same rwały jej się do tańca. Nicolas chciał już powiedzieć, że tego wieczoru nie ma ochoty się ruszać, ale dziewczyna była tak apetyczna w sukience odkrywającej całe plecy, że złapał ją od tyłu i polizał w karczek. Letizia udąła oburzenia i wybiegła na środek parkietu, pewna, że jej mężczyzna do niej dołączy, ale w tej samej chwili Maharadża poczuł wibrację. Przyszła wiadomość, na którą czekał. Zdjęcie rozgwieźdzonego nieba i tekst: „Niebo w moich stronach jest najpiękniejszym niebem na świecie”. Nicolas złapał Letizję od tyłu tak samo jak przedtem i podczas gdy ona, poruszając biodrami, przytulała się do niego, szepnął jej do ucha:

– Jeżeli ktoś będzie mnie szukać, powiedz, że jestem w saloniku. Jeżeli zapytają o mnie w saloniku, powiedz, że poszedłem do łazienki. Jeżeli ktoś się zbliży do łazienki, powiedz, że gdzieś tutaj chodzę, ale

nie wiesz gdzie.

– Ale dlaczego? Co kombinujecie? – zapytała Letizia, nie przestając poruszać biodrami do rytmu.

– Nic. Muszę coś załatwić. Ale wszyscy powinni myśleć, że jestem tutaj. Potem ci wszystko wyjaśnię.

Patrzyła na niego, kiedy oddalał się w półmroku rozjaśnianym co chwilę błyskami światła w dyskotekowym rytmie. Ta naprzemiennosc ciemności i jasności sprawiała, że każdy ruch obecnych na sali ludzi zdawał się osobny i nieprzewidywalny, a twarze trudne do rozpoznania. Tańcząc z uniesionymi ramionami i poruszając głową zgodnie z rytmem, przez chwilę Letizia poczuła na sobie spojrzenie kogoś, kto wydał jej się znajomy. Podobny do Renatina, z chłopięcą twarzą, taką samą, jaką miał, gdy widziała go po raz ostatni w czasach obgównienia, oraz ciałem dojrzałego mężczyzny w wojskowym mundurze. To była krótka chwila, potem już go nie widziała. Zapomniała o nim natychmiast, bo przy pierwszych taktach *Single Ladies* pobiegła szukać Cecylii, żeby razem z nią naśladować choreografię Beyoncé.

Na zewnątrz na Nicolasa czekał samochód. Granatowy fiat punto, jakich tysiące jeżdżą po ulicach. Przy kierownicy siedział Małpopies; nie przywitał się z nim, wskazał mu tylko miejsce przy sobie. Wjechali na środkową arterię miasta, szybko zostawili za sobą ostatnie zabudowania. Nicolas miał jeszcze ciągle w głowie piosenkę, którą discjockey puszczał przed jego wyjściem z lokalu. Dopiero kiedy usłyszał beczenie owiec, zrozumiał, że znalazł się w innym świecie. Małpopies zaparkował fiata na poboczu i powiedział;

– Idziemy zobaczyć tę owieczkę.

Szli na skróty przez pola. Małpopies znał drogę, oświetlał sobie telefonem stopy. Zatrzymał się tak nagle i niespodziewanie, że Nicolas prawie na niego wpadł.

– Jest nasza owieczka.

Siedział na murku, który kiedyś pewnie ograniczał teren otaczający

wiejski dom. Teraz została z niego tylko ruina z na wpół rozsypanymi ścianami i dachem z blachy falistej, pociętym przez wiatry i burze. Palił spokojnie papierosa i rozmawiał z Dragonbolem, który siedział przy nim i sprawdzał coś na smartfonie. Jego lekko skrzywiony nos odcinał się ostro od ciemnego tła za każdym razem, gdy ekran telefonu się rozjaśniał. Przed nimi był rów, do którego dla zabawy celowali kamieniami ułożonymi w stercie na murku. Nicolas pomyślał, że wyglądają przy tym, jakby chodzili jeszcze do szkoły podstawowej.

Towarzysz Dragonbola jako pierwszy usłyszał Nicolasa i Małpopsa. Obrócił się do nich i od razu zrozumiał, kim są. Odwrócił głowę z powrotem, żeby poszukać potwierdzenia – jakby to było potrzebne – w oczach Dragonbola, ale Małpopies był już przy nim.

– Ty skurwielu, żarłeś z mojego talerza!

– Coś ty! Ja nic nie zrobiłem! Nic!

Siedział wciąż jeszcze na murku, obrócony teraz do Małpopsa, żeby odpowiedzieć na jego zarzuty. Nicolas i Dragonbol zagradzali mu drogę z dwóch stron. Z tyłu miał rów.

– Nic? To popatrz tutaj – Małpopies pokazał mu jakieś zdjęcie w swoim smartfonie. – Poznajesz? Poznajesz? Czyje to jest?

Chłopak próbował się przedrzeć przez nich na siłę, ale Nicolas i Dragonbol zatrzymali go, łapiąc za ręce i wykręcając mu je za plecami. Małpopies włożył smartfon do tylnej kieszeni spodni i dał im znak, żeby go puścili. Pogoda się popsowała, niebo zasnuło się chmurami, księżyc nie oświetlał tej sceny. Ucichło też beczenie owiec. Słychać było tylko oddechy chłopców, najgłośniejszy był szybki oddech osaczonego. Nie próbował protestować, to nie była sytuacja, w której mogły pomóc słowa. Małpopies zaparł się mocno nogami w miłąkimi terenie i silnym pchnięciem wtrącił go do rowu. Nie czekał, aż się podniesie, wyjął pistolet i strzelił w miejsce, które wcześniej wybrał jako cel pierwszego strzału. W twarz. Ale trafił w kość policzkową. Taka rana oszpeca i powoduje straszny ból, ale nie zabija. Chłopiec w fosie zaczął błagać o wybaczenie i litość. Pluł słowami

i krwią, która wlewała mu się do gardła, gdy próbował zaczerpnąć powietrza. Dopiero w tej chwili Nicolas zauważył, że Małpopies ma na dłoniach rękawiczki z lateksu. Odruchowo wytarł swoje ręce w spodnie.

Tymczasem chłopak na dnie rowu krzyczał:

– Strzeliłeś mi w twarz! Coś ty zrobił?!

Ale Małpopies jeszcze nie skończył. Wystrzelił szybko kilka razy, raniąc go w kolano i w żołądek. Nicolasowi przyszedł na myśl Tim Roth w ramionach Harveya Keitela, zaczął się zastanawiać, jak długo może trwać agonia i ile krwi jest w ludzkim ciele. Usiłował sobie przypomnieć, czego dowiedział się w szkole, ale przerwał mu Małpopies, który strzelił jeszcze raz, trafiając chłopca w oko.

Wszyscy trzej zabrali się do zasypywania rowu za pomocą łopat znalezionych w zrujnowanym domu. Owce na nowo zaczęły beczeć.

W ostatnich tygodniach Dumbo i Christian spotkali się tylko kilka razy. Później nastąpiło niczym niezapowiedziane milczenie, niezwykle w historii ich przyjaźni, która polegała na wspólnym spędzaniu całych dni, nawet kiedy nie mieli nic ciekawego do roboty. Teraz było tak, jakby ich przyjaźń wyparowała bez śladu.

Christian nigdy nie odważył się pytać Nicolasa o paranzę, broń, narkotyki... To starszy brat zawsze decydował, co i kiedy chce mu powiedzieć, ale Christian czuł, że już wkrótce weźmie go z sobą na jakiś dach, żeby nauczył się strzelać do anten satelitarnych. Christian leżał na łóżku i pisał esemes do Dumba, kiedy do pokoju wszedł Nicolas. Dumbo nie przeczytał ani jednej z dziesiątek wiadomości, które już do niego wysłał, parafki przy esemesach nie zmieniały koloru. Dziwne. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby Dumbo tak długo nie sprawdzał wiadomości w komórce.

Nicolas wszedł do pokoju tak samo, jak to robił zawsze, uderzył w drzwi ramieniem, żeby je otworzyć, i kopnął w nie, żeby je zamknąć, po czym jednym skokiem rzucił się na łóżko. Gdyby leżąc tak na łóżkach, wyciągnęli do siebie ręce, dotknęliby się koniuszkami

palców. Christian spojrział na brata, jego profil o twardych rysach był zwrócony w kierunku sufitu. Potem Nicolas zamknął oczy i Christian zrobił to samo. Zostali tak przez dłuższy czas, słuchając swoich oddechów. Christian czekał, aż starszy brat wykona pierwszy ruch. I tak się stało. Nicolas zsuł z nóg buty Air Jordan, nie używając rąk. Buty spadły hałaśliwie na podłogę, jeden na drugi. Christian otworzył oczy, spojrział jeszcze raz na parafki przy esemesach i założył ręce za głowę. Był gotowy, żeby posłuchać, co się stało.

– Niech mi matka umrze! Tym razem Małpopies mnie naprawdę wpieprzył! – Nicolas wymówił to ostatnie słowo, jakby pozbywał się przy tym całego nagromadzonego w sobie powietrza. Starał się od czegoś uwolnić i miał mu w tym pomóc właśnie ten gwałtowny wydech. Christian rzucił okiem na brata, który nie zmieniał pozycji, poruszał tylko ustami, gdy szukał właściwych słów. Na powrót wbił spojrzenie w sufit i próbował skoncentrować się na własnym ciele. Z trudem zmuszał się do bezruchu.

Christian znał historię Małpopsa, ale była to dla niego historia daleka, historia wojen i bitew, w których nie brał udziału. Uczestniczył w nich jego brat, którego wyobrażał sobie w hełmie i w moro, a czasem nawet z szablą i zbroją. Jego zaś miejscem był ten pokój, dokąd dobiegały rozmowy matki i ojca w drugiej części mieszkania, podczas gdy czekał na wiadomości z pierwszej linii frontu. W ostatnich czasach wszystko działo się bardzo szybko. Paranza Nicolasa zyskała na znaczeniu, teraz zaopatrywała się w heroinę bezpośrednio u rodziny Acanfora z San Giovanni a Teduccio. U Małpopsa. Nieraz chciał zapytać brata o pochodzenie tego przydomku, ale nigdy tego nie zrobił. Może dlatego, że nie chciał niszczyć swoich fantazji o nowym królu San Giovanni. Wyobrażał sobie, że to ktoś w rodzaju pokemona, w połowie małpa, w połowie pies, niedościgły biegacz, zwinny wspinacz. To, że Nicolas mógł wejść w kontakt z Małpopsem, zawdzięczał Dumbowi. Dumbo spędził rok w więzieniu na Nisidzie, nikogo nie sypnął, nie powiedział ani słowa. Tam poznał Małpopsa. Także o tym Christian słyszał setki razy od

Dumba, który za każdym razem, gdy mu o tym opowiadał – wioząc go na swoim skuterze albo leżąc przy nim i dzieląc się tym samym skretem – dodawał nowe szczegóły.

– To prawdziwy gnojek – powiedział Dumbo, kiedy Christian zapytał, jaki jest ten Małpopies. Gnojek. Nic więcej, co było dziwne u kogoś, kto lubił mówić. Czasem aż za dużo, i może właśnie dlatego Nicolas nie przyciągnął Dumba do paranzы.

W każdym razie Dumbo dostał się na Nisidę, ponieważ kiedy miał trzynaście lat, pomógł ojcu okraść magazyn płytek ceramicznych. Byli przy tym także Ząbek i jego ojciec, ale udało im się uciec.

– Małpopies twierdzi, że Dumbo przeleciał jego matkę i że się tym wszędzie chwali. I że posłał jej na komórkę zdjęcie swojego kutasa.

Christian nawet nie odetchnął, nie poruszył się na pogniecionej pościeli i tym razem nie próbował spojrzeć na Nicolasa. To może być pułapka. Może Nicolas obrócił głowę i czeka, żeby napotkać spojrzenie brata i w jego oczach – identycznych jak jego, co było jedyną łączącą ich cechą fizyczną – odczytać prawdę o Dumbie.

O tym też Dumbo mu opowiedział. Mówił, że Caryca, matka Małpopsa, szalała za nim i że nie raz przeleciał tę – jak ją nazywał – milfonę. Ma takie cycki, jakby były zrobione z marmuru – zwierzył się Christianowi w tym samym pokoju, w którym ten leżał teraz z bratem na łózkach.

Christianowi udało się przerwać bieg myśli, które go osaczyły, i spojrział znowu na komórkę. Dumbo dalej nie czytał jego wiadomości.

– ...i potem poszedłem do Azy, do naszego magazynu broni. Nie chciałem się spotykać z Małpopsem bez sprzętu, rozumiesz? Gdyby się dowiedział, że mam kontakt z klanem Grimaldich, załatwiłby mnie w jednej chwili. A on przez cały czas mnie nagabywał: „Gdzie jesteś? Muszę z tobą pogadać”. Rozumiesz?

Tak, Christian rozumiał. Za każdym razem, gdy brat na końcu wypowiedzi pytał, czy rozumie, przechodziły go ciarki. Kiedy Nicolas rozmawiał z innymi, nie pytał ich o to, musieli sami się wysilić

i wyłapać najważniejsze informacje. Ale z nim postępował inaczej.

Christian naprawdę zrozumiał, że Małpopies to gnojek. Nie rozumiał za to, jak to się stało, że zbliżył się w więzieniu do Dumba, bo wprawdzie przyjaciel wyglądał na takiego, którym łatwo manipulować, ale tak było tylko do pewnego momentu. Dumbo był bystrzejszy, niż się wydawał, Christian odgadł to od razu. Wiedział, że wpadł w kłopoty z winy ojca, który wymyślił sobie idiotyczny plan. Chciał wymanewrować imigrantów z Rumunii i Macedonii, którzy pracowali za bezcen na budowach, i pewnego dnia przyszedł do ojca Ząbka, prosząc, żeby mu w tym pomógł, tym bardziej że po wylewie miał niesprawne ramię i nogę. Wymyślił sobie, że wystarczy przy pomocy synów opróżnić magazyn z płytkami ceramicznymi, ukryć je gdzieś na sześć miesięcy i później zacząć na nowo. Krótko mówiąc, zamierzał ustawić rynek. Historię kradzieży Christian usłyszał tylko od Dumba, bo Ząbek wstydził się, że uciekł i nie siedział w więzieniu na Nisidzie.

Realizacja planu szła gładko aż do chwili, gdy ojciec Dumba uparł się, że sam zdejmie ciężką paczkę płytek z metalowej półki. Przewrócił się i ściągnął na siebie cały regał załadowany kafelkami z Vietri, robiąc przy tym straszny raban. Przez kilka minut próbowali go spod niego wyciągnąć, ale ciężar był zbyt duży. Wtedy Ząbek i jego ojciec uciekli, a Dumbo został, żeby pomóc ojcu, który wrzeszczał, żeby też uciekał.

Nicolas się rozgadał, nie mówił już krótkimi, przerywanymi zdaniami, ale Christian i tak nie potrafił się skupić. Nie rozumiał, jak to możliwe. Przecież każde słowo Nicolasa było ważne, z każdego zdania mógł się czegoś nauczyć, dlaczego więc się nie koncentrował, jak to robił zawsze? Było coś niepokojącego w bezruchu brata, coś, co elektryzowało atmosferę i budziło w nim strach. Najchętniej zostałby sam i skulił się na łóżku. Ale nie przyszło mu nawet do głowy, żeby po prostu wstać i wyjść. Nicolas, leżący nieruchomo na łóżku przykrytym granatową kapą z rysunkiem chmur, wydawał mu się teraz jakimś supermenem. Jeszcze bardziej niż tamtego wieczoru, kiedy przyniósł

pistolet. Christian wyjął spocone ręce spod głowy i wytarł je w spodnie. Czuł się, jakby leżał na mrowisku, a nie na materacu, swędziało go całe ciało, ale zdołał nie dać tego po sobie poznać, pozostać nieruchomy jak brat.

– Kazał mnie obszukać i od razu znalazł spluwę. Chciałem zabrać z sobą Tukana. On jest trochę stuknięty, ale kiedy trzeba działać, można na nim polegać. Ale Małpopies nalegał, żebym przyszedł sam. Rozumiesz? Tukan chciał od razu wszystkich powystrzelać, jak Scarface. Kiedy przyszedłem do Małpopsa, od razu zauważyłem, że jest bardzo nerwowy. A pułapki organizuje się bez nerwów, ludzi udupia się na spokojnie. Jak ci powiedziałem, od razu znaleźli moją spluwę i Małpopies się wkurzył, bo jak powiedział, do domu don Cesare Acanfory nie wchodzi się z bronią, poza tym mamy robić interesy, to po co mielibyśmy do siebie strzelać. Ja mu na to, że nie wiem, co się może stać, wiem tylko, że czuję się lepiej, kiedy w razie czego mam z czego strzelać. Rozumiesz? Odpowiedział mi, że nie ma sprawy, i potem wyciągnął komórkę, nie swoją, bo miała diamentyki z tyłu. Rzeczywiście, to był telefon Carycy. Włączył WhatsApp i pokazał mi czat między nią a Antonellem Petrellą.

Antonello to Dumbo, powiedział sobie w myślach Christian. Dumbo. Swędzenie na szczęce tuż przy uchu stało się nie do zniesienia. Podrapał się, a raczej wbił paznokcie w to miejsce, żeby swędzenie na pewno już nie wróciło. Kątem oka zobaczył, że Nicolas się poruszył, wyjął smartfon z kieszeni i teraz przesuwiał kciukiem po ekranie. Znalazł to, czego szukał. Wiadomość dźwiękową.

– Wszystko nagrałem – powiedział Nicolas i wskazującym palcem drugiej ręki nacisnął PLAY.

„Widziałeś? Widziałeś?”

„Poczekaj, poczekaj chwilę. Nie, to niemożliwe!”

„I zobacz jeszcze tutaj. Posłał mojej matce zdjęcie swojego kutasa!”

„Ale twoja matka mu na to pozwalała”.

„Nie wiedziała, co robić”.

„Może chciała, żeby Dumbo ją przeleciał”.

„Nie wiem. Najchętniej załatwiłbym ją i jego”.

„No to już. Spotkaj się z Dumbem i załatw go”.

To był głos jego starszego brata. To on powiedział: „załatw go”. Christian wiedział, że to on, ale jednocześnie w to nie wierzył. Niemożliwe, żeby to był głos Nicolasa! Patrzył na niego zdezorientowany, ale Nicolas nie podnosił oczu znad smartfona.

„Kręcą się tu teraz ci z DIA, a z powodu talibów sytuację obserwują też Amerykanie. Nie możemy teraz załatwić sztuki tak sobie, na ulicy”.

„W takim razie nic nie róbcie”.

„Jak to: nic?! Jakby ktoś splamił honor twojej matki, to też byś nic nie zrobił? Masz w swojej paranzie Ząbka, to najlepszy kolega Dumba”.

„Tak, Ząbek i Dumbo są jak bracia. Ale przecież Dumbo pracuje dla ciebie, ciągle się tu kręci”.

„Nie, już dawno się u nas nie pokazuje. Nie przyszedł po pensję, nie odpowiada na telefony. Nie mogę angażować moich żołnierzy z powodu takiego dupka”.

Christian nawet nie zauważył, kiedy zamknął oczy. Nie umiał jednak zamknąć uszu, nie umiał też otworzyć ust. Chciał powiedzieć, że Dumbo jest jednym z nich, tak samo jak Ząbek. Z nim wypalił pierwszego skręta, to on mu pokazał, jak odpala się skuter, i pozwolił mu pojeździć przy garażu jego domu. Chciał to powiedzieć, ale nie był w stanie przerwać tego nagrania. To byłoby tak samo, jak wejść w słowo Nicolasowi – po prostu niemożliwe. Poza tym starszy brat zaczął odtwarzać dialog między nim a Małpopsem, jakby wypowiedane w nim słowa, wypełniające teraz ich wspólny pokój, nie powinny w nim wywoływać żadnych emocji, jakby nie miały same w sobie żadnego znaczenia, a służyły tylko jako materiał instruktażowy, jakby miały być tylko kolejnym etapem jego rozwoju, jakby Nicolas spodziewał się po nim jedynie, żeby słuchał i się uczył. Christian więc słuchał. Musiał słuchać, jeżeli chciał kiedyś stać się jak brat. Trzymał jednak oczy zamknięte i przypominał sobie, jakie Dumbo robił miny, żeby go rozśmieszyć, i jak go zabrał na mecz Napoli–Fiorentina i dał mu się napić trochę piwa. Czuł jeszcze jego

smak na podniebieniu, podczas gdy słuchał głosu brata i tego drugiego, jak z innego świata.

„Ktoś musi mi go ściągnąć za miasto. Może mu powiedzieć, że organizuje jakąś imprezę albo coś w tym rodzaju. Wybierz, kogo chcesz, mnie to nie obchodzi. Ja do nich dołączę. Pogadam z Dumbem, zadam mu kilka pytań, a potem go zastrzelę. I po kłopotach. Nie da się inaczej, to za duży wstyd. Wszędzie rozpowiada, że pieprzy się z moją matką. I na dodatek posłał jej zdjęcie swojego kutasa. Wyobrażasz sobie?!”

„Ale jeśli go zastrzelisz gdzieś w polu, nikt nie będzie wiedział, że to ty, ludzie nie zrozumieją, że to kara”.

„Nie szkodzi. Grunt, żeby zdechł”.

Maharadża wiedział, że każda śmierć ma dwie strony. Zabójstwo to lekcja dla innych. Śmierć tylko w połowie dotyczy ofiary, druga jej połowa dotyczy żywych.

„A jeżeli ci odmówię?”

„Jeżeli mi odmówisz, nie będziemy robić razem interesów, na które się umawialiśmy”.

„Ale co interesy mają wspólnego z faktem, że twoja matka dostała zdjęcie kutasa?”

„Maharadża, jak ty jeszcze mało rozumiesz! Szczeniak z ciebie. Jak ktoś znieważy twoją matkę, to tak, jakby znieważył ciebie. Jeżeli nie zareagujesz, to znaczy, że może ci zrobić wszystko, dajesz mu pozwolenie, żeby ci nasrał na twarz”.

– Rozumiesz, Christian?

Nagranie się skończyło. Nicolas włożył smartfon z powrotem do kieszeni, nawet nie zauważył wzburzenia młodszego brata. Christian skinął głową. Tak, rozumiem, ale reszta jego ciała mówiła coś innego. Do gardła podchodził mu krzyk, ale nie wiedział, że to krzyk. Czuł się, jakby wrzucono go do wody, gdzie nie dotyka się dna, a on nie umie pływać. Chciał powiedzieć, że Dumbo był ich przyjacielem, bratem, a przecież nie zabija się brata! Chciał zapytać Nicolasa, czy można

zabić przyjaciela. On już dawno odpowiedział sobie na to pytanie, ale jeżeli Nicolas dopuścił do tego zabójstwa, to chyba znaczy, że można, nie? Może słusznie jest zabić przyjaciela, kiedy popełnia błąd? A co wiedział Ząbek o całej tej sprawie? Christian był zawsze trochę zazdrosny o więzi, jakie łączyły Dumba z Ząbkiem. Nie miał szans, żeby z nim konkurować – ta niestosowna w tej chwili myśl go zawstydziła. Żeby ukryć rumieniec, obrócił się do ściany, choć Nicolas na niego nie patrzył. Spojrzał na ekran komórki, parafki się nie zabarwiły. Rozumiał, że Dumbo został skazany na śmierć. Rozumiał także ostatnie zdanie Nicolasa, jego próbę przywołania do rozsądku Małpopsa, który upierał się przy mieszaniu więzi krwi i więzi interesów, rodziny i pieniędzy. Nicolas gardził takimi jak on, uważał, że przynależność klanowa nie powinna mieć nic wspólnego z interesami. Pieniądze to jedno, a pieprzenie się z czyjąś matką to całkiem coś innego. Christian chciał teraz już tylko usłyszeć od brata, że przekonał Małpopsa, jak nedorzeczny był to plan. Chciał, żeby Dumbo odpowiedział na jego esemesy.

Nicolas zmienił pozycję, ułożył się na boku, potem znowu na plecach. Zamierzał kontynuować swą opowieść i Christian przez sekundę poczuł pokusę, żeby wstać i wyjść, powiedzieć na przykład, że musi iść do łazienki. Nie miał w głowie gotowych słów, ale czuł się tak, jakby jego nogi już zrobiły pierwsze kroki w kierunku drzwi. Nie miał gotowych słów, ale wiedział, co pragnął mu powiedzieć – że Dumbo był dla niego... Nie! – jest dla niego więcej niż przyjacielem, jest drugim bratem, który w odróżnieniu od Nicolasa pozwalał, żeby mu przerywać. Potem powiedziałby mu też, że Dumbo stworzył parazy problem, więc zdawał sobie pewnie sprawę, że będzie ukarany. Ukarany. Powtarzał sobie to słowo, wyskakiwało ze wszystkich stron jak żółta piłeczka, którą ojciec kupił mu kiedyś w kiosku, gdy był mały. Ukarany. Dumbo. Wystarczy tego. Jak długo trwa ta cisza? Muszę coś powiedzieć – pomyślał Christian, ale znów zabrakło mu głosu. I w tej chwili Nicolas ponownie zaczął mówić:

– Małpopies zaczął mi grozić: „Skończ z tym gadaniem. Gdyby tu był

Negus, mój ojciec, już by cię zlikwidował. Choćby dlatego, że znasz Dumba, jesteś jego kolegą. Ale ja nie jestem taki jak mój ojciec, może nie mam jaj... W każdym razie ty chcesz robić pieniądze, ale jeżeli nie wyświadczysz mi tej przysługi, zapomnij o mojej heroinie. Możesz sobie dalej sprzedawać trawkę i kokainę, i nic więcej. Powiem ci coś jeszcze: ludzie z klanu Palma z Giugliano myślą, że mają wyłączność na moją heroinę. Jeżeli się dowiedzą, że ty też ją ode mnie bierzesz, nie będę się musiał tobą przejmować, to oni cię posiekają na kawałki". On już zdecydował. Więc zapytałem, jak się zorganizujemy. Powiedział, że mnie zawiadomi. I jeszcze: że tę imprezę trzeba zorganizować, i koniec.

Tym razem Nicolas nie dodał: „Rozumiesz?”. Był to sygnał dla Christiana, że ich rozmowa jest skończona. Leżeli jeszcze przez jakiś czas w milczeniu, słuchając odgłosów życia kamienicy, wody spuszczonej w toalecie, rozmów w sąsiednich mieszkaniach. Potem Nicolas wstał z łóżka, podniósł buty z podłogi i wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Trzy dni później do Christiana napisał Ząbek, chciał się z nim jak najszybciej spotkać. Martwił się o Dumba. Zniknął, jego rodzice szaleli z niepokoju. Przyszli do domu Ząbka, żeby zapytać o syna, ale nie potrafił powiedzieć im nic innego jak tylko:

– Nie wiem, gdzie jest. Nie umiem go znaleźć.

Matka Dumba powiedziała:

– Ostatni raz widziałam go, gdy ktoś przyjechał po niego na skuterze. Pożegnał się ze mną.

– Niech pani sobie przypomni, kto po niego przyjechał.

Pokazał jej kilka zdjęć na Facebooku, potem filmik z chłopcami z parazy i jeszcze Instagram, ale matka Dumba nikogo nie rozpoznała. Powiedziała tylko słabym głosem:

– Czuję, że spotkało go coś złego...

– Nie! Dlaczego tak pani myśli? – zapytał Ząbek.

– Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby Antonello nie zadzwonił, kiedy

wiedział, że nie wróci do domu. Musiało się coś stać. Tobie też by powiedział, gdyby z jakiegoś powodu musiał wyjechać czy coś... Gdyby z jakiegoś powodu musiał się ukrywać...

– Ukrywać? Przed kim?

Matka Dumba spojrzała na niego przeciągle.

– Myślisz, że nie wiem, co robicie?

– A co my takiego robimy?

– Wiem, że pracujecie dla...

– Pracujemy i tyle – przerwał jej Ząbek.

Ojciec Dumba nie odezwał się ani słowem. Co jakiś czas spoglądał na telefon, nie mógł się zdecydować, czy dzwonić na policję.

– Nigdzie nie dzwońcie – powiedział Ząbek. – Sam znajdę Dumba. Wiecie, że jest dla mnie jak brat.

Rodzice Dumba nic nie odpowiedzieli i Ząbek wiedział, że ma kilka godzin, zanim zawiadomią policję. Wypytał wszystkich i wszyscy mówili to samo: nic nie wiedzą. Dumbo zniknął bez śladu. Na koniec Ząbek zostawił sobie Christiana; to była jego ostatnia szansa – jeżeli i on nic nie wie, więcej zrobić nie może.

Christian wysłuchał jego relacji w milczeniu, a kiedy Ząbek skończył, powiedział, że nic nie wie. Pokazał mu esemesy, które wysłał do Dumba i które pozostały bez odpowiedzi. Wtedy Ząbek objął ramionami jego drobne, trochę sztywne ciało i przyrzekł, że wkrótce odezwie się z nowymi wieściami. Christian przez chwilę wierzył, że mogą być dobre.

Następnego dnia matka Dumba poszła na policję i zgłosiła zniknięcie syna. Tego samego wieczoru można było o tym przeczytać w prasie online. Niektórzy zaczęli mówić, że to *lupara bianca*. Chłopcy z parazy nigdy nie słyszeli tego wyrażenia, nie wiedzieli, że określa mafijną metodę zabijania, przy której ciało znika bez śladu. Czwartego dnia poszukiwań Ząbek dostał wiadomość od White'a: „Powiedziano mi, że masz szukać w Bronksie”. Czyli w San Giovanni a Teduccio. Na terytorium klanu Acanfora.

Ząbek starał się wyciągnąć od niego więcej informacji, ale White nic już nie powiedział, pojechał więc od razu do San Giovanni. Szukał, gdzie tylko mógł, najchętniej wołałby Dumba na cały głos. Nie znalazł żadnego śladu. Wchodził do barów, pokazywał wszystkim zdjęcie Dumba w smartfonie.

– Chłopaki, widzieliście Dumba?

– Nie, nie widzieliśmy. Nic nie wiemy. Kto to? Ktoś stąd?

Aż dostał wiadomość na WhatsAppie od Koali, swojej narzeczonej: „Dowiedziałam się, że po raz ostatni widziano Dumba w Bronksie. Wiesz, gdzie jest Vigna? Tam, gdzie ten zburzony dom, teraz trzymają tam owce”. Ząbek doskonale wiedział, gdzie to jest. Nieraz pił tam wódkę i palił crack. Pojechał od razu do zrujnowanego domu na polach. Było jeszcze jasno, ale nie znalazł żadnego śladu. Miał nadzieję, że ktoś przywiązał go do drzewa, żeby wymierzyć mu karę. Ale Dumba nie było. Idąc, grzązł w sypkiej ziemi. Pomyślał, że była niedawno przekopana. Minęły cztery dni, ani razu nie spadł deszcz. O Boże! Boże, nie! Nie!

Zaczął kopać gołymi rękami. Kopał, nie zatrzymywał się ani na chwilę. Ziemia wbiła mu się pod paznokcie, podważała je, powodując ból, miał ją w ustach i na całym ciele, bo zaczął się pocić. Pojawiła się przy nim jakaś dziewczyna:

– Co robisz? Co tu robisz?

Odwrócił się do niej i zapytał krótko:

– Masz łopate?

Dziewczyna weszła do zrujnowanego domu, który służył teraz za owczarnię, znalazła w nim łopate. Ząbek kopał teraz szybciej, aż do chwili, gdy coś pod nią poczuł. Odrzucił ją wtedy, żeby nie uszkodzić tego, co leżało pod ziemią, i znów zaczął odgarniać ją rękami.

Pokazała się twarz. Wtedy Ząbek nie potrafił już dłużej pohamować bólu.

– Nie! Boże! Nie!

Natychmiast wezwali policję, przyleciał nawet helikopter, karabinierzy wyjęli ciało z rowu. Przyjechali rodzice Dumba. Ząbka

wylegitymowano i zawieszono na komisariat. Starano się go przesłuchać, ale Ząbek miał nieruchomy wzrok i odpowiadał na pytania półsłówkami. Był w szoku. Przesłuchanie zostało przeniesione na następny dzień. Policja mogła go aresztować, znaleziono w jego komórce esemesy White'a i Koali z informacjami, ale puszczono go wolno. Przed komisariatem czekała na niego Koala, objęła go i długo trzymała w ramionach. Pozwolił jej na to, nie poruszając żadnym mięśniem, nie odpowiadając na jej uścisk. Wciąż miał nieruchome oczy. Wsiadli na skuter, Ząbek powiedział:

– Jedziemy do meliny.

Pojechali do Forcelli, weszli do kamienicy. Koala zatrzymała się na progu meliny, bo wiedziała, że nie może tam wejść nikt spoza parazy, zwłaszcza kobieta.

– Wejdz – polecił jej Ząbek.

Posłusznie wykonała jego polecenie, ale wolałaby nic nie widzieć i sama pragnęła być niewidzialna. Wiedziała, że wynikną z tego kłopoty, ale czekała przy Ząbku, który stał nieruchomo. Włączyła telewizję, żeby wypełnić pustkę, jaka panowała w tym mieszkaniu. Po Ząbku było widać, że mu to przeszkadza, przeszedł do sypialni w przeciwległej części mieszkania i rzucił się na łóżko. Dało się słyszeć klucz w zamku, wszedł Tukan, który na widok Koali aż zeszywniał.

– Co ty tu, do cholery, robisz?

Ząbek wyszedł z sypialni.

– Zabili Dumba.

– Tak? A kto?

– Dowiem się kto. Na pewno. Dumbo nie był z nikim powiązany, nie miał z niczym nic wspólnego. Chcę, żeby zaraz zebrała się cała paranza.

Ząbek był o głowę niższy od Tukana, ale wypluł mu w twarz straszny gniew. Tukan włączył więc smartfon i zwołał całą paranzę: „Chłopaki, musimy zagrać ważny mecz jeszcze dzisiaj rano”.

Wchodzili do meliny pojedynczo, ostatni był Maharadza. Miał zaczerwienione oczy jak ktoś, kto nie śpi po nocach, i wciąż drapał się

po brodzie. Ząbek od razu zwrócił się do niego:

– Maharadza, nie będziemy już kupować heroiny od Małpopsa. Niech zostanie tam, gdzie jest. Jeżeli będziecie ją dalej kupować i sprzedawać, zostawiam paranzę, a was, każdego z was, będę uważać za współnika Małpopsa!

– Ale co tu ma do rzeczy Małpopies? – zapytał Maharadza.

– Dumbo pracował u jego matki, Małpopies ma z tym na pewno dużo wspólnego. I nie udawaj, Nicò, bo pomyślę, że go kryjesz. Dumbo nie był w żadnym klanie.

– Tak jak my... – zaśmiał się Dragonbol, skręcając sobie dżointa.

– Przestań pieprzyć! – krzyknął Ząbek i złapał go za koszulkę. Dragonbol wyszarpnął się i odchylił głowę, żeby go uderzyć z jak największą siłą. Rozdzieliła ich Koala.

– Zachowujecie się jak dzieci.

– Dumbo nigdy w życiu nie miał pistoletu w ręce, nikomu nie zrobił krzywdy, nigdy nie zachował się jak bydlak! – krzyczał Ząbek.

– Ty, Ząbek, czy ty wiesz, co mówisz? Dumbo prznosił całą heroinę, którą sprzedajemy. Pewnie o to chodziło. Może ktoś chciał mu ukraść towar – próbował go uspokoić Tukan.

– Niemożliwe. Ktoś zastawił na niego pułapkę, ściągnął go tam podstępem. – Kiedy to mówił, nawet nie starał się powstrzymać płaczu. Nikt przed nim w tym mieszkaniu nie płakał.

Dron stał nieruchomo. Pomyślał, że to rewanż. Jeszcze niedawno to on stał w tym miejscu i połykał łzy. I bardzo się bał, że ktoś to zauważy. Tymczasem Ząbek nie wstydził się płakać i przynosił ujmę całej paranzы.

Odezwał się Dragonbol:

– Chłopie, dzisiaj jesteśmy, jutro nas nie ma, pamiętaj o tym. Wróg, przyjaciel, życie, śmierć, to obojętne. Wszyscy to wiemy, ty też. Tak już jest. Wystarczy chwila i już cię nie ma. Takie jest życie.

– Co ty możesz wiedzieć o życiu? Ty i twoja rodzina zdrajców...

Zdrajca... Słowo, którego nie wolno wymawiać. Dragonbol błyskawicznie wyciągnął pistolet i przystawił go Ząbkowi do twarzy.

– Ty chcesz mnie uczyć honoru? Ty, który chodzisz z siostrą tego skurwysyna i pewnie mówisz jej o naszych sprawach. Ciekawe, ile z tego przedostało się do parazyty Kudłaczy. I ty mnie nazywasz zdrajcą? Wynoście się stąd, a już! Ty i ta twoja kurewka.

Ząbek nie odpowiedział. Był bez broni. Patrzył na Nicolasa, tylko na niego. Na bossa.

Posłaniec

Ząbek czuł, jak rósł jej brzuch, jeszcze zanim mu o tym powiedziała. Kiedy ją przytulał, czuł dokładnie, że rosło w niej coś, czego jeszcze niedawno nie było. Wcześniej, kiedy się obejmowali, byli jednym węzłem ramion, wtapiali się w siebie nawet na krótką chwilę przywitania czy pożegnania, nie tylko wtedy, gdy się kochali. Koala miała taki właśnie charakter. Kiedy się przytulała, robiła to całym ciałem. Ale od jakiegoś czasu Ząbek wyczuwał w swojej dziewczynie pewną powściągliwość, ostrożność, jakby się obawiała, że ją zgniecie, zbyt mocno uściśnie. O nic jej nie zapytał. Sama mi to powie, kiedy będzie chciała, pomyślał, ale tymczasem pozwalał pracować swojej wyobraźni. Jakie imię dadzą dziecku? Jego matka zawsze marzyła o wnuku, a jeszcze bardziej o wnuczce. Marzyła też o ślubie syna i wystawnym weselu. Potem jednak pojawiała się inna myśl, którą starał się oddalić, ale wtedy wracała jeszcze wyraźniejsza. Lepiej, żeby się nie urodziło.

Koala czekała. Wiedziała, że on już wie. Nie rzucał się już na nią z takim wigorem jak przedtem, on też zachowywał się bardziej powściągliwie i ostrożnie. Kiedy byli sami, zachowywali się jak dwoje młodziutkich, niedoświadczonych zakochanych. Ona również wybiegała myślami naprzód. Postanowiła, że kiedy minie pierwszy trymestr, powie Ząbkowi, że zostanie ojcem. Zaokrąglą się z każdym dniem coraz bardziej, niektóre kobiety z sąsiedztwa już zaczęły podejrzewać, że jest w ciąży. Koala też wolała dziewczynkę, kupiła już nawet w tajemnicy różowe śpioszki, nie zważając na przesady.

Później Dumbo stracił życie i z jej chłopaka też sporo życia uszło. Nie mogła z nim porozmawiać, bo krążył gdzieś ciągle, prowadząc swoje prywatne śledztwo, żeby się dowiedzieć, kto skazał na śmierć jego przyjaciela. W rzadkich chwilach, kiedy byli sami, Ząbek jej nie

dotykał, trzymał ją na dystans, nie chciał nawet patrzeć jej w oczy, nie chciał, żeby wyczytała z jego spojrzenia, że on już wie. Było za późno, żeby ukryć jej brzuch, wszyscy go widzieli, tylko on udawał, że o nim nie wie. Nie było w nim miejsca na życie, które nosiła w sobie Koala. Usiłowała zbliżyć się do niego, okazywała mu czułość, tuliła się do niego, ale Ząbek jej się wymykał i wyruszał znowu w drogę, w poszukiwaniu winnego. Po raz pierwszy od początku ich znajomości zapanował między nimi chłód, byli jak sparaliżowani, ale dziecko, które nosiła w sobie Koala, dalej rosło i jego przyszły ojciec nie mógł nie pamiętać o jego istnieniu.

Ząbek od dwóch dni nic nie jadł i nie pił. Od dwóch dni nie spał. Czterdzieści osiem godzin jak zombie. Chodził wszędzie pieszo. Obawiał się, że podczas jazdy skuterem coś umknie mu w twarzach napotkanych ludzi. A przecież mógł w nich znaleźć informację na temat śmierci przyjaciela. Nie zaglądał już na czat parazy i nikt nie próbował pisać do niego prywatnie, żeby go przekonać do powrotu. Został sam.

Wrócił do White'a, do baru z automatami do gry, ale boss Kudłaczy przysięgał, że nic więcej nie wie. To, co wiedział, już mu przekazał. Ząbek zapytał, skąd miał te informacje, ale White odparł tylko, że od informatora. Zapisał sobie jeszcze jeden kucyk i teraz głaskał go powoli.

– Kto jest tym informatorem? – zapytał Ząbek.

– Gównu ci do tego – odparł White i pokazał mu środkowy palec.

Od White'a niczego więcej się już nie dowie, choćby go skopał. Było widać, że świetnie się bawi, teraz głaskał obydwie kucyki. Ząbek wyszedł z baru ze spuszczoną głową. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wypytać jeszcze Koali, ale ona wiedziała tylko tyle, ile powiedział jej brat, poza tym nie chciał jej w to wciągać, nie chciał zbrukać jej i dziecka, które w sobie nosiła, całą tą plugawą sprawą.

Rozważył też możliwość odwiedzenia wszystkich punktów sprzedaży narkotyków, bo zwykle były przy nich kamery, może któraś

nagrała Dumba z kimś na skuterze. Z mordercą. Odwiedził Copacabanę w więzieniu, ale ten nie chciał się z nim spotkać. Chodził przez cały dzień po San Giovanni a Teduccio: ulica Marina, Ponte dei Francesi, wszystkie ulice odchodzące od corsa San Giovanni, park Massima Troisiego. Głowę trzymał wysoko, miał arogancką postawę, jak gdyby zamierzał wtargnąć siłą na to obce terytorium. Chodziło mu o to, żeby go zauważono, a nawet pobito, jeśli to konieczne. Przebył w ten sam sposób dziesiątki kilometrów, jak wtedy, gdy rozpoczął swoje śledztwo – sam.

Chociaż w rzeczywistości sam nie był. Także Caryca podążała śladami mordercy Dumba. Przywiązała się do tego chłopca. Bawił ją, był zawsze w dobrym humorze i umiał ją nim zarazić. Brakowało jej wspólnych przejażdżek na skuterze z jednego końca miasta na drugi. Czowała się podczas nich jak młoda dziewczyna. A teraz, z powodu tego głupiego żartu, z powodu tego cholernego zdjęcia zapłacił tak wysoką cenę. Caryca próbowała nakrzyczeć na syna. Jak mógł pozwolić sobie na przeglądanie wiadomości w jej komórce! Ale Małpopies wchodził w rolę troskliwego syna tylko wtedy, gdy było to dla niego korzystne. Teraz zareagował na jej słowa jedynie wzruszeniem ramion.

Caryca czuła się dłużniczką Dumba, jego chęć życia przyłgnęła jej do skóry. Przemaglowała ludzi swego syna, przypomniała im, że Negus, jej mąż, stworzył imperium, dzięki któremu dobrze im się żyje. Niech nie próbują mówić szefowi o tej rozmowie, bo ona, Caryca, potrafi jeszcze zaszkodzić, i to bardzo. I tak, jeden po drugim, powiedzieli jej, co wiedzieli o sprawie Dumba. O samej akcji wiedzieli niewiele, ale zebrawszy razem wszystkie elementy, Caryca zrekonstruowała przebieg wydarzeń. Nie interesowały jej szczegóły, ale łańcuch decyzyjny oraz rozkład odpowiedzialności – na tej podstawie mogła wybrać rodzaj zemsty. Nie miało dla niej znaczenia, kto i z czyjej ręki ucierpi. Ważne było tylko, żeby – zgodnie z regułą starą jak świat – krew została zmyta krwią. A ona wiedziała, jak wywołać taki proces oczyszczenia.

Przygotowała wszystko, nie ruszając się z domu, ze swojej złotej

klatki wyposażonej we wszelkie możliwe wygody, z której tylko Dumbo potrafił ją ruszyć. Opowiedział jej o przyjacielu, którego ochronił przed odsiadką na Nisidzie, robiąc wszystko, by nie obciążyć go swoimi zeznaniami. Słuchając jego opowieści, Caryca pomyślała, że jest to przykład najczystszej przyjaźni, przyjaźni zrodzonej z poświęcenia. Dzięki swoim ludziom zdobyła numer telefonu Ząbka. Zamierzała do niego zadzwonić, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Tak więc wszystko mu opisała, dodając, że pozostawia mu wybór – nie musi jej wierzyć. Na końcu wiadomości napisała, że przyjaźń Dumba była dla nich obojga cenna jak malowana płytka fajansowa.

Ząbek przeczytał wiadomość Carycy dziesiątki razy. Za każdym razem zbliżał palec do przycisku USUŃ. Po jakimś czasie słowa w niej zawarte wyryły w nim głęboki tor, zaprowadziły do wagonu metra linii 1. Skasował wiadomość, kiedy trzy przystanki dzieliły go od stacji Toledo.

Morze Czerwone

Mena robiła ostatnie poprawki w czerwonej sukience, którą uszyła sobie w godzinach pracy w zakładzie usługowym. Kiedy jedna z klientek podarowała jej kupon karminowego jedwabiu, zapytała się w myślach: Gdzie ja pójdę w takiej sukience? Ale owinąwszy się nim przed lustrem, wyobraziła sobie model o prostym kroju, bez dekoltu, opięty na biodrach, i stwierdziła, że na pewno znajdzie się okazja, po czym od razu zabrała się do pracy. Teraz siedziała przy stole nakrytym dla niej do kolacji przez męża, jak zwykle gdy wracała do domu późno, a on wychodził wcześniej, i przyszywała guziczki do sukienki. Miało ich być dwanaście, błyszczących, w jeszcze żywszej czerwieni niż jedwab. O wykonanie dziurek, co było dużą sztuką, poprosiła starą Sofię, która pomimo zaawansowanego wieku i coraz grubszych okularów pracowała dla wszystkich krawcowych w Forcelli.

Usłyszała, że Christian wyszedł z pokoju.

– Gdzie idziesz?

Odpowiedzią było coś w rodzaju: „Czeka na mnie Nicò”, ale nie usłyszała dokładnie. Nie zdążyła dopytać, gdzie mają się spotkać, została sama, z igłą między palcami, z której zwisała czerwona nić. Nie lubiła, kiedy młodszy syn wychodził z bratem, a zdarzało się to nader często. Wbiła nitkę w materiał, położyła sukienkę na stole i wyjrzała z okna balkonowego, bo było z niego widać ulicę. Christian stał na dole, nie ruszał się, pewnie czekał. Dopóki czeka, mogę być spokojna, pomyślała. I jednocześnie przyszło jej do głowy, że należałoby zmierzyć sukienkę, żeby sprawdzić, czy zapięcie nie jest zbyt ciasne. Sofia dobrze robi wykończenia, ale ma swój wiek i jest trochę ślepa, pomyślała i rozebrała się szybko, po czym już wolniej, ostrożnie włożyła przez głowę nową sukienkę. Przyglądała ją na

biodrach, sprawdziła, czy piersi dobrze wypełniają stanik. Tak, teraz mogła przyszyć pozostałe guziczki. Wróciła do okna, zobaczyła, że Christian się oddala, szedł szybko w kierunku Rettifilo.

– Dokąd idziesz? – zawołała głośno.

– Muszę coś załatwić – krzyknął, trzymając ręce zwinięte w trąbkę przy ustach, potem puścił się biegiem, szybki jak gazela. Załatwić? Cóż to za słowo u takiego chłopca? Wychyliła się jeszcze dalej z okna, aż Christian zniknął za skrzyżowaniem. Wróciła w pobliże stołu i szukała telefonu. Nigdy nie mogła go znaleźć, gdy był jej potrzebny. Wbiła igłę w szpulkę i obmacała obrus na stole, z którego wcześniej zdjęła sukienkę, przeszukała torebkę, zajrzała do łazienki. Był, leżał przy zlewie. Wybrała numer Nicolasa, odpowiedział prawie natychmiast.

– Co jest?

– Po co ściągasz brata? Co on ma z tobą do roboty? Gdzie jesteś?

– Spokojnie, mam. Co mówisz?

– Christian siedział w domu jeszcze dwie minuty temu, a teraz pobiegł do ciebie. Dokąd? Powiedz mi, gdzie jesteś.

Nicolas milczał, słuchał bez słowa głosu matki, która kazała mu natychmiast posłać brata do domu. Wymknęło mu się, choć nie powinno:

– Nic o tym nie wiem.

Teraz z kolei zamilkła Mena. Wymieniali się milczeniem jak zakodowanymi wiadomościami. Ale zaraz się pozbierała.

– Niech ci powiedzą, dokąd go zabierają. Niech ci zaraz powiedzą! – Mena wiedziała, że zawsze jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Wiedziała, że ten jej jasnowłosy syn dużo może i jeżeli tyle może, musi to zrobić natychmiast. – Niech ci powiedzą!

– Zejdź na ulicę. Zaraz tam będę.

Mena zostawiła wszystko, nawet nie zamknęła drzwi i rzuciła się w dół po schodach w czerwonej sukience niedopiętej na plecach. Dopiero w bramie na dole pomyślała, że mogła się przebrać, ale teraz było już na to za późno. Stała na ulicy i wypatrywała sylwetki Nicolasa na tym jego przeklętym skuterze. Wypatrywała tam, gdzie zniknął

Christian, a tymczasem Nicolas przyjechał z przeciwnej strony. W ręce trzymał kask Letizii. Mena wsiadła na T-Maxa, kask trzymała na kolanach. O nic nie zapytała, czekała, aż jej powie, gdzie jest jego brat.

– Jeździec z Toledo – krzyknął Nicolas, przyśpieszając. – Przystanek metra.

Wystarczyło, że wykonał dwa telefony. Wystarczyła minuta i dowiedział się wszystkiego. Ale czego? Czego się dowiedział? Pod włosami Meny, które powiewały na wietrze jak piracka flaga, i za maską skupionej twarzy Nicolasa szalały myśli, pytania i odpowiedzi, modlitwy i błagania. Oboje mieli przed oczami tylko jeden wyraźny obraz, którego znaczenia nie potrafili przewidzieć, obraz współczesnej rzeźby na placu Diaza, tego przekrzywionego jeźdźca na koniu, którego nie wiadomo dlaczego postawiono w tym akurat miejscu.

Ząbek siedział w wagonie metra, pochylony przykrywał ciałem półautomatyczną berettę tkwiącą mu między nogami. Zdawał się kurczowo trzymać tego pistoletu, przytulać go do siebie i przyciskać, jakby miał odprawić jakiś rytuał. Krew nie ma znaczenia? Zobaczymy. Zobaczymy, co będzie, jeżeli to twoja krew zostanie przelana, powtarzał w myślach, kładąc akcent na słowie „zobaczymy”, złowieszczym zwiastunie przyszłych wydarzeń. Na ekranie komórki wyświetlił wiadomość, którą wysłał do Christiana: „Ja i twój brat czekamy na ciebie pod rzeźbą na placu Diaza. Musisz załatwić dla nas pewną sprawę”. I odpowiedź: emotikon z uśmiechniętą buzią powtórzony siedem razy.

Następną wiadomość wysłał do Żetakpowiem. Dzięki niemu upewnił się, że Nicolas nie wrócił z meliny do domu. Żetakpowiem wypytywał go potem: „Gdzie jesteś? Co robisz? Co planujesz? Chcesz się spotkać z Nicolasem?”. Ząbek odpowiedział, że nic nie planuje, ma tylko pewną sprawę do załatwienia na placu Diaza. Żetakpowiem się tym nie zadowolił, dociekał dalej: „Co to znaczy? Jaką sprawę?”, ale te pytania Ząbek zostawił już bez odpowiedzi.

Odczytywał ponownie tę wymianę esemesów i przez cały czas czuł się obserwowany przez ludzi, którzy siedzieli albo stali i trzymali się poręczy w wagonie. Patrzyli na niego, bo był uzbrojony? Patrzyli, bo jechał tym metrem, żeby zabić dziecko? Albo może patrzyli na niego, bo sam był jeszcze młodym chłopcem? Poczuł, że się dusi wśród wszystkich tych dorosłych ludzi. Nie, oni nie są dorośli, są starzy, kobiety i mężczyźni bliscy końca, właściwie równie dobrze mogliby być już martwi. Zombie. On za to był żywy, o wiele bardziej żywy niż wszyscy ci niewolnicy. Dotknął beretty i poczuł się silny, gotowy wymierzyć zemstę. I wymierzy ją. W ostatniej chwili spostrzegł, że dojechał do stacji Toledo. Wszedł z wagonu. Stanął pod ścianą i przepuścił pasażerów, wszystkich tych niewolników. Potem wszedł w kolorowy korytarz prowadzący do ruchomych schodów. Christian zjedzie w dół, bo takie dostał polecenie.

Christian stał pod dziwnym koniem na placu Diaza. Nicolas pewnie zaraz przyjedzie, tymczasem Ząbek czekał na niego na dole, przed bramkami, więc postanowił do niego dołączyć. Ząbek zapytał przedtem, czy był kiedyś w metrze. Nie, nie był. Więc niech zejdzie, zobaczy, jakie tam wszystko piękne, wspaniałe świat. Christian wszedł na ruchome schody i – rzeczywiście! – znalazł się we wspaniałym świecie. Gdy zjeżdżał w dół, nad jego głową wydłużał się stożek błękitno-zielonego światła. Błękit i zieleń zdawały się spływać po ścianach, nabierając stopniowo różowego odcienia, jakby to było akwarium, jakby to były jakieś czary. Słyszał w szkole, że stacja Toledo jest jedną z najpiękniejszych na świecie, ale nikt go tutaj nigdy nie przyprowadził. Nikt ze szkoły ani nikt z rodziny. Jak to możliwe? Mamy u siebie najpiękniejszą stację metra na świecie i nigdy tu nie przychodzimy? Zawsze tylko Castel dell'Ovo, deptak nad zatoką i morze... Podczas gdy prawdziwe morze jest tutaj. Jest nawet piękniejsze, bo można się tu poczuć jak wśród fal, i jak w grocie, i jak na wulkanie. I jak w niebie. Nicolas nigdy mi o tym nie mówił, pomyślał Christian, trzymając głowę odchyloną do tyłu, a im niżej

zjeżdżał, tym bardziej ją odchyłał, żeby wciąż widzieć ten świetlisty stożek. Bezgłośny strumień czarodziejskiej wody. Albo nie – strumień światła z kosmosu.

Kazali mi tu przyjść, żebym mógł odbyć błękitną podróż, pomyślał. I kiedy zjechał długimi schodami na sam dół i zobaczył Ząbka, powiedział mu, że to fantastyczne miejsce, lepsze niż Posillipo i świat z *Władcy pierścieni*. Ale Ząbek się nie uśmiechnął. Poleciał mu wrócić do góry, bo Nicolas będzie czekał pod Jeźdźcem z Toledo. Christian nie zdziwił się, że kolega Nicolasa z parazy, ten ze złamanymi zębami, stoi w podziemiach metra i wydaje mu polecenia. W ogóle się nad tym nie zastanawiał, nie myślał o niczym, powiedział tylko „Wow!” i wskoczył szczęśliwy na pierwszy stopień, żeby odbyć podróż w akwarium w przeciwnym kierunku. Ząbek poczekał, aż wjedzie trochę wyżej, i wszedł za nim na schody. Droga zdawała się nie mieć końca, Christian po raz drugi zatracił się w zieleni i błękicie, aż dojechał do światła dnia.

Zobaczyli go Mena i Nicolas stojący na placu. Widzieli, jak wychodzi z tunelu schodów, podczas gdy z dołu dobiegł ich odgłos trzech strzałów, wyraźnych i czystych, bez echa i dudnienia.

Ząbek zeskakiwał po parę stopni naraz w kierunku przeciwnym do ruchu schodów, żeby nie wyniosły go na powierzchnię. Dopiero kiedy znalazł się na dole, zaczerpnął powietrza i spojrzał w stożek światła w górze, a potem wokół siebie, w pustkę powstałą po strzałach. Pobiegnął na peron i tam spostrzegł, że ma jeszcze w ręce pistolet. Włożył go z powrotem do spodni. Ten obraz i wszystkie poprzednie zostały w pamięci kamer – tej przy torach, która zarejestrowała moment, kiedy Ząbek wyszedł z wagonu i przepuścił innych pasażerów, a potem podążył za nimi; tej w głębi schodów, która nagrała go, jak czekał i jak wyjął potem berettę i zakrył ją lewą dłonią. Nagrała też Christiana, uśmiechniętego i podekscytowanego po przeżytej przygodzie w zielono-błękitnym stożku, oraz Christiana, gdy wraca na powierzchnię, i jadącego za nim Ząbka, jego wyciągnięte

sztywno ramię, pierwszy, drugi, trzeci strzał i bieg po schodach w kierunku przeciwnym do ich ruchu.

W metrze i na placu ludzie zareagowali instynktownie, jak podczas *stesy* – jedni rzucili się na ziemię, inni uciekli, jeszcze inni pozostali nieruchomi, jakby chcieli zrozumieć, co się dzieje. Jakby dało się to zrozumieć...

Christian szedł w kierunku Jeźdźca z Toledo z uśmiechem na twarzy. Zdawało się, jakby cały był uśmiechem, jakby to, co zobaczył pod powierzchnią ziemi, wciąż jeszcze wypełniało go całego. Później poczuł w sobie coś dziwnego, może pomyślał, że to morski ptaszek wbił mu się w plecy i teraz chciał wyjść przodem z klatki piersiowej. Nie zdążył wyobrazić go sobie do końca, upadł na ziemię, jakby się potknął, i tak już został, z szeroko rozłożonymi ramionami, z głową zwróconą w bok i otwartymi oczami.

Mena i Nicolas siedzieli jeszcze na skuterze. Pierwsza zsiadła Mena, była sama na całym placu, w tej swojej czerwonej sukience niezapiętej na plecach. Szła powoli, jakby niosła jakiś ciężar, jakby jakaś siła wyższa spowalniała jej kroki. Pochyliła się nad dzieckiem, dotknęła go, potem oddaliła od niego ręce i zaraz jeszcze raz dotknęła jego czoła, i pogłaskała je dłonią ułożoną w kształt muszli. Wreszcie wzięła w ręce jego głowę i położyła sobie na kolanach. Zamknęła chłopcu oczy, westchnąwszy przy tym głęboko. Zobaczyła strumyczek krwi, usłyszała, że ktoś krzyczy: „Zadzwońcie po karetkę pogotowia!”. Nikt nie odważył się poruszyć. Mena miała twarz zakrytą włosami. Nie było jej widać, ona też nie widziała nikogo. Później usłyszała, że Nicolas każe ludziom trzymać się z daleka. Słyszała, że mówi, jakby grał w teatrze: „To mój brat i moja matka”. Rzeczywiście tak było. Ale świadkowie tej sceny zauważyli też, że ten chłopak o jasnych włosach obrócił się wokół własnej osi, jakby nie chciał zostać rozpoznany, potem zgiął się wpół, trzymając kask przy żołądku, i zaczął jęczeć,

jakby starał się rozpłakać, a może płacz powstrzymać. „O Boże!” – wymknęło mu się i gdy raz wymówił to słowo, powtórzył je jeszcze parę razy: – „O Boże! Boże!”. Nie wiedział, gdzie podziąć wzrok, wbił go więc w ziemię. Ku swemu zaskoczeniu poczuł mdłości, za chwilę stały się silniejsze. Nigdy w życiu nie był tak samotny jak w tej chwili i może dlatego rzucił kask na ziemię i pochylił się przy bracie obok matki. Nikt nie wychodził z metra, wokół nich zbierało się coraz więcej gapiów, ale pod rzeźbą Jeźdźca z Toledo byli tylko Mena, Nicolas i mały Christian, niewidzialny teraz pod karminową czerwienią matki.

W następnych dniach Mena nie wylała ani jednej łzy. Opiekowała się mężem, który nie przestawał płakać, czy to w dresie na ławce w szpitalu, czy na krześle na komisariacie, czy też w kościelnej ławie. Mena z nikim nie rozmawiała, odzywała się tylko po to, żeby załatwiać praktyczne sprawy i odpowiadać na pytania policji, która rzecz jasna rozpoczęła śledztwo. Co jakiś czas spoglądała kątem oka na Nicolasa. Kiedy została w domu sama z synem i mężem, zdjęła czerwoną sukienkę z dwoma tylko guziczkami na plecach. Nie ubrała się w nic innego, została w samej halce i położyła na stole sukienkę, objęła ją spojrzeniem, po czym chwyciła gwałtownym ruchem i zaczęła ją drzeć. Najpierw rozrywała szwy, potem darła pojedyncze kawałki jedwabiu. I dopiero wtedy zaczęła krzyczeć – głosem metalicznym, zgrzytliwym, który zatrzymał nawet płacz ojca. W dziennikach telewizyjnych przez kilka następnych dni mówiono o „chłopczyku zamordowanym przez kamorrę pod rzeźbą Jeźdźca z Toledo autorstwa Williama Kentridge’a”.

Pogrzeb odbył się pięć dni później w parafialnym kościele. Mena prosiła wszystkich o kwiaty. Poprosiła też o nie chłopców z parazy. Patrzyła na nich ze złością i mówiła z naciskiem: „Chcę, żebyście przynieśli kwiaty. Zrozumieliście? Wiecie, gdzie je kupić. Najpiękniejsze kwiaty w całym Neapolu. Białe, wszystkie mają być białe. Róże, kalie – te, które kosztują najwięcej”. Obejrzała dokładnie

wnętrze kościoła, nie słuchała księdza ani pracowników zakładu pogrzebowego. „Nic nie rozumiecie! Chcę, żeby kościół był pełen kwiatów. Ma ich być tyle, żeby omdlewano od ich zapachu”. I tak się stało. Za trumną szło mnóstwo ludzi, nie tylko z sąsiedztwa, nie tylko z ich dzielnicy, było wielu takich, których nikt nie znał, którzy nie wiadomo skąd się wzięli. To dobrze, pomyślała Mena. Tak ma być, nikt nie może zapomnieć mojego syneczka, mojego ukochanego dziecka.

Nicolas był we wszystkim posłuszny matce. Nie zabrakło go w żadnej scenie, nie pominął żadnego gestu. Jak prawdziwy król, który wszystko kontroluje, widział, kto był, kogo nie było, a kogo być nie powinno. Jego chłopcy stali przy nim, odgrywali żałobę. Robili to, jak umieli. Gubili się w masie białych kwiatów, których zażyczyła sobie matka Christiana.

Na pogrzeb przyszli koledzy ze szkoły Christiana, rój dzieci pod opieką nauczycielki, byli też koledzy z klasy Nicolasa i profesor De Marino, zamyślony i milczący.

Trumna też była biała. Trumna dziecięca. Narzeczone chłopców z paranzę zakryły sobie głowy chustkami – znały tradycję i wiedziały, że nie należy się z niej wyłamywać.

Mena była ubrana na czarno, związała włosy i okryła je szalem z czarnej koronki. Prowadził ją pod rękę mąż nauczyciel. Poprosiła wszystkich, żeby poczekali chwilę, zanim pojedą z trumną na cmentarz Poggioreale, a potem poleciła Nicolasowi, żeby zebrał paranzę w zakrystii.

– Ksiądz proboszcz na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli przez dwie minuty zajmiemy jego miejsce w zakrystii – zwróciła się do proboszcza, zmuszając go do pozostania na zewnątrz. Zebrali się wszyscy, łącznie z Briatorem i Śniętą Rybą, którzy podpierali się przy chodzeniu, jeden kulami, drugi laską ortopedyczną. Kiedy tak stali w półmroku zakrystii, Mena wyglądała, jakby pogrążyła się w rozmyślaniach, ale zaraz podniosła wysoko głowę i zdjęła czarny szal. Popatrzyła kolejno na wszystkich i powiedziała:

– Chcę zemsty. – Po chwili powtórzyła: – Chcę zemsty. – I mówiła dalej: – Wy możecie to zrobić. Jesteście najlepsi. – Nabrała powietrza: – Nie wiem, czy mogliście zapobiec temu zabójstwu, czy mogliście ocalić mego synka. Tak czy owak, los chciał inaczej. Teraz wszystko musi się zmienić. Zacznie się czas burzy. Chcę, żebyście rozpętali burzę w tym mieście.

Wszyscy żołnierze paranzы skinęli głowami na znak zgody. Wszyscy oprócz Nicolasa, który wziął matkę pod ramię i powiedział:

– Teraz musimy już iść.

Przed drzwiami do zakrystii ojciec złapał Nicolasa za koszulę. Podniósłby go do góry, gdyby potrafił. Zamiast tego spojrzał mu głęboko w oczy i zaczął mówić, najpierw cicho, potem coraz głośniej:

– To ty go zabiłeś. Ty. Ty jesteś mordercą. Ty go zabiłeś!

Menie udało się uwolnić syna z uchwytu ręki ojca i objęła męża.

– Nie teraz. Mamy czas – powiedziała i musnęła go ręką.

Przeszli przez cały kościół aż do wyjścia, między dywanami białych kwiatów. Na zewnątrz czekał karawan.

Ubrany na czarno Ptaszek podszedł do Nicolasa, objął go z delikatnością, o jaką sam by siebie nie podejrzewał, i powiedział:

– Serdeczne kondolencje, Nicò. W imieniu moim i innych, wiesz kogo.

Nicolas bez słowa skinął głową, nie spuszczał oczu z białej trumny. Próbował wyprzedzić Ptaszka, żeby dołączyć do matki, ale Ptaszek zatrzymał go uściskiem ręki na ramieniu.

– Widzieliście? Piszą o was. – Podał mu gazetę. Autor artykułu na pierwszej stronie powiązał śmierć Christiana, śmierć Roipnola oraz nowy tajfun, który uderzył na starą część miasta, i sugerował, że to wszystko wiąże się z działalnością nowej paranzы.

Trumna była już w karawanie. Nicolas rzucił okiem na gazetę, którą Ptaszek trzymał w wyciągniętej ręce.

– Chłopaki – powiedział do tych, którzy stali najbliżej – ochrzcili nas paranzą Dzieciaków!

Niespodziewanie zaczął padać deszcz, intensywny, ale bez

piorunów. Ulica pociemniała od otwartych parasoli, jakby cała Forcella i ulica Tribunali czekały na tę ulewę jak na wyzwolenie. Karawan z trudem torował sobie drogę wśród morza parasoli. Chłopcy z parazy w jednej chwili przemokli.

Śmierć i woda są zawsze obietnicą. Oni byli gotowi przejść przez Morze Czerwone.